



3 1761 05400311 6

150-
7140

PISMA

ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO

TOM V.

SŁOWIAŃSZCZYZNA POŁUDNIOWA

oraz

WOŁOSZA I ALBANIA.



504693

28 . 2. 50

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA

(właśc. T. Hiż i A. Turkuł)

1911

DK
508
.5
J34
A. 5

TŁOČNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO W WARSZAWIE
MARSZAŁKOWSKA 114. — DRUK UKOŃCZONO
DNIA 5 LUTEGO 1912 ROKU.

F. J. Jan

KSIĄDZ BISKUP STROSSMAYER *).

Dnia 8 września b. r. (1875) obchodził 25-tą rocznicę swego pasterstwa pierwszy mąż świata południowo-słowiańskiego, ksiądz Józef Jerzy Strossmayer, biskup Dyakowaru, Bośni i Syrmii.

Rocznica ta, obchodzona w Dyakowie, w Sławonii, była uroczystością nie tylko narodową Horwatów jedynie, lecz dniem świątecznym dla całej słowiańskiej rodziny, dniem uczczenia wielkiego, wyszłego z jej łona, człowieka.

Przeświadczenie o tem było powszechne.

Posłuchajmy odgłosu tych hymnów uroczystych, jakie zewsząd powitały dostojnego jubilata: brzmi z nich ku nam nie tylko wyraz uniesienia chwili, lecz zarazem, nawet nieskończenie więcej, i spokojne świadectwo prawdzie, uznanie i cześć.

„Ti si roda prvi sine!
Jer si prva rodu glava!”

Tak wita pasterza swego naród, w przeddzień jego uroczystości (zagrzebski „Obzor”, nr. 204), powtarzając:

„Ti nam skinu s macza hrdju,
Duha vječnog dignu tvrdju”

(boś ty nam starł rdzę z miecza naszego, boś ty nam dźwignął twierdzą wiecznego ducha);

*) Tyg. Il. 1875 r., Nr. 415.

„Czim se diczi i szto ima,
Sve od tebe narod prima”

(bo też wszystko niemal, czem się szczyci i co posiada naród, od ciebie to ma w darze).

Woła zatem dalej:

„Dok si uz nas, pada zloba...”

(dopókiś wśród nas, mniejsza o złość wrogów).

Któż tedy jest ten człowiek, któremu naród takie hymny na cześć wznosi? Co więcej, kto jest ten człowiek, dla którego hymn uwielbienia nie wzbija się wyżej nad poważną, faktyczną prawdę, do dziejów narodu i ludzkości należącą?

Odpowiedź gotowa:

Niema na całym przestworze ziem horwackich, „od Rasze do Bojane”, pacholęcia, coby swego „biskupa”, swego „vladiki” nie znało, mniejsza o wyznanie rodziców: łacińskie czy greckie. Z drugiej strony nie znajdzie się też, wśród ludzi wykształconych całego świata, ani jeden taki, któryby od czasu ostatniego soboru w Rzymie mógł zapomnieć o tej wielkiej w świecie powag chrześcijańskich postaci.

Znamy też i my dobrze znamienitego pobratymca, nie-
skończenie żywiej nawet, niżby to się mu zdawać mogło.

Nie może więc tu nam chodzić właściwie o podanie ogólnych jakichś wiadomości o nim. Nie, wcale. Chcemy tylko przypomnieć go sobie, z okoliczności owej jego 25-iej rocznicy.

Faktów nam niebrak. Wreszcie pozwolimy sobie korzystać ze świeżych wskazówek, jakich nam raczył uprzejmie udzielić obecny sekretarz znakomitego jubilata, ziomek nasz, ks. J. Dr.; odwołamy się też czasem do znanego ustępu p. Leger’a, pod tytułem „Un évêque slave”, w jego „Le monde slave”. Lecz na żywe świadectwo prawdzie, w krainach ducha, przywołamy tu przede wszystkim nasze serdecznie głębokie, niczem nie zgładzone, osobiste wspomnienie.

Otóż Józef Jerzy (Josip Juraj) Strossmayer urodził się w Osieku (Essek), stolicy Sławonii, nad Drawą, dnia 4 lutego 1815 r. Ojciec jego, człek ludu i wcale niezamożny, pomimo swego z obca brzmiącego nazwiska, był szczerym Horwatem.

Młody Josip Juraj odbył kurs nauk gimnazyalnych w mieście swem rodzinnem; otrzymawszy zaś chlubne świadectwo dojrzałości, udał się następnie do seminaryum dyecezyalnego w Dyakowie (Dyakowar). Wcześniej też bardzo począł się odznaczać swemi niepospolitemi zdolnościami. Wysłany potem do akademii duchownej w Peszcie, dostąpił tam stopnia doktora filozofii. W r. 1838 został wyświęcony na kapłana, a po ukończeniu studiów swych teologicznych w Augustaneum, akademii duchownej w Wiedniu, uzyskał stopień doktora teologii. Miał wtedy lat 23.

Po tak chlubnie ukończonych naukach młody ks. Strossmayer został mianowany profesorem seminaryum w Dyakowie, na którym to stanowisku zostawał aż do r. 1847.

Były to czasy najżywszej pracy duchowej w łonie południowej Słowiańszczyzny. Pod wywieszoną przez Gaja chorągwią pan-illiryzmu, chorągwią, wzywającą wszystkie ludy serbo-horwackie do ściślejszego zespolenia, rozpoczęła się w Kroacyi zawzięta walka o narodowość z Madyarami.

Jak się w obliczu tej pracy wewnętrznej narodowego odrodzenia, a zarazem wobec walki, rozpoczętej z Madyarami, stawiał nasz przewodnik młodzieży seminaryjnej — zrozumieć nietrudno.

Syn ludu, nie związany żadną tradycją rodową ze szlachectwem Węgier a głęboko, rzewnie miłujący lud i naród własny, młody przytem i pełen niezwalzonego zapału do wszystkiego, co wzniosłe i prawe, ks. Józef Jerzy był zarówno jednym z najdzielniejszych pracowników w zakresie duchowego wzniesienia narodu, jak i śmiałym bojownikiem w rozprawach z ówczesnym najstraszniejszym dla Horwatów wrogiem. W Sławonii, równie jak w Zagrzebiu,

zwierały się wtedy stronnictwa zapamiętałe. Na posiedzeniach też obradnych „żupy osieckiej” stronnicy centralizacyi węgierskiej nie spotykali dzielniejszego przeciwnika nad profesora Strossmayera.

Nie odwróciło gorliwego patryoty od czynnej pracy w zakresie zadań narodowych i następne, 2-go sierpnia 1847 r., powołanie go do Wiednia na dyrektora Augustaneum oraz kapelana dworu cesarza Ferdynanda.

Młody kapelan cesarski umiał korzystać ze swego wysokiego położenia jako narodowiec. Zostawał też ciągle w żywych stosunkach z Jellaczyczem i horwackimi patryotami, znosząc się przytem z przedstawicielami innych narodowości słowiańskich, poddanych chwiejącego się w posadach swych państwa Habsburgów.

Z tego też czasu datują się głównie i znane jego zakarpackie przyjaźnie, jak dla ś. p. księcia Jerzego Lubomirskiego z Przeworska i inne.

Wybuchło nakoniec powstanie węgierskie. Polityczne zasady ks. Strossmayera były stanowcze: w interesie własnego narodu, w interesie ogólnie słowiańskim uznawał on nieodzowność utrzymania Austrii przeciw Madyarom.

Zasady te, szczerze przezeń wyznawane, utorowały mu też jednocześnie i drogę do osobistego wyniesienia się, niezwykłego w tak młodym wieku. Oto zaważowała katedra dyakowska przez usunięcie się biskupa onej, Kukowicza. Młody cesarz Franciszek Józef nie widział odpowiedniejszego na owe czasy człowieka na to ważne stanowisko nad kapelana swego dworu — i, chociaż ten miał dopiero lat 34, mianował go d. 18 listopada 1849 r. pasterzem wakującej diecezyi; po roku zaś niespełna, d. 8 września 1850, ks. Józef Jerzy został przez nuncjusza apostolskiego, m-ra Viale Prela, poświęcony w Wiedniu na biskupa Bośni, Dyakowa i Sremu, czyli w języku urzędowym rzymskim jako *episcopus bosnensis, diacovenssis et syrmiensis*.

Nowe to stanowisko rozwarło dla wrodzonej energii

i wysokiego polotu ducha ks. Strossmayera niezmiernie szerokie pole samoistnego działania. Wprawdzie, po uśmierzeniu powstania węgierskiego, zaciążyła nad Austryą niemiecka represya, nie robiąca różnicy między dotychczasowym przyjacielem a wrogiem Habsburgów; lecz zostawał zato nowemu biskupowi rozległy przestwór dla pracy cichej, organicznej, mającej za cel społeczne tymczasem podniesienie zasobów wysiłonego a tak srodze zawiedzionego przez Wiedeń narodu.

Oprócz tego nowe dostojenstwo, wkładając nań obowiązek pasterstwa katolickiej ludności Bośni i Serbii, rozciągnęło jego dobroczynną działalność i do tych krain, Horwatom tak blisko pobratymczych.

Widzimy więc odtąd wszędy niezmordowaną czynność biskupa.

Rozległe jego plany wymagały bardzo znacznych środków materyalnych. Dyecezya wprawdzie należała do najobszerniejszych i najbogatszych w Europie, ale administracya onej ekonomiczna doszła za jego poprzednika do najgorszego stanu; pierwszym więc zadaniem nowego pasterza było należyte uporządkowanie gospodarcze jego dóbr biskupich, i trzeba przyznać, że energia młodego księcia kościoła dokazała tu cudów. Po krótkim też przeciągu czasu był on w stanie pomyśleć o dokonaniu własnymi, osobistymi przeważnie środkami takich rzeczy, jakie gdzieindziej bywają dziełem panujących lub kraju całego.

Pewien swych środków materyalnych, ks. Strossmayer oddał się odtąd z tem większą swobodą pracy nad podniesieniem oświaty przedewszystkiem swego narodu, otwierając dlań szkoły, zawiązując towarzystwa naukowe, wydając niezbędne i poważne książki i dzieła. Dążenia wsteczne, które po r. 1850 najbezkarniej się nad Słowianami Austryi rozrosły, nie zdołały powstrzymać polotu jego szlachetnej i rozumnej gorliwości.

Rodzinną ks. Józefa Jerzego Sławonia była dotąd pod

względem narodowo-cywilizacyjnym wielce zaniedbana. Sta-
rał się on więc ruch umysłowy, żywo ześrodkowujący się
przedtem wyłącznie w Zagrzebiu, obudzić i tutaj.

Zdawałoby się, jakby każda chwila życia tego czło-
wieka zostawiała poza sobą jakiś fakt doniosłości powszech-
nej, jakiś ślad jego energii twórczej.

W swoim skromnym Dyakowie zakłada seminaryum,
szkołę dla chłopców, dla dziewcząt i t. d., szerzy podobne
i po całej swej dyecezyi, tak, że przed paru laty część onej
„cywilna” (bez Granicy wojennej) w 38 swych parafiach
posiadała 71 szkółek dla obojga płci, gdzie na 8,387 dzieci
wogóle uczyło się 7,918. Pasterz duchowny nieszczęsnej Bo-
śnii, nie posiadającej dotąd narodowo wykształconego du-
chowieństwa, zakłada on seminaryum dla 30 Bośniaków
w Dyakowie. Wspiera nawet młodych Bułgarów, unitów,
kształcących się w Zagrzebiu. Jako biskup syrmijski, daleki
następca św. Hieronima, pierwszego „oświeciciela” Słowian,
przywołuje do życia zaniedbaną starożytną kapitułę słowiań-
ską, przy kościele San Girolamo degli Schiavoni, w Rzy-
mie. Ułatwia uczonemu kanonikowi Raczkemu jego po-
dróżę w celu studyów historycznych po Włoszech. Popiera
swym kosztem wszelkie wydawnictwa naukowe południowo-
słowiańskie, bez różnicy. Pomaga do wydań zbiorów zna-
komitego Karadżicza i t. d. i t. d.

Jednem słowem, trzymając się z męską stałością de-
wizy swej, przyjętej razem z pierścieniem pasterskim:

„sve za vjeru i domovinu!”—

występuje wszędy jako uznany powszechnie „prvi sin na-
roda”.

Zbliżył się tymczasem rok 1859, fatalnie szczęśliwy
dla Austrii. Wszelkie centralistyczno-germanizacyjne fan-
tazmata kamaryli wiedeńskiej rozwiały się w niwecz na po-
bojowiskach Włoch północnych. Trzeba było radzić o oży-
wieniu nową jaką duchową spójnią rozprzegającego się
Habsburgów państwa.

Cesarz Franciszek Józef zwołał tedy do Wiednia radę, złożoną z osób najzaufanych a posiadających powagę u swych ziomków, której zadaniem było wskazanie dalszego *modus vivendi* dla Austrii. Oczywiście powołany do niej został i biskup Dyakowaru, wybraniec swego ludu a zarazem doświadczony przyjaciel rakuskiej dynastii. W poważnej tej radzie państwa ks. biskup Strossmayer wystąpił z całą swą znaną stanowczością jako zdecydowany federalista. Domagał się on przyznania historycznych i politycznych praw *wszystkim* narodowościom Austrii, w tem tylko upatrując trwale ubezpieczenie jej spokoju i pomyślności. Wobec Węgrów zaś stawał żywo w obronie samoistności trójjedynego królestwa Kroacyi, Sławonii i Dalmacyi. Słowa jego miały moc niezwalczoną. Zajaśniała żywsza nadzieja, a przewielebny ks. Józef Jerzy został odtąd i głównym przewodzcą politycznym narodu.

W ziemcach horwackich zakipiało wszystko nowem życiem: ciężka zmora 10-letnia, poczynająca się od chwili, gdy uwielbianego bana Jellaczycza

„prevarili Szwabe”,

nie przebierając w środkach, „oszwabili” Niemcy, zdawała się ustępować na wieki; serca rwały się ku czemuś jaśniejszemu. Pamiętam też i ja tę chwilę żywo, bardzo żywo do-
tąd. Potrzeba bliższego oznajomienia się z istotą życia pobratymców zaprowadziła mnie z kolei i między bitnych Horwatów. W początku 1860 r. znalazłem się tedy w Sławonii. Przez Osiek stołeczny zawitałem też do Dyakowa i oczywiście zostałem dłuższym gościem biskupa. Uprzejmość serdeczna ks. Strossmayera, pełna wspaniałej prostoty, była zbyt ujmująca, by się jej unieść nie dać. Jako Horwat prawy, zna on wreszcie dobrze swych pobratymców z za gór chrobackich, zna ich piśmiennictwo, mówi swobodnie ich językiem, a kocha też ich niemało. Było się tu niby w blizkim rodzinnym domu i patrzyło się na wszystko ze swobodą człowieka blizkiego.

D. 19 marca, w dniu Oblubieńca N. P. M., obchodził przewielebny ks. Józef Jerzy swoje imieniny. Zjechali na nie wszyscy wybitniejsi ludzie kraju, i uroczystość stała się powszechnie narodową. Na stole biesiadnym zawitało owo wino przesławne z piwnic biskupstwa syrmijskiego, nad jakie już chyba pod słońcem świetniejszego niema. W rozległej sali ubocznej zabrzmiały chóry narodowe młodzieży seminaryjnej; na rozkaz pasterza dało się słyszeć parę pieśni horwackich, tonem swym i treścią wspomnieniom dalekiego gościa bliższych. Potem liczne „živio” i „živili”. I jam to czuł dobrze, o ile solenizant jest duszą swego narodu.

Wspominając te chwile z przed lat 15-tu, nie mogę się tu powstrzymać od wypowiedzenia mej osobistej też dla ks. Strossmayera wdzięczności głębokiej za poważne wskazówki, które mi się tyle przydały następnie w czasie mych wędrówek po Słowiańszczyźnie południowej. W tym samym roku, w listopadzie, na konferencji „bańskiej”, miał on możliwość najświetniejszego usprawiedliwienia położonych w nim przez własny naród nadziei. On bowiem był duszą ożywczą tego zgromadzenia. Upomniano się tu o przywrócenie trójjedynemu Horwatów królestwu Dalmacyi i Granicy wojennej; położono pierwsze podwaliny przyszłej akademii dla Słowian południowych. Biskup ofiarował z góry na nią kilkadziesiąt tysięcy florenów.

Jeszcze wybitniej wystąpił on na sejmie horwackim 1861 r., na którym próbowano ściślej oznaczyć stosunek Kroacyi do Węgier. Ale ks. Strossmayer zanadto szczerze, zanadto dzielnie bronił interesów swego narodu, by mógł być mile widziany w Peszcie, a nawet Wiedniu.

Tem niemniej ani na chwilę nie zatrzymał się on na raz zakreślonej drodze. Mimo liczne przeszkody, doprowadził przecie do skutku urzeczywistnienie najdroższego z marzeń swego życia. Założenie akademii słowiańskiej w Zagrzebiu było postanowione: suma 400,000 flor., zebrana

w kraju, suma, której więcej niż jedną czwartą złożył sam biskup, stanowiła kapitał jej zakładowy. W r. 1861 statuta akademii zostały zatwierdzone przez sejm.

Ale cóż... trzeba było aż sześć lat czekać, zanim rząd austriacki upoważnił 36 osób do zgromadzania się w celu ogłaszania prac swych uczonych. Po Solferino trzeba było jeszcze czekać Sadowy.

Tymczasem biskup Strossmayer nie przestawał występować i dalej na polu politycznem. Odgrywał bardzo ważną rolę na sejmie 1865 r., a w r. 1866 należał do komisji, wysłanej do Pesztu dla porozumienia się co do podstaw dalszego stosunku obydwu narodów, Węgrów i Horwatów. Lecz w 1867 r., gdy Węgrzy poszli górą, niezwalczony biskup, na żądanie cesarskie, musiał wyjechać na czas pewien za granicę. Nie zyskali atoli Madjarowie nic na tem; zgoda nie dała się przeprowadzić po ich myśli odrazu; dwa z rzędu sejmy horwackie musiały być rozwiązane, a delegatów horwackich na koronacyi w Peszcie nie było. Dopiero sejm trzeci ustąpił przemocy knowań. Ks. Strossmayer nie był oczywiście jego uczestnikiem.

Zwyciężony na teraz w swej polityce, oddał się on od tąd wyłącznie dźwiganiu posad cywilizacyjnych, zapewniających jego narodowi niespożytą moc na przyszłość. Najbardziej leżały mu na sercu naukowe zakłady, akademie umiejętności, uniwersytet i t. d. Lecz walka z wrogimi siłami nie była łatwa.

Jednym tedy z najpiękniejszych dni jego życia musiał być dzień otwarcia w Zagrzebiu narodowej akademii, 2 września 1867 r. Był to też zarazem dzień wielkiej słowiańskiej uroczystości, i mniejsza, że mizerna zła wiara madyarska wzbroniła wszelkiego ostentacyjnego w mieście obchodu. Prezydentem tej akademii został znany uczonemu światu ks. kanonik Franciszek Raczki, przewielebnego zaś ks. biskupa, jako fundatora, zrobiono dożywotnim jej protektorem.

Miał on przy otwarciu tej akademii umiejętności świe-tną mowę inauguracyjną, z której niech nam wolno będzie przytoczyć tu jeden ustęp, jako głęboko charakteryzujący tego niepospolitego człowieka.

„Niedawno, w czasie mego pobytu w Paryżu — mówił ks. Strossmayer — czytałem w dzienniku „l’Univers”, jakobym trwonił dobra kościoła na rzeczy świeckie. Łatwo zgadnąć, z jakiego źródła pochodzą te zarzuty i że zwrócone są przeciw naszemu uniwersytetowi. Dzięki Bogu, że nie jestem sam jeden w tem winien; mam za współwinowajców całe nasze duchowieństwo, od pierwszego do ostatniego. Duchowieństwo to wie, że wszystko, co się robi dla wiary, przynosi pożytek nauce, że wszystko, co się robi dla nauki, idzie na dobro wiary. Niechże cały naród wie również, że w przyszłości nie damy się cofnąć żadnem obwinieniem, żadną obelgą z drogi, jaką sobie zakresliliśmy. Zaprawdę, spełniać będziemy sumiennie nasze obowiązki duchowne; ale zarówno popierać będziemy całemi siłami wszelkie interesa, dotyczące rozwoju materialnego i moralnego naszego narodu, dotyczące jego bytu i jego przyszłości”.

Sobór powszechny w Rzymie r. 1869 i 70 dał poznać biskupa dyakowskiego całemu już światu. Któż nie słyszał o jego niezłomnym spokoju w obronie wielkich zasad chrześcijańskiego kościoła? Któż nie słyszał o jego, podziw uwielbienia wzbudzającej, łacińskiej wymowie? Był on niepokonanym przeciwnikiem „nieomyślności”, i, mimo pogroźki „*damnamus*”, nie odważono się sięgnąć ręką na jednego z najmędrszych na tym soborze doktorów kościoła. I dziś umieją go tam uczcić milczeniem.

Nakoniec doczekał się ks. Strossmayer urzeczywistnienia i drugiego ze swych wielkich marzeń. Nie napróżno walczył on lat tyle, niezmordowane robiąc zabiegi w Zagrzebiu, Peszcie, Wiedniu. Trudy jego zostały uwieńczone. W r. 1874 pozwolono wreszcie otworzyć południowo-słowiański uniwersytet w Zagrzebiu. Była to znowu wielka

uroczystość narodowa, tryumf wspaniałej myśli i wytrwałej dzielności biskupa. Nowopowstający uniwersytet, imienia Franciszka-Józefa, powitały delegacje wszystkich poważniejszych wszechnic, w liczbie których i pobratymcza jagiellońska była równie reprezentowana. Wszystko, co tchnęło żywym duchem, oddało cześć fundatorowi, który nie szczędził, w obliczu wielkiego celu, ani pracy swej, ani kosztów.

Ale nie koniec na tem — powiada ks. J. Dr. — jego hojnym darom dla kraju i narodu. Oto ks. Strossmayer darował nadto akademii umiejętności w Zagrzebiu piękną swą galerję obrazów, przez 15 lat zbieraną, a która do dziś przeszło pół miliona florenów ma wartości. Obecnie zbogacił on ją nabyciem obrazu Matejki: „Zamordowanie króla Przemysława przez Brandeburczyków”. Ponieważ zaś akademia umiejętności nie posiada odpowiedniego lokalu, w którymby mogła być pomieszczona owa galerya, więc i o tem dostojny ks. biskup pomyślał. Darował akademii 40 tysięcy florenów na wzniesienie odpowiedniego gmachu; miasto Zagrzeb wyznaczyło odpowiedni plac i ogłosiło podpisy na dobrowolne datki.

Nadto od lat 8-miu buduje ks. Strossmayer, swemi funduszami, wspaniałą w stylu romańskim katedrę w stolicy swej biskupiej. Robotom architektonicznym, jak nam ks. J. Dr. podaje, przewodniczyć ma znakomity budowniczy wiedeński Schmidt; rzeźby wykonywa zdolny artysta horwacki Donegani; freski zaś, podług kartonów Overbecka, uskuteczniają znani artyści rzymscy, pp. Zeitz, ojciec, uczeń Korneliusa, i syn, oraz Voltolini, Dalmatyniec, pierwszy wiedeński dekorator.

Pomaga tu skrzętnie ks. kanonik Vorszak, bawiący od lat 10-ciu w Rzymie, głównie dla nabywania obrazów do galeryi biskupiej i oceny artystycznej zdobywanych skarbów.

Ale nie skończylibyśmy, gdybyśmy chcieli dotykać wszystkich stron działalności tego niezmordowanej energii wielkiego pracownika.

Niema prawie towarzystwa naukowego w świecie staro-słowiańskim, którego by on nie wspierał. Towarzystwa w Zadrzu, Lublanie, Belgradzie, Pradze liczą go między swymi dobrodziejami. Wszędy go widzimy gotowym sypać hojną dłonią, gdzie chodzi o sprawę narodowości, człowieczeństwa i cywilizacji.

Oczywiście tak niepospolity, tak wielki człowiek ma też i wrogów strasznych, nieprześląganych; lecz możemy pominąć ich milczeniem, jak ich wyniośle pomija sam ks. Strossmayer: są to wrogi krwi słowiańskiej i prawdziwego postępu.

Wobec żywego życia, wobec przyszłości stać on będzie zawsze jasno, ze swą przewodnią ducha dewizą:

„sve za vjeru i domovinu!”

Takiego to człowieka, ze krwi i kości swej, „sławili” Horwaci dnia 8 września r. b.

Niechże i nam wolno będzie przy tej okoliczności przesłać, choć zdaleka, wysokiemu jubilatowi, „preuzviszenomu sveczaru”, nasze serdeczne pobratymcze „živio!”

DUBROWNIK *).

(RAGUZA.)

Południowa Słowiańszczyzna coraz żywiej zwraca na siebie powszechną uwagę Europy. Niema chwili prawie, w którejby się ona nie przypominała czemkolwiek spragnionemu pokoji Zachodowi. Występuje coraz nowy jej zakąt, coraz to nowy jej lud z głośnem wołaniem o prawa do szerszego życia.

Niedawno Horwaci rozprawiali się dzielnie z niewczesną zapędliwością Madyarów; a na drugim krańcu cierpliwi Bułgarowie usiłowali wydostać się ze szpon hierarchicznie nad nimi ciężącej przemocy greckiej. Tu znowu Czarnogórcy podnoszą chętnie wrzawę na Turków, przy łada bazarowej bijatyce, skoro wrzawa ta efekt zapewnia. W Belgradzie „Omladina”, w waśniach sejmowych, chce za sobą porwać rząd chwiejny ku zadaniom, grożącym pokojowi powszechnemu i t. d.

Dziś z kolei występuje Dalmacya. Podróż obecna cesarza Franciszka-Józefa zwraca ku jej wybrzeżom zaciekawienie.

Niezawodnie dowie się tu Zachód wielu nieznanych sobie rzeczy; przekona się, że siła prądu, unoszącego południowych Słowian ku żywшему zespoleniu, już nie jest do zwalczenia.

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 107, 112 i 121—Dod.

Wobec tego prądu Dalmacya właśnie nie jest dotąd należycie oceniana: nie widzi się w niej ani tej siły moralnej, która tam spoczywa, ani tych potężnych czynników politycznych, jakie kraina ta w grę wprowadzić może, gdy przyjdzie decydować o wspólnej nadal doli pobratymców. Zwykle patrzy się na nią przez pryzmat wyłącznie szkolno-rutyniczny. Zdawa wygląda pobrzeże dalmackie niby luźny tylko anneks Austrii, bez wielkiego znaczenia w tylolicznej rzeszy składowych jej części, bez wybitnego życia w swem własnem wnętrzu. Dziś osobiście przedstawia się ona jako dzielnica tak obca organizmowi nowowytworzonego dualizmu państwa Habsburgów, że się dotąd nie da nawet integralnie wcielić ani do Przed-, ani do Za-Litawii...

A wszakże to kraina nadzwyczajnego z innej strony znaczenia.

W świecie południowego Słowiaństwa Dalmacya właśnie jest tym łącznikiem, który je zarazem ściślej ze sobą spaja i jednoczy żywiej z zachodnią Europą. Dziś w obcym ręku, jest ona wprawdzie baryerą, tamującą rozrost normalny życia południowych ludów słowiańskich. Ale niebawem może, gdy wzbierające wody zastawę zerwą, stanie się ona owym szeroce rozwartym otworem, przez który podniecone życie pobratymców wylewać się będzie swobodnie ku spotkaniu się z powszechnym pochodem rozwoju cywilizacyjnego ludów.

Niezależnie od swego geograficznego położenia, posiada Dalmacya siłę moralną zostania poniekąd takim łącznikiem; ma za sobą historyczną tradycję i pewne żywe, nieprzedawnione prawa ku temu.

Już ona sama w sobie jest dwulicową pod każdym względem, zwróconą jednocześnie w dwie przeciwne strony. Wobec dwóch głównych odłamów illirskiej Słowiańszczyzny, Horwatów i Serbów, nie stanowi ona wyłącznej dziedziny, dziejowo, etnicznie, kulturalnie — ani jednych ani drugich; lecz jest serbską i horwacką zarazem. Gdy górna jej połowa

była jednym z pierwszych gniazd Horwatów, dolna, razem z Hercegowiną, ściślej jest wpleciona w życie serbskie. Stały tu wobec siebie obydwa obrządki, grecko-słowiański i łaciński, obydwa pisma, cyrylskie i rzymskie, i obiedwie kultury, wschodnia i zachodnia, bez pojednania. Poryw ku pojednaniu zastygł wnet w trzecią odrębną postać: w kulcie, wytwarzając katolicyzm słowiańskiego obrządku, w piśmie zaś utrzymując przy życiu i głągolicę i bukwicę. Spotykały się tu dwie cywilizacye, spuścizna po ojcach, samorodnego, pod lekkim wpływem byzantynizmu, słowiańskiego obyczaju z jednej strony — a z drugiej kultura Zachodu, w postaci wielowładnej średniowiecznej łaciny i bujnie wykwitającej włoszczyzny. Tak jedno i drugie usiłowała już objąć literatura dubrownicka w swym śmiałym polocie. Podobna dwistość i w życiu narodowo-społecznem: obok arystokracji i miast, przesiąkniętych na wskroś romańską kulturą i nieraz włoskich prawie, lud wiejski pierwotnej, patryarchalnie surowej, słowiańskiej prostoty i zaciętego przywiązania do obyczaju ojców.

Co do historycznej tradycyi, pamięta też Dalmacya, że przodowała niegdyś w oświacie południowej, bliższej Słowiańszczyźnie i oświatę ową, przez długie czasy, jedynie sama wśród niej reprezentowała; pamięta, że mocą tej oświaty łączyła ją moralnie z resztą Słowiańszczyzny i z Europą zachodnią; pamięta o swej potędze morskiej i morskiej sławie, i dziś gotowa współczynnie wystąpić, w pracy powszechnej, ku zdobyciu naturalnych warunków samoistnego bytu.

Na każdym przeto punkcie widać tu potężniejące narodowe życie, wśród nowych wysiłen i odwoływań się do świetniejszej przeszłości. Lecz najistotniejsze ognisko tego życia, najwybitniejszy onego wyraz dziejowy przedstawia Ragusa — słowiański Dubrownik.

Poznałem raz pierwszy Dubrownik zimą 1870 roku. Poznałem go zupełnie przypadkowo. W początku roku wybrałem się w podróż na daleki Wschód—12 lutego siadłem w Tryeście na parowiec lloydu austriackiego „Stadium”, idący do wyspy Syry, pośredniej morskiej stacyi na archipelagu. Mieliśmy po drodze zawinąć tylko do Korfu, na morzu Jońskim—i ruszać dalej. Tymczasem „sirocco” pomieszał zupełnie szyki naszemu dzielnemu kapitanowi. Sr. Marinicz, Tryestyniec, nie dawszy się pokonać burzy przez cały dzień następny, został przecie zmuszony ostatecznie zboczyć ku Gravosie—i tu, pod wieczór 14 lutego, wypocząć. Ale nie naszego to „signor capitano” było czem odstraszyć. W nocy, mimo znów wszczynającą się burzę, ruszyliśmy w drogę. Jakież było nasze zdumienie, gdy nad rankiem, po całonocnej ciężkiej przeprawie, ocuciliśmy się znów w ciichym porcie, z któregośmy wczoraj wypłynęli...

„Maledetto tempo!” — wołał zwyciężony kapitan.

„Przekłęta strona!” — powtarzali, zmęczeni walką do upadłego, dalmatyńscy majtkowie.

Postanowiono więc cały już dzień 15-ty lutego przepełdzić tu w zacisznem ustroniu Gravosy.

Ucieszyło mnie to niezmiernie.

Gravosa, Gruz po słowiańsku, jest to właściwie port ragusański, parę wiorst tylko od miasta odległy. A więc, mając dzień cały do rozporządzenia, coś naturalniejszego, jak zwiedzić ów słynny Dubrownik, tyle dla nas sympatyczny!

Ma też dla nas Ragusa już zdala pewien nieokreślony urok. Na przeciwległym krańcu Słowiańszczyzny my przeczuwamy tam coś bardzo blizkiego sobie, coś bardzo pokrewnego moralnie, mimo różnicę rzeczywistą rodzaju życia, skali i otoczenia. Tenże sam tu wybijały rozkwit zachodniego społecznienia i obywatelskości na pniu słowiańskim. Stąd głęboki zmysł rozumienia się wzajem—wspólność nie-raz ideałów i wspólność czci. Ciż sami bohaterowie z pod

Chocima i z pod Wiednia stanowią przedmiot poematów i dubrownickiej literatury; podobneż temata społeczne zapełniają jej treść...

Na parostatku miałem też z kim i o starej sławie Dubrownika pomówić. Jechał z nami razem z Tryestu Dubrowniczanie Sava, kupiec oddawna osiadły w Stambule. Żywo go obchodziło wszystko, dotyczące jego rodzinnego miasta, i rad był serdecznie, że je po drodze jeszcze odwiedzi.

Poczęło się rozjaśniać, słońce błysnęło, ociepiło powietrze, i powitał nas śliczny dzionek, wiosenny prawie.

— A więc ruszajmy do Raguzy — całem kołem — pieśzo najlepiej! —

I całe prawie nasze grono podróżnych, różnorodne, jak rzadko się zdarza, postanowiło nam towarzyszyć.

Szliśmy tedy wzgórzem nadmorskiem gwarnie i wesoło, mając na prawo śliczny widok „sinego” Adryatyku, a po drodze, od czasu do czasu, sady drzew oliwnych nieśmiało zieleniejących, lecz uśmiechnięte zato rozkosznie obfitem blado-różowym kwieciami migdałów. Nie postrzeegliśmy, jakeśmy już stanęli u bramy miasta. Wszystko po drodze nas zajmowało, i wszystko tu oddychało świeżością wiosenną.

Lecz po przejściu bramy wkrótce spotkaliśmy się z żołnierskim pogrzebowym konduktem; kompania piechoty odprowadzała na cmentarz kilku kolegów zarazem.

— Co to znaczy?

— A to są widać — powiada mi Sava — ofiary nowych ideałów przedlitawskich...

— Nie rozumiem.

— Rzecz zaś bardzo prosta: po utracie Węgier uwzięto się w Wiedniu zato doprowadzić inne krainy domu Habsburgów do jednego mianownika, a tem ściślej, im one same w sobie słabsze. Przyszła kolej na „Przymorze” katorskie: chcieli Niemcy uszczęśliwić i „Bokkeżów” powszechną asymilacją.

Istotnie dzienniki ówczesne pełne były smutnych wiadomości z Przemyśla, mocno kompromitujących moralnie tam znaczenie władz wiedeńskich. I nam było smutno teraz patrzeć na białe umundurowanych nowo-branćów austriackich. Dzieciuchów tych, powiadano nam, prowadzą w góry przeciw Bokkeżom i ochotnikom czarnogórskim, na ręczny bój, i chcą, żeby oni wytrawnych „junaków” zwyciężali w dzikich ostępach.

Ujmująco miłe wrażenie robi Dubrownik. Zewnętrzny charakter miasta zupełnie włoski. Niby się tu coś już dawniej dobrze znajomego spotyka; wszędzie ten sam kamień i znane formy architektoniczne pięknej Italii.

Raguza właściwie zwiera się cała w niewielkiej wąskiej kotlinie, pomiędzy dwoma grzbietami skał. Było to widocznie, przed wieki, łożysko zatoki morskiej, której dno dziś właśnie środek miasta stanowi. Jedna też długa, szeroka ulica „Stradone”, idąca środkiem tej kotliny — oto i miasto istotne, gdy się doda jeszcze dość rozległy plac, przecinający w poprzek ujście czy zakończenie tej ulicy. Równolegle do Stradone idzie tylko parę wązkich ulic, mocno bardzo ściśniętych dla braku miejsca; dla zdobycia sobie zaś przestworu, inne ulice prostopadle wdzierają się z obu stron ku otaczającym skałom. Całe miasto okolone silnemi, z czasów starożytnych, murami, wieńczącemi wzgórza i wiążącemi je z sobą przez pośrednie wąwozy. Poza murami miasta rozrzucone sady, przeważnie oliwne, a wśród nich, po większej części, zwaliska już tylko świetnych dawniej willi dubrownickiej arystokracji.

Wszystkie budowle wzniesione są z kamienia, mocno i kształtnie. Ulice równie wykładane są ciosanym kamieniem w kostki, jak w innych większych miastach Dalmacyi (Splecie, Szybeniku), co sprawia, iż place te i ulice jak parkiety salonów wyglądają. Gmachy publiczne dawnej rzezypospolitej dubrownickiej, które ją przetrwały, otaczają plac główny. Ocalały z gmachów ważniejszych: pałac rek-

torski (palazzo rettorale), główna komora celna w stylu florenckim — słynna „dogana maggiore”, a nadto dwie wspa-
niałe świątynie: kościoły dominikański i franciszkański z kla-
sztorami.

Niewiele czasu potrzeba, by zapoznać się z miastem, tak wszystko skupione. A błądzi się tu po turystowsku z nieopisaną przyjemnością. Wszystko bowiem oddycha jakąś ciszą, niezamąconym spokojem, powabem jakimś łagodnym. A jeśli i tu nie jest się bez marzeń — będzie to uczucie żalu smętnego, nigdy zaś jaki namiętniejszy poryw zgrozy lub obrazy... Na każdym kroku ślady silnego wpływu włoskiego, tak w pamiątkach z przeszłości, jak i w żywym dziś życiu. Ale nic tu nie razi, niczem nie obraża, nic się przeciw temu niema. Tu dopiero poznaje się ową tajemnicę obcego wpływu, który moralnie wszelką niechęć rozbraja, ową zagadkę tej łagodności Słowian względem wpływu Włochów jedynie. Cudze to — ależ takie blizkie duszy naszej, sympatyczne i piękne. Co począć?!

— Ej, Savo, gospodarzu — powiadam, zwracając się do mego towarzysza Dubrowniczana, gdyśmy już pod wieczór podążali do statku — sve je već u vashemu Dubrovniku tajlansko!

— Istina Bog — potwierdza mi Sava, dodając: — nije nisztu, sve basz dobrom volom jesme primili...

Istotnie, co tu wyrzekać, gdy tu się wszystko z dobrej woli przyjęło; a nadto muszę dodać, że „signor” Sava był greckiego, nie rzymsko-katolickiego wyznania.

We dwa lata później, 1872 r. latem, zawiąłem po raz drugi do Grużu; ale teraz już umyślnie po to, aby bliżej poznać Dubrownik, nim się dosiędzie konia ku rozdrożom Hercegowiny.

Raguza przedstawiła mi się tym razem osłoniętą dawnym cichym urokiem. Lecz obecnie nie szukałem już wrażeń, a pytałem o rzeczywistą treść życia z przeszłości,

pytałem o fakta nowszych badaczów. I temi właśnie chcę się tu z czytelnikiem podzielić.

Początek Raguzy sięga jeszcze czasów rzymskich. Skalisty nadmorski wąwóz, zajęty przez dzisiejsze miasto, wczesnie stał się miejscem schronienia i przytułku dla ludności sąsiedniej w czasie groźnych napadów barbarzyńców. Już w połowie III-go wieku po Chr., szukający bezpieczeństwa od strasznych napastników, mieszkańcy pobliskiego Epidauru zajęli południową skałę od strony morza. W ciągu czterech następnych wieków przypadkowa osada ta powoli wzmaczała się pod wpływem nieustającej potrzeby chronienia się od barbarzyńców. A w VII-m wieku widzimy tu już, po zburzeniu Epidauru i świetnej Dyoklecjana Salony, porządne miasto, 4-ch stadyi obwodu. Nosi ono grecką nazwę Lausa — niby od górskiej przepaści, która to nazwa z biegiem czasu przetwarza się na Rausa, Rahusa, Ragusa.

Wychodźcy potężnych i wysoko stojących miast Epidauru i Salony oczywiście przynieśli z sobą na nową siedzibę i swą rzymską cywilizację, municypalny ustrój społeczny i początki chrześcijaństwa. Miasto widocznie szybko wzrastało: w połowie VIII w. istnieje tu już katedra arcybiskupia.

Lecz i Słowianie wczesnie poczynają się tu osiedlać, nadając miastu nazwę swą Dubrownika. Już w wieku VII-ym są tu ich ślady. Wewnętrzne niesnaski w sąsiedniej Bośni wielu ich tu następnie sprowadza, a łatwo zdobywane obywatelskie równouprawnienie ściślej z nową siedzibą jednoczy.

Obok przyływu żywiołu słowiańskiego do miasta, Ragusa sama robi nadto nieustanne zdobycze na terytorium słowiańskim.

Najprzód otrzymuje od królów horwackich Dalmacyi najbliższe mury miasta osady i wyspy. W 1050 r. Żupę

(Breno), Gruż (Gravosa); a w 1080 drobne wyspy: Kołoczep (Calamota), Lopud (Mezo) i Szypan (Giupana). W 1151 nabyta wyspa Mlet (Meleda), a 1310 mieszkańcy wyspy Lastowa (Lugosta) dobrowolnie poddali się pod władzę Dubrownika. W 1333 r. kupiono od bana bosańskiego półwysp Poleszac (Sabioncello) i Ston (Stagun). W 1410 r. po innych, pomniejszych zdobyczach nabyto morskie posiadłości znaczniejsze, jak wyspy: Korczulę (Corzula), Hwar (Lesina) i Bracz (Brazza). Nakoniec w 1419 i 1429 kupują Dubrowniczanie przyległe im od południa wybrzeże Konawlje (Canale), ze zwaliskami starego Epidauru, właściwej metropolii Dubrownika, stąd „Ragusa vecchia” zwanego.

Pomnożone tak znakomicie posiadłości dubrownickie miały do 150 mil długości i do 15 szerokości.

Przeważająca tu ilość ludności była oczywiście słowiańska. Zaledwie w samem mieście i pobliskiej okolicy mieszkańcy byli wybitniej pochodzenia grecko-romańskiego.

Wszakże pierwiastek słowiański, mimo swą niezrównaną liczebną przewagę, musiał tu stanowczo i stale ulegać wpływowi potężniejszego od siebie pierwiastku cywilizacyjnego. Romanizm tedy nieustannie miał tu pierwszeństwo we wszystkim; mniejsza, iż z biegiem czasu Dubrownik się zupełnie zesłowianiał, tak, że przy końcu wieku XIV-go żywił słowiański był tu powszechnie już panujący. Język horwacko-serbski ludności nie był na tyle wyrobiony, aby mógł się mierzyć z wielowładną wtedy na Zachodzie łaciną lub wykwitającą z niej wspaniałe włoszczyzną nowoczesną.

Wprawdzie już w XIV w. próbowano wprowadzić język słowiański i do wyższej administracji; lecz w 1472 r. senat ostatecznie postanowił używanie urzędowe języka łacińskiego wyłącznie w zakresie swej władzy. Tryb zaś taki przetrwał aż do upadku rzeczypospolitej; a jeśli dozwalano na wyjątki, to tylko dla języka włoskiego. Wobec tego ję-

zyk krajowy i w nauce nie mógł sobie wyrobić żadnego stanowiska.

Usunięty w ten sposób z wyższej administracji i nauki, język słowiański trzymał się jednak w zarządzie prowincjonalnym i w kościele. Sądownictwo w ziemiach podwładnych odbywało się równie po horwacku, podług miejscowych zwyczajów. Mimo to wszakże, lubo tyle w sferach wysokiego urzędu i powagi naukowej krępowany, język ludu, jako powszechny język towarzystwa i rodzin, zdobył sobie wszechwładztwo w poezyi.

Co do prawodawstwa, Raguza, jako dziedziczka rzymskich municypiów Epidauru i Salony, oczywiście rządziła się też pierwotnie prawem rzymskiem. Lecz z biegiem czasu wnieśli tu i Słowianie swój żywioł prawny; skutkiem czego w dalszym rozwoju tak ogólnego ustawodawstwa rzeczypospolitej, jak i ziem jej podwładnych musiało się z konieczności uwydatnić współdziałanie obydwu zarazem pierwiastków: wpływu romańskiego na ustawy prowincjonalne, słowiańskiego zaś na prawodawstwo ogólne.

Spotykamy też istotnie w prawodawstwie dubrownickiem niemało zwyczajowych porządków słowiańskich. Widzimy tu: „sastanak” — stawienie się ocne przy śledztwie sądowem; „porotę” — sąd przysięgłych w pewnych razach; obok „duszników”, „rotników” — świadków przysięgłych, występują tu i „dobrzy ludzie”, posiadający zaufanie powszechne. Niema wszakże rękojemstwa ogólnego, lecz rzymska odpowiedzialność osobista. Zemstę zaś krwawą zastępują grzywny, dając stanowczą przewagę „włastelom” — możnowładzcom. Za występki przeciw władzy i kościołowi kara śmierci.

Stosunek między właścicielem ziemi a rolnikiem oparty na umowie dobrowolnej. Handel niewolnikami srodze przez senat (1416, 1466 r.) wzbroniony.

Ustrój państwowy rzeczypospolitej dubrownickiej był

żywym naśladownictwem wzoru, jaki podawała wielowładna ówczesna a tak bliska Wenecya. Statut roku 1272 właśnie pod jej wpływem powstał.

W Dubrowniku były trzy stany: *patritii* albo *nobiles*, *włastele*, szlachta; *cives* lub *populares* — mieszczenie, zjednoczeni w dwa bractwa; *artifices* lub *villani*, *districtuales* — lud, wieśniacy, nie posiadający ziemi, swobodni, lecz nie mający żadnego udziału w rządzie.

Każdy „włastel”, doszedłszy do pełnoletności (18 lat), wstępował do *Consilium Generale*, czyli Zgromadzenia Ogólnego, które wybierało urzędników raz do roku, „Rektora” rzeczypospolitej co miesiąc, zatwierdzało prawa i rozstrzygało sprawy kryminalne. Z liczby członków tej „Większej Rady” wybierano grono 20 ludzi, stanowiących Senat, czyli *Consilium Rogatorum*; ten stanowił o podatkach, назначał posłów z własteli, wypowiadał wojnę, zawierał pokój, pilnował ścisłego wykonywania praw i t. p. *Consilium Minus* — Rada Mniejsza, odpowiadająca weneckiemu *Consilium Decemviro*, składała się do 1667 r. z 11-tu a potem z 7-iu członków i stanowiła rodzaj zawiadowstwa spraw zagranicznych i duchownych.

Z grona Senatorów wybierano „Rektora”, który pierwotnie nosił nazwę *Prior*, potem *Comes*, a od 1308 r. *Rector*. Zwierzchni Rządca ten zwoływał i rozpuszczał Rady; przechowywał pieczęć rzeczypospolitej i klucze miasta; miał prawo do zewnętrznych oznak czci, lecz nie posiadał żadnej władzy, a na Radach, podobnie jak każdy inny Senator, miał tylko jeden głos. Wybierano Rektora najprzód na rok jeden, potem na pół roku, nakoniec na jeden miesiąc. Wykonywania praw wyłącznie pilnowali *Magni Reipublicae Provisores* (Proveditori), wybierani z Senatorów, z początku w liczbie 5-iu, a potem 3-ch.

Każda gałąź zarządu publicznego miała swych osobnych urzędników. Między innymi byli nawet *Praefecti noctis* —

6-iu własteli, od 30 do 50 lat, którzy mieli pieczę nad spokojnością miasta w nocy.

Ziemie podwładne były zarządzane podług praw miejscowych przez *Officia extra Urbem* — Komesów i Prefektów pojedynczych krain.

Wszelkie dążenie separatystyczne było na razie powściągane, niekiedy nawet dość surowo. Wogóle jednak powstania były rzadkie: przy rozumnej polityce rzeczypo-politej, spokojne i bezpieczne życie pod jej zwierzchnictwem, szeroki, rozległy rozwój handlu i marynarki, a skutkiem tego dobrobyt powszechny, przywiązywały podwładnych do rządu.

Pierwotnie, a nawet aż do XI w., terytoryum, jakie posiadał Dubrownik, było tak nieznaczne, że nie dawało dostatecznych środków utrzymania się dla wzrastającej tu niepomiernej ludności. Lecz pierwsi osadnicy Raguzy byli to wychodźcy wielkich handlowych miast Epidauru i Salony, obcy z rozległemi stosunkami komunikacyjnymi. Nic więc naturalniejszego, że prawie od chwili swego powstania miasto, to zwróciło całą działalność ku marynarce i handlowi, których upotężnienie stało się następnie jednym z najgłówniejszych zadań rzeczypospolitej.

Sąsiednie nadto kraje słowiańskie, bogate, obfite, i przeciwległe wybrzeża Włoch, posiadających kulturę wyższą, wabiły jeszcze niejako przedsiębiorców. Charakter tedy ów pośredniczący życia rzeczypospolitej został z góry przez samą naturę rzeczy zakresłony.

Stosunki i znaczenie Dubrownika powoli się rozwijają. Oto w 831 roku już zawiera on traktat handlowy z Bośnią. W 866 wzywa cesarza Byzancyum (Bazylego Macedończyka) o pomoc przeciw zagrażającym Saracenom i potężnie przyczynia się do wypędzenia ich z Włoch.

Pod koniec wieku X-go występuje Dubrownik już

jako znaczna potęga handlowa i morska; ale obudza przez to zapamiętałą niechęć ku sobie Wenecyi. W 980 poddaje się on tedy pod opiekę byzantyńską. W r. 1000 otrzymuje prawo wolnego handlu w Bułgarii, a w 1078 na Węgrzech. Co więcej, w początku w. XII otrzymują Dubrowniczanie wyłączne prawo eksploatacyi kopalni srebra i złota w Bośni; a ban Grubisza pozwala im nawet wznieść w okolicy dzisiejszego Serajewa, dla bezpieczeństwa ich przemysłowców, obronną twierdzę, Dubrownik zwaną. Eksploatacyja ta zaś jest tak korzystna, że daje im 250%. Odtąd też powstają w Raguzie słynni złotnicy, z czasem tak liczni, że koło roku 1400 spotykamy ich nie tylko w miastach, lecz i we wszystkich wsiach więcej zaludnionych.

Rozwój dalszych handlowych stosunków Dubrowniczani na chwilę nie słabnie. Zdobywają oni we wszystkich prawie sąsiednich krajach, słowiańskich i niesłowiańskich, coraz to nowe prawa, przywileje, swobody, nieraz zupełną wolność lub nawet monopol handlu.

U schyłku XII w. zbliżono się i z Anglikami, gdy Ryszarda Lwie-Serce burza zaniósł (1192) ku wysepce Kromie, leżącej tuż naprzeciw Dubrownika. Brytański bohater wznosi nawet, na pamiątkę wybawienia, wspaniałą świątynię, S. Maria Maggiore. W początkach XIII w. przyjęto względną opiekę Wenecyi, zawarto korzystne bardzo układy z Mamelukami Egiptu. W początkach XIV wieku utworzono konsulaty w Bośni, Serbii i Rascyi. W 1358 przyjęto opiekę króla węgierskiego Ludwika, a wkrótce zawarto pierwszy traktat handlowy z Turkami w Brussie. W 1378 zawiązano sojusz przeciw Wenecyi z Genuą, która odtąd staje się środkowem ogniskiem handlu dubrownickiego na morzu Śródziemnem, i t. d.

W ten sposób rozwinął się i wzrastał handel Dubrowniczani aż do XVII w. Lecz doszedłszy do swego szczytu, począł się odtąd szybko chylić ku upadkowi.

W ciągu XV i XVI stulecia dubrowniccy kupcy prze-

biegali swobodnie cały półwysep Bałkański i ziemie węgierskie i odwiedzali nietylko wszystkie prawie porty morza Śródziemnego, jego zatoki, lecz puszczali się nawet na Atlantyk. Wiadomo też, że Dubrowniczanie brali udział i w odkryciu Ameryki.

Kolonie dubrownickie wszędy były rozproszone. Za ważniejsze z nich uważano następujące: Sofia w Bułgarii — dla półwyspu Bałkańskiego, Brussa — dla Małej Azji, Aleksandrya — dla Afryki, Wenecya, gdzie kolonię dubrownicką, kwitnącą szczególnie w połowie XV wieku, dotąd przypomina *Riva dei Schiavoni* — dla Włoch północnych; Florencya, gdzie niedaleko od miasta *Strada dei Ragusei* — dla Włoch środkowych, i Messyna z Syrakuzami — dla południowych. W Palermo miał być osobny kwartał Słowiański (to jest dubrownicki), a w Sycylii miasto Ragusa i dotąd istnieje. Genua była od r. 1378 główną kolonią Dubrowniczian na morzu Śródziemnem. Środkowymi punktami ich handlu w Hiszpanii były Barcelona i Walencya; we Francyi zaś Marsylia. Handel atoli z Anglią nabiera rzeczywistego znaczenia dopiero od Kromwela.

Niepodobna określić wysokości handlowych obrotów Dubrownika z epoki jego kwitnącej; lecz musiały być one znaczne, jeśli kupcy, mieszkający w części miasta Preki, mieli posiadać kapitał 20 milionów dukatów, a szyper Prazzato mógł ofiarować rzeczypośpolitej 200,000 genuinów.

Jednocześnie z handlem rozwijała się znakomicie i marynarka Dubrowniczian. Już przy końcu IX-go wieku przewozili oni na swych statkach do Apulii związkowe wojska słowiańskie, idące na Saracenów. Z biegiem czasu nie było morza, którego by ich okręty nie odwiedzały, a marynarze ragusańscy tak byli sławni, że obcy mocarze wszelkimi sposobami starali się mieć ich u siebie. Ochmuczewicze-Guguricze, Dolisti-Tasowicze, Maszybradicze i Martalossi byli grandami Hiszpanii, admirałami, wicekrólami; Beneveni, Natali, Altesti, Stulli — zajmowali wysokie stanowiska w Ro-

syi. O potędze zaś marynarki Dubrowniczian można sądzić z tego, że na służbie Karola V było 300 ich statków. Marynarka stanowiła tu jeden z głównych środków istnienia wszystkich stanów ludności wogóle.

Obok handlu i żeglugi oddawali się Raguzanie równie żywo przemysłowi. Już w XII wieku eksploatowali kopalnie srebra i złota w Bośni. Od r. 1259 zaś poczęli warzyć sól w Neretwie (Narenta), podniecając wielkimi stąd zyski niepohamowaną zawiść Wenetów. W 1490 r. zaprowadzili u siebie znakomite fabryki sukna, a 1530 r. wyrobów jedwabnych. Oprócz tego ciągnęli wielkie korzyści z połowu koralu w Adryatyku i Archipelagu, z tłoczenia oliwy, bicia monety, odlewu dział, robienia prochu, budowy statków, z wyrobów metalicznych i t. p.

Cały oddany handlowi, marynarce, pracy przemysłowej i cichemu życiu wewnętrznemu, Dubrownik usiłował oczywiście utrzymać pokój i zgodę ze wszystkimi narodami. Słaby zaś zawsze sam w sobie, stale szukał pomiędzy sąsiadami potężnych opiekunów i obrońców. Lecz tych w potrzebie opuszczał z równą łatwością, z jaką ich jednał. Stąd to miano *nazione di sette bandiere*, jakie Dubrowniczanom nadają złośliwi sąsiedzi po dziś dzień.

Pierwotnie, razem z całą Dalmacją, zależał on od Byzancyan. W wieku IX-ym Dalmacja uległa wpływom bliższego sąsiedztwa, a pod koniec X-go poddała się w znacznej części pod zwierzchnictwo Wenecyi. Lecz Dubrownik pozostał niezależny. Dzielnie broni on swej swobody! W wieku IX-ym kilkakrotnie opęda się od Saracenów; w wieku X-ym wytrzymuje walkę z Wenecją, carem bułgarskim Samuelem i cesarzem Ottonem; w XI-ym wieku w związku z Robertem Guiskardem prowadzi wojnę z Byzancyum i Wenecją, w XII-ym wieku z banem Bośni i serb-

skim Stefanem Nemanją, i zewsząd wychodzi obronną ręką a z pomnożeniem swobód handlowych.

Dla pewniejszego zażegnania groźnego współzawodnictwa Wenecyi, zgadza się na początku wieku XIII (1204) wybierać dla siebie komesów z pośród jej patrycyatu. Lecz dostrzegłszy niebezpieczne dla swej swobody zamiary Wenecyan, przyjmuje 1358 roku opiekę Węgier. Ubezpiecza się następnie od Turków, zapewniając im (od 1416 r.) stałą daninę. Sowiec ją wszakże nagradzały szerokie przywileje, w państwie ottomańskim zdobyte. Po osłabieniu Turcyi Dubrownik oddał się w 1684 r. pod opiekę Austrii, która odtąd stale utrzymywała przy rzeczypospolitej swego ministra-rezydenta.

Najżywsze wszakże stosunki utrzymywał był Dubrownik z sąsiednimi władzami słowiańskimi, panami Bośni i Serbii. W krajach tych kupcy dubrowniczcy używali wielkiej powagi. Dla włastelów tamecznych Dubrownik służył za miejsce schronienia w czasie burz politycznych. Tu też oni oddawali swe skarby do przechowania na czarną godzinę. Miasto bogate i mocne, umiało ono wszędy zjednać sobie poważanie należne. Wobec sąsiednich władców słowiańskich trzyma się ono zupełnie na stopie równości, a obywatele jego w aktach serbskich noszą nazwę — przyjaciół, krewniaków, braci i t. p.

Ciekawy jest niezmiernie obraz wewnętrznego bytu i życia społecznego Dubrownika w epoce jego świetności, jaki podaje pod koniec XVI-go wieku Razzi w swojej „Storia di Ragusa”.

W owym czasie w Dubrowniku liczone 30,000 mieszkańców, oprócz garnizonu, złożonego z najemnych żołnierzy węgierskich. Prawie wszystkie budowy wzniesione z ciosanych w czworogran kamieni. Ulice podobnie brukowane; lecz z wyjątkiem dwóch, z których jedna prowadzi z ka-

tedry na plac, a druga przerzyna miasto od bramy do bramy, wszystkie są nadzwyczaj wąskie. Nieraz też, gdy się przypadkiem spotkają, na której z nich, dwie wyższego towarzystwa panie (*gentile donne*), ubrane w swe świetne i szerokie suknie z obręczami u dołu, to ledwie są w stanie wyminąć jedna drugą. W mieście samem mało ogrodów, całe ono budowlami zajęte, zato za miastem i na brzegu morza znajdują się pyszne sady i pałace z wodotryskami i gajami pomarańczowymi, w czym Dubrownik współzawodniczy z Genuą i Neapolem. Pałac rektorski bardzo piękny i wspaniały; z placu wprowadza weń pyszna galerya; inne galerye i belwedery wychodzą na port, na morze; w obszernym dziedzińcu, na dolnem piętrze, znajdują się sale recepcyjne Małej Rady. Sala Rady Wielkiej obszerna i po królewsku przyozdobiona. W pobliżu pałacu, na tym samym placu, znajduje się bardzo świetny wielki wodotrysk słodkiej wody, sprowadzanej tu z malowniczej doliny Szumetu. Drugi podobny, a nawet większy, znajduje się u bramy zachodniej. Obydwa zaś stanowią wielką ozdobę miasta i przynoszą ogromny użytek ludowi. — W Dubrowniku znajduje się 47 kościołów, chociaż ściśle mianem tem nazwać można 4 — 6 z nich, gdyż inne, mimo to, iż pięknie zbudowane i ozdobne, dla swej szczupłości są właściwie kaplicami; je-dynie klasztorów męskich jest dwa tylko, franciszkański u bramy zachodniej i dominikański u wschodniej. Obydwa klasztory piękne i przestronne; przy nich fontanny, ogrody pomarańczowe, wspaniałe kościoły i bogate ołtarze. Klasztorów żeńskich w Dubrowniku ośm. Naprzeciw miasta, na wyspie Kromie, słynne opactwo benedyktynów. — W mieście niema gospody, zajazdów; nie mają też Dubrowniczanie w zwyczaju dawania cudzoziemcom mieszkań we własnych domostwach, nawet przyjaciółom; lecz dostarczają im wszystkiego czego potrzeba w osobnym ku temu przygotowanym domu. Podróżni, po większej części marynarze, śpiąją na swych okrętach; zakonnicy udają się do którego

klasztoru. Turcy z pospólstwa śpią na otwartem powietrzu, za bramą miejską, w czasie pogody, lub też w osobnych, na rozkaz Senatu dla nich pobudowanych, izbach; lecz Turcy znaczniejsi znajdują przyjęcie w mieście w odpowiednim gmachu, gdzie pobierają całe utrzymanie ze skarbu. Posłów państw chrześcijańskich, udających się do Konstantynopola lub gdzieindziej, mieszczą zwykle w dolnem piętrze klasztoru dominikańskiego, a Senat przyjmuje na siebie ich utrzymanie.

Mieszkańcy Dubrownika dzielą się na trzy stany: szlachtę, mieszczan i lud. Jedynie szlachta, której ogółem jest 29 rodów (*casate*), bierze udział w urzędzie rzeczypospolitej. Nosi ona długie płaszcze tokańskie i okrągłe weneckie czapeczki. Krąży podanie, że kiedyś była wysłana deputacya do Florencyi dla przyjęcia tamiecznych mód: deputaci wzięli fason tokańskich płaszczy, a o czapkach przypomnieli sobie dopiero za powrotem, w Wenecyi; więc żeby nie wracać do Florencyi, przejęli czapki u Wenecyan. Senatorowie Rady Mniejszej biorą w razach uroczystych togi weneckie, Rektor zaś nosi stale czerwoną odzież z drogiego sukna, podszytą zimą cennemi futrami. Rektor nie inaczej wychodzi z pałacu jak w towarzystwie 12-tu Senatorów Rady Mniejszej, wybieranych corocznie; poprzedza go kilka par sług w czerwonych odzieżach i muzykanci. W razie śmierci kogo ze szlachty, mężczyzny czy kobiety, Rektor obowiązany jest odprowadzać w czarnej todze trumnę do grobu; lub, w razie niemożności, wysyłać zamiast siebie jednego z członków Rady Mniejszej, w czarnej rektorskiej todze, ze wszystkiemi regaliami.

Niema w Dubrowniku szumnych zgromadzeń adwokatów, prokuratorów i notaryuszów; niema sądu przysięgłych; niema pałacu podesty; lecz z pośród samego Senatu wybiera się kilku szlachty dla prowadzenia spraw cywilnych i kryminalnych. W razie buntu lub pożaru, straż dwóch głównych bram miasta jest powierzona „fratrom” pobliz-

szych klasztorów, franciszkańskiego i dominikańskiego, którzy otrzymują od Senatu oręż i wszystko potrzebne; strażę u bram, prowadzących do portu, utrzymują w podobnych razach kanonicy i kler katedralny. Rozstawiwszy duchowieństwo na straży, włastele mają więcej swobody do robienia niezbędnych rozporządzeń, do niesienia gdzie potrzeba pomocy lub uśmierzenia buntu. Jeśli przybędzie do portu dubrownickiego jaki znakomity cudzoziemiec, to Senat wysłała doń deputację z podarunkami, składającymi się ze świec woskowych, baranów, wina i t. d., stosownie do dostojęństwa podróznego. Do Konstantynopola z darami dla sułtana wysyłano świetne poselstwa.

Życie w Dubrowniku wogóle było ciche, bardziej rodzinne, niż publiczne. Dziewczęta od lat 11 prowadziły życie zamknięte w domu rodziców; ojciec upatrywał narzeczonego dla swej córki. Jedynie kobiety zamężne uczęszczały do teatru; balów publicznych nie bywało, a na wieczory zapraszano tylko krewnych lub doświadczonych przyjaciół. Wogóle kobiety wychodziły z domu tylko do kościoła najbliższego, lub też w odwiedziny do krewnych. Panie szlacheckie urodzone wyróżniają się od mieszczek strojem osobnym; pokazywały się na ulicy nie inaczej, jak w towarzystwie służącej, czarno ubranej, a zwyczaj ten przechował się dotąd jeszcze w niektórych staro-szlacheckich rodzinach.

Specyjalną ustawą zabronione było kobietom uczenie się obcych języków. Wychowanie kobiecie ograniczało się na pierwszych wiadomościach z religii i gospodarki domowej.

Do XV w. nie było w Dubrowniku szkoły publicznej. Młodzież wychowywała się w domu lub za granicą, we Włoszech i w Grecyi. Mimo to wszakże, Dubrowniczanie w XIV w. stali już na takim stopniu oświaty w porównaniu z sąsiednimi Słowianami, że car serbski Stefan Duszan wypra-

wił 1351 r. osobne poselstwo do Dubrownika z prośbą o przysłanie mu do dworu 20 szlachetnych młodzieńców. Później zaś wysłał tu na wychowanie serbską znakomitszą młodź zdolniejszą i założył w Raguzie bibliotekę, dla której, za drogą cenę, nabył mnóstwo rękopisów łacińskich i greckich we wszystkich gałęziach umiejętności. Dubrownik tedy z czasem stał się istotnym rozsadnikiem oświaty dla słowiańskiego sąsiedztwa: tu otrzymywały wychowanie nawet dziewczęta serbskie możniejszych domów. Tyle też to sobie w Serbii ważono, że gdy w 1422 r. Senat dubrownicki zakazał przyjmowania do szkół klasztornych obcych dzieci, despota Stefan kazał natychmiast okuć w kajdany wszystkich ragusańskich kupców, znajdujących się w jego państwie.

W 1434 r. urządzono pierwszą publiczną szkołę. Profesorów przez długie czasy sprowadzano z zagranicy, co jednak w poł. w. XVII, z obawy szerzenia się kalwinizmu, Senat zakazał. Dla kształcenia się w naukach przyrodniczych, medycynie, malarstwie i muzyce wysyłał urząd corocznie kilku z młodzieży do Włoch.

Dalsze wykształcenie zdobywało się w życiu publicznem. Młody właściciel, doszedłszy do pełnoletności, wstępował do Rady Większej, a syn mieszczański ruszał na morze szukać pożytku i sławy. Urzędy wyższe były udziałem właścicieli wyłącznie. Zresztą, ostry dość przedział, jaki istniał, podług praw i obyczajów rzeczypospolitej, pomiędzy stanem właścicieli a mieszczan, był nieco łagodzony przez wspólne uczestnictwo w handlu i marynarce i możliwość przejścia z jednego stanu do drugiego. Tylko właściele i mieszcianie otrzymywali wychowanie porządniejsze, lud trzymany był w ciemnocie. Duchowieństwo, zajmujące miejsce pośrednie pomiędzy stanem właścicieli i mieszczan, nie brało udziału w sprawach politycznych i służyło za powolne narzędzie rządowi, którego wpływ szerzyło za pomocą krzyża.

Takie były stosunki wzajemne stanów, wyrobione pod wpływem przyczyn historycznych. Różnica stanów zacierała różnicę narodowości; jedność położenia i praw, wspólność zatrudnień i dążeń, służyły za ogniwa łączące ściślej wszystkich poddanych rzeczypospolitej; wczesny zaś rozwój przemysłu i oświaty, potęgując siły Dubrownika, żywił dlań poważanie u narodów nie tylko sąsiednich, lecz najdalszych.

Dla dzisiejszych badaczy dziejów ogólnych Dubrownika uderzającym się zdaje pewne podobieństwo, jakie zachodzi między historią tej rzeczypospolitej a historią Polski. Istotnie, pomimo potężnej różnicy zasadniczej, wpływającej z samej natury dwóch tych oryginalnie rozwijających się słowiańskich rzeczypospolitych: północnej — terytoryalnie rozległej, ziemiańskiej, rolniczej, i południowej, szczupłej co do swego obrębu, miejskiej, handlowej — jest między nimi pewne moralne i zewnętrzne podobieństwo. Otóż niejednokrotnie spotykamy zdania, że też same przyczyny, nawet w tymże samym czasie, przyłożyły się tak do wzrostu potęgi, jak do upadku obydwu tych politycznych społeczeństw. Czem była dla Polski epoka Jagiellonów, tem była dla Dubrownika epoka opieki węgierskiej. Obiedwie rzeczypospolite doszły w tym czasie do szczytu swej sławy i pomysłowości dzięki jednostajnym przyczynom. Równe tu panowanie arystokracji, co nie doszła jeszcze do rozpasanej swawoli, a potężna nietylko swemi środkami materyalnemi, lecz rozumem i wiedzą; równy obok tego rozkwit nauk, umiejętności i przemysłu. Jak epoka upadku poczyną się dla Polski od wstąpienia Wazów, tak dla Dubrownika od wejścia pod opiekę turecką. Od końca XVI w., osobliwie od początku wieku XVII, obiedwie rzeczypospolite coraz bardziej upadają. Prowadzi je ku temu podobna nie powściągnięta przez prawa swawola arystokracji, zgubny wpływ obyczajów cudzoziemskich, upadek moralności i religii, cięż-

nie jezuitów, zbytek i miękkość, utracenie chęci do jakichkolwiek zajęć na seryo, a nakoniec szczególny zbieg niesprzyjających okoliczności zewnętrznych.

Posuwając się głębiej w przeprowadzaniu paraleli wewnętrznego życia dwóch rzeczypospolitych, są tacy, co widzą nawet uderzającą wspólność myśli u moralistów społeczeństwach. W obrazach Razzego (z końca XVI-go wieku), w satyrach Kabogi, w pamiętnikach Basicza (z XVIII w.) i innych przypominają sobie: „Zwierciadło” Reja, „Satyra” Jana Kochanowskiego, „Dworzanina” Górnickiego, „Worek Judaszów” i „Victoria deorum” Klonowicza, satyry Piotra Zbylitowskiego i Miaskowskiego, nakoniec „Kazania” Skargi.

Zepsuciu wewnętrznemu towarzyszyły i okoliczności zewnętrzne, które powoli przygotowywały upadek Dubrownika.

Zbyteczne gonienie za zyskiem wciągało niejednokrotnie Dubrowniczanie w przedsięwzięcia, sprzeczne zupełnie z duchem ich rzeczypospolitej. Wdanie się, na przykład, w wojnę Hiszpanii z Turcją naraża ich na stratę secin okrętów; niezachowanie ścisłej neutralności w wojnach Rosji z Turcją i Francją sprowadza nowe klęski i przyspiesza upadek ostateczny. Przyczyniły się do tego i wcale niezależne od nich okoliczności: współzawodnictwo Wenecji, usiłującej zniszczyć handel Dubrowniczanie na Adryatyku, krępowanie go na Węgrzech i Hercegowinie, napady Uskoków, klęski z rozpasania żywiołów pochodzące, jako to burze srogie, dla marynarki zabójcze, pożary, trzęsienia ziemi; osobiście ostatnie 1667 r., które prawie całe miasto obróciło w perzynę.

Dźwignął się wprawdzie Dubrownik na nowo, ale do dawnej świetności nie wrócił.

Współzawodniczenie stronnictw zbyt targало wnętrza rzeczypospolitej. Partya francuska 27 maja 1806 r. otworzyła bramy miasta Lauristonowi; a niespełna we dwa lata, 31

stycznia 1808 r., Dubrowniczanie schylili głowę pod ostatecznym ciosem, wysłuchawszy rozkaz Marmonta: „Le Général en chef de l'armée de Dalmatie ordonne ce qui suit: Le gouvernement et le Sénat de Raguse sont dissous...”

Przyjaźń z Francją kosztowała rzeczpospolitą do 1806 r. więcej niż milion franków, a oblężenie Dubrownika przez Rosyan i Czarnogórców przyniosło strat więcej niż 8¹/₂ mil. fran. Bombardowanie miasta obróciło w gruzy wszystkie prawie budowy wspaniałe, jakimi się ono dotąd słusznie szczyciło. Upadała też i zasobność, tak publiczna, jak prywatna. Gdy w r. 1806 posiadał Dubrownik jeszcze 363 okręty, zostało mu na 1815 r. tylko 61.

Przejście pod panowanie Austrii nie przyczyniło się w niczem do zbliżenia się ku dawnej świetności. Dziś Dubrownik żyje tylko tradycją i jej siłą, ufny w nieodzowność praw życiowych. W odrodzeniu się tedy Dalmacyi zajmuje on, mimo to wszystko, po dawnemu przeważne stanowisko.

Wzrostowi potęgi materialnej Dubrownika towarzyszyła wysoce rozwinięta kultura ogólna i wspaniały rozkwit poezyi w języku narodowym. Świetną epokę literatury dubrownickiej przedstawiają konce wieków XV-go, XVI, i XVII-go. Działalność zaś na tem polu równie żywo uwydatniła, we właściwy sposób, warunki kulturowe, wśród jakich się rozwijało życie Dubrownika i całej Dalmacyi.

Jakiego tu znaczenia był wpływ kultury zachodniej wogóle i żywiołu włoskiego w szczególności — o tem już dostatecznie wiemy. Kultura włoska oddziaływała tu za pośrednictwem wszystkich swoich potęg: religii, nauki, umiejętności pięknych, społecznych urządzeń, wykwiłniejszych obyczajów towarzyskich. Oddziaływała ona stale i oddawna. A gdy we Włoszech ruch odrodzenia wzniósł się do szczytu swej potęgi, obudził on i w Dubrowniku naraz, jakby jaką różczką czarodziejską, niepospolitą działalność, skutkiem

której był świetny rozkwit (już od XV-go wieku) odrębnej literatury narodowej, zupełnie innej od tradycji starosłowiańskich. Życie wewnętrzne skrzętnej rzeczypospolitej — swobodne, bogate, pełne urozmaïcenia, nie przytłumione ani przez despotyzm własnych autokratów, ani przez wojny domowe, jak u sąsiednich pobratymców, zapewniało szeroki przestwór nowej kulturze i przedstawiało dla niej sprzyjające warunki bujnego rozwoju. Włochy służyły za wzór. Młodzież dalmacka tam właśnie w uniwersytecie padewskim najwięcej otrzymywała wyższe wychowanie. Włoski zaś żywioł w ludności nie rozstawał się ze swemi przyzwyczajeniami, a chociaż zesławianiony w bycie domowym, przechowywał głębsze zamięłowanie do nauk i poezyi swej pierwotnej ojczyzny. Zamięłowanie zaś podobne dla wyższości, jaką mieć musiał z natury rzeczy żywioł ten w starszej cywilizacji nad warstwami szczerosłowiańskimi, stawało się udziałem całej społeczności. Stąd też i odrodzenie wywołało i w Dalmacyi też same zjawiska, jakie ono spowodowało w Italii. Razem z odrodzeniem odzwierciedliły się tu i ówczesne we Włoszech nowe prądy literackie i nowe dążności.

Równoległy, że go tak nazwiemy, pochod literatury dubrownickiej i dalmackiej z włoską poczyną się od uczczenia starożytnych klasyków i uczoności łacińskiej, od podziwu dla Petrarcki i Bokaczego i t. d. Równoległość ta uwydatnia się dalej i w owem znaczeniu, jakiego nabiera język narodowy. Podobnie jak we Włoszech, gdzie trwałe ustalenie się języka narodowego w literaturze przypada na czas kulminacyjny władzy literatury klasycznej, tak też i tu — jednocześnie z napływem starożytnym i włoskim, po raz pierwszy zdobywa sobie szerokie pole i działalność literacka w języku narodowym. Dwoistości języka literackiego we Włoszech odpowiada używanie w Dalmacyi równoważne aż trzech języków: horwackiego, włoskiego i łacińskiego. Wszystkie trzy były równie uznaną szatą literacką; wszystkie trzy występowały często w jednym i tym samym pisa-

rze, jak Marulicz (Maruli), Kabożycz (Caboga), znany Mauro Urbini i wielu innych. W epoce odrodzenia pisarze dubrowniczcy przyjmują wszystkie te formy literackie, jakie były powstały w tej dobie we Włoszech; ich liryka, epos, dramat noszą zupełnie podobny co tam charakter. Nawet znaczenie wewnętrzne działalności literackiej i jej przedstawienie równie bardzo blizkie.

Wpływ ten przecie, mimo całej swej potęgi, nie był wcale przygniatający. Pisarze dalmaccy, nie zważając na wszelkie ponęty, nie dali się unieść wyłącznie formą łacińską lub włoską, najzupełniej dla nich dostępną, lecz, od samego początku odrodzenia, z najwyższą żarliwością rzucili się do twórczości we własnym narodowym języku. Obrabianie języka dla odpowiedniego wyrażania w nim nowych idei odbywało się jednocześnie z przyswajaniem sobie tychże idei. Dążenia narodowe wykazały się i w samej treści literatury. Literatura dubrownicka ówczesna nie daje się unieść przykładowi zwodniczemu obcych wzorów, aż do całkowitego zapomnienia warunków narodowości własnej. Przedmiot narodowy, narodowe otoczenie i swojskie warunki życia nie tracą swego rzeczywistego znaczenia dla pisarza dalmackiego.

Znaczniejsza część dubrownickich i wogóle dalmackich poetów należała do arystokratycznych, włastelskich rodzin; lecz ruch literacki sięgał i głębiej — występowali też pisarze i z ludu. Działalność poetyczna rozwinęła się niepospolicie, stawiała się jakby czemś familijnem; przechodziła od ojca na syna i wnuka; tak, że po kilku poetów wydały rodziny: Minczetyczów (Menze), Gunduliczów (Gondola), Buniczów (Bona), Darżyczów (Darsa) i inne.

Ilość poetów dalmackich wogóle bardzo znaczna, poczynając już od XV-go w.

Poezya narodowa rozwija się wszakże pod silnym wpływem wzorów zachodnich. W eposie widoczny wpływ włoskich poematów romantycznych; w liryce dają się spoty-

kać formy klasyczne; pieśni miłosne, prawie obowiązkowe dla każdego poety dalmackiego, przypominają kanzonę Petrarki; dramat uwydatnia wpływ różnostronny — zarazem średniowiecznego dramatu kościelnego, nowej włoskiej dramy, pastoralu i komedyi ludowej.

Do pierwszych i najznaczących poetów tej epoki należą: Marulicz (Maruli, w r. 1528) ze Spletu, za swe poezye włoskie nazywany przez współczesnego Ariosto boskim, i Szyłko Minczetycz (Menze, w r. 1501), poczynający szereg dubrownickich poetów, autor pieśni miłosnych, tak cenionych, że je porównywano z pieśniami Petrarki. Dalej idą: Lucyz (Lucia, um. ok. r. 1530), twórca wielu dramatów i pięknej pieśni na cześć Dubrownika, i Wetrancz (r. 1576), pochodzący z jednej z najstarszych rodzin włostelskich dubrownickich (mnich pod imieniem Mauro), równie dramatysta przeważnie, i inni mniej znaczni.

Nowy zwrot poezyi dalmackiej rozpoczyna Czubranowicz (ok. r. 1550), Dubrowniczanie, człowiek z ludu. Zdobyl on sobie największą sławę utworem swym pod tytułem „Jedjupka” — cyganka, wróżka — napisanym dla karnawału, równie żywo obchodzonego w Dubrowniku, jak we Włoszech. Stanął też wyżej od swych poprzedników czystością i oglądą języka i prawdziwie poetycznym polotem.

Po Czubranowiczu idą: Naleszkowicz, Darżycz (Darsa), Ranina (Araneus) i Zlatarycz — wszyscy Dubrowniczanie; ostatni z nich czciciel słynnej z piękności Flory Zuzarycz (Zuzzeri), równie poetycznie utalentowanej i piszącej w ojczystym języku.

Lecz najwyższy szczyt rozwoju poezyi dalmackiej przedstawia Dubrowniczanie Jan Gundulicz (Gondola, 1588 do 1638 r.). Pod względem formy doprowadził on giętkość języka i harmonię wiersza do takiej doskonałości, jakiej nie znali ani jego poprzednicy, ani następcy. Co do nastroju ducha, polotu myśli i rozległości treści — sięgnął on wyżyny innych wielkich poetów słowiańskich. W znakomitym swym

utworze p. t. „Osman”, stanowiącym bohaterski poemat, chciał on przedstawić i upostaciować wielkie idee i grę życia ówczesnej Słowiańszczyzny. Chroniła ona wtedy Zachód i cywilizację od grozy bisurmańskiej. Otóż poeta wybrał sobie za temat jedną z wielkich chwil strasznych zapasów krzyża i półksiężycy. Nastręczyła mu temat świeża walka z Turkami pod Chocimem w 1621 r. Bohaterem jest królewicz Władysław. Na wybór przedmiotu musiały oddziaływać nietylko pobudki wyższego zakresu, lecz i osobiste Gundulicza. Nietylko bowiem znany jest żywszy, sympatyczny stosunek dwóch bratnich rzeczypospolitych, ale i stosunek możnego włastelskiego rodu dubrownickiego z królewiczem.

W pałacu Bondy w Ankonie pod portretem Władysława czytamy napis:

„Vladislao Sigismundi Polonorum regis filio
 Scytharum Turcarumque Triumphatori invicto”
 „Gundula familia hospiti suo; ut cujus humanissimam
 [Majestatem,
 Semel in aedibus aspexit, semper imagine suspiciat”.

W bohaterskim tym poemacie Gundulicza mnóstwo prawdziwie pięknych zwrotów i ustępów, żywa charakterystyka czasu i ówczesnego bytu. Sam przedmiot zaś staje się odtąd tematem sympatycznym późniejszego naśladownictwa.

Po Gunduliczu poeci dalmaccy już nie byli w stanie utrzymać się na tej wyżynie, jakiej dosięgła jego poezya. Wprawdzie lekkość wiersza i zdobność formy zewnętrznej stały się powszechnym udziałem, lecz nie spotykamy już prawdziwie poetycznego piękna. Poezja zaczyna upadać, i poeci późniejsi nie byli w stanie powstrzymać jej od tego upadku w całym ciągu XVII-go w.; chociaż skądinąd działalność poetów wcale nie zmniejszyła się co do obfitości utworów, doprowadzającej nas nawet do zdziwienia.

Główniejsi z nich są następujący: dwaj Palmotyczne

(Palmotta), czterej Bunicze (Bona), Wład. Minczetycz (Menze), Kanawelicz, Witezowicz, Witalicz, młody Gundulicz i inni.

Junius Palmotycz (1606 do 1657 r.), krewny, uczeń poniekąd i współzawodnik sławy Jana Gundulicza, jest autorem poematu „Chrystjada”; obok tego—dramatysta, satyryk, improwizator. Podniósł on czystość języka, biorąc za wzór narzecze Bośni.

Kanawelicz (um. 1690 r.) prowadzi dalej wątek myśli i nastroju, rozpoczęty w poemacie „Osman”. Jego „Iwan Sobieski” opiewa dalszą fazę odbywającej się wtedy posłanniczej walki dziejowej. Podziękował też poecie król Jan listem własnoręcznym 1687 r.

Z mniejszą zdolnością przedstawia ten sam temat Bogaszynowicz (1683) w poemacie swym „Obkrużenie Becza”, t. j. oblężenie Wiednia, gdzie równie sławi „Svietla Kralia Poliaczkoga”, jako bohatera walki. Niemało tu przecie pieknych i natchnionych ustępów, jak np. zwrot:

Slavna Kruno i czestita
 Polonie svich livada'
 Tva je slava viekovita
 Vecza ima biti od sada.
 I da Visznji s' gori s' Nebi
 Svom pomoci da uzbudesz
 Snagu uzdrži napried tebi
 Zmaja svega da dobudesz.
 I da otjevasz s' naszich strana'
 Za poczinut u slobodi
 I da vjera od Krstjana'
 Po niegova zemlii hodi—

gdzie wzywa Najwyższego, aby dał moc narodowi pokonania zmii (tureckiej), by też wiara chrześcijan swobodnie się krzewiła.

W ciągu lat stu po Gunduliczu poezya dalmacka traciła coraz bardziej swą siłę; dopiero w początku XVIII-go w. znów ją podniósł Dubrowniczanie Džordžycz (Giorgi,

1676 do 1737 r.), uczony mnich i poeta przeważniej religijny. Lecz następcy jego nie mieli już dość mocy do utrzymania na dawnej wyżynie istnie narodowego nastroju w literaturze. Ustępuje teraz on wszędy wpływowi romańskiemu. Kobiety zaś poetki, jak Anica Boskowiczowa i Lukrecya Bogaszynowiczowa, nie wносиły ani nowej treści, ani prawdziwie poetycznego uczucia i wykończenia formy.

W XVIII-tym w. występuje jeszcze jeden pisarz, który zdołał być zająć wysokie stanowisko i przedstawia najbardziej żywy związek starej doby poezyi dalmatyckiej z literaturą nowożytną. Był nim Kaczycz-Mioszycz (1690 do 1760 r.), mnich ze starożytnego książęcego rodu na Przemyślu.

Kaczycz sięgnął do skarbnicy poezyi ludu i w niej zaczerpnął nową, ożywczą dla chylącej się literatury dalmatyckiej, siłę. Wydał on księgę pieśni pod tyt. „Razgovor ugodni naroda slovinskoga”, używającą dotąd nadzwyczajnej popularności. Pieśni te napisane były trybem ludowym i przedstawiały w poetycznej formie dzieje narodu, opowiedane w tym tonie, w jakim je pieśń rapsodystów opiewa. Dlatego też były one przyjęte z nieopisanem współczuciem i posłużyły za pierwszy węzeł, jednoczący odtąd literaturę z ludem, przechodząc do mas.

Po Dźordżyczu i Kaczyczu następuje znów faza w literaturze dalmatyckiej, nie przedstawiająca żadnej żywszej działalności. Dawna tradycja dogorywała, a nowego nic nie wykwitło.

Literatura dubrownicka była wyłącznie literaturą poetyczną — nie miała ona prawie prozy, gdyż ta ograniczała się legendą i religijną homilią. Nauka stale występowała w szatach łaciny lub włoszczyzny; literatura narodowa wcale przeto nie posiadała tej poważnej podstawy niezbędnej. Ludzie, zmuszeni poprzestawać na środkach, jakie dawało jedynie narodowe piśmiennictwo, zostawali przez to samo poza obrębem wykształcenia istotnego. Nadto literatury: ła-

cińska i włoska, panujące tu wielowładnie, zbyt grzęzły wtedy same w scholastyce, by mogły mieć wpływ ożywczy na warunki rozwoju nowych idei i potrzeb. Łatwo zrozumieć tedy ów szybki upadek literatury, gdy zabrakło ludzi, podtrzymujących jej życie wyższym talentem poetycznym.

Od końca XVIII-go do trzeciego dziesiątka wieku bieżącego występuje jeszcze w Dubrowniku kilku poetów, jak Surkoczewicz (Sorga), Kneżewicz, Bruerowicz (Bruere), Zlaturycz i inni; ale już nie są w stanie dawnej świetności dźwignąć.

Gdy tak narodowa działalność literacka upadała w Dalmacyi, poczęła ona tedy przenosić się do ziem wewnętrznych bałkańskich Słowian, potem Horwacyi. Nić więc literatury dubrownickiej właściwie zerwana nie została i prowadzi nas do czasów nowożytnych narodowego ludów „illirskich” odrodzenia.

Rzuciwszy teraz okiem wstecz poza siebie, widzimy, iż znaczenie literatury dalmackiej wogóle, pomimo całej świetności rozwoju stron jej pewnych, przecie dla swej wyłączności właśnie, było, co do jej wpływu na rozwój społeczny, wcale nie wielkiej doniosłości. Raz przyswoiwszy sobie pewien zasób i stopień idei literackich z Włoch i źródeł łacińskich, literatura dalmacka nie miała siły już go przekroczyć. Wtedy też, gdy w całej Europie poczyniała się już fermentacya nowych pojęć, nowych celów społecznych i narodowych, poezya dalmacka i horwacka tworzyły wciąż jeszcze poemata religijne i pastorałe. Wprawdzie zwraca się ona często ku treści narodowej, lecz po większej części przedstawia ją w cudzej lub niedostępnej dla ludu formie i zbyt jednostronnie ogranicza się wyłącznie poetycznym kierunkiem.

Obok tego, oświata wogóle poczęła powoli zasklepić się tu przedewszystkiem w postaci romańskiej, stając się nadto obcą ówczesnemu ożywczemu ruchowi, jaki się

z Francji rozchodził po całej Europie, budząc i podniecając wszędy myśl społeczną.

Za czasów dawnej swej sławy poezja dalmacka była przynajmniej żywym i prawdziwie poetycznym odzwierciedleniem życia wolnego i bogatego Dubrownika i miast porbrzeżnych, ich burzliwej nieraz ruchliwości swobodnej. Teraz zaś polityczna i społeczna rzeczywistość przybiera inny charakter. Literatura więc, nie znalazłszy nowej drogi dla wylewu uczuć narodowych, staje się coraz bardziej rzeczą książkowej abstrakcji i traci interes albo się ogranicza dziełami elementarnymi na powszednią potrzebę.

Oto sąd znawców i współczesnej krytyki.

Nowa epoka poczyną się dla dalmackiej literatury od tej doby, gdy ognisko działalności przenosi się do Horwatów, a w wykwitającej ogólniejszej, tak zwanej „illirskiej”, literaturze ożywia się idea powszechnego odrodzenia słowiańskiego, a z nią idea ściślejszego zespolenia ludów południowej Słowiańszczyzny.

W nowym tym zwrocie, w nowym ożywym ruchu bierze wszakże niepośledni udział i Dalmacya, a za nią Dubrownik. Poczucie tu narodowe wznosi się, potężnieje. Potrzeba ściślejszej politycznej jedności wszystkich ziem i ludów illirskich, pod panowaniem domu rakuskiego będących, staje się przedmiotem najżywszego upragnienia. Występuje stanowczo ideał trójjedynego królestwa Horwacyi, Sławonii i Dalmacyi. Ideał ten wprędce przeobraża się na najrealniejszy cel usiłowań narodowych, politycznych i społecznych. Rozpoczyna się energiczna walka wewnętrzna. O ile Horwaci rzucili się byli do zwalania ze swych barków przemocy madyarskiej i niemieckiej, o tyle Dalmaci też postanowili uwolnić się ostatecznie od przymusu kultury włoskiej. Walka ta wszechstronna trwa i dziś jeszcze. Jeszcze włoszczyzna przeważa w administracyi i tradycyjnem na-

wyknieniu wyższych warstw miejskich, jeszcze Dalmacya zahaczona politycznie o Cislitawię; ale pożądaný wynik dążeń narodowych niezawodny. Podróż zaś niedawna cesarza Franciszka-Józefa, dobrze znana w swych szczegółach z dzienników, nieunikniony ten rezultat prawowitych usiłowań Dalmatów tylko przyspieszyć może.

Dla nas z oddali ruch obecny w Dalmacyi niezwykle interes przedstawia. Kraina ta nadto, ze wszech miar, godna jest bliższego poznania. Malowniczość całego kraju i ujmujący wdzięk rozkosznej panoramy urozmaicających się do nieskończoności krajobrazów, panoramy, łączącej w sobie wszystko, co tylko dać może szczęśliwie zespolone, artystyczne jakby rozgrupowanie wysp, wybrzeży, cieśnin, zatok, skalnych grzbietów dzikich — są powszechnie znane. Wszędý żywe kontrasty miękkości form z największą surowością — w samej naturze. Też same uderzające przeciwieństwo wyzywających się wzajem stopni kultury: włoskiej wykwiitności miast i will pańskich, w obliczu patryarchalnej surowości wiejskich słowiańskich ustroni. Niewymowna zaś harmonia we wszystkiem tam, gdzie te kontrasty się zlewają: w ślicznym typie ludności, jej miękkim języku, towarzyskim i domowym obyczaju, ubiorze i t. d. Pewien urok i sympatyczność, dla nas szczególnie, w samym pokrewnym charakterze lokalnej kultury. Wreszcie klimat włoski, roślinność włoska — ten sam czar natury. Wszystko, wszystko zostawia po sobie urocze wspomnienie Dalmacyi; a najistotniejszą ozdobą jej, królową, jest właśnie Ragusa, nasz Dubrownik.

HERCEGOWINA ¹⁾).

KRAJ I LUD.

Krwawo-smutne zajścia ostatnich czasów, rozdzierające łono południowej Słowiańszczyzny, dały nam poznać imię kraju i ludu, o których, do niedawna jeszcze bardzo, zaledwie rzadko kto z szerszej publiczności słyszał.

Wszakże, mimo rozgłosu imienia i smutnych związanych z niem wypadków, niewiele my powszechnie i dziś istotnego o Hercegowinie wiemy.

Wieści dzienników — są to tylko wieści. Opisy cudzoziemców, nie znających zwykle ani języka, ani obyczajów mieszkańców, dotyczą przeważnie natury kraju i powierchownych jedynie stron życia ludu, pomijając z konieczności zupełnie prawie życie wewnętrzne, duchowe. Swoi zaś, choć znają istotę rzeczy, a niejeden zna ją do głębi — nie zwykli dzielić się wiadomościami, które za przedmiot mniejszego znaczenia uważają.

A przecież jest to lud, związany z nami niejednym węzłem historycznym, jest to kraj, niezmiernie sam przez się interesujący.

Nikommu z nas ani śni się nawet, że oto jeszcze w obecnej chwili najpoważniejsi etnografowie, jak na przykład znany Elisée Réclus w swojej Geografii Nowej ²⁾, przypisują cha-

¹⁾ Bluszcz 1876, Nr. 3, 4, 5, 6, 7, 8.

²⁾ Nouvelle Géographie universelle, 1875 Paris, Hachette.

rakterystyczną odmienność typu Hercegowińców od sąsiednich Bośniaków wpływowi tu przed wieki wychodziłta z nad Wisły. Rzadko też kto z nas pamięta, że ta przesadna hipoteza etnologiczna ma nawet podstawę rzeczywistą w fakcie, podanym przez cesarza Konstantego Porfirogenitę, który świadczy o przybyciu znacznej drużyny zbrojnej z Wielkiej Chrobacyi w te tam górskie strony, w VII po Chr. w.

Lecz, pomijając wszelkie podobnego rodzaju reminiscencye starożytnicze, obchodzić nas tu może w wysokim stopniu samo żywe życie mało znanego, a wielce sympatycznego, pobratymczego nam ludu, który nadto zamieszkuje nadzwyczaj interesującą pod względem geograficznym krainę.

Ostatnia wycieczka moja, w końcu lata 1872 r., pozwoliła mi poznać bliżej Hercegowinę, — w całej grozie i uroku jej górskiego majestatu, w całej barwności smutnej, rozdartego między dwie wrogie sobie cywilizacye, jej życia.

Wspomnieniami więc osobistemi będę się posługiwać przedewszystkiem w obrazowaniu obecnem kraju i ludu.

Podróżny, szybujący z Tryestu po modrych wodach rozkosznego Adryatyku, „sinego morza”, wśród fantastycznego łańcucha wysp słowiańskich — zawijając do wdzięcznych portów dalmackich, od stołecznego Zadru (Zary) do słynnego Dubrownika (Raguzy), ani przeczuwa, co za kraina, oryginalnie ciekawa, tuż po drugiej stronie nadbrzeżnego pasma dzikich Alp Dynarskich się rozciąga.

Niewiele mu pomoże znajomość reszty Słowiańszczyzny, znajomość języka Horwatów czy Serbów, nie domyśli się, nie dopyta nic — tego, co później własnymi oczyma ujrzy. A napewno spotka tu wszędy niespodziankę.

Skoro tylko bowiem z surowych poszarpanych skalnych wyżyn, osłaniających ujmująco-śliczny Dubrownik w jego napół weneckiej szacie świątecznej, spuści się on ku rozdołom, prowadzącym na widownię walk zawziętych, bratobójczych obecnej chwili — już się czuje w innym świecie,

w świecie osobnym, odosobnionym, zwartym i zaokrąglonym w sobie. Czuje to nawet wtedy, gdyby znał już pierwszą Dalmację i Bośnię, a nawet Czarnogórze.

Istotnie, skromna Hercegowina stanowi w sobie skończoną drobną całość w łonie Słowiańszczyzny południowej.

Droga moja w głąb kraju prowadziła mnie przez najciekawsze strony — po krainie pieśni i wiekowych walk bohaterskich. Jechałem z Dubrownika, na Trebinję obronne i głośny Stolacz, do Mostaru.

Mostar to nie tylko stolica, ale najistotniejsze zarazem środkowe ognisko Hercegowiny pod każdym względem. Leży on nad Neretwą (Narentą), w połowie jej wezbranego z północy biegu. A właśnie fantastyczne ugrupowanie porzeczki dopływów kapryśnych Neretwy, tworzących z nią razem najfantastyczniejszą ze znanych sieć hydrograficzną, ściśniętą wspaniałym półwieńcem granicznych grzbietów Alp Dynarskich — stanowi Hercegowinę.

Mostar więc musi się stać dla każdego najgłówniejszym punktem oparcia w wycieczkach, mających na celu bliższe, wszechstronnejsze poznanie kraju. Oczywiście też, stał się on takim punktem i dla mnie — tem zaś naturalnie, że znalazłem w nim przyjaciela z czasów dawniejszych, który, obeznany sam dokładnie ze swym światem, ofiarował mi się chętnie za towarzysza i przewodnika.

Robiliśmy tedy z moim „Kardaszmem” nieustanne wycieczki i studia — których wynikiem chcę się tu podzielić obecnie, poczynając od przedstawienia geograficznego zarysu Hercegowiny.

I.

W Mostarze młody mój „Kardasz” mieszkał w miłym odosobnionym ustroniu, nieco opodal za miastem, z północnej strony onego, od Bośni. — Z okien domu widać było z jednej strony rozległą płaszczyznę nagą, ciągnącą się wszcz od serajewskiej drogi aż do Neretwy — pamiętną

jako obozowisko zwycięskich wojsk Omera-baszy, po zgnieceniu przezeń bośniackiej szlachty, z drugiej zaś strony, tuż za ogrodem, wznosił się dzikimi ostępami Weleż majestatyczny.

Dzień 19 września przyniósł nam śliczną pogodę. Pierwszą zatem myślą, jaka nam przyszła, było postanowienie wdarcia się, tegoż poranku jeszcze, gdzieś na grzbiet górskiego olbrzyma — by stamtąd rzucić swobodniej okiem po dolinie Neretwy i pasmach gór okolicznych; by z mapą w ręku określić dokładniej w swej wyobraźni i same, tyle charakterystyczne, orograficzne kontury Hercegowiny. Młody zaś mój gospodarz, u którego zagościłem, znał kraj doskonale i jedyny był do podobnych wycieczek.

Ruszyliśmy tedy natychmiast po nieodzwonnej rannej kawie, we dwóch, po skalistych ścieżynach, ku najbliższemu szczytowi poszarpanego grzbietu Weleż-płoniny.

W początku szliśmy oczywiście dość raźnie i rączo, aż kamienie ścieżek chrzęszczały pod naszymi stopami lub, wyrывая się nam z pod nóg, z łoskotem spadały na dół, Ale pokazało się wprędce, że to nie tak łatwy na grzbiet dostęp, jak się nam na oko zdawał. Męczyliśmy się też najmniej dwie godziny dobre, nimeśmy się na szczyt dostali. Lecz zato jakżeż sowicie byliśmy wynagrodzeni!...

Na jak wielką dostaliśmy się wyżynę, trudno było określić: dalsze szczyty weleżskiego grzbietu, co się ciągną stąd wspaniale ku Newesinju, przewyższały znacznie ten, na którym myśmy zasiedli. Nie sięgają one wszakże wyżej nad 5000 stóp.

Ze skaliska naszego, stromo zwieszonego w stronę miasta, mieliśmy widok przepyszny. Długa modra wstęga Neretwy stanowiła jakby rozgraniczenie artystyczne krajobrazu. Po obydwóch jej brzegach jaśniejące w słońcu białe iglice minaretów świadczyły same jedne tylko o Mostarze, który gdzieś w ciemni szarej zaginął. Z prawej strony widzieliśmy, jak Weleż nasz w kilku niższych ogniwach łączy

się z dzikim Porimem, którego czuby 6,000 stóp przenoszą; goniliśmy za fantastycznemi zwrotami drogi serajewskiej, wznoszącej się ku nagim gór grzbietom. Ze strony zaś lewej wzrok nasz sięgał aż ku Dubrawie; mógł ścigać swobodnie oddalające się w głąb wierzchy Weleżu aż ku Truszyńie, zmierzającej stąd wprost ku surowym płoninom Czarnogórza.

Przed nami, bezpośrednio poza wstęgą Neretwy, wznosił swe ciężkie barki ponury Hum. Nie stał on wszakże samotnie. Od północy podchodziły ku niemu ostatnie odrośla grzbietów Czabulii-płoniny, przedzierającej się ku dolinie Neretwy, wybiegłszy z potężnego gór węzła, gdzie się stykają granice Hercegowiny, Dalmacyi i Krainy bosañskiej, na równinach słynnego w pieśniach Liwna. Od południa zaś przytykały do Humu zniżające się coraz wierzchy łańcucha Trtli, od granicy dalmackiej tu zmierzającego. Ale za to ponury Hum zasłaniał nam zupełnie leżącą tuż poza nim żyzną słynnie nizinę, której dno najgłębsze stanowi tak zwane „Mostarskie błoto”, wskazujące drogę do stołecznego niegdyś Dalmatów starożytnych *Dalminium* (dziś Duwna).

Ze skaliska naszego, na którym długo po zmęczeniu wypoczywaliśmy, mogliśmy dalej, przywoławszy zawsze usługę w takich razach wyobraźnię, zarysowywać swobodnie i same kontury graniczne Hercegowiny.

Był to zaś punkt kraju do tyła środkowy prawie bezwzględnie, że zdawało się, jakby został umyślnie przez nas potem wybrany. Czub bowiem Weleżu, ponad Mostarem się wznoszący, leży właśnie na połowie rozstajnych krzyżowo dróg Hercegowinę przerywających: najprzód między Bitownią-płoniną, stanowiącą wododział Bosny i Neretwy, więc Czarnego morza i Adryatyku — a wybrzeżem morskiem u tureckiego Kleku; potem zaś między węzłem trójgranicznym wzgórz u Liwna a działem górskim równicy Gacka od, należącego z natury do Czarnogórza, Nikszyczu.

Otóż poczynając od Liwna, stanął nam przed oczyma wyobraźni półwieniec łańcuchów, ściśle wiążących się z sobą, gór granicznych od Bośni i wód czarnomorskich. Grzbiety Raduszy, Bitowni, Iwan-płoniny i Librasnika, który się już zbliża do głośnego olbrzyma, do Dormitora. Dalej dzikie wierzchy czarnogórskie aż do nadmorskiej Sutoryny.

A dalej już chyba morze, aż poza Makarski port, do Policy i cieśniny Braczu.

Dzisiejsza bowiem południowo-zachodnia granica Hercegowiny od Dalmacyi półwieniec — polityczną jest tylko. Odnaczają ją wprawdzie to mniej — to więcej wyniosłe pasma gór, poczynając od Sutoryny do portu Kleku, a potem południowe odrośla wspaniałego grzbietu Prologu, co tu zmierza, porzuciwszy gniazdo macierzy wszystkich gór tutejszych, Dynary. Ale to tylko jeden z równoległych do morza łańcuchów górskich, jakie Hercegowinę gęstemi liniami aż do rozgranicza z Bośnią przerzynają, żadną miarą zaś jakaś naturalna geograficzna granica. Za takową bowiem jedynie tylko Adryatyk uważany być może, skoro przecież Hercegowina nie jest niczem innem, jak częścią najistotniejszą starej Dalmacyi.

W takich granicach pojęta, razem ze swem południowo-dalmackiem wybrzeżem, Hercegowina przedstawia dziwnie pełną, skończoną w sobie terytoryalną i topograficzną całość: jakiś odrębny światek maleńki, niezmiernie pod każdym względem charakterystyczny.

Najwyższą zaś oryginalnością odznacza tę krainę szczególnie jej charakter orograficzny i hydrograficzny.

Pod względem orograficznym przedstawia się nam Hercegowina jako kraj przeważnie alpejski. Stanowi ona jakby przestwór bardziej wyłączny Alp Dynarskich, rozrastających się tu w wieloliczne gałęzie, zmierzające ku połączeniu z Bałkanami. Łańcuchy te gór, równoległe prawie, przedstawiają wyżyny bardzo niejednostajne. Najwyższe ich grzbiety, szczyty i czuby nie wznoszą się wszakże ku linii stałych śniegów

i lodów. Stąd też kraj cały wogóle wygląda jako wyniosła równica, poprzerynana przestronnemi rozdołami, wszędy prawie w dość łagodnych ustępach w głębsze niziny spadającami. Wreszcie można tu dostrzedz i cechy tarasowego układu gór, równic i dolin, idąc od północo-wschodu ku południo-zachodowi.

Wogóle wszystkie góry Hercegowiny są formacyi wapiennej, wszędzie prawie zupełnie nagie i przedstawiają wzrokowi podróżnika widok nieopisanie surowy, pełen nieraz wspaniałości, lecz nigdy wdzięku.

Lasów dużych tu w tych górach, jak i w sąsiedniej Dalmacyi i Czarnogórze, nie widać prawie; gdy tymczasem Bośnia jest bardzo w nie bogata—i swemi dąbrowami słynie.

Dlatego też Dalmatyńcy podróżnemu, wybierającemu się w tamte strony, zwykle powiadają: dopóty Hercegowiny, dopóki skał; Bośnia zaś tam — gdzie się las poczyňa.

Co do stosunkowej wysokości łańcuchów, przeryniających Hercegowinę, wogóle jedną można zrobić uwagę, że, wyjąwszy wyniosłe grzbieńie idącego z północy od Dynar pasma Prologu, wznoszą się one wszystkie prawie tem wyżej, im bardziej zbliżają się ku południowi. Pasma naprzykład gór wododziału mórza Czarnego i „sinego” (Adryatyku), poczynając zaledwie od 5 tysięcy stóp wysokości, w biegu swym ku południowi wznosi się do 6 tysięcy, dopóki narreszcie nie wystrzeli u rozgranicza Hercegowiny, Rascyi i Czarnogórza białymi szczytami dolomitycznego olbrzyma Dormitora wyżej niż 7,600 stóp nad powierzchnią morza.

Odpowiednio do głównego kierunku łańcuchów gór, ciągnących się równolegle a schodkowato z północo-zachodu na południo-wschód, roztaczają się też niziny i wysokie przestronne równice, powszechnie tu nazwę „pól” noszące.

Jadąc od Dubrownika (Raguzy) ku Mostarowi, miałem tedy po drodze naprzód równicę Trebińską, dalej zaś Popowe pole, tak nieszczęśliwe w obecnej chwili, i pole Lubińskie ku Stolaczowi; a z prawej mi strony ciągnęły się pła-

skowzgorza Bileku, Gacka, Newesinja i t. d. Co wszystko razem stanowi dziś właśnie wspaniałe surową widownię walk zapamiętałych.

W porównaniu ze światem tatrzańskim dziki alpejski charakter Hercegowiny przedstawić się nam musi jako ostateczne przeciwieństwo tamtego. Nie szukajmy też w niej tego łagodnego wdzięku konturów turni, kop, wirchów; tej świeżości hal zielonych i boków gór, regli — bukiem, modrzewiem i kosodrzewiną okrytych; tych licznych strumieni żywych, stawów i t. p., co nas tak niezwalczenie ujmują w Tatrach. Świat to przeważnie skalisk dzikich, „pororów” — otchłani ukrytych i niedostępnych przepaści. A prawy Hercegowinieć tu, podług przysłowia wymyślniejszych sąsiadów, „kao wuk hoda”, jako wilk błądzi — osobliwie jeśli go własni Turczyni „u hajduke” odejść zmuszą.

Wracaliśmy i my ostrożnie „kao wucy” z naszego czubu skalistego Weleżu, przy jasnym słońcu południa, pilnie bacząc, by też po „piergach”, co tu nieskończenie dokuczliwsze, niż w Tatrach, nie osunąć się gdzieś za głęboko z jakiej skalnej urwy.

Daleko jeszcze ciekawsza i oryginalniejsza jest Hercegowina pod względem hydrograficznym.

II.

Następnego dnia po wycieczce na Weleż ruszyliśmy z mym Kardaszymem brzegiem Neretwy w stronę groźnego Porimu.

Okolice nagie tu i puste: lewy brzeg na znacznej przestrzeni zaniesiony jest zupełnie kamieniskiem, jakie tu corocznie z pierwszą wiosną pędzi roztopa z podnóża Weleżu; brzeg prawy wszakże daleko żyzniejszy.

Cieszyliśmy się jasną wodą Neretwy.

Muszę tu przypomnieć charakterystyczne bardzo porównanie, dotyczące Neretwy, jakie zrobił mój towarzysz.

Rzeka ta wygląda na mapie jak wierzba płacząca, zgięta w kabłąk w połowie swej wysokości, tak, że warkocze jej wierzchołka ziemi prawie dotykają.

Istotnie dziwny też jej bieg wielce.

Wierzchowiska Neretwy czy Narenty, jak ją obcy zwykli nazywać, tryskają głęboko na południu, z wyżyn Czemerny i Moriny-płoniny, oddzielającej najrozleglejszą równicę Hercegowiny, znaną pod nazwą Newesyńskiego pola; poczem górskie od źródeł potoki wnet się w sporą dość rzeczkę łączą. Stąd płynie Neretwa wprost na północ pierwotnie, a potem zwraca się na północo-zachód, ku Konicy, leżącej w pobliżu granic bosańskich. Od tego miejsca zaś aż do ujścia Ramy płynie ona na zachód. Lecz tu zwraca się nagle na południe i pędzi w zupełnie przeciwnym kierunku od swego pierwotnego biegu ku Mostarowi. Następnie od ujścia dopływu swego Buny zwraca się nieco ku południo-zachodowi, u Metkowicz wkracza w granice austriackie i u Opużu wielu ramionami wpada do zatoki morskiej, noszącej u Włochów nazwę Canale della Narenta.

Wogóle nawet co do wód Hercegowiny można zauważyć, że mają one, w kraju tak przeważnie alpejskim, z góry sobie zakresłony bieg swój. Najprzód przez owe równoległe pasma wyżyn tyle charakterystyczne; a potem przez głębokie rozpadliny w grzbietach gór, pozwalające wodom wdzierać się w nie gwałtownymi zwroty i płynąć dalej korytem innego łożyska.

Co więcej, zakresłają też często bieg ten, odznaczające równie wyjątkowo Hercegowinę, liczne jaskinie, otchłanie, przepaści. Znajdujące się tu między opokami gór odpływowe jamy niezmiernej głębokości, do kraterów podobne, lud miejscowy „ponorami” nazywa.

W ich głębi nikną deszczowe wody. Ale też niejednokrotnie ginie w takim ponorze i rzeka cała, by po pewnym przeciągu, kilkumilowym i więcej, podziemnego biegu wy-

dostać się znów na powierzchnię ziemi przez nową otchłań wśród skalisk dalszego gór podnóża. ...

Hercegowina, jak rzadko który kraj alpejski, obfituje w podobnego rodzaju ponory i otchłanie.

Nadto, po całym kraju doliny zamknięte i głębokie obniża przedstawiają wszędzie ślady potoków i jezior czasowych. Nieraz też w porze dżdżystej podziemne wodozbiory wylewają na powierzchnię.

Nic w tem wszakże stałego niema pod względem hydrograficznym. Oto jakieś jezioro naprzykład, wskazywane przez pewien czas na mapach, przestaje potem istnieć, bo podziemne sklepienie dna onego osuwa się z jakiegoś powodu, rozwierając wodzie ukryty odpływ. Natomiast powstaje gdzieindziej nowe jezioro w obniżu, którego odpływy podziemne zostały zaniesione zaspami kamieni.

Mimo to wszystko, wogóle jednak można powiedzieć, iż wody Hercegowiny, razem wzięte, stanowią jedną jedyną sieć hydrograficzną, której główną arterią jest Narenta. Wszystkie sporadycznie ginące w ponorach potoki ostatecznie ku niej najwidomiej spływają.

Z zachodu naprzykład owa Listica, nad którą leży starożytne Duwno (Dalminium), przepłynąwszy w ciągu $2\frac{1}{2}$ godzin Mostarskie-błato, ginie w ponorze u podnóża Humu, by niebawem znów się wydostać na powierzchnię i jako Jasenica złączyć się z Neretwą.

Nawet wody dalekiego rozgranicza od Czarnogórza zmierzają do tego zbiornika. Oto bystra Muszyca, orzeźwiająca wysoką równicę Gacka, zginąwszy następnie w otchłani, ocuca się dalej na powierzchni jako Koleczka-rjeka, co użyznia sławne Newesinja-pole, potem ginie znów w ponorze; lecz po pewnym przeciągu wyrывa się z pod ziemi jako znana nam już Buna, wpadająca wprost do Neretwy.

Ale nic bardziej interesującego nad bieg Trebińczycy na południu kraju. Zjawia się ona, znika, ażeby znów się dać widzieć. Wypływa ona z górskich otchłani u groźnego

zamku Bileku i pędzi ku Trebinju. Dalej rozpryska się na ramiona pojedyncze, z których jedno, przerznawszy w jeziorzyskach głośnie Popowe-pole, ginie w ponorze, by potem pod nazwą rzeki Krupy spieszyć równie do Neretwy; drugie ginie gdzieś u dalmackiej granicy. Znikająca od północy w przepaściach skał Czernica jest dopływem podziemnym Trebińczycy; jak z przeciwległej strony znakomity wodotrysk Ombla, ciskający swe wody do portu gruzkiego (Gravosa), powyżej Dubrownika, ma być tylko jednym z ujść innego ramienia Trebińczycy, które się ponad górami ku morzu przedziera.

W dolnym swym biegu Neretwa może być splawna od Mostaru nawet, ale dobroćliwość apostolskiego sąsiada dba już pilnie o to, by naturze i Anglikom przeszkodzić.

Tu już rzecz tłómaczy historia.

Jakby na straży węzła hydrograficznego Neretwy, rozsiadł się wspaniale stołeczny Mostar.

Nigdy nie zapomnę wrażeń poranku, którego raz pierwszy poznałem tę stolicę Hercegowiny.

Droga od strony Stolaczu prowadziła mnie głęboką doliną Neretwy. Na prawo w oddali jaśniały wspaniałe zwaliska starożytnego zamku Błagaju, niegdyś świetnej rezydencji „hercoga” Stefana. Przedemną zaś zarysowywały się coraz wydatniej dwa znane nam już bliźniacze jakby szczyty: Weleż i Hum, z pomiędzy których wydzierła się ku morzu fantastyczna macierz kapryśnych wód Hercegowiny.

Na falistych pochyłościach łagodnego pasma wzgórz, z prawej strony drogi poczęły wyglądać coraz częściej, z pomiędzy purpurowo żółknącego liścia sadów i winnic, schludne dworki i domki wiejskie.

— Czyje to, Jowanie? — pytam mego podwódę, uboższego wieśniaka, katolika.

— A czyjeż? pewnie ci nie naszego człeka: wszy-

stko, co widzisz, gospodynie, agów i begów! — odpowie z goryczą mój współwierca.

Poilem się mimo to z jakąś niewymowną rozkoszą tym widokiem, przypominając sobie podobnie białe dworki i sady Podola.

Po pewnej przerwie, jakby kończąc tylko w głos niemy proces myśli swych ukrytych, mem zapytaniem obudzonych, dodaje mi Jowan zcicha:

— Należało to kiedyś naszej wierze — i, „krściańskie mi wjere”, znów należeć będzie!...

— Niedoczekanie wasze! — wybuchnie na to zapalczywy Ryzwan-aga, drugi towarzysz mój — muzułmanin.

Lecz oto minarety i miasto...

Istotnie poczęły się w tej chwili wychylać z poza wzgórz wysmukłe białe strzały minaretów, pod nimi uwydatniały się powoli kształtne kopuły „dżamii”, a niebawem i cała południowa część miasta odsłoniła się przed naszymi oczyma.

Przepyszny też widok przedstawia Mostar z tej strony. Widok ten wszakże nie tyle pięknym, ile surowo-wspaniałym zwać się może. Miasto wprawdzie, ciągnące się, ze wschodnią nieprzymuszonością, dwoma długimi pasmami kamiennych budowli, po obydwóch brzegach Neretwy, przedstawia samo w sobie dość łagodnie malowniczy obraz przeważnie muzułmańskiej siedziby. Siedzibie tej kamiennej, otaczające ją w dwóch półwieńcach wiejskie niby zabudowania na pochyłościach wzgórz, razem z winnicami, wśród których giną, nadają jeszcze bardziej ujmujący, sielski jakiś charakter. Ale ponad kotliną rzeczną, którą Mostar zajmuje, wznoszą się ze stron obydwóch Neretwy surowo, dzikoma majestatyczne szczyty górskich skalisto-nagich olbrzymów, które własne swe piętno surowe nadają z konieczności i całej, tyle ożywionej skądinąd, dolinie mostarskiej. Olbrzymy te wapienne, od wschodu Weleż, od zachodu Hum, zdają się tu być jakoby rozdarte tylko połowy jednej niegdyś

masy, która ustąpić musiała przemocy jakiegoś kataklizmu w połączeniu z następsem powolnym działaniem wód. Wszystko to zaś właśnie uderza wzrok odrazu i przedstawia mu ogół widoku w mniej łagodnym zarysie.

Zbliżyliśmy się do miasta,

Nieco opodal od drogi, ku rzece bliżej, stały duże muryrowane koszary wojenne, niezajęte teraz — pamiątka, zdaje się, z czasów Iskender-bega (Ilińskiego) i Omera-baszy, którzy ostatecznie upokorzyli nieugiętą dotąd dumę tutejszej muzułmańskiej szlachty.

Wjechaliśmy nakoniec w długą nieskończenie główną ulicę miasta. Wyjawszy niektóre meczety, nic tu wspaniałego: domy, bazy — wszystko nosiło cechę prowincjonalnej skromności.

Lecz za to spotyka tu Europejczyk na pierwszym raz wstępie coś takiego, co mu każe zapominać o obecnej chwili najzupełniej.

Posiada bowiem, jak wiadomo, Mostar wielce świetną z czasów rzymskich pamiątkę, która stała się nawet powodem jego nazwy samej.

Łatwo więc domyśleć się, że mi po przybyciu do miasta chodziło najpierwej o „most-star”.

Naprawdę śliczna to pamiątka, jaką i tu po sobie cesarz Trajan zostawił a którą, uszkodzoną z biegiem czasu, groźny sułtan Soliman II w pierwotnym stylu odnowić kazał!

Most ten kamienny, z dużych płyt, wspaniale, jedną tylko arkadą, brzegi Neretwy łączy. Obwód samego jej łuku do 90 stóp dochodzi, wysokość zaś ponad zwierciadłem wody 70-ciu nie przenosi. Most też osłaniają dość ładne wieżycy obronne. Wszystko zaś razem inny świat tu przypomina...

Mostar, pomimo to, iż przez swe położenie samo stanowi naturalną stolicę Hercegowiny, jako najbardziej środkowy punkt kraju, nad jedyną prawie większą onego rzeką —

nie należy wszakże do miast starożytniejszych południowej Słowiańszczyzny.

Rzymianie wprawdzie dostatecznie oceniali ważność tego punktu strategiczną i rzucili przez Neretwę ów piękny most, co tyle wieków przetrwał; ale nie przenieśli tu administracyjnego ogniska podległej im krainy. Stolicą właściwą tej części Illiryku było dzisiejsze skromniutkie Duwno, u starożytnych Dalminium, o parę godzin jazdy na północo-zachód od Mostaru leżące, które nadało swą nazwę „Dalmacyi” i całej pobrzeżnej tu ziemi.

Za starych czasów horwackich i serbskich słynie tu, równie dziś skromna jak Duwno, Rama, u wierzchowiska potoku tejże nazwy, bliżej bośnijskiej granicy; a obok niej Trebinje i inne grody.

Przejazd przez Trajana „most stary” był znany powszechnie; mogła tu nawet istnieć osada tego nazwiska; lecz właściwe miasto Mostar założył tu dopiero około r. 1440 Radowoj Gost Kuropalato, marszałek nadworny władcy kraju okolicznego, „hercoga” Stefana.

Potem już Turcy, po zdobyciu Hercegowiny, podnieśli z czasem miasto to do znaczenia stolicy prowincyi.

Miewało ono i swoich wezyrów, niezawisłe od Bośni. Dziś wszakże zarządza tu tylko „mutesaryf”, zależny od „wali-paszy”, rezydującego w bosańskim Serajewie. Mimo to ześrodkowuje się tu prawie zupełnie i główny zarząd krainy. Jest też „mufty”, zwierzchnik duchowny prawowiernych, jest „kady” wyższego stopnia, przewodniczący sądownictwu i t. d. Rezydują tu i konsulowie większych państw europejskich.

Obecnie Mostar jest miastem surowo i przeważnie muzułmańskim. Na 18,000 mieszkańców wogóle znajduje się tu zaledwie do 4,000 chrześcijan; a na parę skromnych wielce świątyń greckich i katolickich będzie tu do 40 meczetów. „Mostarlije” prawowierni słyną też ze swej gorliwości religijnej.

Lecz nieskończenie więcej, niż owo ognisko muzułmanizmu Hercegowiny, musi nas obchodzić ta część onej, która przedstawia widownięć walk rozpasanych.

Jest to kraina pod względem nawet geograficznym wielce interesująca, gdzie orografia i hydrografia jakby podały sobie ręce dla stworzenia istnej fantasmagoryi — turni i otchłani, wysokich równic i nizin przepaścistych, dalej — skalisk dzikich, źródlisk śmiejących się, pól, jaskiń, wąwozów...

Ciągnie się ona szerokiem pasmem, poczynając od dawnej granicy rzeczypospolitej Dubrownika, między dolnym biegiem Neretwy i jej następnie wierzchowiskiem — z jednej a rozgraniczem Czarnogórza z drugiej strony, aż ku grzbietom górskim wielkiego wododziału. Przekracza je potem i posuwa się przez wierzchowisko dopływów Dryny, wpadającej do Sawy, i opiera się o granice Serbii i właściwej Rascyi.

Spotykamy tu na tej przestrzeni najprzód równicę rozkoszną Trebińczycy — nieszczęsne tyle w ostatnich czasach „Popowe pole”, osiadłe przez dumny lud katolicki. Powyżej znakomite niegdyś Trebinje Ś-go Savy, stolicę poważnego niegdyś księstwa, potem silną twierdzę turecką. Tuż w stronie Dubrownika — monaster wschodni Duży i okolicę Zubcy, wiecznie żarzące się ognisko powstania. U górskiego zaś źródła Trebińczycy zamek obronny turecki Bilek.

Po drodze ku Mostarowi jeszcze dwa zamki: Stolacz, głośny z rozpaczliwej walki szlachty z padyszachem i reformą, i Lubinje. Dalej świetne pole Newesynja, gdzie właśnie najprzód wybuchnęło obecne powstanie.

Za Bilekiem zaś, ponad granicą Czarnogórza, lub w blizkiem onego sąsiedztwie — górne okolice bitnych Banian, Nikszyczów, Gacka, Piwy i t. d., najeżone ostrożkami i zamkami tureckimi — i codziennie oto prawie zraszane krwią w walce nieprzemожonej. Tu też idą łańcuchem i pobojo-

wiska głośniejsze chwil ostatnich — Plana, Krstacz, Piwa i t. d. aż za wyniosły Dormitor, ku Starej Serbii.

Prawy brzeg dolnej Neretwy z zamkiem Lubuszka mało jest niepokojony.

III.

Hercegowina, pomimo swej, ściśle zwartej w sobie, odrębności geograficznej, zbyt jest wszakże niewielką krainą, by mogła stanowić świat własny, odrębny — w życiu wyosobniony. Niezbędny dla niej swobodny oddech ku morzu. A „sine” morze zespala ją nieuniknienie z całem już wschodniem pobrzeżem.

W głębokiej starożytności była to dziedzina ludów illirskich, najbliższych pobratymców Pyrrusa, króla Epiru, groźnego przeciwnika Rzymian. Illirowie ci starzy, praojcowie dzisiejszych Albańczyków, Arnautów, Skipetarów, dzikich a bitnych, zajmowali całą zachodnią połowę półwyspu Bałkańskiego. Sąsiadowali oni z pokrewnymi sobie ludami Traków od wschodu i razem z nimi wiązali się u północy, za dolnym Dunajem, z trzecią tegoż rodu gałęzią — Daków.

Zjednoczone trzy te gałęzie stanowiły odrębny szczep, któremu dalibyśmy jedną ogólną nazwę pelazgickiego, gdyby ta nazwa była tyleż określona, ile jest klasyczna. Wszakże to możemy pewnie wskazać, iż szczep ten, najmniej z europejskich znany, przedstawia jakby węzeł pośredni między rodami Italów i Hellenów a Słowianami. Skąd też następnie, w ciągu z górą lat tysiąca, w przeważniejszej swej masie, zlał się on zupełnie z tamtymi — przechowawszy samoistość tylko w niedostępnych górach Albanii.

Bitni, długie wieki niezależni Illirowie ukorzyli się przecie przed pobratymcem macedońskim — Aleksandrem i ulegli przemocy Rzymian. Pod władzą rzymską posiadali wszakże tyle znaczenia, iż legiony illirskie uważane były

za jedne z dzielniejszych, a cesarze, dzieląc świat rzymski na cztery dzielnice, jednej z nich dali nazwę Illiryku.

Częścią składową właściwej Illiryi była też Dalmacya, obejmująca w sobie i terazniejszą Hercegowinę. Co więcej, licha dziś miejscina hercegowińska, zwana obecnie Duwno, u Rzymian zaś Dalminium, stała się, jako stolica illirskiej krainy okolicznej, powodem następnej ustalonej jej nazwy. Hercegowina z wybrzeżem swem stanowiła południową Dalmację.

Przy pierwszym poruszeniu się ludów słowiańskich z za Dunaju na południe, w czasie wielkiej wędrówki narodów, niezawodnie i spustoszona poprzednimi napadami drużyn germańskich i turańskich hord, starożytna Dalmacya została przez nie wcześniej zagarnięta. Miejscowy pierwiastek staro-illirski dał się tu całkiem pochłonąć przez Słowian. Ostatecznie wszakże mogło to zajść dopiero po przywołaniu tu przeciw Awarom, w VII po Chr. w., przez cesarza byzanckiego Herakliusza Słowian nad-karpackich, Horwatów i Serbów. — Jedne miasta tylko pobrzeżne długo jeszcze pozostały rzymskimi.

W południowej Dalmacyi, późniejszej Hercegowinie i Czarnogórze, na południe od rzeki Cetyni, wpadającej do Adryatyku, spotkały się obydwie pobratymcze rody północne. W zespoleniu się przecie następne Serbowie przemogli, wiążąc nadbrzeżne krainy ściślej zemi węzły z dalszemi rodu swego siedliskami nad Rasą, Morawą i Bosną.

Byt pierwotny mieszkańców tych ziem w ciągu wieków całych był patryarchalno-rodowy. Każdy ród tu, każda „żupa”, żyły niezależne od siebie — nie stanowiąc ani związku państwowego, ani narodu nawet we właściwym znaczeniu, poddając się to przemocy byzanckiej, to opiece pobratymców — Horwatów lub Bułgarów już usłownianionych. Serbskie bowiem plemiona nieskończenie później od sąsiadów przyszły do ogólnie narodowego przeświadczenia i wspólnego politycznego bytu.

Rozproszone po szerokich przestrzeniach równic, dolin i płonin, pojedyncze „żupy” (opola) łączyły się z sobą w większe lub mniejsze, stosownie do okoliczności, grupy — i znów się rozprzęgały. Potęga więc zwierzchniczych żupanów, banów, knezów była bardzo tu zmienna, jak były zmienne i większych żup granice.

W Hercegowinie, razem z Czarnogórzem, spotykamy w X w. następne żupy ważniejsze, poczynając od wybrzeża morskiego:

Neretwa dolna czy Narenta, u ujść rzeki tejże nazwy — niewielka, lecz głośna i groźna przez pewien czas swem korsarstwem. — Na południo-wschód od niej Trawunia, nad Trebińczycą, z miastem Trebinjem i Konawljem pobrzeżnem. Ponad niemi na północ ciągnęło się długiem pasmem Zachelmie (Culmia Zachlunia), nieraz od portu Makarski, przez rzekę Neretwę, aż do równicy Gacka sięgające. — Od granicy zaś bosańskiej — Rama, nad rzeką tejże nazwy, uwieczona z czasem koroną w tytule królów Bośni i węgierskich. — Dalej Zeta — czyli właściwe Czarnogórze, również od rzeki tejże nazwy. — Nakoniec Dukla (starożytna Dioklea), czyli Podgórze, u Skadarskiego jeziora i rzeki Moraczy.

Żupanowie atoli dyoklejscy byli najpotężniejsi i posiadali nieraz całą północną Hercegowinę: Piwę, Neretwę górną i Ramę; obok nich dzielniej występowali zwierzchnicy Zachelmia i Trawuni.

Nie łączyła rozprzężonych tych żup serbskich Hercegowiny nawet jednoistna religijna cywilizacya.

Jak wiadomo bowiem, cały Illiryk był dzielnicą zachodniej połowy cesarstwa rzymskiego. Najwyższe więc bezpośrednio religijne nad nim zwierzchnictwo, mimo władzy świeckiej byzanckiego cesarza, należało tu zawsze z prawa i zwyczaju do papieża rzymskiego. Pierwsze wreszcie ziarna nauki chrześcijańskiej rzucone tu były przez kościół italski, zachodni; pierwsza nawet nauka apostołów słowiańskich

szerzona była pod błogosławieństwem papieża. Lecz wiadomem jest równie, że kościół ten nowy słowiański, obrządek ten cerkiewny, stał się wprędce przedmiotem namiętnego a gorszącego sporu między Rzymem i Konstantynopolem. A gdy ostatecznie na soborze w Splecie (Spalatro) 925 r. obrządek słowiański został przez kościół zachodni w zasadzie odrzucony — wyznawcy onego stalsi, tem bardziej stanowczo, ku Byzancyum się przechylili.

Stało się to zarazem powodem następnego rozbratu pomiędzy tak blizkiem rodzeństwem, jak Horwaci i Serbowie, krzyżując, gmatwając dalej wszelkie nawet pojęcia narodowe. Kto wśród Serbów pozostał katolikiem, uważany być począł za Horwata, Horwat zaś obrządku wschodniego miał siebie za Serba.

Hercegowina ze swem Przymorzem, jakieśmy nadmienili wyżej, stanowiła przejście od Horwatów ku Serbom. Zlewały się tu w jedno obydwą żywioły narodowe, spotykały się w niej wszędy obydwą obrządki. Lecz co więcej, ponieważ żaden z tych obrządków nie mógł tu stanowczo otrzymać przewagi w walce — sam też chrystyanizm u ludu był długo niezmiernie chwiejny i słaby. Otóż wcześniej tu bardzo, podobnie jak w sąsiedniej Bośni, poczęła się krzewić, wielce skądinąd sympatyczna dla pogańskiej Słowian fantazyi, dualistyczna nauka dalekiego Iranu. W postaci manicheizmu do Europy zaniesiona, przybrała ona zupełnie narodowe szaty w Bułgarii jako bogomilstwo — i wystąpiła teraz śmiało do walki z nauką prawowierną obojga obrządków.

W X-tym zatem już wieku Hercegowina, jako węzeł etniczny i cywilizacyjny, przedstawia w sobie, niby w kłębku zwiniętym, zawiązek wszystkich pasem, jakimi w następne wieki roztoczyło się narodowe, religijne i polityczne życie illiro-słowiańskich ludów wogóle.

Otóż z jednej strony — na katolickiem przeważnie jej Przymorzu, wykwita słynna rzeczpospolita dubrownicka

(Raguza) — w której przez długi czas skupia się całe umysłowe życie Horwatów, cała stara świetność ich piśmiennictwa. Z drugiej strony, z rodu żupanów dyoklejskich, posiadających całą już prawie głębszą Hercegowinę, powstaje dynastia, co skupia wszystkie rozproszone plemiona Serbów w jedną polityczno-narodową całość i, po raz pierwszy właściwie, wyprowadza na szerszą historyczną widownię naród serbski. Nakoniec, mimo surowego przeciwdziałania prawowiernych chrześcijan, głęboko tu zakorzenione bogomilstwo, ułatwiając z czasem przyjęcie przez szlachtę muzułmanizmu, sprowadza w dalszym wyniku upotężnienie moralnych podstaw przemocy tureckiej i dzikie następnie rozszerzenie się stosunków społecznych.

Chociaż co do tych ostatnich stosunków, nie możemy zapominać, że już w X wieku widać wyraźnie w zawiązku normę ich późniejszą. Szlachecka klasa „własteli”, „plemstwa”, pochodząca od przewodniczącej warstwy pierwszych drużyn horwackich i serbskich, przybyłych tu z Wielkiej Chrobacy i Wielkiej Syrbii, wynosiła się już wtedy wysoko nad wolnym ludem „sebrów”, ciężyla surowo nad poddańczym „neropchem”.

Wszakże w zapaśniczym wazeniu się narodowo-cywilizacyjnych pierwiastków składowych Hercegowiny żywioł serbski i wschodnio-ortodoksalny stanowczo wziął tu górę. Co więcej, do takiego stopnia upotężnił się następnie, że kraj nad Neretwą i Moraczą długo uważany był za serce Serbii, za ognisko jej moralnego życia — za Serbię *per excellentiam*.

Wyrokowały tu fakta.

Oto bowiem nie kto inny, lecz ród żupanów Dukli, przemożny w Hercegowinie, ród głośny Nemanjów, skupia w połowie XII wieku wszystkie żupy serbskie w jeden państwowy ustrój i uwalnia je ostatecznie od zawisłości byzantyjskiej. W początku XIII wieku, gdy syn Nemanji Stefan „přovienčani”, pierwszy z żupanów wielkich przybrał

tytuł króla; brat jego świętobliwy Sava, na którego dział przypadły ziemie Hercegowiny, został duchownym oświecicielem Serbów. Światła jego gorliwość, jako pierwszego (od 1221) arcybiskupa Serbii, natchnęła nowem życiem zagrożony obrządek słowiański — osobliwie w Hercegowinie, pospolicie odtąd ojcowizną jego — „patrimonium S. Sabbae” nazywanej. Nakoniec stanowiła Hercegowina integralną część carstwa słynnego Stefana Duszana (1336 — 1355), współczesnego z Kazimierzem W. i jak ten znakomitego prawodawcy — uczestnicząc w dobrodziejstwach, jakie zlewały na całe serbskie plemię sława i potęga jego panowania.

Po śmierci Duszana, gdy doprowadzone przezeń do najwyższego szczytu potęgi carstwo serbskie poczęło się rozprzegać, wojewodowie ojcowizny Ś. Savy stali się wprędce znów udzielnymi panami kraju. Tem zaś naturalniejszem to się stawało, że po śmierci ostatniego Nemanicza, Urosa V (1367), już nie mogło być myśli nawet o utrzymaniu ściślejszej politycznej wszystkich ziem serbskich jedności.

Przez pewien czas wszakże podlegały ziemie, leżące nad Neretwą, zwierzchnictwu sąsiednich banów Bośni, z których Twerdko Kotromanowicz przybrał 1376 tytuł króla, razem z uświęconą zwyczajem nazwą Stefana (t. j. uwieńczonego).

Niebawem przecie straszna burza turecka rozwiała i ostatnie ślady spoistości między dzielnicami plemion serbskich, godząc zarazem i na samą niepodległość ich narodową.

Na smutnej pamięci pobojowisku Kosowego pola (1389) obok zwierzchnika szumadyjskiej Serbii „cara” Lazara stawał jeszcze i „kral” Twerdko. Wprędce potem i znaczenie Bośni padło.

Wśród tych okoliczności porzecze Neretwy z ojcowizną Ś. Savy również coraz bardziej się wyosobniało. Wojewoda ziem zachęmskich Stefan szuka poparcia swej powagi na Zachodzie i przyjmuje od cesarza Fryderyka III

tytuł „hercoga” ś. państwa rzymskiego. Odtąd ziemie mu podwładne poczynają nosić wyłączną nazwę „Hercegowiny”.

Ściśnięta groźnem sąsiedztwem potęgi otomańskiej, ozdobiona nowym tym tytułem, kraina ta staje się jeszcze miejscem przytułku dla prześladowanych okrutnie w Bośni dumnych wyznawców bogomilskiego dualizmu, patarenów, których śmiało popiera jeszcze uniezależniający się zewsząd nowo kreowany hercog.

Dalej, gdy nawet ostatni król Bośni Stefan Tomasze-wicz zginął 1463, na rozkaz Mahometa II, przed basztami pysznego zamku tegoż „hercoga” Stefana — Błagaju, a sama Bośnia została zamieniona na ejalet turecki — Hercegowina, dzięki swemu położeniu, jeszcze utrzymała przez pewien czas swą niezależność.

Nie dłużej atoli trwał stan taki nad lat dwadzieścia. W 1483 r. bowiem zagarnęli i ją Turcy pod swą władzę. Ojcowizna Š-go Savy, podobnie jak Bośnia, zamieniona została pod nazwą „Herseku” na muzułmański ejalet.

Jaki stan rzeczy sprowadził za sobą w Hercegowinie podbój turecki — nie potrzebujemy tego szeroce tłumaczyć...

Najprzód zaszło tu powoli podobne przeobrażenie wszelkich społecznych stosunków, jakie zachodziło zwykle w krajach, podbijanych na czas dłuższy przez wyznawców koranu. Następnie zaś zaciężyla nad nieszczęśliwym ludem okrutna, we wszystkich zakresach jego życia, niewola: niewola — religijna, polityczna, społeczna, jednym słowem — sromotna niewola poddańczej „rai”.

Podobnie jak w Bośni, a po części i we właściwej Serbii, niewolę tę ugruntował i rozsrożył zarazem fakt jeszcze jeden niesłychany. Oto przeważna większość starożytnych rodów szlacheckich — włastelów, plemstwa zawsze tu butnego, dla wielu jednocześnie współdziałających pobudek, przyjmuje naukę Mahometa i, nie zapierając się swej narodowości, przechyla się całem sercem ku nowym ideałom życia.

Razem ze szlachtą dały się unieść nowemu prądowi i miasta — podsycane potem, z biegiem czasu, przemożnie, przez wzrastające coraz w liczbę rodziny janczarskie.

Prawdziwi Turcy wprędce tu zatonęli w potężnej warstwie miejscowych „Turczynów”, niepostrzeżenie poczynających uważać siebie za prawowierniejszych nawet wyznawców koranu od samych „Osmanlijów”.

„Islam” zaś ze swej strony był zbyt mało wymagającym od nowych wyznawców. Zostawiał on im nietykalną ich narodowość, ich prastary obyczaj domowy, cały narodowy i rodzinny ustroj ich dawny; zostawił im jednożęstwo, solidarną własność rodu, wyborczość przedstawicieli onego, dawny tryb dziedziczenia. Zostawił wszelkie nadto starosłowiańskie ściślejsze związki ekonomiczne i moralne — „zadrugę”, „pobratymstwo” i t. d. Wymagał zato jedynie — uznania monoteistycznej nauki proroka i zachowywania pewnych, bardziej wyróżniających się, zewnętrznych i obrzędowych przepisów koranu.

Następstwem tego nieodzownem było szybkie i poważne unarodowienie islamu. Stało się to zaś tem łatwiej jeszcze, ile że, o czem nie powinniśmy zapominać, bardzo znaczna część renegatów, jako dawniejsi patareni, byli już przedtem wcale wątpliwymi chrześcijanami.

Przyjęcie islamu dawało nadomiar tego wszystkie prawa panującego narodu, przewagę przewodniczącej klasy zwierchniczej.

Zato tem większy ciężar spadał na pozostałą, wierną nauce Chrystusa, nieszczęsną „raję”!...

Podbój turecki przeobraził, z natury rzeczy, cały poprzedni charakter społecznego ustroju Hercegowiny.

Podstawy onego pozostały też same, prastare, słowiańskie; wylew atoli niepowstrzymany, pochłaniającego wszystko w swym gwałtownym pochodzie, obcego żywiołu, nie mógł pozostać bez wpływu potężnego. Przemoc turecka wносиła tu wszystko niemal nowe: nowe ideały wiary i życia,

nowe pojęcie rodziny i rodzinnych stosunków i t. d. Wystrzeliły ku niebu tysiącem minarety, prawo zastąpiła szablą janczarska, znaczniejsza część przewodniczącej klasy narodu, szlachta i miasta, przyjęła islamizm — a dalej i bezpośrednio następstwa onego.

Spółeczeństwo teraz rozdzieliła już otchłań nieprzebyta; rozłamało się ono jakby na dwa światy wrogie — ciemniących i ciemionych, czcicieli proroka i wyznawców krzyża św., szlachtę i lud, „Turczynów” i „raję”. I zdawało się, że już niema między nimi innych węzłów na wieki nad „zułum” — niedolę, łzy i ciemństwo.

Wszakże myliłby się srodze, ktoby chciał wyobrażać ten świat „turecki” tutejszy, t. j. w Hercegowinie i Bośni, podobnym do tego obrazu, jaki sobie powszednio o życiu muzułmańskim wogóle wytworzyliśmy — nie bacząc na prawa etnologii i historii.

Świat to zupełnie odrębny, oryginalny, różny od tego wszystkiego, co się spotyka wśród innych ludów islamu — Turków zaś przedewszystkiem.

Wszędzie tu uderza dwoistość charakteru wśród klasy dominującej, tak, że podróżny nie wie, co tu więcej podziwiać — czy że to wszystko przecie takie prawowierne, muzułmańskie, czy że to jednak do tego stopnia słowiańskim jest zawsze...

Begowie, agowie, potomki rodów, prawowicie niegdyś przewodniczących ludowi, a dziś „Turczynami” przezeń zwani i sami z naiwną dumą miano to przybierający, nie przestali nigdy być ziemianami, szlachtą — podobną, kropła w kroplę, i w dobrem i w złem, do szlachty chrześcijańskiej innych ziem słowiańskich sąsiednich.

Przechowali oni nawet nietykalniej od tamtej niejeden obyczaj starożytny.

Wśród begów i agów bowiem spotkać jeszcze można niepodzielną własność rodową i obieralność głowy rodu —

prowadzące nieraz do sporów, jakie w ciemni dziejów Libusza nad Wltawą rozstrzygała.

Tu się spotyka i ów wysoce idealny stosunek „pobratymstwa” — nieraz nawet pomiędzy muzułmaninem i katolikiem. Co więcej — stosunek tegoż pobratymstwa między młodymi ludźmi, mężczyzną i kobietą, święcie dochowywany — udział gdzieindziej tylko dusz wyższych, wybranych.

W obliczu tego niemniej też i sama rodzina muzułmańska przedstawia tu inny obraz, niż wśród właściwych Turków, Osmanów. Zajmuje też tutaj inne niż tam stanowisko w rodzinie kobieta: boć i ona, stając się muzułmanką, słowianką być nie przestała.

Już tedy w stołecznym Mostarze wszędzie i we wszystkim uderza przychodnia dwoisty charakter, tyle muzułmański, ile słowiański szczerze — wyższego Hercegowiny społeczeństwa.

W zgiełku miejskim rzadko tu naprzykład dostrzedz kobietę wogóle, a muzułmanki ukazują się na ulicach nie inaczej jak w zasłonach.

Surowiej tu nawet stary obyczaj wschodni przestrzegany pod tym względem, niż w Stambule. Znam jeden przykład z czasu mego pobytu w Mostarze, że wyższe towarzystwo tutejsze płci pięknej bardzo za złe uważało nieco swobodniejsze zachowywanie się publiczne jednej młodej Turczynki — Stambułki z rodu i wychowania. Była to żona dowódcy batalionu strzelców albańskich, konsystującego wtedy w Mostarze. Ta, mając w domu dzieci chore, przy spotkaniu na bazarze doktora pułku, Europejczyka, zatrzymywała go zwykle — dla dokładniejszego wypytania, oczywiście — co do pewnego użycia zaleconego już przezeń przepisu lekarskiego. A może, a może — dla dodania przytem i paru miłych wyrazów, choćby wdzięczności tylko...

Niemniej też podobnie jak w bosańskim Serajewie, tak i tu, można jeszcze i teraz bardzo łatwo oberwać od towarzyszącego z boku kobietom islamity stereotypowe

„szto gledasz?”—jeśli się obcy zanadto po europejsku wpa-
trzy nieostroźnie w oczy tak modre, jak sąsiednie morze
„modre”, młodej muzułmanki. Na co zwykle już odpowiada
się sakramentalnem milczeniem...

Powiadają nawet bliżsi znawcy obyczajów miejscowych,
że bywa i tak, iż czasem dumna córka krwi szlacheckiej,
pewna potęgi Allaha i swych wdzięków, plunie natrętnemu
giaurowi, jeśli go znajdzie mniej dystygowanym.

Wszakże, mimo to, dużo tu w obyczaju pozostało sło-
wiańskiego.

Kobieta tutejsza nie dała się zupełnie ujarzmić wyma-
ganiom obcego obyczaju: jest też ona wogóle swobodniej-
sza od tureckiej. Przykłady wielożeństwa należą do wyją-
tków—dumna Słowianka go nie znosi. Jest ono powszechnie
zresztą źle widziane, jako obyczaj cudzy, nienarodowy,
„osmanlijski”.

Stanowisko więc samo kobiety w rodzinie, stosunek
dorastającej młodzieży wzajem, stosunek nawet kobiet mię-
dzy sobą — wszystko to inne, niż u Turków.

Zasłona tu nawet obowiązuje zwyczajnie kobiety za-
mężne więcej, niż dziewczęta. W wielu miejscach Hercego-
winy noszą one zwykle zasłonę zwieszoną z ramion i za-
krywają nią twarz tylko wtedy, gdy naprawdę widziane
być nie chcą. Inaczej, w owem osłanianiu się nawet chodzi
im pewniej tylko o tem większe zainteresowanie przecho-
dnia powabem wdzięcznego ruchu...

Więcej też oczywiście życia i towarzyskości między
kobietami muzułmańskimi tu, niż w Turcyi. Poznawszy
pierwej Wschód daleki, turański i semitycki, miałem teraz
dostateczną skalę porównania.

Po wsiach muzułmańskich, po drobno-szlacheckich za-
ściankach „agów”, mają kobiety dla siebie ogólne przejścia
nawet pomiędzy ogrodami, by się widywać swobodniej.

W miastach zaś, na przykład w Mostarze, każdego pra-
wie piątku świątecznego, byle pogoda służyła, wychodzą

kobiety gdzieś poza miasto w liczniejszych grupach. Wybiera się na to zwykle piękniejszą okolicę, brzeg jaki strumienia, wyżynę jaką ze wspaniałym widokiem — winnice, sady. Tu na zupełnej swobodzie, gdy, uwolnione od krępujących je zasłon, kobiety starsze zatapiają się, trybem oryentalnym, w kontemplacji pięknej natury, kobiety młodsze i dziewczęta oddają się ze słowiańską nieprzymuszonością swobodnym, dziecinny, uciechom i grom. Wielką tu rolę pieśń też miłosna odgrywa; lecz niemniejszą może „koło”, ulubiony taniec ludów południowo-słowiańskich.

Młodzieży męskiej przecie zdaleka tylko wolno się tu pokazywać. Zwyczaj pozwala atoli harcować konno w obliczu dziewcząt; więc też można sobie wyobrazić, jakie to tam odbywają się popis! Bośniak wszakże lepszym jest od Hercegowca jeźdźcem, ten znów przewyższa sąsiada w strzale — i stanowczości wogóle.

Bawiąc w Mostarze, zabrałem był bliższą znajomość z nadzwyczaj interesującym starcem. Skromny „kawedżyja”, pod namiotem, w cieniu platanu nad urwą brzegu Neretwy — obecnie, okazał się mi bywalcem, jakich już tam niewiele, a co więcej, był to janczar za lat młodzieńczych. Otóż sędziwy Hadży-Abdurrahman był dla mnie nieocenionym informatorem we wszelkich kwestiach, dotyczących rycerskości i romantyzmu.

Przesiedziałem ja tedy pod jego „czardakiem” niejeden cichy wieczór wrześnieowy — przypominając się czerstwemu starcowi to o kawę, to o winogrona, to o nową odpowiedź na coraz zawilsze, drażliwsze dlań pytanie. Byłem zaś z nim tem swobodniejszy, ile że dostrzegłem, iż żadne z mych pytań starego janczara nie razi — gdy zwykle każdego Turka prawdziwego odstręczają wszelkie badania, alluzye nawet, dotyczące świata kobiecego.

Ale potrafiłem wyżej o wyraz „romantyzm” — i muszę się z niego zaraz wytłómaczyć.

Istotnie jest w życiu tutejszej młodzieży muzułmańskiej

pierwiastek romantyczny nadzwyczaj czynny. Podtrzymuje go tyle charakter rodowy słowiański i przechowany stary obyczaj, ile potrzeba sama zajęcia się żywszego jedną osobą, przy wstępie do wielożeństwa.

Młody muzułmanin hercegowiński stara się właściwie sam osobiście wybrać przyszłą swą towarzyszkę życia, poznać ją pierwiej z bliska i wcześniej ująć sobie. Zwyczaj miejscowy starożytny ułatwia mu to wszystko.

Oto na przykład, gdy kobiety wracają do domu ze swej świątecznej za miasto wycieczki, jeszcze owiane świeżością swobody, używanej wśród natury, a więc mniej dbające o zasłony — zwyczaj nie wzbrania młodemu wielbicielowi zbliżyć się do bramy domu swej wybranej lub do jej zakratowanego okna, wychodzącego na ulicę, i rzucić jej, wśród kwiatów i słodczy, niewątpliwie i słów parę.

Korzystając z podobnych sposobności, utrzymuje młodzież dość ożywione między sobą czułe stosunki.

Ma to tu nawet swą nazwę właściwą: z turecka „aszykłyk” — co dosłownie miłosne zalecanie się znaczy.

Poważny mój Abdurrahman niezmiennie poczcziwie ja-koś na wspomnienie „aszykłyku” się uśmiechał. A były też inne czasy, dodawał, kiedy on był janczarem!

Wet-za-wet musiałem się też i w głęboką politykę z hadżym zapuszczać. Srodześmy się przecie czasami w naszych widokach rozchodzili — osobliwie co do przeszłości.

Wychowaniec „odżaku” janczarskiego, stał on uparcie przy swoim, że „Kral-Jowan” nie był wytrawnym człowiekiem—„nyje pamiaten bio”, że go „prewarili Szwabe”—w pole go wyprowadzili, a trzeba było właśnie zadusić i za-deptać ten gad w „Beczu” (Wiedniu), a wracając do domu, na rumowiska jeszcze plunąć!...

Ale i Kara-Mustafa nie posiadał estymy hadżego, zbywał go też krótko: „wezyr lud je bio”—był ludzącym się, nierozumnym i basta...

Jeden tylko błogosławiony Giuł-baba ze swym gro-

bowcem w Budymiu zawsze obudzał w nim cześć, niemo świadcząc o tych świetnych czasach, kiedy to Bośniacy na zamkach węgierskich dumnie siedzieli.

Drugi zaś może — dzielny, mądry wielce Husein-Kapetan, ostatni nieszczęśliwy przywódzca szlachty bosańskiej w jej walce z nowymi w Turcyi porządkami.

Prędzej zato godziliśmy się na punkcie „aszykłyku”. Tu mi się przecie wywijał janczar stary nieraz ze zrzętnością niepospolitą.

Pamiętam, interpeluję go raz:

— Wszak powiadasz, Hadży-Abdurrahmanie, że zasłony wymaga niezbędnie poważny obyczaj muzułmański?

— Nie inaczej!

— I nie zaprzeczysz, że wszyscy prawowierni w Hercegowinie są dobrymi muzułmanami?

— Więc? — ręczę za to!

— Więc i mieszkańcy tam za Porimem, wyżej nad Neretwą i nad Ramą, równie dobrzy muzułmanie?

— Najlepsi—odeprze, niczego nie przeczuwając, hadży.

— I kobiety tam najpiękniejsze na całą piękną Hercegowinę?

— A któżby o tem w świecie nie wiedział? — najpiękniejsze...

— A dlaczegóż te prawe muzułmanki wcale bez zasłony chodzą, nie kryją się przed obcym, owszem, rozmawiają z nim nawet?...

Nie dał się wszakże zmieszać tem mój hadży: uśmiechnął się tylko dobrodusznie z pod białego wąsa i, przechylając się ku mnie, szepnął mi z cicha:

— Bo najpiękniejsze...

Przyznam się, że od pielgrzyma do Mekki i czciciela Giuľ-baby nie spodziewałem się podobnej odpowiedzi; więc ażem powstał z miejsca, rozlewając drogocenną kawę hadżemu. Zrozumiał on przecie odrazu powód mego zdumienia

Skinąwszy zatem ręką poważnie, abym usiadł—powiada mi.

— Tak, tak — obyczaj taki...

— Lecz skądże obyczaj taki u muzułmanek?!—pytam.

Uśmiechnął się stary Abdurrahman jeszcze bardziej dobrodusznie i, sadowiąc mnie na niskim kawiarnianym stołeczku, przemocą prawie, znów z cicha przemówił:

— Bo najpiękniejsze...

Potem zwracając się poważniej:

— Słuchajże, efendym! — rzecze mi.

I tu począł opowiadać: jak za tych czasów, kiedy to jeszcze islam w Hercegowinie zaprowadzano, światło proroka przeniknęło i w tamte tam strony nad Ramę; jak „plemstwo” okoliczne kornie uczciło Allaha i zastosowało się we wszystkim powolnie do przepisów „dinu”, nowej nauki. Lecz gdy przyszło kobietom brać zasłonę i ukryć się w haremie: za nic!

— A co zrobisz z piękną kobietą, jak się uprze?!—przerwywając opowiadanie, zawołał hadży.

— Otóż postawiły na swoim! Zasłony nie wzięły, do haremu nie poszły. Czas to uświęcił: stało się to „adetem”, obyczajem prawowiernych. A obyczaj wszelki, wszelki adet—nietykalny! — zamknął poważnie hadży Abdurrahman.

Narodowa też poezya Hercegowińców wszelkich klas i wyznań tchnie, równie jak u innych serbo-horwackich plemion, głębokim romantyzmem. Co więcej, jak w Bośni, tak i w Hercegowinie, dwór szlachecki, muzułmański, jest żywszym może i gościnniejszym przybytkiem pieśni, niż dzika płonina hajduca.

Nic dziwnego tedy, gdy też odwrotnie, na czystem tle słowiańskim, czuć się tu daje nieraz i jaskrawsza barwa wschodnia.

Mimo wszystko przecie, jest pewien niepokonany urok w tych obrazach szlachecko-muzułmańskiej fantazyi.

Oto posłuchajmy, jak pieśń ludowa opiewa wdzięki Hajkuny, siostry potężnego bega Lubowicza z Lubowicy —

wdzięki „najpiękniejszego kwiatu, jaki kiedy zakwitł wśród równego pola Newesinja”.

U struku je tanka i wisoka,
 U obrazu bjela i rumjena
 Kao da je do podne uzrasla
 Prema tihom suncu proletnjome.
 Oczy su joj — dva draga kamena,
 A obrve — morske pijawice,
 Trepawice — kryla lastowice,
 Rusa kosa — kita izbriszyma;
 Usta su joj kutija szeciera,
 Bieli zuby — dva niza bisiera,
 Ruke su joj kryla labudowa,
 Biele dojke — dva siwa goluba;
 Kad govori — kanda golub gucze.
 Kad se smije — kanda sunce grije,
 Lepota se njena rozglasila
 Po svoj Bosni i Hercegowini.

Co w dosłownem tłumaczeniu brzmi jak następuje:

Kibicią — smukła i wyniosła,
 Obliczem — biała i rumiana;
 Jakby do południa wzrosła
 Przy cichem słońcu wiosennem.
 Oczy jej — dwa drogie kamienie
 A brwi — pijawice morskie,
 Rzęsy — skrzydła jaskółcze,
 Ciemna kosa — splot jedwabiu;
 Usta jej — naczynie słodyczy,
 Białe zęby — pereł dwa sznury,
 Ramiona jej — skrzydła łabędzie,
 Białe piersi — dwa gołębi białych;
 Kiedy mówi — niby gołąb grucha,
 Gdy się śmieje — jakby słońce grzeje,
 Piękność jej zasłynęła
 Po wszej Bośni i Hercegowinie.

Wogóle wszakże ideały pieśni muzułmańskich są przeważnie słowiańskimi. Islam nie był w stanie przetworzyć natury rodowej, stary obyczaj niewiele ustąpił w istocie swej nowym od Wschodu naleciałościom.

Są przecież w pieśni i ślady też zachceń ze stambul-ska wyrafinowanych. Owiany turecczyną jaki młody rozkosznik, Mostarliza czy Serajliza, podobnie jak prawy syn Stambułu, pieści się we wspomnieniu zupełnie azyatyckim ideałem:

Dziewojka je u kaweżu rasła,
Kažu, rasła pietnajst godina,
Ni widziela sunca, ni mjesieca,
Niti znade, kao żyto raste.

Otóż:

Dziewczyna w klatce rosła,
Mówią, rosła lat piętnaście,
Nie widziała słońca, ni miesiąca,
Ni też znała, jako zboże rośnie

— tyle była czysta i niewinna, tyle powiewem świata nie-
tknięta.

Zważywszy atoli ostatecznie wszystko razem, widzi się dowodnie, że kobieta słowiańska, dla wyższości swej natury moralnej i historycznej tradycji poprzedniego obyczaju, umiała wysileniem swej duszy zająć zupełnie odrębne i niezawisłe a bardzo wybitne w świecie muzułmańskim stanowisko.

Jeżeli sobie zaś przypomnimy (Bluszcz z roku 1871: Uwagi z podróży A. J.) owo stanowisko, jakie zajmuje w muzułmańskim świecie kobieta innych szczepów: Turczynka, Arabka, Persyanka — będziemy musieli przyznać stanowczo bezwzględna wyższość niewieście słowiańskiej. Nie dała się ona ujarzmić ani wymysłom obyczajów wschodnich, ani ubliżającym jej przepisom koranu i umiała pozostać — towarzyszką męża jedyną i panią domu.

Co więcej, uchroniła ona w tym domu własnym stary obyczaj rodowy, zażywała duch poetyczny narodu i narodowość samą wśród przemocy tureckiej ocaliła.

Kobiecie też w znacznym stopniu przypisać to należy, iż dzisiaj owa szlachta muzułmańska Bośni i Hercegowiny jest tak na wskroś narodową!

Przewodnicząca klasa Hercegowiny, przyjmując naukę proroka, stawiała się odrazu uczestniczką wszystkich praw, jakie koran udzielał swym wyznawcom. Co więcej, stawiała się uczestniczką oraz tej wszechwładzy, którą zwycięscy Turcy, jako muzułmanie, nad ujarzmnioną przez się ludnością chrześcijańską, pod grozą miecza, rozciągali. Nie tylko więc „plemstwo” hercegowińskie na podboju tureckim nic nie traciło pod względem politycznym i społecznym; lecz, owszem, zdobywało ono sobie większą nieskończenie swobodę, niż ta, jaką za książąt narodowych posiadało. Zdobywało najzupełniejszy samorząd prowincjonalny — z nieograniczoną władzą nad poddanymi, i wogóle ludność, pozostającą przy swej dawnej wierze.

Jaka dola zaciężyła odtąd nad pozbawionym przywódców ludem chrześcijańskim — łatwo sobie wyobrazić. Dawny jego „włastel” stał się teraz dlań „Turczynem”, przedstawicielem srogiej obcej przemocy. Nie wiązała już go z nim dawna, powszechna tu prawie, jedność religijna. Dumny zas „poturczenie”, ufny w nieprzemogioną moc szabli wyznawców proroka, począł patrzeć również na lud swój jako na „raję” — trzodę niewierną...

Z biegiem czasu, stosunki wzajemne ludu z jego zbisurmaniałą szlachtą tylko się coraz bardziej rozstrzącać mogły.

Zapanował „zułum”!

Wyraz ten, na którego wspomnienie do dziś dnia jeszcze mrowie przebiega nieszczęsną „raję”, obudzając zgrozę i przerażenie, nie da się wyrzucić słowem odpowiedniem w żadnym z języków słowiańskich. Oznacza on niewolę

i niedolę bezgraniczną — „gwałt” i dzikie, rozpasane, azyatyckie ciemństwo.

Oto takiej to mocy zapanował „zułum”!

Wszelki tu opór, wszelkie przeciwdziałanie były bezskuteczne, niemożliwe.

Szlachta, pozostała wierną krzyżowi św., musiała ustępować z kraju — do Dubrownika, do Dalmacyi i dalej, lub ostatecznie zdeptana, pozbawiona swych praw, zejść w szeregi czerni. Rody bliższe dzikiej, niegościnnej i niedostępnej Czarnej Góry, szukały tam przytułku i schronienia. W taki sposób ustąpili Niegosze z rodu Herakowiczów, których potomki tak sławnie potem wywalczyli niepodległość Czarnogórza, jako „władysławowie” onego. Lud szedł w „uskoki” za granicę między pobratymców Horwatów, albo też uchodził między niedostępne płoniny gór dzikich, w „hajduki” — by stamtąd czyhać na chwilę możliwej zemsty — „oswety” świętej, a czasem i gromadniej chwycić za broń przy stosownej okoliczności.

Lecz większość ludu pozostawała na swych przedwiecznych siedzibach — i ugięła się pod jarzmem.

Duchowe wszakże życie jego nie zamarło — obok głębokiej wiary religijnej, nie opuszczała go nigdy poezja, nie słabło w nim poczucie etyczne.

Niezależnie od pieśni bojowej zamków „spahijskich”, szlacheckich, niezależnie od pieśni swych własnych górskich „junaków” tworzył lud pieśń swoją — cichą, rzewną, rodzinną, która wierniej charakteryzuje jego byt istotny, aniżeli krwawe rapsody junacze jego mścicieli. Obok tego tworzył świetny, nieprzerwany łańcuch przysłów i przypowieści, w których złożył całą swą mądrość i ból swój nieukoiony.

Wytworzył nawet lud hercegowiński osobną formę dla swych przysłów — formę pytaniową, zwąc je nawet „pytalice”.

W tych to pytalicach właśnie (do liczby 300 dochodzących) wypowiadał się on nieskończenie swobodniej, niż

w pieśni, ze wszystkiego, co miał na sercu. Zawarte w nich całe dzieje niewoli i niedoli jego, dzieje strasznego „zulu”, w najżywszych barwach, z najgłębszą prawdą oddane.

Niechże więc one i nam tu posłużą — tyle do bardziej wydatnego uobrazowania rzeczywistego bytu tego ludu, ile też i do żywszej charakterystyki jego własnej fantazyi zarazem.

Tu dopiero poznamy, z jaką to dziwną rezygnacją fatalistyczną a bohaterską zapatruje się lud na swą dolę.

Szczęśliwemu Przymorcowi od Kotorskiej zatoki na zapytanie: — „Jak też tam u was śpiewają?” — Hercegowiniec odpowiada:

— „Nikakwe ti pjesne druge ne znam, osim kukati i naricati” — żadnej ci ja pieśni innej nie znam, jedno jęk i wyzkanie!

Poddany bega lub agi, przywiązany do ziemi, uciemiężony pańszczyzną, zależny od przywidzenia swego dziedzica, nadomiar jeszcze nic on istotnie nie posiada na własność. Gdy więc go syn pyta:

— „Babo! imamo li szta naszega, szto nyje agino” — ojczy, mamy też my co naszego, coby nie było agi?

Odpowiada smutnie: — „duszu i krmka” — duszę i karmnika!

Boć pierwszej Turczyn nie dosięgnie, a drugiego spożyć — „zakon” proroka mu nie pozwala. Wszystko zaś inne, co tylko u biednego „rai” dojrzy, może najbezkarniej mu zabrać, jako pan jego wszechwładny.

Ani tu poszanowania własności, ani bezpieczeństwa osoby, mimo tylu rozgłosnych postanowień „sultańskich” — tunzymatów, hatti-humajunów! Opieki prawomocnej znikąd — nie zapewnia takowej ani pan zwierzchni „kmeta”, kmiecia, ani sędzia, ani urzędnik żaden, a cóż dopiero strażnik ziemski, obowiązany do pilnowania porządku publicznego!

Nic uderzającego tedy, że gdy raz w katolickim Dubrowniku zapytano z gorliwości religijnej „hriszciańskie”, t. j. wschodniego obrządku, dziecię:

— „Mali! boisz li se svete Trojce?”

Chłopczyna ponuro odpowiedział:

— „Boim se od czetworice: od age, kadyje, zułumczara i od zapytyje” — to jest: nietylko trójcy — czwórcy się boję: własnego dziedzica, sędziego, sultańskiego dostojnika — i straży nakoniec.

Niema różnicy w postępowaniu „Turków”, bez względu do jakiej klasy sami należą i w jakim zostają bezpośrednim stosunku do „rai”. Wobec poddanych chrześcijan wszyscy oni są jednacy. Co Turek — to ciemieżca — „zułumczar!”

Pyta przecie raz Czarnogórzec hercegowińskiego wieśniaka:

— „Ima li Turczyna a da nyje zułumczar?...”

I słyszy smutne, zagadkowo, z najgłębszą ironią nad swym losem własnym, wypowiedziane przez „kmeta” potwierdzenie:

— „U stotinu jedan, a u hiljadu ni jedan”. — Na stu znajdzie się nieciemieżca — jeden, lecz na tysiąc już ani jeden, t. j. i ten jeden z pierwszego sta da się liczniejszej masie unieść.

— Lecz czemuż znosicie wasz „zułum?!” — woła w oburzeniu bitny syn Czarnej Góry.

— „Bogme, Bog visoko, a car daleko, a my weć jadu nawikli” — odpowiada biedna raja. Co począć — na Boga: Bóg wysoko, car daleko, a myśmy już do niedoli nawykli...

Niech nas nie razi wszakże owe fatalistycznie korne poddanie się losowi: więcej ono wypływa z poczucia bezsilności wobec bezgranicznie okropnego położenia, z którego żadnego możliwego wyjścia nie widać, aniżeli — miałoby być skutkiem nieprzewyżzonego oddziaływania na umysł

prostaczy wschodniej nauki o przeznaczeniu, podkopującej tą drogą wiarę w prawdy religii chrześcijańskiej.

Położenie zaś hercegowińskiego „kmeta” przez długie wieki naprawdę było nieopisanie ciężkie — krzywdy ze-
wsząd, a sprawiedliwości żadnej. Przysłowia też ludowe tak
często prawie, i również silnie, dotyczą bezecnego zdzier-
stwa i niesprawiedliwości kadych, jak ciemństwa agów.

Nawet sam kralewicz Marko, ideał, tyle bohaterstwa,
ile niezależności umysłu wogóle, na zapytanie, w przysło-
wiu, matki:

— „Kako se ide u kadyje?” — Jak się też do kadego
idzie?

Odpowiada:

— „Do njego punan, a od njego prazan!” — Idzie się
do niego — z kieszenią pełną, a od niego — z próżną.

Przy takich warunkach bytu nie mogło też pozosta-
wać nietykalnem i samo ognisko domowe kmiecia, jego spo-
kój rodzinny. Kobieta nie miała tu żadnego bezpieczeń-
stwa. Porywanie gwałtowne było rzeczą najpowszedniejszą,
najbezkarniej się powtarzającą. Wywoływało czasem krwawą
zemstę, hajductwo w górach następne, ale tem niemniej nie
przestawało być normą stosunków prawie.

Oto pyta „czypczyja” — rolnik poddany, agę — swego
dziedzica:

— „Za szto mi poturczy szcier?” — Dlaczegoś mi córkę
poturczył?!

Lecz aga najspokojniej tem go tylko zbywa:

— „Rużna i sljepa wasza je, a mlada i ljepa nasza
je!” — Widzisz bo człecz: brzydka i niewidoma wasza jest,
młoda zaś i ładna — nasza!

W tak rozpaczliwym stanie nietylko niema pomocy
żadnej, ale nawet pociechy moralnej brakuje nieraz. Ducho-
wienstwo niższe, wiejskie — wprawdzie narodowe, jednej
krwi z tym ludem i niezaprzędane wcale władzy, jak kler
wyższy, z protegowanych osławionego greckiego Fanaru

złożony. Ale nie ma ono śmiałości wystąpić przeciw bezprawiom.

Nieraz „seljani”, wieśniacy, pytają swego pasterza:

— „Za szto nam, pope, szto godź ne prypowjedasz?” — Dlaczego też nam, ojczu, nie powiesz czego?

Lecz cóż to pomoże? — ksiądz bowiem najszczerzej się tłumaczy:

— „Ne smijem kriwo od Boga, a prawo od kadyje!” — Bo nie śmiem mówić wam fałszu — dla Boga, a prawdy — dla kadego.

Niema, powtarzamy, pociechy moralnej; więc też lud po części i własne duchowieństwo z nieufnością traktuje; a nawet posuwa się aż do stawienia go na równi z ciemniźcami — ile razy obcego mu, greckiego, kleru dotyczy. Stąd pełne są przysłowia gorzkiej ironii dla duchownych przewodników ciemnego tłumu.

Oto zapytany wieśniak:

— „Ali ti je teże doczekati u kuciu kaludziera, ali agu?” — Czy ci też ciężiej przyjąć w dom mnicha, czy agę?...

Z głębi duszy woła:

— „Ni pred kuciu ich Boże! — a kamo li u kuciu!” Nie daj mi Boże widzieć ich przed chałupą, a cóż dopiero w izbie!

Przedewszystkiem łakomstwo kleru jest przedmiotem sarkazmu: nie może się naprzykład zapomnieć tego księdza, który, zapytany:

— „Ma dawasz li ty, ikad ikome iszta zaduszu?” — Czy dajesz ty, ojczu, kiedy komukolwiek co za duszę?...

Miał odpowiedzieć:

— „Jednom rukom uzymljem, a drugom blagosawljem, a treće nemam!” — Jedną ręką przyjmuję, drugą błogosławię, a trzeciej przecie nie mam...

Nie zapomniał lud i o swej braci spanoszonej, która pomagała go „poturycom” dręczyć. Przyznaje się też przed sąsiadami z Czarnej Góry, że najcięższym dlań — „gładan

Turczyn i syt Hriszcianin", t. j. ile pierwszy — głodny, tyle drugi syty — dostatni, zamożny, dbający o wziętość u Turków.

W taki sposób, słuchając tylko tego, co lud sam o sobie opowiada, można dojść do najdrobniejszych szczegółów w obrazowaniu jego doli, jakiej on bez przerwy parę wieków podlegał. Ale dość będzie kilku tych ogólnych powyżej rysów, by cały ciężar przygniatającego lud brzemienia dostatecznie zrozumieć.

Następstwa podobnego stosunku klas społecznych jednej krwi wspólnej — łatwe do ocenienia!

Oto najprzód coraz sroższe z biegiem czasu roznamiętnienie wzajemnych niechęci, prowadzące do ciągłych powstań cząstkowych z jednej strony; a z drugiej — do gwałtowniejszych wciąż represyi. Żadnego bezpieczeństwa, ani potrzebnego spokoju dla oddania się pracy! Rolnictwo tedy w stanie najopłakańszym, rzemiosła nie przekraczające prawie stopnia najpierwotniejszego rozwoju, handel następnie bez znaczenia, ubóstwo ludu wielkie, a ciemnota powszechna.

Rząd sułtański przez swe rozgłośne reformy mniemane starał się wprawdzie ostatniemi czasy złe usunąć, lecz przy bezmyślnie zapamiętałej opozycji „spahijów”, szlachty, wszelkie, szczere nawet, jego zamiary zostawały bezskuteczne.

W początku bieżącego stulecia, wyrazem stosunku ekonomicznego „kmetów”, poddanych, do właścicieli ziemskich, „begów” — była pańszczyzna, „begluk”, najdowolniej narzućany. Koło r. 1840 odważyła się uciemiężona „raja” zanieść swe skargi rozpaczliwe aż przed tron padyszacha. Skutkiem czego w r. 1843 nakazała Porta zaprowadzić ściślejsze określenie kmiecych powinności. Lecz spahije, oczywiście, o uszczupieniu swych praw i ograniczeniu samowolności ani słyszeć nie chcieli! Zniesiono tedy roku 1848 pańszczyznę całkowicie. Ale cóż? — wykonawcą firmanu sułtańskiego był spahija, szlachcic bosański ze krwi i kości — Tahir-pasza. Nic dziwnego więc, że na radzie ziemiańskiej, przezeń zwołanej, szlachta przy określeniu obowiązków kmiecia nadal

zwróciła ten cały, niby dobrowolny, układ na swą korzyść wyłączną.

Kmiecie mieli odstąpić (1848) zamiast pańszczyzny dawać $\frac{1}{3}$ ze swych zbiorów, a panowie zato płacić za nich $\frac{1}{3}$ „porezu”, t. j. podatku od roli — „Tretina” ta wszakże, jak zwać poczęto nowy ten układ, doprowadziła do jeszcze cięższych niż przedtem nadużyć. „Tanzimat” zaś, co miał przynieść ulgę doli chrześcijańskiej ludności, stał się dla nich jeszcze większym źródłem nieszczęść. Porez kmiecica, dotąd bardzo nieznaczny, rozciągnięto w roku 1848 i na begów; lecz szlachta wnet się tak zręcznie urządziła, iż podatek ten z roli przeniosła na siedziby i cały ciężar zwałała w ten sposób na lud. Dalej, w roku 1855, rząd, znosząc „haracz”, pogłównie od rai, wynoszące tylko 15 piastów (5 złp.) od głowy męskiej, zastąpił go tak zwaną „askeryą” czyli „wojiną”, wzamian niby służby wojskowej, od której chrześcijanie są wolni, — i podniósł takową do 40 piastów. Nie wspominamy tu już o innych wielolicznych powinnościach, jakie ciążyą na nieszczęsnym wieśniaku. Jedno tu tylko jeszcze dodać musimy dla uzupełnienia obrazu niedoli jego: oto — nie zapominajmy, że stróżem i wykonawcą praw sułtańskich — jest „Turczyn” zawsze!

Cóż więc pozostawało do czynienia „ubogiej rai?” — Oczywiście — przy każdej nadarzającej się okoliczności chwycić za broń przeciw „zułumczarom”!

Nie podolał „wojwoda” Luka Wukałowicz w r. 1858 zadaniu, walcząc po bohatersku lat kilka w stronie Trebinja i czarnogórskiej granicy — otóż w roku przeszłym rozpoczął bój srogi z begami i wspierającym ich wojskiem sułtana „pobratym” jego Micia Lubibraticz.

I tak już dalej iść musi z konieczności: nie ustąpią zapamiętali spahije — chyba pod nożem...

Ale też i w lud już dusza weszła!

VI.

Krwawe zapasy, które oto do obecnej chwili trzymają w wyteżeniu uwagę całej Europy, zmuszają ją pilniej też śledzić wszystko, co się dzieje w nieznanej prawie dotąd, drobnej Hercegowinie.

Zapasy to społeczne przeważnie!

Rozumiemy też dzisiaj już należycie, że interwencja rządu sułtańskiego, choć tyle przemożna i stanowcza — w istocie rzeczy, ma tu uboczne tylko znaczenie. Z wyjątkiem może przewodzców jedynie, ludowi temu, co chwycił za broń, mniej właściwie chodzi o uwolnienie się z pod władzy sułtana, ile o wywalczenie sobie rękojmi swobód i bezpieczeństwa nadal.

Nie jest to również wojna narodowa — Słowian przeciw Turkom: z jednej bowiem i z drugiej strony stoją najzapamiętałej przeciw sobie, jak cały dotychczasowy charakter walki o tem przeświadcza, Słowianie przedewszystkiem. Każdy zaś przecież wie już dziś dowodnie, że owi osławieni „Turcy”, „Turczyni”, co najdzielniej stawia czoło powstaniu, wyjąwszy wojsko regularne, złożone z albańskich Ar-nautów — są to begowie i agowie Bośni i Hercegowiny — bracia szlachta słowiańska.

Nawet nie jest to walka religijna, pomimo wyteżonego tu obustronnie fanatyzmu: pobudki religijne, choćby pewne pozory przemawiały za tem, są tu zupełnie drugorzędne.

Są wszakże w wojnie tej, społecznej, domowej przedewszystkiem, pewne cechy tak wyjątkowe, że dla głębszego zrozumienia istoty charakteru samej walki nieuniknienie przyczyn onych bliżej tu dotknąć należy.

Oto, na przykład, każdego, kto pilniej bada naturę rozpasanych namietności wśród srożącego się dotąd hercegowińskiego powstania, uderza zagadkowo jakaś niewytłó-

maczona — nietyłe muzułmańska, ile anty-chrześcijańska przedewszystkiem — zapamiętałość miejscowych spahijów. Zapamiętałość, podnosząca do niehumanitarnego prawie pomijania wszelkich względów, zwykłą surowość społecznych zapasów. Zresztą uderza go różnica znaczna wogóle ruchu ludowego — w Hercegowinie a Bośni, taką jednostajnością doli związanych, i t. d.

Dla rozjaśnienia tego pozwolimy więc tu sobie sięgnąć w zamierzchłą przeszłość wewnętrznego życia Hercegowiny i Bośni.

Oto — przy końcu drugiej połowy XV wieku, kiedy nad krainą, objętą przez sieć hydrograficzną Neretwy, panował znany wojewoda „Szczepan”, który począł się mianować „hercogiem”, było w niej już takie wewnętrzne rozprężenie, które, po złowrogiej klęsce na Kosowem polu, zapowiadało tu zbyt łatwy łup Turkom.

Możnowładztwo feudalne, rozpasane, mniej dbałe o utrzymanie jakiegokolwiek polityczno-narodowej jedności serbskiej, twardą dłońią trzymało lud poddany w pętach. Upadającego społeczeństwa nie wiązało nawet poczucie jedności religijnej. Wśród współzawodnictwa gorszącego między kościołami — zachodnim i wschodnim rozgościło się tu najswobodniej „bogumilstwo”, zakorzenił się patarenizm.

Wiadomo, iż nauka odszczepieńcza bogumitów, ów pierwotny głoszący w zachodniej Europie albigensów i waldensów, miała za kolebkę — południową Słowiańszczyznę, mianowicie zaś Bułgaryę. Wszystkie bowiem nauki tej odcienie i rozgałęzienie dalsze, jak patarenizm bośniacki, tak i doktryny śmiałe prowansalskie, z Bułgaryi, jako ze źródła, płynęły.

Lecz główna przewodnia idea bogumilstwa powstała atoli pierwotnie w dalekim Iranie — w głębinach Azji, w świecie przedwiecznej nauki dualizmu: powstała tam jako zespolenie zasad Zoroastra i Chrystusa, dokonane przez manicheizm.

W Bułgarii zjawił się manicheizm jednocześnie z chrześcijaństwem, już w wieku IX, lecz unarodowił się tu dopiero w następным stuleciu, znalazłszy znakomitego apostoła w głośnym duchownym Bogumile, od którego, zbliżona przezeń więcej ku dawnym wyobrażeniom Słowian, nowa nauka otrzymała następnie swą nazwę.

W prędkim czasie bogumilstwo rozszerzyło się po całej południowej Słowiańszczyźnie, sięgnęło nawet Rusi i Litwy, a w południowej Francji wystrzeliło w bujny kwiat albigenizmu.

Smutny jego tam koniec — zbyt znany: zatonąła w Prowancyi dualistyczna nauka w potokach krwi! Ale na słowiańskiej ziemi bogumilstwo nie było tak łatwe do wytępienia: czuło się tu ono na własnym zupełnie gruncie — tyle tradycyjnie, ile duchowo zarazem.

Przypomnijmy sobie bowiem zasadnicze onego podstawy.

W osnowie swej jest to dualizm, tak dobrze staro-percki, jak staro-słowiański, pochodzący z jednego przed wieki wspólnego źródła.

Uznaje on dwie potęgi rządzące światem: dobrą i złą — równych sił i w wiekuiestej walce z sobą. Potęgi te przedstawiają Chrystus i Satanael, którzy w bogumilstwie tak zastąpili prastarego Biał-boga i Czarno-boga, jak pierwiej w manicheizmie Ormuzda i Arymana. Przyznawali bogumiłowie i Trójęć ś., odnosząc dwie, wiekuiście walczące z sobą, świata i życia potęgi ku jednemu wyższemu źródłu. Uznawali też i Chrystusa za Odkupiciela. Lecz punkta wiary, zgodne pozornie z nauką prawowierne go kościoła, po swojemu rozumieli.

Lecz więcej nieskończenie, niż dogmat oderwany, porывała młodzieńczą fantazyę, za ledwie z dzieciństwa wychodzących, ludów słowiańskich realna strona, że tak powiemy, bogumilstwa. Nietylko bowiem dawało ono swym wyznawcom stanowczą odpowiedź na wszelkie zagadnienia, doty-

czące tajemnic wiary; lecz prowadziło do surowych cnót w powszednim życiu. Co więcej — zrywało wszelkie hierarchiczne, tyle dotkliwe w owych czasach dla ludu, więzy, zostawiając mu zupełną swobodę urządzania się we wszystkim, potępiając prawowitość samą wszelkiej wogóle ciąży nad społeczeństwem przemocy — jak niewolnictwo i t. d.

Podobnie jak w późniejszych czasach kalwinizm, porывało tedy za sobą bogumilstwo — i tłumy i możnowładztwo.

Lecz nie znalazło ono nigdzie tyle przygotowanego pod zasiew gruntu, ile w Bośni, a następnie w Hercegowinie. Po rozprzężeniu się carstwa Duszana — królów, banów, wojewodów ziem oddzielnych, przyjmując bogumilską naukę patarenów, pozbywali się przez to jednocześnie uroszczeń Byzancyum i Rzymu, uwalniali się od moralnej zależności — tak wobec cesarzy, jak i patriarchów serbskich. Moźnowładztwo zaś, butne i niezależne już prawie politycznie, wyswobodziło się nadomiar tego z pięć wszelkiej — ortodoksalnej czy katolickiej — hierarchii. Lud na koniec pociągała wielce strona socjalno-demokratyczna nauki.

W połowie XV wieku patarenizm, w niepowstrzymanym rozwoju, doszedł w Bośni do tego stopnia potęgi, iż w osobie „króla” Stefana Tomasza zasiadł nawet na tronie. Wszakże była to już ostatnia chwila jego tylo-wiekowych tu tryumfów nad bezskutecznymi wysileniami rzymskiej przedewszystkiem władzy. Przy synu jego, nie-szczęśliwym Stefanie Tomaszewiczu, stronnictwo katolickie wzięło bowiem stanowczo górę nad śmiertelnym swym wrogiem.

Roznamiętnieni długą, uporną walką zwycięzcy rozpoczęli, podobnie jak niegdyś w południowej Francji, najstraszliwsze prześladowanie. Czego tam doznawali od katolików albigensi, dotknęło teraz starszych braci ich z ducha — patarenów Bośni. Kto się ukorzyć nie chciał, mu-

siał ustępować z kraju. Lecz i ci, co zostali, pozornie tylko wyrzekli się swej wiary — i czekali godziny zemsty.

Niedługo też czekano na nią.

Zbliżyła się straszliwa nawałnica turecka i Mahomet II szedł na podbój świata — „kral” Stefan Tomaszewicz zginął nieszczęsnie w roku 1463, z ręki barbarzyńskiej, w obliczu wspaniałego zamku „hercoga”, Błagaju, w pobliżu Mostaru — a miasta Bośni, w zapamiętałości patareńskiej, otwarły z uniesieniem bramy swe wrogowi, jako zbawcy. Powitała go z równem przejęciem się i dawna patareńska szlachta, kraj stał się „ejaletem” tureckim!

Zapamiętałość zemsty nie poprzestała przecie na tem: dla tem pewniejszego przytłumienia przeciwników, patarenism posunęli się aż do przyjęcia islamu. Lecz tu się zawiedli. Przeciwnicy ich, wyznawcy prawowiernego kościoła zachodniego, zarówno jak i wschodniego, chwycili się podobnież islamu — tem łatwiej, że przyjęcie nauki proroka zapewniało im większą jeszcze od dawnej potęgę w kraju. Oczywiście, z biegiem czasu, wspólność nowej religii i ujednostajnienie interesów społecznych i politycznych zatarły dawną antagonię, zwracając teraz, wzmocnioną przez fanatyzm muzułmański, starą patareńską nienawiść już tylko przeciw ubogiemu ludowi, co chrześcijańskim niezachwianie pozostał.

Co do właściwej Hercegowiny — patarenizm i w niej również zapuścił głęboko korzenie. Wojewoda jej, znany „hercog” Szczepan Pawłowicz, otwarcie naukę tę popierał; a gdy w sąsiedniej Bośni rozsrożyło się było okrutne prześladowanie onej wyznawców, dał on przytułek u siebie 40 tysiącom wychodźców.

Wszakże skutki pracy apostolskiej Ś-go Savy nie straciły nigdy w Hercegowinie swej mocy żywotnej. Pozostała ona przeważnie krajem chrześcijańskim i wschodniego obżądka nawet wtedy, gdy od roku 1483 uległa ostatecznie przemocy tureckiej. Pod przemocą bowiem turecką nie cała

szlachta Hercegowiny, nie chcąc ukorzyć się przed koranem, ustąpiła z kraju. Owszem, nie jeden ród starożytny, pozbawiony własności i praw politycznych, pozostał na rumowiskach dawnej swej potęgi, by dzielić twardą dolę z ludem — ciesząc się, za całą nagrodę, tylko moralnem jego zaufaniem, dającem też czasem możność skuteczniejszej przeciw wrogom obrony w przysgodzie.

Stąd też owa niezmierna różnica między Hercegowiną i Bośnią. — Gdy bowiem szlachta bośniacka, w masie swej muzułmańska, w całym ciągu dziejów pod panowaniem tureckiem występuje zawsze groźnie względem ludu, przestrzegając surowo, nawet z bronią w ręku, przeciw padyśzachowi swych nieograniczonych swobód feudalnych — pozostała chrześcijańska część szlachty hercegowińskiej spieszy przy każdej sposobności powstania stanąć na czele tegoż ludu.

Zamierzone przez sultana Mahmuda II reformy, mające na celu zbliżenie Turcyi ku wzorom państw europejskich i ograniczenie rozpasanej samowoli janczarów i spahów — nie spotkały nawet w głębi Azji takiego uporu zawziętego, jak w łonie „plemstwa” Bośni. Na wieść o grożącym staremu porządkowi niebezpieczeństwie — co żyło, wzięło się tu do broni.

Z głośnym już przedtem, ze swej wyuzdanej swawoli i ciemństwa ludu, begiem ze Zwornika, Alim Widaiczem, połączył się w 1831 roku dzielny beg Wussein (Hussein) z Gradaszacu. Na jego skinienie jedno stanęło 25 tysięcy Bośniaków, obok których wnet 40 tysięcy Albańczyków wystąpiło. Postanowiono dotrzeć do samego Stambułu, aby tam zgnieść hydrę reformy „giaurskiej”. Tymczasem odwołano się zarazem do narodowych tradycji, wydawano rozkazy w imieniu „Zmaja od Bosny” — t. j. starożytnego jej drakona herbowego, i myślano naprawdę o uorganizowaniu nadal kraju narodowem. Zawrzała namiętna walka. Hussein — to „wezyr” Bośni z ramienia sultana, to znów

przywódzca powstania, musiał wreszcie ustąpić do Węgier. Lecz gdy w roku 1840 zamierzyła Wysoka Porta zastosować postanowienia „hatti-humajumu” z Gjulhane i do Bośni, znów oto begowie, spahije podnoszą 20 tysięcy zbrojnej szlachty. Pogroził im teraz rząd rozpasaniem ludu. Wszakże w dziesięć lat potem chwycił jeszcze za broń ostatni wezyr Hercegowiny — pan na świetnym Stolaczu, ze znakomitego rodu Stoczewiczów, sławny Ali-basza Ryzwan-begowicz. Złamanie następne szlachty muzułmańskiej przez znanego powszechnie Omera-baszę w niczem przecie doli ludu nie ulżyło!

Mimo wszystko! — tacy, ze krwi swej starożytnej dumni, „Turczyni”, jak: Babicz, Brankowicz, Lubowicz, Kulinowicz, Sokołowicz, Tomaszewicz, Twerdkowicz, Złatarowicz, Czengicz — nie są jeszcze w stanie zrozumieć tego, że przysła już ostateczna chwila do słusznych ludowi ustępstw!

Występują też oni i w obecnej chwili najzapamiętałej: i oto walka, której Europa z tak wytężoną uwagą się przypatruje, dlatego właśnie nosi tyle cech wojny domowej.

Ale tu, w płoninach dzikiej Hercegowiny, u granicy niezwalzonego Czarnogórza, spotykają się spahije z równą własnej „junacką” butą rodzonej swej braci szlachetnej, starego „plemstwa”, co chrześcijańskiem pozostało. — Prawnuki dawnych własteli — i teraz stanęli na czele ludu!

Oto najgłośniejszy ze wszystkich, naczelny do niedawna dowódzca powstania, Micia Lubibraticz — jest to „plemicz” z rodu Powrszy, z Szuny, w okolicy Trebinja. Druga rodzinna jego nazwa — Balordicz. Liczy on w swym rodzie dwóch władyków duchownych i jednego generała austriackiego, którego ces. Marya Teresa ozdobiła, za liczne zasługi, tytułem barona „z Trebinja”.

W poprzednim już powstaniu (1858) Łuki Wukałowicza, również syna „pogławara” Zubców, był Lubibraticz „kapetanem” swego rodu.

Następca jego obecny, Peko Pawłowicz, jest spokrewniony z rodziną, panującą na Czarnogórze, Petrowiczów, z rodu Niegoszów — który kiedyś wyszedł tam z Hercegowiny.

Naczelnik powstania w Gacku, mnich Bogdan Zimonicz, podobnież znacznego pochodzenia: rodzina jego zawsze piastowała w swem ręku dostojęństwo „kneza” Gacka, uznawane nawet przez Turków; sam też on był wojewodą swego plemienia i w poprzednich walkach z Turkami.

Do starej szlacheckiej rodziny należy i współzawodnik jego sławy, głośny duchowny Żarko Leszewicz, dowódzca oddziałów od strony Rascyi.

Ów też młody, dzielny, poetyczny wojewoda Bańjan, Maksym Baczewicz, który niedawno oddał swe życie pod Trebinjem, walcząc za lepszą przyszłość, równie plemicz z rodu: ojciec jego Jowan, podobnie wojewoda Bańjan, także poległ bohatersko z 200 towarzyszy w wąwozie Dugi w roku 1862.

Wogóle wszyscy prawie znaczniejsi dowódcy obecnego powstania pochodzą ze krwi starego plemstwa.

Lecz co bardziej uderzające: występują też nieraz w przeciwnych obozach do śmiertelnej rozprawy członkowie jednego rodu. Łatwo przecie to zrozumieć, gdy się przypomni, że naprzykład taki starożytny ród Chrabrenów, rozszczerpiony na kilka gałęzi, jak Miłoradowicze z Dubrawy, których jedna linia przeniosła się do Rosyi, Opijacze z Konicza, Ljalicze i Kuzmanowie, ma w swoim łonie przedstawicieli i islamu i krzyża.

Co wszystko zaś, razem wzięte, przedstawia nam wybitnie całą oryginalność charakteru obecnego powstania Hercegowiny, tak wiernie odpowiada surowej oryginalności charakteru ludu samego i zamieszkiwanego przezeń kraju!

MOSTAR *).

WSPOMNIENIE HERCEGOWINY Z ROKU 1872.

Wspaniały był poranek, wśród „płonin” i „pól” Hercegowiny, dnia 18-go września 1871 r.! Powitałem go na drodze do stołecznego Mostaru. Wieczorem cichym, dnia poprzedniego, opuściłem słynny w powieściach ludu Stolacz; przebyłem, jasną nocą, ożywione jakimś tajemniczym cieniów urokiem, piękne pochyłości Dubrawy-płoniny; i ze świtem spuściłem się, na grzbiecie rażącego górskiego podjezdka, w rozległą dolinę Neretwy.

Pyszny krajobraz roztoczył mi się przed oczyma! Nie była to dzika majestatyczność najeżonych groźnie skalisk wyniosłego Wergoracu; ani uroczność surowa, pustynna, wyżyn, dzielących Trebinje od Dubrownika, co staczają się daleko ku nęcącemu „sinemu” morzu — nie; to już „pola” przestwór rozległy. Pole tu bowiem—przestronna urodzajna dolina górską—zaległo mi drogę. Przedemną wprost widniały w głębi ożywione błonia potoku Buny; z prawej strony zamykała w oddali widnokrąg Białego-stoku płonina; z lewej, za każdym krokiem konia, uwydatniały się jaśniej porbrzeża macierzy wód Hercegowiny, Neretwy; a całość przedstawiała niezmiernie ujmujący obraz krainy, wzywającej mieszkańca do pracy cichej i cichego szczęścia. Dokoła

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 272, 273, 274, 277.

wdzięk nieopisany i nieprzebrane bogactwa natury. Lecz o ileż smutniej przyszło jednak zasępić czoło na myśl, że nie prędko jeszcze promień oświaty piękną tę krainę powita!

Obudzało myśl tę od chwili do chwili i samo towarzysztwo, w jakim się znajdowałem.

Towarzyszami podróży mej od Stolacza byli dwaj synowie tej ziemi: katolik Jowan i muzułmanin Ryzwan-aga. Pierwszy był wieśniakiem z okolicy i służył mi, z parą swych wierzchowych koni, za podwodnika do Mostaru; a drugi należał do straży ziemskiej, jako „zapytja”, i towarzyszył mi dla powagi więcej, niż dla bezpieczeństwa.

Niebezpieczeństwa drogi bowiem, mimo nocnej jazdy, nie było najmniejszej obawy: w kraju panował spokój zupełny, a droga tu ze Stolacza do Mostaru, jedna z niewielu wtedy, była „nową” sułtańską drogą, a więc uczęszczaną więcej i strzeżoną. Zbyteczne więc było towarzysztwo zapyti. Lecz, jak właśnie wspomniałem, dodano mi go więcej dla powagi; a odmawiać przyjęcia grzeczności nie widziałem powodu.

* * *

Zaskoczyła mnie była dnia poprzedniego wcale oryginalna niespodzianka. W drodze z Trebinja miałem zapewnione konie tylko do Stolacza — o podróż dalszą wcale się nie kłopotując. Przyjeżdżam tedy, stoję w „kasabie”, dolnem mieście, na stronie od słynnego „gradu”, zamku — stoję w zajezdnym „hanie”. Uprzejmy gospodarz, „krscianin”, również jak ja sam, opytawszy mnie na prędcie i o Rzymie i o Wiedniu, i o wielu innych ciekawych dlań rzeczach — a więc odrazu już przyjaciel — zapowiedział mi z góry, bez ogródki, że koni w mieście do najęcia w obecnej chwili niema — wszystkie „kiradżyjskie” są w rozjeździe lub u robot na dalekich łąkach, a innych za żaden pieniąż nie dostanie. Co tu począć? „Bujurułty”, listu podwodnego dla

otrzymania koni ze stójki ziemskiej, nie miałem; czekać zaś na ekspedycję pocztową — szkoda było czasu, śpieszyłem. Cóż tedy?

— „Handży, gospodaru”, czyż wam nie wstyd, że wy tu w sławnym Stolaczu nawet koni dla podróżnego nie macie?! — powiadam memu współwiercy.

— Oho, są — i jeszcze jakie!.. — odpowie mi handży.

— Więc?!

— Aleć to wszystko begów i agów — „swe begijsko, pa aginsko dobro”!

— A u nich też nie dostać?

— Owszem — nic łatwiejszego — niema uczynniejszych ludzi!

I tu mi, z wysokiej galeryi swej gospody, wskazał poza miastem cały rząd dworów i dworów szlacheckich, wdzięcznie wyzierających z gęstwiny sadów, niby podobnież dworki staroświeckie ludniejszych miasteczek Podola.

— Ruszę więc do pierwszego, najbliższego z begów! — powiadam.

Aż tu mi na to gospodarz z czeredką ciekawych, co mnie ze wszech stron tymczasem oglądała, jak nie parskną serdecznie naiwnym śmiechem — żem już nie wiedział, co tu rozumieć...

— Wszakże ci pilno, śpieszno? — pytają.

— Właśnie! — powiadam.

I poczęto znów się śmiać serdecznie, powtarzając:

— Toś tu, widzimy, człek obcy, choć i mówisz po naszymu.

Przyznam się, ile dotknęła, tyleż równie i zaintrygowała mnie ta uwaga: czegoś przecie ja tu nie rozumiem — powiadam sobie.

Nareszcie, zadowolony wyskokiem swego dobrego humoru gospodarz począł mi rozjaśniać rzecz całą:

— Begowie jedyni są dla takich jak ty, „gospodynie”, podróżnych — uprzejmi, gościnni, usłużni, gotowi na każde

twe skinienie; ale wiesz, coby cię spotkało, gdybyś oto do tego tam np. jasnego dworu zawitał?—rzecze mi, wskazując w oddali, ginący wśród sadów, duży, zamożny widać dwór szlachecki.

— Ciekaw jestem wielce!

— Otóż—już właściwie wszelkie zbiory u nas skończone, i winobranie nawet w znacznej części, owoców w tym roku moc, a „grozdzie” (grona winne) znakomite—i wszystkiego jest pod dostatkiem. A podług starego przysłowia: gość w dom, Bóg w dom — choćby i Allah; więc kiedyż, jak nie teraz, gościa podejmować?! Chodź, gospodynie, jeśli twa wola, ja ci towarzyszę — boć i na mnie spadnie coś z łaski „spahijskiej”, że też gościa doprowadzę; ale jeśli sądzisz, że przed tygodniem wyjedziesz stamtąd do Mostaru, to się srodze mylisz! Wprawdzie, natychmiast po pierwszym ugoszczeniu, pokażą ci stajnię i dadzą ci wybrać sobie wierzchowca, na którym do Mostaru pojedziesz; lecz na tem już i koniec. Zaraz zatem każą twe rzeczy z jukami dobrze gdzie sprzątnąć — a dalej: hulaj dusza! Nic już nie pomoże, żadne prośby. Na pierwsze hasło, zbiorą się w tym jasnym dworze „spahije” (szlachta) z całego sąsiedztwa. Znajdzie się tu wszystko, czemu dusza rada — i gęśla i, mimo Allaha — „rujne” wino.

— A „adet”, a „szariat”? — przerwałem żartobliwie.

— Za nic „szariaty”, „adety” — przepisy prawa świętego i zwyczaju — zawołał ktoś z tłumu.

— Ty zaś, gospodynie, gościu — ciągnął dalej handży — pij a opowiadaj co chcesz o Frengistanie czy Lehistanie, o „Szwabach”—o wszystkim... Będziecie i śpiewać, i do celu strzelać, i konno harcować, ale im się nie wymkniesz bez juków — i wreszcie nie zechcesz; oni, choć „Turczyni”, ale dla pożądanego gościa serdeczni—mniejsza że „giaur”, byle nie „szwaba”. I tak pójdzie od dworu do dworu, po kolei; sąsiedzi nie dadzą sobie ubliżyć... Zato po tygodniu, po dniach dziesięciu, to już całą czeredą będą ci towarzyszyć

do Mostaru. Lecz i na tem nie koniec: tam jeszcze ze trzy dni będziecie „bajramować”, nim spahije nasi do domu na dobre nie zatęsknią...

Szczerze mówiąc, byłbym ci się ja w każdym innym razie nie bał gościnności begów: potrafiłem niegdyś, choć już bardzo dawno, dotrzymać pola samym Horwatom. Ale teraz śpieszyłem naprawdę, nie miałem chwili do stracenia, przy zakreślonym z góry na mą wycieczkę czasie. A tu, nadomiar wszystkiego, byłem pewny prawie spotkania z „przyjacielem” mym, owym Omer-begiem młodym, którego poznamy we wspomnieniu podróży do Belgradu. Otóż nielawoby mi się było rozstać z nim po spotkaniu—tu w Stoliczu! Wolałem tedy pozdrowić go potem w Mostarze...

— Radź co chcesz, „handży-gospodaru” — powiadam więc do właściciela hanu — a ja muszę co tchu stąd ruszać, nie pokazując się wcale waszym spahijom!

— A to chyba już się zdecydujesz — rzecze mi mój współwierca — udać się na wysoki „grad”, do samego „kajmakama”; ten ci, gospodynie, każe dać stójkowych, stojących w zamku na kolei.

— Któż tam siedzi teraz na waszym zamku wysokim?

— Arnauta! — odpowiedziano mi z tłumu tonem przekąsą, któregom w pierwszej chwili nie zrozumiał.

— Ale to nic! — zawołał gospodarz — konie napewno będą, byleś sam osobiście poprosił...

Nie było wyboru — zdecydowałem się.

Rozkazawszy tedy memu trebińskiemu przewodnikowi osiedlać i ujuczyć jego zdrożone konie — już bez namysłu ruszyłem na zamek. Wreszcie rad nawet byłem z mego postanowienia: ze szlachtą jeszcze nieraz się spotkam — pomyślałem — a drugiego zamku stolackiego w Hercegowinie niema!

Łączy się bowiem z tem imieniem tyle wspomnień dziejowych!

Smutne one zawsze dla „rai” nieszczęsnej; lecz świe-

tne, pamiętne sławnie dla całego „plemstwa” bosańskiego, dla dawnych „spahijów”, co tu wszakże pod skaliskiem tego zamku pogrzebali przecie swą dawną potęgę!

Zamek Stolaczu już samem nazwiskiem zdaje się określać wybitny swój charakter. Wznosi się on, jakby na kamiennej stolnicy, na stromo prawie wystrzelającym, wśród rozległej doliny Bregawy, olbrzymiem skalisku. Niby to jakiś akropol ateński; ale szczyty jego surowiej najeżone obronnemi basztami, a wewnątrz zamczyska napróżnobyś, nawet mocą fantazyi, dopatrywał gdzie śladu jakiego par-tenonu. Wszystko tu tchnęło zawsze butą wojenną jedynie.

Stolacz był od wieków gniazdem potężnego rodu wśród begów hercegowińskich. Cała sąsiednia okolica zależała od panów na wysokim, skalnym „Stolaczu” — korzyło się tu wszystko przed nimi; władze nawet namiestnicze padyszacha musiały się z nimi liczyć. Ostatnimi czasy noszą oni nazwę Ryzwan-begowiczów. Dla zjednania sobie zbyt silnych lenników, musiała wysoka Porta powierzać im nieraz zwierzchnictwo nad całym krajem. Nic dziwnego tedy, że, gdy przyszło ustępować nowemu porządkowi rzeczy, nakazywanemu ze Stambułu — tu właśnie, na zamku stolackim, zagrożone możnowładztwo muzułmańskie znalazło swój ostatni tron i oporę.

W walce o samorząd prowincjonalny Bośni i Hercegowiny ze Stambułem, przed dwudziestu paru laty, wszystka szlachta skupiła się pod chorągiew Alego, pana na Stolaczu. Był on jej naturalnym przedstawicielem i przewodzcą, mimo swego dostojęstwa baszy „Hercegu”, jakim go był poprzednio sultan udarował. Rezultat walki przecie musiał się stać dla szlachty fatalnym. Stolacz zajęli Turcy, dumny Ali poddał się i zginął...

Takeśmy sobie o tem rozprawiali z moim Trebinjaninem — ubogim „siromachą”, muzułmańskim wieśniakiem — wznosząc się stępa po wąskiej bitej drodze, prowadzącej półkolem na szczyt zamku.

Stałem na koniec przed obliczem zawiadowcy obwodu stolackiego — „kajmakama”. Młody Arnauta powitał mnie z zimną powagą, niezbyt uprzejmą dla „giaura”. Ale gdy, po mem wstępnem „af bujurun”, że ci to niewielki ze mnie turecki krasomówca — wyłożyłem mu dobitnie, kim jestem i o co mi chodzi, rozjaśniło się wnet czoło prawowiernego dostojnika.

— „Chosz gielodyn” — „otur rahat” — witajże nam, siadajże spokojnie! — Tuż kawa, sorbety i t. d. i t. d.

Pokazało się, że i sam kajmakam i „kady” miejscowy, którego w „konaku” zarządcy zastałem, i nadewszystko „juz-baszy”, znali dobrze mego „kardaszyma” w Mostarze, na którego powitanie właśnie śpieszyłem. Kazano zatem bez zwłoki siodłać mi konie.

Lecz tu nowa przeszkoda — konie zamkowe były albo w rozjeździe, albo znużone, trzeba było do wieczora czekać!

Wprędce kajmakam z kadym pożegnali mnie. Udając się sami do miasta, polecili mnie tutaj usłudze juz-baszego.

Był to młody jeszcze człowiek, Czerkies rodem, ale wychowany w Bośni i związany węzłami współczucia z przybraną swą ojczyzną. Ten mnie otoczył największą troskliwością. Wielem się od niego o miejscowych stosunkach wywiedziało. Znał on je na podziw dobrze, pamiętając żywo i o swych tradycjach kaukaskich. Nie zapomnę nigdy jego powiedzenia:

— Możesz nam tu rozkazywać — wszystko mieć będziesz — więcej my się znamy, jakby się tam zdało; mniej-sza, że my, osobiście, pierwszy raz się spotykamy — i miej to sobie zawsze w duszy.

Poczem oddalił się, prosząc mnie o cierpliwość. Konie, powiada, już będą — świeże, dobre; on się sam już tem zajmie. Opóźnienie nie powinno mnie niepokoić — pora śliczna, nocna jazda najprzyjemniejsza; a jutro przed południem na pewno będę w Mostarze.

Pozostałem teraz w „selamlyku” tylko z jednym sta-

rym odźwiernym. Sala zamkowa obszerna, dokoła ostawiona nieprzerwanymi „dywanami” (sofami), zresztą naga prawie. Z trzech stron sali liczne okna, w potężnej grubości ambrazurach murów. A widokże, widok stamtąd! Pół godziny całe niemal poilem się widokiem tym, przesuając się po sofie od okna do okna...

U stóp zamku rozciągała się w dal przestrzenną dolina żyzna Bregawy, niosącej wody swe na południo-zachód do Neretwy. Na północ, wpoprzek drogi mej ku Mostarowi, ciągnęły się, uśmiechnięte jeszcze resztą zieleni, faliście pagóry Dubrawy-płoniny; na prawo zamykał horyzont łańcuch płoniny Widuszy od wschodu; na południe rozwierała się znana mi już droga na Crnograw ku Lubinju; od zachodu zaś kryła się w olśniewająco gasnącem słońcu daleka nizina Neretwy, ku Gabelli zwróconej. Było w tym widoku coś dziko-uroczego, „selamtyk” sam zamkowy zdawał się być sokolem gniazdem, z którego daleko dokoła tylko za łupem by śledzić...

Pojenie się to moje milczące przerywał tylko od czasu do czasu stary odźwierny swemi głębokimi westchnieniami. Zagadnałem go tedy. Nieskory był do rozmowy; zbywał mnie tylko urywanymi wyrazami:

— Tyś tu obcy, gospodaru, boś obcy; — i nic tu nie wypatrzysz, bo nie masz serca do tego, co ci obce! Ale my też, my — i myśmy dziś także obcy tutaj! — My, wierna drużyna prawych dziedziców tego zamku. A teraz, widziałeś — na Stolaczu wysokim Arnauty zasiadły, łotry! Człeku na starość im służyć przyszło; boć zamku przecie komuś pilnować wypada. Może to nie minęło wszystko jeszcze — ale co tam mówić!...

I dalej milczeliśmy.

W godzinę może potem powrócił i Czerkies, ów polityk, oznajmując, że osiodłane konie stoją już na dziedzińcu.

— Zatem szczęśliwej ci drogi — „kardaszymowi” tam twemu w Mostarze mój „pozdraw”!

A potem, zwracając się do młodego zapyty, uzbrojonego ze staroświecka od stóp do głowy, co wszedł za nim, rzecze mi:

— „Ewo ti junaka”! — Nie pożałujesz, żeś się tu trochę nudził, będziesz mieć jedynego towarzysza w podróży; — a i konie niegorsze. — „S Bogom! u dobar put!”

— „Zapowiedaj, gospodynie” — do twych usług — rzecze mi zapytyja, w którym właśnie poznałem oto tego Ryzwan-agę, co mię spowodował wyżej w opisie cudnego poranku 18 września zwrócić się wspomnieniem do Stolacza. Przekonamy się też, że wart był tego....

Zeszliśmy na dziedziniec.

W podwodniku, przy koniach, poznałem współwiercę; a więc wspólne nam wszystkim przedwieczne „Falen Isus Chrystus”! — odpowiedź: „Na wieki”!... i do juków.

Wnet byliśmy w siodłach — zabrzmiały jeszcze nam na odjezdnem „dobar put”, „srecian put”.

— W drogę tedy, „Hajdmo”, Ryzwan-ago, — ruszajmy!

Ruszyliśmy zatem, powoli spuszczając się z wyżyn zamkowych ku miastu.

Mile ono przedstawiało mi się w przygasającym blasku zachodzącego słońca: rozrzucone fantastycznie po nizinie, z całem zaniedbaniem wschodniem, z całą sielską swobodą słowiańską, niewielkie, ledwie 3,000 mieszkańców, w znaczniejszej części muzułmanów, liczące.

Po moście kamiennym przejechaliśmy na prawy brzeg Bregawy — i potem w pole...

Skromna ta rzeczka górską wypływa, o 2 godziny stąd tylko, ze wzgórz Truszyny, leżących na północo-wschód od Stolacza; płynie do tego miejsca w głębokiej skalnej dolinie, a dalej już szerszem korytem zmierza do Neretwy. Lecz skromna o tej porze, wzbiera ona na wiosnę gwałtownie i pędzi groźnie ku nizinom.

Niebawem straciliśmy z widoku i zamek.

Oglądając się raz ostatni:

— Pięknyż wasz grad! — rzeknę do Ryzwana.

— Piękny... byłby piękny, gdyby nie te wasze pogańskie syny! — odparł mi z istnie prawowierną nieprzymuszonością mój zapytja.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem pocisku. Lecz, przypomniawszy sobie średniowieczno-bohaterskie awanturowanie się tu Ilińskiego, powiadam, łagodząc agę:

— Czy tam nasz Iskender-beg, czy wasz: to jeszcze pytanie.

— Juźci nie nasz! — odeprze żywiej aga.

— A dlaczegoście najpiękniejsze spahijskie dziecię Bośnii pozwolili mu wziąć za żonę?

— Wziął, bo zdobył... — była odpowiedź krótka.

— A przecie z wami i do meczetów chodził, i „namazy” kładł?

— Tak, dżamije odwiedzał — i do muezyna na minarecie w czasie modlitwy strzelał; namazy odbywał — i na śmierć się „rakiją” winną uraczał... Niema co, tęgi muzułmanin. Pamiętamy, jak w czasie ostatniej wojny robił on wycieczki z obozu, z jednym adjutantem tylko, dla rozpoznawania przez perspektywę pozycyi nieprzyjacielskich...

— Więc i to coś zdroźnego?

— Osądzisz sam: pokazało się, że długa, potężna perspektywa blaszana, przytroczona u siodła adjutanta, takiejże jak on „poturycy”, była to fłaszka wódką napelniona; a baszybozukom się zdawało, że wódz, podnosząc do ust perspektywę ową, tak pilnie wzrokiem gjaurów ściga...

Przypomniałem sobie ze Stambułu i pułkownika Wojcika, genialnego wynalazcę nowej à la baszybozuk perspektywy; począłem się śmiać serdecznie.

Urażony Ryzwan-aga zamilkł.

Słońce tymczasem zaszło gdzieś daleko poza Neretwą i spoczęło w głębinach „sinego” morza. Nic nie przerywało ciszy; słychać było miarowy tętent końskich kopyt jedynie.

Zbliżyliśmy się ku ciemniejącej ostatnią zielonością Dubrawie-płoninie. Przystanęliśmy nieco z Ryzwan-aga, puszczając naprzód Jowana z jukami.

Nie mógł strawić prawy wyznawca proroka mego niedbałego śmiechu, jakim przyjąłem jego inwektywy, dotyczące Iskender-bega. Przerwał tedy naraz milczenie uwagą, jakby tylko do siebie samego, z turecka, zwróconą:

— Szejtan bu Deli-Madżar, szejtan! — Pogański syn też to, ten szaleniec...

— A rąbał się przecie jak „junak” prawy! — od niechcienia niby, w odpowiedź, natrąciłem.

Aż powstał na siodle mój aga na ten argument.

Syn zasłużonej janczarskiej rodziny, pielęgnującej parowiekowe tradycje wojenne, świadek i sam, za czasów pierwszej swej młodości, świetnej buty rycerskiej na zamku stolackim, potem bitny żołnierz nad Dunajem i nieprzemierzony ochotnik we wszystkich wyprawach przeciw Czarnogórcom — mimo to, że dziś zapytja, strażnik tylko, czuł on głęboko, co to znaczyło mieć sławę bohatera, „junaka”. Odparł więc mi z pewną gwałtownością.

— Junak — niezaprzeczenie; spahija czystej krwi, i krew to nasza — nie jakiegoś stambulskiego, anatolskiego przybłądy; ale to tem haniebniejsze jeszcze... Być spahiją z rodu i na krew „plemienitą” spahijów nastawać — żadna dzielność rycerska nie byłaby w stanie okupić tej winy!

Potem, po krótkiej przerwie, dodał:

— I jeszczeż dla kogo tu było gubić duszę — dla tych znikczemniałych Stambułlijów, Osmanlijów?! Człowiekowi tak wysokiego, jak powiadają, begowskiego w swoim kraju rodu?! Niepojęte!

— Dlaczegoż Omera-paszę pomijasz, ago? — zapytałem spokojnie Ryzwana, dla odwrócenia jego zapalczywości w inną stronę.

Przyznam się też, że mi się to powiodło nadspodziewanie znakomicie. Z początku potomek krwi janczarskiej,

a butniejszy przedstawiciel i obrońca interesów szlachty i onej dostojeństwa, niż sam Brankowicz lub Czengicz — machnął tylko lekceważąco ręką, splunął i rzekł sucho:

— Co mi tam za „plemicz”, za spahija taki Omer-pasza! — Graniczar, zbieg szwabski, turecki służalec — i tyle; robił co mu kazano — niema co wspominać. Lada „kafedżyja” w Stambule zostać może bejem, paszą, seraskierem, sadrazamem — i zawsze będzie tem, czem był; ale tamten — wielki beg ze krwi, a odstępcą!

Wtem nagle zwracając się, zawoła głosem, w którym czuć było podniesione roznamietnienie:

— Choć i ten — Horwat: krew jedna, mowa jedna; a choć szwabski graniczar, toć junak, jak oni tam wszyscy — co prawda, to prawda!...

I tu, wśród gwałtownych inwektyw, począł mi opowiadać o sławnym wodzu naczelnym tureckim.

Pomiędzy szczegółami powszechnie znanymi, dowiedziałem się teraz i o takich, które dotyczyły bliżej pobytu i działalności Omera-paszy w Hercegowinie.

Pierwotne jego nazwisko Michał Lattas; pochodził z ogulińskiego pułku horwackiego pogranicza od strony Krainy bosńskiej.

Zbroiwszy coś za młodu w domu, jeszcze za sułtana Mahmuda umknął on do Bośni, gdzie spłynęło nań światło Najwyższego, i został prawowitym wyznawcą proroka, przybierając nazwę Omera Lutfi-agi. Począł się potem pilnie uczyć pisma i wprędce efendym został.

Ale nie mógł długo prawy szlachecki syn Hercegowiny utrzymać spokojnego opowiadania: wspomnienia osobiste burzyły w nim krew. Więc, podnosząc głos, dalej rzecze:

— I byłby młody efendy został bardzo uczonym i zannym człowiekiem; ale „szejtan wraży” pchnął go na ścieżki obmierzłego Bogu Husseina-paszy z Widynia...

— Ten to sam — zawoła gwałtowniej mój aga — co to bezbożnie janczarów tępił w Stambule; — poczem już wszyst-

kie bezceństwa poczęły spadać na ziemię sułtana — wszelkie przekłete porządki nowe!

— Po takiej opiece — ciągnął dalej Ryzwan-aga — nie można się było niczego dobrego spodziewać. Omer-efendy został „hodżą”, nauczycielem, dzieci Husseina-paszy i zaprzedał się zupełnie nowatorom. A potem w Stambule poszedł już wysoko...

— Sam sułtan Mahmud poznał go i naznaczył hodżą przy następcy tronu, Abdul-Medżydzie; a nadomiar tego, ożenił się on bogato.

— Za Abdul-Medżyda został Omer-paszą, wojował w Arabistanie i Kurdystanie, zaprowadził porządek na Wołoszczyźnie; słowem, został wielkim między Osmanlijami człowiekiem. I wtedy to właśnie los go nieszczęsny rzucił na Bośnię i Hercegowinę — przed dwudziestu laty...

— Pamiętam te czasy dobrze — rzecze dalej aga — byłem wtedy kilkunastoletnim wyrostkiem i już zbrojno odbywałem służbę ziemską na stolackim zamku.

— Co też to tam za życie było! obfitość wszystkiego. Jakie konie, jaka broń, a jaki „sałtanat” — wspaniałość! A raja ani śmiała głowy podnieść...

— Czego begowie chcieli?! — Pragnęli tylko utrzymać nietykalnie stary porządek rzeczy, stary zwyczaj i obyczaj — jak było za starych sułtanów i wezyrów wielkich, Solimanów i Sokołowiczów, kiedy begów naszych przodkowie na zamku budymskim w Węgrzech siedzieli.

— A ten tu, wychowaniec niecnego Husseina-paszy, przyszedł, z zatrawionym do rzezi „nizamem” i Arnautami, wyrzucić wszystko i zburzyć!

— Kilkanaście tysięcy zbrojnych ziemian — agów i begów z ich orszakami, nie było, koniec końców, w stanie podolać strasznej nawale! Wąwozy dzikiego Pranduk-bohazu, gdzie się ostatecznie zamknęto, zostały zdobyte przez morderczy ogień artylerji Omera-paszy. Podał się i Stolacz — a z nim i stara sława przyćmiała!

— W Mostarze, za miastem, zobaczysz jeszcze ślady obozowiska najeźdźców Omera. Imię jego pozostanie pamiętnem tu na wieki — pogański syn — słuźalec stambulski! Udawał jeszcze prawowiernego, a raję przeciw spahijom tajemnie, ba i jawnie nawet, podszczuwał! I zhardziała odtąd raja nad miarę: wszystko poszło na wywrót!

Taka była treść główna opowiadania o Omerze-paszy mego towarzysza podróży, pełna drobnych szczegółów, dotyczących osób, rodów i miejscowości, przeplatana, od czasu do czasu, wybuchem oburzenia lub rzewnego żalu.

Znałem ja przecie już wtedy na tyle muzułmańsko-szlacheckie serce, że w jednej chwili mogłem je odwrócić w zupełnie przeciwną stronę. Pytam więc, po pewnej przerwie, Ryzwan-agi:

— Omer-pasza tedy pogański syn?! — a Czarnogóra?...

Na to zapytanie mój aga zmieszał się jak dzieciak, którego się myśl pilnie ukrywaną odgadło — bąknął mi parę wyrazów nieskładnych i zamilkł.

Trzeba bowiem nie zapominać, że niema wyższej antagonii, jak między szlachtą hercegowińską prawowierną a Czarnogórcami. Antagonia ta przesiąkła ich krew i kości: była przez długie wieki treścią niemal ich życia i wytworzyła nawet obustronnie taką piękną i bogatą, w jednym wspólnym języku, ludową poezję — ową, znaną i nam z od dali, szczytną pieśń bohaterską. Nie ma ona wprowadzić nic w siebie z nienawiści ras lub narodów złowrogich wzajem; ale zato jest żywsza, głębsza, łatwiej się zapalająca — jako, doprowadzona do zapamiętałości, niechęć dwóch, śmiertelnie rozżalonych na się, rodzin jednegoż rodu. Jest tu uznanie tego rodu, uznanie jedności krwi i tej krwi buta, jest duma wspólna w obliczu obcych — tak że spahija hercegowiński, wobec Turka nawet, szczycić się będzie dzielnością Czarnogórców; między sobą zato, do pierwszego spotkania — na noże!

Więc uśmiechnął się po chwili mój aga z pod pięk-

nego wása — a miał bardzo piękny, jak oni tam wszyscy — i z jakimś niepojętem rozpromienieniem rzecze mi:

— O, to wcale rzecz inna! — tu Omer-pasza był prawdziwym bohaterem...

A potemi, unosząc się widocznie porywem swoich osobistych wspomnień, począł gniewnie, urwisto, jakby ciskać wyrazami:

— „Prokleti Szwabe!” — A bylibyśmy wtedy już pokonali Czarnogórców! — Cetynie, norę wilczą, bylibyśmy za deptali! Podeptali płoniny Kara-dahu! — Pokłoniliby się Niegosze naszym begom! Przekłête Szwaby!

Odnosiło się to wszystko do znanej wyprawy Omer-paszy przeciw Czarnogórcom, zimą r. 1852 i 1853, w czasie której tak oni byli, mimo cudów swej waleczności, przez Turków ściśnieni, że tylko wdanie się mocarstw, mianowicie posła austriackiego księcia Leiningen, ich ocaliło.

— Tak — niema co — był przecie „junakiem” i Omer-pasza! — zakończył Ryzwan-aga.

Noc była cudna — jasna, cicha. Towarzysz mój, aga, poddając się widocznie osobistym swym wspomnieniom z czarnogórskich wypraw, zapadł w milczenie.

Milczałem i ja.

Niepodobna mi było oprzeć się teraz nawałowi smutnych myśli, tłoczących się mimowoli.

Oto — fatalny zbieg okoliczności historycznych zasiał w łonie jednej cichej rodziny ziarna dwóch sprzecznych cywilizacji. Ziarna te, jednostajnem ciepłem ogrzewane, rozbudzają dwa sprzeczne życia, rozzdzierają na poły i samą rodzinę. Dzieci jej, w obłędzie nieszczęsnej gorliwości dla oderwanych ideałów, broczą krew własną w walce bratobójczej. Interes materyalny mniejszą tu naprawdę odgrywa rolę, aniżeli uprzedzenia przesądami wykarmionej wyobraźni. Ten zaciekły aga, muzułmanin, równie ubogi, jak wolny syn Czarnejgóry, nie obudza zawiści tamtego: są oni śmier-

telnymi wzajem wrogami w krainie ideałów przedewszystkiem...

Kiedyż walka ta się skończy? — jak się ona ukończy?!...

Pamiętam przecie, w niedawno ubiegłej przeszłości, walkę podobną krwi jednej i dwóch tychże cywilizacji — tylko majestatyczniejszą, wszech-dziejową bardziej, lecz nie mniej może zapamiętałą...

Przeminęła, przebrzmiała w życiu, zostawiając po sobie tylko świetne epotyczne podanie w dziejach.

Jakże cicha dziś rzeczywistość!

Oto np. w tej chwili dwaj przedstawiciele wrogich sobie śmiertelnie do niedawna światów, szaraczkowa tych światów szlachta, ja i mój aga, jedziemy teraz obok siebie cicho, cichą nocą, nie myśląc nawet o drzemiącej w pochwach broni. Przeciwniśmy sobie i dziś, lecz spokojni. A tymczasem czyż to dawno, jak pradziadowie nasi gonili na ostre gdzieś po jarach podolskich: mój, napewno, pod wojewodą ruskim; a jego, być może, pod strasznym Ibrahim-Szejtanem, owym słynnym szlacheckim synem rozkosznej Bośni; a kto wie, może zwierali się jeszcze potem i pamiętnego dnia pod Łysą-górą wiedeńską lub Parkanami?

Dziś wspomnienia nam nawet ciężą...

Może też niezadługo i w jakiej starej rodzinie dawnych „włastelów” hercegowskich przyjdzie do tego, że członkowie jej, tak chrześcijańscy jak i muzułmańscy, będą już razem obchodzić uroczyscie swego „sweca” patrona rodu całego — Ś-go Jerzego lub Savy!

Bo też wiadomo, sędzę, powszechnie, że i prawowierna szlachta — begowie Bośni i Hercegowiny — obchodzą do dzisiaj dzień chrześcijańskiego patrona swego rodu — mniejsza że osobno i w ścisłem kole domowem.

Nim to wszakże nastąpi, teraz jeszcze twarda ludu chrześcijańskiego dola!

Poczęło świtać. Dopędziliśmy z agą naszego Jowana, który był nieco przystanął na wypoczynek używczego

„bunaru” — z turecka ocembrowanego źródłiska, co się sączyło z wyniosłej opoki.

— Kako si ty, Jowanie? — pytam.

— Fala Bogu... — odpowie mi ten, zwyczajem uciemionych, zagadkowo.

— Fala Bogu... oczywiście; czego dziś „rai” brak? — wtrącił z przekąsem, zsiadając z konia, Ryzwan-aga.

— O nic też Boga nie prosimy, tylko o jedno... — odparł na to spokojnie podwódchy.

— Ciekawiśmy...

— Wiesz, ago, wiesz — od urodzenia wiesz; ale ci jeszcze raz powtórzę, jeśli wolno... — rzekł, wyprostowując się hardo i ujmując za nóż podróżny, śmielszy zwykle wobec prawowiernych od powszedniej rai wyznawca rzymskiego kościoła. — O jedno tylko prosimy: ażeby na was już prędzej ostateczny „kijamet” przyszedł!...

Porwał się aga na wspomnienie o skończeniu świata muzułmańskiego; lecz spojrzawszy na mnie, zaraz się ucizył i tylko ponuro przemówił do siebie:

— Miał słuszność, „turskie mi wiere”, nasz hadży, wracający z Mekki, kiedy mówił, że już się kijamet zbliżył, odkąd aga nie ma prawa, podług „carskiego kanunu”, wybuchować „Włacha”...

— Car zawsze daleko, w dalekim Stambule; a oto nóż pod ręką w odpowiedzi na cybuch!... — odeprze pogardliwie Jowan.

A po chwili doda dumnie:

— Tem pewniej, że ze mnie nie „Włach” jaki grecki, a „Latyn!”

— Wszyscyście wy jedni: mizerna raja zawsze — i nic więcej!...

Zaniosło się na burzę: ledwom mych towarzyszy podróży zdołał uspokoić.

Pytam potem na stronie współwiercę:

— Czy też istotnie, dotąd jeszcze, tak nad wami znęcają się Turcy?

— „Rimske mi wiere!” — ktoś o tem wątpi!

— A dłaczegóż ich znosicie?

— Dokąd ich Bóg cierpi, cierpimy i my!... — odpowie Jowan smutnie.

Potem nieco ożywiając się, dodał:

— Zawsze u nas jedno! Znasz nasze przysłowie: „Ne pyta Turczyn ima-li? — nego daj!”

— Otóż zawsze — daj, i daj! Daj begowi, daj służebnemu adze, daj kademu, a i dla cara-sułtana coraz więcej płąć i płąć! Ale przyjdzie i na nich kijamet! A na takich, jak Ryzwan, już i dziś nóż mamy — i w płoniny!...

Słońce tymczasem majestatycznie podniosło się; poparliśmy rącej ku Bunie.

Roztoczyła się przed nami okolica równiejsza, o konturach bardziej łagodnych, żyzna niezwykle i dosyć uprawiona. Po drodze spotykaliśmy stada liczniejsze i inne wskazówki większego zaludnienia.

Wczesnym rankiem 18-go września stanęliśmy u ujścia rzeczki Buny do Neretwy, w osadzie niewielkiej, również nazwę Buna noszącej.

Tu tedy zatrzymaliśmy się na dłuższy wypoczynek w przestronnej nadbrzeżnej kawiarni, której wysoka galeria zwrócona była w stronę starożytnego, z czasów rzymskich jeszcze, mostu, rzuconego trzynastu arkadami przez szumny tu górski dopływ Neretwy.

Niewiele znacząca to rzeczulka w porze letniej; znaczniejsza wszakże od Bregawy. Wypływa ona, parę godzin stąd drogi, ze skalnej pieczary, poniżej ruin starożytnego zamku, Błagaj zwanego, i płynie wciąż jednostajnem prawie korytem, ze 100 kroków szerokiem a do 4 stóp głębokości mającem.

Sama zaś osada Buna, mimo swe położenie na głównej drodze do Mostaru, nie posiada zapewne i pół tysiąca

stałych mieszkańców — muzułmanów w znacznej części; i, wyjąwszy jeden tartak, prawie nie ma żadnego przemysłu.

Zato bracia w proroku, janczarskie syny i wnuki, agowie przeróżni, niezmiernie tu wrzawni.

Po przyjeździe tak ciekawego cudzoziemca, jakim ja się być zdałem, na pierwszą wieść, przez Ryzwan-agę podaną, pełno Mujów, Sulów, Iorów, Braszków i innej braci szlachetnej wnet do nadbrzeżnej kawiarni się zeszło.

Popatrzeć na gości z północy rzecz wcale nie obojętna; ale mieli oni inną jeszcze, daleko poważniejszą pobudkę.

Tego dnia właśnie miał się tu rozstrzygnąć ostatecznie, długo prowadzony, zawzięty spór o dziedzictwo znacznego w sąsiedztwie „spajluku” — ziemskiego, na prawach feudalnych, majątku.

Sprawa była niezmiernie zawiła i roznamiętniała, nowością swą, wszystkie umysły.

Chodziło tu bowiem zarazem i o rozwiązanie w zasadzie podobnej, a nawet, rzecz można, tej samej kwestyi prawnej, jaka w zamierzchłej ciemni wieków była oddana na sąd Libuszy...

Oto jak tam dwaj Klenowicze, tak tu obecnie dwaj Mahmud-begowicze jacyś powadzili się śmiertelnie o dobro ojczyste.

Podług prawa i zwyczaju, spajluk, jako własność rodowa — dziedzictwo niepodzielne wszystkich członków rodziny, spadał po śmierci głowy rodu na całą rodzinę solidarnie. Pozostali członkowie wybierali zwykle z pośród siebie nowego „pogławara” rodu i dalej władali wszyscy wspólnie rodzinnem mieniem. Pogławara wybierano, nie krępując się wcale starszeństwem lub bliższością krwi względnie do poprzednika. Nie raz na czele rozramienionego rodu stał jaki 25-letni Selimek, a poważne, siwobrode Abdulły, Mustafy, Sulejmany uznawali w nim spokojnie swego naczelnika. Nie było więc w spahijskim plemienitym rodzie, właściwie, nigdy mowy o spadkobierstwie — własność była nieruchomą prawie lennością;

chodziło tylko o wybór zawiadowcy i urzędowego onej przedstawiciela.

Lecz moralne węzły dawno poczęły się już rozpręgać wśród plemstwa muzułmańskiego Bośni i Hercegowiny: co więcej, nowe pojęcia prawne przenikały, z biegiem czasu, niepowstrzymanie, w łono rodzin spahijskich. Poczęły się tedy i tu wywiązywać kwestye sporne o dziedzictwo.

Gdzie rodzina była liczna, radzono sobie łatwo: wybrano głowę rodu — i niezadowoleni musieli milczeć. Lecz rzecz stawała się niepospolicie trudną do rozstrzygnięcia, gdy zachodził tego rodzaju spór między dwoma braćmi.

A właśnie na taką to sprawę trafiłem w Bunie.

Z rodu Mahmud-begowiczów pozostało tylko dwóch braci: młodszy nie chciał uznawać starszego za głowę i wy magał działu ojcowizny.

Zawrzała przeto cała bracia szlachetna niepokojem o te nowatorstwa. Wprawdzie nie mąciła tu, ze zgrozy, cicha Neretwa, jak niegdyś za Libuszy Włtawa, swej, o srebrnej pianie, wody; ale kawiarnia zato stała się istnem widowiskiem zgiefku sejmikowego.

Młodszy Mahmud-begowicz nie był też bez popleczników: popierał go bowiem ród jego narzeczonej.

Sąd, złożony z ludzi sędziwych, dopiero pod wieczór miał wydać wyrok; ale tłum już teraz, w kawiarni, wypowiedał swe rozumienie i burzył się z niecierpliwości.

Pytano i mnie o nasze porządki, i na mą prostą odpowiedź robiono ironiczną uwagę:

— To też się i wy „kao Szwabe” urządzacie!...

Przed wyjazdem zagadnąłem mego Ryzwan-agę:

— Ciekaw'em wielce, na czem się też ta sprawa zakończy?...

— Próżna tu była wrzawa: zostało w rodzie dwóch tylko braci — młodszy musi słuchać starszego — tak ludzie poważni rozstrzygną! — odrzekł mi prawy syn szlachecki.

Z NAD NERETWY *).

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY ROKU 1872.

Bohaterska walka, jaka wrze obecnie na dalekich krańcach południowej Słowiańszczyzny, zwróciła najżywiej powszechną uwagę i ku mniej znanym dotąd łóżyskom fantastycznej sieci wód Neretwy.

Wierzchowiska jej własnych źródeł, wysokie krynice, skąd wybuchają kapryśne jej dopływy, otchłanie, co je pożerają w przerywanym biegu, razem z okolicznym światem wąwozów, turni nagich, równin i śmiejących się obfitą żywnością rozdołów — przedstawiają teraz szeroką a niezmiernie ciekawą widownię krwawych zapasów obecnej chwili. Co więcej, cały nawet świat ten surowy, dziki, o tyle tylko ma życia, o ile jest objęty siecią zawilą tryskających z głębokich podziemi niezliczonych strumieni i wód. Nakoniec tym jedynie światem odgranicza się owa głośna dziś Hercegowina; tam ona wszędy sięga, gdzie tylko sący się jaki strumyk ku Neretwie, i dalej też właściwie granic swych naturalnych nie rozciąga.

Kraj to wspaniałości nieopisanej i niewyczerpanie głębokiej niedoli!

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 100, 101, 102, 104, 106, 108, 112, 113, 115.

Poznałem go bliżej w najpiękniejszej porze — przy końcu lata 1872 r.

Podobnie jak każdy prawie przychodzień obcy od Zachodu, wstąpiłem też i na surową opokę rozgranicza Hercegowiny od strony uroczego Dubrownika (Raguzy).

Rozgranicze to stanowi tu wysoki grzbiet skalny, „Dri-nji-Wrch” zwany. Wierzch ten, dobiegłszy tu od Czarnogórza i słynnej ze swej czarującej piękności zatoki Kotorskiej (Cattaro), łączy się dalej z wyniosłym łańcuchem, pod nazwą „Debeli-Wrch” znanym a zmierzającym ku ujściom Neretwy—tworząc w ten sposób ów mocny szaniec naturalny, jakim się rzeczpospolita dubrownicka, długie wieki, od groźnego sąsiedztwa tureckiego zasłaniała.

Słiczna droga prowadzi z Dubrownika ku granicy! Wznosząc się powoli ku nagim grzbietom Drinjego-Wrchu, podróżny ma długo jeszcze, niby u nóg swoich, brzeg „sinego morza”, brzeg ciemno-modrego Adryatyku. Tuż przy brzegu zielenieje, jakby ustronie zaczarowane, miła wysępka Kroma — przybytek niegdyś uczoności benedyktyńskiej, niedawno zaś ulubione miejsce nieszczęśliwego cesarza Meksyku. A dalej ku południowi — morze bezgraniczne. Po drodze podróżny od strony miasta mijają gaje oliw i pomarańczowe sady.

Ale stanąwszy u szczytów granicznych, w jakże innym świecie on się ocuła! — jakież inne powietrze ku niemu powiewa!

U pierwszej pieczary strażniczej, skąd się wysuwa poważnie celnik turecki, dla wzięcia poboru lub otrzymania miłszego nadewszystko „bagszyszu” (upominku) — Europa już się kończy. Zdaje się na chwilę, jakby się uległo czarowi jakiej fantasmagoryi. Jeden kraj, jeden lud; boć ziemia dubrownicka to tylko wybrzeże Hercegowiny, boć dubrownicki wieśniak to rodzony brat swego sąsiada z zagórza — a jakież tu niezmierne przeciwieństwo! Tu surowa, dzika, naga barbarya przed nami zaległa, a tam przed chwilą

ledwo pożegnaliśmy skrawek ziemi, której niemal piędziesiątka jaśniej służyła dowodem wysiłku pracy cywilizacyjnej.

Lecz spieszymy czem prędzej ostrzedz niewtajemniczonego, aby broń Boże nie pomyślał przypadkiem, że cywilizacja ta jest dziełem dobroczynnym apostołskiej opieki wiedeńskiej. Jako żywo — nie! Srodze macosza to — ta opieka rakuska dla całej Dalmacyi — a ostatnia wysoka podróż nic też zapewne nie stworzyła...

Cywilizacja ta to zabytek wysiłku wewnętrznego życia Rzeczypospolitej, słowiańskiego Dubrownika, wpływu bezpośredniego kultury włoskiej i ścisłej jedności życia z łacińską Europą.

Nie lekceważmy przecie i owej barbaryi — tyle w niej życia znajdziemy, tyle pokrewnych nam rysów, tyle samorodnego wewnętrznego bogactwa, że i ten świat, po bliższym poznaniu, może się stać dla nas zajmującym...

Prowadziła mnie jeszcze dalej droga wśród wspaniałej górskiej widowni. Droga ta ciężka i dla konia i dla jeźdźcy; ale koń hercegowiński, niewielki, lecz krępy i silny, przywykł stąpać po osypanych złomach opoki, a jeźdźca upaja do zapomnienia surowy majestat natury. Dziś droga ta stała się już historyczną, otoczona tyłą i rzewnych i krwawych wspomnień, a może nawet jest przedmiotem niejednej „pjesmy”, niejednego rapsodu „junackiego”. Tędy bowiem drobne „czety” powstańcze, ochotnikami, wśród największego niebezpieczeństwa, przedzierały się tylokrotnie nocą od Dubrownika na pole walki, lub ustępowały w ostateczności ku pewniejszemu poza granicą schronieniu. Uwieńczył ją tedy dzisiaj urok bohaterskiej poezyi, której wyraz już teraz nawet, w pełnych życia obrazkach, rozproszonych po pismach słowiańskich, znajdujemy.

Droga ta nadto i dla mnie stała się nadzwyczaj żywo interesującą.

Przypadek zdarzył, że, szukając w Dubrowniku koni z zagórza, spotkałem dwóch wieśniaków z rodu Zubców,

od Trebinja i czarnogórskiej ściany. Mieli oni właśnie luznego konia i chętnie mi go wynajęli, juki biorąc na inne.

Ani przeczuwałem więc, że w jednym z tych prostych górali, w moim przewodniku, poznam w drodze Tryfka, blizkiego krewniaka znanego „wojewody” Łuki Wukałowicza, dzielnego wodza ostatniego powstania (1858) hercegowińskiej „rai” w okolicach Trebinja.

Miałem więc towarzystwo, nad które pożądanszego nie można było pragnąć!

Tryfko był człek prosty, ale jako krewniak wysokiego „pogławara” swego rodu i uczestnik wszystkich jego wypraw zbrojnych, znał doskonale ziemię swą rodzinną i stan rzeczywisty współbraci. Posiadał nadto trzeźwy umysł i ową przenikliwość, którą trzeba podziwiać w góralach. Co zaś jeszcze bardziej robiło go interesującym w moich oczach — była to, wspólna tu całemu ludowi, niepowściągnięta namietność jego do polityki, porywająca go nieraz w zapędzie rozmowy zbyt daleko, poza granice, nakazywane mu przez wrodzoną mu podejrzliwość. Był nakoniec z Tryfka „prawy junak”, i kochał on te swe góry nagie serdecznie. Że kochał — dowiódł tego życiem, o ile wnosić można z wieści, w „Narodnich Listach” czeskich podanej: bo już „poginna dobar junak”, zginął on w początku obecnego powstania, walcząc obok znanego mu z dawnych bojów Lubibraticza.

Zbliżenie się moje z Tryfką nastąpiło serdeczniejsze — tak jakoś niepostrzeżenie, samo przez się....

Za każdym uderzeniem kopyta końskiego o twardą opokę dróżyny, wijącej się wśród wierzchów nagich i wąwozów, wkraczaliśmy w krainę wiekowych walk bohater-skich, w krainę pieśni; każda piędź ziemi, każdy złom skały, każdy ostęp ustronny, przypominały krwawe zapasy wrogich wzajem żywiołów. Po stromych urwach spuszczały się ku równinom rzeki Trebisznicy; płoniny nagle zazielały lasem u stóp naszych; zbliżaliśmy się ku głośnemu we wszystkich powstaniach hercegowińskich monastrowi

„Duży”; w prawo ku Czarnogórzowi zaległy płoninami rodzinne Wukałowiczów Zubcy.

Droga stawiała się coraz bardziej uciążliwą po stromych ścieżkach skalnych — żał nas wziął koni, i zsiadłszy poszliśmy po góralsku pieszo, puszczając zwierzęta samopas naprzód.

Zagadaliśmy o Zubcach, o Turkach, o ciężkim „zułumie” bisurmańskiej niewoli, o Łuce.

— Znam ja waszego Łukę, znam — rzekłem Tryfkowi — widywałem go nawet przed sześciu laty, z jego wiernymi towarzyszami, w Odessie!

Powiedziałem mu potem, iż wiem zdaleka, że styrały życiem „wojewoda”, w tęsknocie za rodzinnymi górami, nie rad podobno oddaje się roli na stepie, w posiadłości, darowanej mu pod Berdiańskiem.

Przezornie ostrożny Zubczanin, na wieść o swym krewniakowi i wojewodzie, stał się odtąd bardziej jeszcze względem mnie szczerym i swobodnym.

— Wróci jeszcze nasz „wojewoda”, wróci, zagrzmi jeszcze jego „dżewerdan”, rozgłoszę echem, po tych tu górach! — wołał Tryfko — i zaczął mi opowiadać dzieje ostatniego powstania Hercegowińców i wynosić bohaterskie czyny Łuki Wukałowicza.

Nic w świecie nie sprawia podobnie głębokiego wrażenia, jak surowa, prosta powieść uczestnika bojów ludowych, opowiadana wśród dziko-uroczych miejscowości, gdzie właśnie boje te za pierwsze ludzkie, najświętsze prawa jakby przed chwilą tylko krwawo się toczyły!

Okręg zaś rodu Zubców jakby sama natura przeznaczyła na widownię walk podobnych. Opiera się on o dwie ściany granic, Czarnogórzę i Dalmacyi, pomiędzy dzielnicami tej ostatniej — kotorską i dubrownicką; u Sutoryny dotyka morza; od trzeciej ściany ma żyzne wyżyny wierzchołk Trebisznicy a dalej ku Newesinju — całą Hercegowinę.

Było też tu zawsze i swobody od ciemństwa tureckiego więcej i więcej śmiałości w odpieraniu przemocy, podobnie jak wogóle we wszystkich dalszych rodach rozgranicza czarnogórskiego.

Zubcy tedy były miejscem rodzinnem i Łuki Wukałowicza.

II.

Żywot Łuki Wukałowicza przedstawia niezmiernie charakterystyczny obraz doli każdego prawie z głośniejszych przywódców ludowych Hercegowiny.

Urodził się on w r. 1823.

Ojciec jego Łuka był „glawarem” na Zubcach, a jako dzielny obrońca ludu, któremu zwierzchniczył, był też, podług słów Tryfka: „omiljen kod swoga naroda, a omrznut kod Turaka”. Gdy mu zatem Turcy pięciu braci „zgubili”, musiał uchodzić z rodziną i osiadł 1835 r. w okolicy Nowego Hercegu (Castel-nuovo), u zatoki Kotorskiej. Lecz po czterech latach wrócił Łuka, wzywany usilnie przez swoich. Wszakże niedługo tu znaleźli go Turcy. Hasan-beg Resulbegowicz na Trebinju wziął się zgubić Łukę — i dzielny „poglawar” zginął od trucizny.

Rodzina jego, rzucona przez Turków na pastwę naj-sromotniejszej nędzy, rozproszyła się. Starszy syn Łuka poszedł do Trebinja uczyć się puszkarstwa.

Po latach pięciu nauki wrócił młody i zaledwie dwudziestoletni puszkasz do ojczystego gniazda, wzniosł na nowo zburzoną ojcowską „kulę” — basztę obronną, zwołał rozproszoną rodzinę i oddał się na posługi swej braci. Wnet też Zubczanie wybrali dzielnego młodzieńca swym „kapetanem” — i odtąd żaden wiec rodowy, żaden „sastanak”, nie odbył się bez Łuki, chociaż ten nieraz dla bezpieczeństwa uchodził na kotorskie przymorze.

Tymczasem zbliżała się wielka burza. W Stambule

postanowiono zmusić do przyjęcia reform i Bośnię z Hercegowiną. „Raja” chrześcijańska czekała ciekawie, co to z tego przyjdzie. „Turczyni”-begowie, agowie, szlachta, chwycili rozpaczliwie za broń. Przecie Omer-pasza pokonał „spahijów” i zmusił do posłuszeństwa „carowi”. Ale „poturycy” pasza zamierzył za jednym zamachem dwa zadania załatwić—obalając potęgę „plemstwa”, lud zarazem obezwładnić. Kazano tedy rai broń złożyć, jako dowód zaufania w sułtańskie obietnice, zapowiadające odtąd swobodę i równouprawnienie. Potulna Bośnia złożyła ją; ale nie po Hercegowinie można się tego było spodziewać!

Na pierwszą wieść o stanowczem wymaganiu Omerapasy, Zubczanie na swym „sastanku”—ludowem zgromadzeniu, na wniosek Łuki, jednym głosem — mówił Tryfko — zawołali:

— Da pra svi iz ginu, negoda se bez oružja, kao žene, predadu na milast Turczyna.

(Że pierwiej wszyscy zgina, niż się bez oręża, jak niewiasty, oddadzą na łaskę Turka!)

— I nie złożyliście broni? — pytam Tryfka.

— I nie złożyliśmy! — odparł dumnie góral.

A potem, jakby tłómacząc nieodzowność tego kroku w rozpaczliwej alternatywie, dodał:

— Ależ jak tu człeku broń oddać—a gdzieżby potem oczy pódziać, gdzie wstyd męski?!!

Rozpoczęło się tedy „czetowanie” zapamiętałe całego rodu Zubców, trwające od wiosny 1852 r. do jesieni 1857 r. Turcy nie zdołali przemódz bitnego górskiego plemienia.

Gdy się zaś Łuka Wukałowicz przekonał, że zdobył już tyle mocy, iż jest w stanie wystąpić bardziej stanowczo przeciw Turkom, zwołał wszystkich sąsiednich „poglawarów” hercegowińskich na radę ogólną.

Tu Tryfko zatrzymał się w opowiadaniu, — stanął, zwrócił się ku południowi, przysłonił ręką z góry oczy i mówił:

— Czy widzisz, gospodarzu, ten tam wierzch nagi? To Jastrebica, a poniżej Biela góra: tu w r. 1857 odbywała się owa sławna rada wojenna.

Postanowiono, że na pierwsze hasło Łuki, uznanego teraz powszechnym „wojewodą”, wszyscy jednocześnie rzucą się do broni, „da svi skocze na oruże!”

Stało się jak ułożono.

— Cierpliwości chwilę — zaraz się zbliżymy ku strasz-nemu pobojoowisku, gdzie Łuka odniósł pierwsze wielkie zwycięstwo w otwartym boju nad zaciekłym Hadży-begiem Resuľ-begowiczem! — mówił mi Tryfko.

Tymczasem, na lewo od nas, w oddali, w szerokim rozdole, pomiędzy gęstemi zaroślami, ukazały się szczyty jakiejś znacznej budowy.

— Otóż sławny monaster Duży, a tuż zaraz i „mej-dan” — pobojoowisko.

Tryfko naraz stał się jakby innym człowiekiem, i kamienie, czahary, urwy, wąwozy, nieme dla mnie, były dla niego wymownymi świadkami bojowej sławy jego rodu, jego poglawara uwielbianego i całej hercegowińskiej braci, wywoływały w nim wspomnienia rzewniejsze lat młodszych; padali tu Turcy, ale iluż rówienników własnych złożyło głowy junackie wśród tych dzikich skalisk.

Odziczał jakoś junaczko, zasepiał — i mój przewodnik długo szedł milcząco, czasem tylko zdradzając głębokie wzruszenie urywanym jakimś wyrazem.

— Pogani Turcy! — Doci-cze josh Łuka! — wróci on jeszcze...

Powoli wszakże poczał on uciszać się w sobie i nieznacznie przeszedł do opowiadania szczegółów morderczej bitwy. Mimo nieprzejednanej nienawiści dla wrogów, sam junak oddawał należną cześć ich dzielności.

Dla mnie powieść ta o walce dziko-bohaterskiej nie mogła mieć przecie tego uroku tryumfu, jakim ją towarzysz mój otaczał. Jedna myśl smutna musiała tu zapanować

nad wszystkim — przecież to walka śmiertelna między rozdzoną bracią!...

Któż to ci Turcy, co tu walczyli? — Szlachta okoliczna, jednej krwi i mowy z ludem. A ów jej dowódzca Resul-begowicz? — Można „siromyrai”, Wukałowicza sąsiad.

Ale nie z góralem tutejszym mówić o braterstwie krwi jednej; zanadto krwawe krzywdy rozdzieliły tu dwie warstwy jednego narodu!

Zmęczeni, siedliśmy znów na konie i ruszyliśmy razniej ku monastyrowi, gdzieśmy się niebawem zatrzymali w pobliżu nad strumieniem, na wypoczynek.

Monastyr Duży kryje się opodal głównej drogi trebińskiej, w dzikim ustroniu, dla bezpieczeństwa przezornie wybranem. Jest to jeden z niewielu w Hercegowinie, już w czasie „zułumu”, niewoli, wzniesionych. Ciężki też okup wezryra Hercegu utrzymywał jego istnienie. Zresztą zbudowany on był jako ostróżek obronny, o murach kamiennych mocnych ze strzelnicami i bramą — przez którą tylko pieszo przecisnąć się było można. Nawet świątynia umyślnie tak zbudowana głęboko w ziemi, by nie gniewała Turków swą wysokością. Dzwony niedawno tu dopiero nastały, dawniej używano tylko „klepetala” — klepadła drewnianego.

Obronność monastyru, na strategicznym punkcie rozgranicza położonego, nadawała mu zawsze niepospolite znaczenie w każdym tu ruchu ludowym. Szuma — okolica właśnie monastyr otaczająca, była zawsze najpierwszą widownią sroższych walk z Turkami. Rozpoczął je tu pomyślnie i Wukałowicz, jak w obecnem powstaniu pobratym jego młody Micia Lubibraticz.

Wypoczywaliśmy pod monastyrem parę godzin. Konie były zmęczone. Dalej miałem jechać do Trebinja tylko w towarzystwie Trytkowego „monka”, chłopaka, sam on zaś z jucznymi końmi wracał wprost ku swym Zubcom. Po-
stanowiłem korzystać jeszcze z pozostającego mi czasu, by wysłuchać całej już bojowej powieści Tryfka o wojewodzie.

Otóż na wieść o zwycięstwie Łuki nad Turkami pod Dużym, wszystkie rody sąsiednie chwyciły za broń, spiesząc ku połączeniu się z Wukałowiczem.

Spieszono też zewsząd! Jednym z pierwszych był Lubibraticz. Dowiedziawszy się, że w jego rodzinnej Szumie już się krew leje, porzucił on naukę w Dubrowniku i dopadł do domu. Dom rodzinny spalił, mówiąc ojcu: „neka widi narod kakose mislim z Turczyrna biti!”

Powstało wnet i dumne katolickie plemię z nad Trebisznicy — Popowscy. Półtora tysiąca ich stanęło. Poszedł ku nim Łuka — a wsparty tak potężnym zastępem, pobił znów Turków u Poljicy, na Popowem-polu.

Niebawem zaś, przeszedłszy Trebisznicę, jeszcze im zadał dwie klęski — pod Lubinjem i Zagorą.

Strach padł wielki na Turków. Poczęto obiecywać przywrócenie ludowi dawnych swobód. Sam książę Daniło czarnogórski radził Łuce, by się za daleko nie posuwał i bezpieczniej ustąpił ku swym Zubcom. Uciszyło się tedy na czas nieco.

Ale z początkiem następnego 1858 r. rozchodzi się wieść, że wojsko tureckie wylądowało w Kleku. Nie czekał Łuka wyzwania, powołał bracią znów do broni, uderzył na wrogów w dogodnem miejscu i zadał im niepowetowaną nową klęskę. Poczem odebrał Arnautom zamczyska nadmorskie w Sutorynie, które zaraz spalił, aby Turcy nie mieli się gdzie gnieździć.

Tymczasem przyszło niespodziewane groźne niebezpieczeństwo. Feryk i Kadry baszowie, skupiwszy wojska z całej Bośni i Hercegowiny, zajęli sąsiednie od Zubców Grahowe i rozłożyli się obozem w Grahowcu. Widząc wtedy „glawary” Hercegowiny, że sami nie podolają przeważnej sile Turków, zwrócili się o pomoc ku Czarnejgórze. Dzielny wojewoda czarnogórski stanął wnet braci z pomocą z wybranym zastępem.

Po krótkiej naradzie, zaraz „udanisze przed Spasan

dań na Turki!" Bój trwał „od zare pa sve do mogle noci” — zginęły tu seciny Hercegowian i Czarnogórców, zato też parę tysięcy wrogów! Ale na drugi dzień, w samo święto Wniebowstąpienia Zbawiciela, przychodzi wieść, że Hadży-beg Resul-begowicz z 5-tysięcznym oddziałem zbliża się ku Grahowu. Wysłano przeciw niemu Kowaczewicza z 500 wybrańcami i tuż uderzono znów na obóz pod Grahowem. W morderczej rzezi Feryk zginął, Kadry-basza zaś ustąpił z pobojuwiska i zamknął się w pobliskim zamku Kłobuku. Turków tysiące padły!

Zwycięstwa grahowskie nie przyniosły wszakże pożądanego skutku: wdali się w sprawę obcy, i pozostało wszystko po dawnemu. Łuka sam ustąpił do Cetynji na Czarnogórze!...

Potem występował on jeszcze niejednokrotnie do boju z Turkami.

Nakoniec, gdy Czarnogóra zawarła z nimi pokój, ofiarował Kurszył-basza 1862 r. i Hercegowianom warunki uspokojenia się. Przedstawiały one pewne swobody. Wukałowicz też w imieniu ludu je przyjął i osiadł spokojnie w swych Zubcach.

Niedługo to wszakże trwało. Wkrótce przekonał się Łuka, że go Turcy chcą podstępem zgubić; co smutniejsze, że kilku gławarów zubczańskich i kruszewickich, uwiedzeni obietnicami, podjęli się wydać go im żywcem w ręce. Groziło mu ostatnie niebezpieczeństwo. Zamknął się zatem z rodziną i przyjaciółmi w baszcie swej w Ublic, pod ową górą Jastrebicą, gdzie niegdyś sławna rada wojenna pogławarów hercegowińskich się odbyła.

Tu bawił do dnia św. Trójcy 1863 r.

Ale ostatnia nędba w dzikim, bezludnem ustroniu zmusiła go do rozpaczliwego postanowienia. Ująć sobie za-wistnych nie było możliwości; trzeba było znów ustąpić z kraju. I poszedł oto wojewoda na tułaczkę, a z nim Petkowicz, Lubibraticz i inni.

Kończąc swą długą powieść, której osnowę tylko co poznaliśmy, westchnął pocziwy Tryfko głęboko; lecz nagle powstawszy, machnął ręką i swoje: — wróci jeszcze wojewoda, wróci! — dumnie powtarzał.

Była w jego opowiadaniu jakaś moc niezwalczona, porywająca, jakaś potęga prostoty homerycznej: powieść często w ustach jego w rapsod się zamieniała, w pieśń. Otoczenie samo — pobojewisko wśród najdzikszego gór przestworu, podnosiło jeszcze urok słów górala. A przecie Tryfko był prostym człowiekiem.

Rozstaliśmy się z nim po męsku, krótko: „s Bogom, srecian put!” — i koniec.

Dał mi jeszcze Zubczanin w upominku parę garści tytoniu własnej uprawy, abym je do domu zawiózł. I palili w Warszawie potem znawcy Tryfków tytoń i znaleźli go istotnie znakomitym.

Nic dziwnego przecie: okolica ta bowiem żyzna dostarcza jeden z najwyższych gatunków tytoniu tureckiego. Stoi on na równi z salonickim, jenidzkim i innemi, a w handlu, pod nazwą trebińskiego, głośno jest znany.

Brakowało mi potem towarzystwa interesującego górala długo jeszcze po rozstaniu się z nim.

Jeśli Tryfko zginął pod chorągwią Lubibraticza, niechże tam i jego imię, obok innych, w pieśni przetrwa, bo napewno „dobar junak je bio!”

III.

Dalej mi w drodze zaległo ożywione porzecze Trebisznicy.

Nic bardziej interesującego, nic bardziej kapryśnego w całej hydrografii nad bieg tej rzeki.

Trebisznica, czy Trebińczycza, ogarnia swemi strumieniami cały szeroki pas rozgranicza Hercegowiny od posia-

dłości byłej rzeczypospolitej dubrownickiej — od samego Czarnogórza aż do biegu rzeki Neretwy. Ożywia całą tę krainę w fantastycznych swych zwrotach i podziemiach rwie się do morza.

Wypływa ona na wysokiej równicy, znanego tyle w obecnej wojnie, Bileku. Źródła tu jej stanowią trzy krynice u podnóża stromej skalnej urwy. Ku miastu Trebinju płynie wzmożona górkami potokami rzeka od znanego równie z obecnego powstania Granczarewa na południe, a dalej na południo-zachód. Na dolinie trebińskiej rozlewa się ona już trzema ramionami, użyźniając obficie jedną z piękniejszych okolic Hercegowiny, słynną w dawnych czasach Trawunję. Dalej zaś zwraca się Trebisznica ku północ-zachodowi i dzieli się w swym biegu na dwa główne ramiona. Jedno z nich, krótsze, zwrócone ku zachodowi, ginie u pamiętnej zwycięstwem Wukałowicza Poljicy, w „ponorze”, górskiej otchłani. Lecz potem, przerznawszy się podziemiami przez łańcuch gór granicznych, ocuca się ona, podług powszechnego przekonania, u portu dubrownickiego Gruz (Gravosa), wybuchając ku morzu pysznym wodospadem, pod nazwą Ombla głośnym. Drugie zaś jej ramie, przebiegłszy dolinę Popowego-pola, ginie u Hutowa, równie w „ponorze”, u podnóża niewielkiego pasma, łączącego łańcuch graniczny od Dalmacyi z gałęzią Gradiny-płoniny. Wszakże po drugiej stronie tego pasma leżące jeziorzysko, „Utowa-błoto” zwane, uważane jest właśnie za wylew nurtującego w podziemiach owego ramienia Trebisznicy. Wypływająca zaś z tego „błota” rzeka Krupa, która niebawem wpada do Neretwy, jest tedy głównem ujściem swawolnej Trebisznicy do macierzy wód Hercegowiny.

Głównym punktem całego porzeczka Trebisznicy jest miasto Trebinje. Starożytne to Tribulium Rzymian. Następnie, po zajęciu Dalmacyi przez Słowian, stolica w IX w. osobnej „żupy” Trawunji; potem stolica osobnego księstwa, ostatecznie w rodzie Pawłowiczów, pod opieką kró-

łów Bośni zostających. W r. 1463 zdobyta przez sułtana Mahometa II. Odtąd zawsze przez Turków uważana za główne ich tu militarne stanowisko. Mury twierdzy wszakże, przez Dubrowniczán w dawnych czasach wzniesione, w największem zostają zaniedbaniu. Posiada ona około 3 tysięcy mieszkańców, po większej części chrześcijan wschodniego wyznania, handlem tranzytowym się trudniących.

Istnie to słowiańska siedziba, rozrzucona najnieprzymuszeniej wśród ramion Trebisznicy, w pięknej, żyznej ziemi. Odgrywa Trebinje i w obecnej wojnie domowej znaczną bardzo rolę.

Opuściwszy Trebinje, drogę moją dalszą zwróciłem wprost ku Neretwie i stolicy obecnej kraju, Mostarowi.

Najprzód zaległa mi po obu stronach drogi równina Lubińska, z miastem Lubinje, posiadającym starożytny zamek i do półtora tysiąca mieszkańców. Kraina za mało może obfitująca w wodę, lecz dość żyzna, uprawna i więcej łagodnego pozoru; dziko-wspaniałego majestatu gór pogranicza już się tu nie spotyka. Wreszcie jechałem opodal pasm wysokich Zawali i Widuszy, które obejmują równinę Lubińską od wschodu i południa.

Od Trebinja do Lubinja miałem 8 godzin równej konnej jazdy.

Tyleż godzin jazdy będzie stąd następnie do Neretwy, u ujścia w nią Buny.

Na połowie tu drogi w dolinie Bregawy, wpadającej równie do Neretwy, leży słynny w podaniach Stolacz z mocnym zamkiem, jak orle gniazdo, zbudowanym na czubie, pionowo wznoszącego się nad miastem, skaliska. Dziedzina to ostatniego „wezyra” Hercegowiny i ostatniego groźnego obrońcy swobód jej szlacheckich, Ali-baszy Ryzwana-begowicza, ze starożytnej rodziny Stoczewiczów, który zginął w 1851 roku.

Doliny Bregawy i Buny bardziej ożywione, niż wysoka równica Lubińska: okolice znów więcej tu przedstawiają

urozmaicenia dla oka, osobliwie pochyłości Dubrawy - płoniny, dwie te doliny dzielącej.

Od Buny, miasteczka, leżącego przy ujściu rzeki tegoż nazwiska, tylko dwie dobre godziny jazdy do Mostaru.

Cała ta droga od Trebinja do Mostaru przedstawia widok niezmiernie zajmujący dla pilniejszego badacza południowej Słowiańszczyzny. Lecz właściwa widownia obecnych bohaterskich zapasów hercegowińskiej „rai” leży, szerokiem pasmem, po prawej stronie tej drogi, wzdłuż czarnogórskiej granicy. Tam to, poczynając od Zubców, idą łańcuchem górskie dziedziny Bańjan, Nikszyczów, Gacka, Piwy i t. d.

Stolica Hercegowiny, Mostar, leży po obydwóch brzegach Neretwy, w podłużnej kotlinie, ściśniętej przez dwa górskie olbrzymy, Weleż i Hum. Ognisko to życia muzułmańskiego całego kraju i geograficznie nawet środkowy punkt Hercegowiny, jako porzeczka wód Neretwy.

Wysokie strategiczne znaczenie tego punktu rozumieli już doskonale Rzymianie i wzniesli tu za cesarza Trajana wspaniałą, o jednym łuku, most, który dotąd trwa jeszcze. Most ten w średnich wiekach, razem z leżącą przy nim osadą, nazywano „most-star”. Nazwa ta zaś przeszła następnie i na miasto, jakie tu dopiero w połowie XV wieku (1440) wznosił Radowoj Gost, marszałek dworu wojewody Szczepana, który pierwszy otrzymał od cesarza Fryderyka III-go tytuł „hercoga”, spowodowujący następnie i samą nazwę nowożytną kraju doń należącego. Takie bowiem jest źródło istotne nazwy „Hercegowina”, tyle obcej słowiańskiej mowie, lecz wytworzonej w jej duchu, jak: kralewina, bano-wina, wojewodyna. Turcy, zagarnawszy ową posiadłość Szczepana i tworząc z niej swój „ejalet” muzułmański pod nazwą „Hersek”, zrozumieli, równie jak Rzymianie, całą wagę strategicznego położenia Mostaru i z czasem przenieśli tu stolicę kraju jako też siedlisko osobnych, niezależnych od Bośni, hercegowińskich wezyrów.

Nic dziwnego tedy, że, po przyjęciu islamu przez znaczniejszą część krajowej szlachty, Mostar stał się najbardziej muzułmańskim miastem Hercegowiny. Jest tu najwyższy przedstawiciel duchowny islamu w prowincyi, mufty, i kilkadziesiąt (40) meczetów, na ilość mieszkańców, wynoszącą 18,000, z których zaledwie do 4,000 chrześcijan obrządku wschodniego i katolików. Znana też jest gorliwość prawowierna „Mostarlijów”.

Wszakże, mimo to wszystko, każdego tu uderzy dwoiśty charakter miasta i społeczeństwa.

Co do mnie, nie zdołam tu oddać wrażenia, jakie robił na mnie widok tego miasta słowiańsko-mahometańskiego. Nie spotykałem tu właściwie żadnej niespodzianki: owszem, obeznany już oddawna z tym światem, nie dopatrywałem nawet odrazu tego wszystkiego, o czem już z góry dobrze wiedziałem.

Ale przecie, mimo to, długo nie mogłem się oswoić ze sprzecznością, jakby w przeświadczeniu własnem, wywołującą co krok prawie nieme w duszy zapytania: czy to wszystko być może muzułmańskim?! lub czyż to słowiańskie jednak?! Dotąd nawet nie umiem sobie dobrze tego oryginalnego wrażenia wytłómaczyć; widocznie sama skala faktu niezwykajna, jednorazowo wyobraźnię uderzająca, jest tego przyczyną.

Gdy się już oswoi z Mostarem, podoba się tu nawet pewna patryarchalna prostota i nieprzymuszoność we wszystkim, przypominająca zarówno wieś naszą, jak i Wschód daleki. Poza pozorami też surowości tureckiej spotyka się tu swobodną uprzejmość, dobroduszość i słodycz.

Więcej tu są zwarci w sobie chrześcijanie, aniżeli wyznawcy proroka: powody czego zbyt dotykalne, by takowe tłómaczyć.

Co do chrześcijan, przeważają tu stanowczo ilością wyznawcy wschodniego kościoła. Można ich liczyć w Mostarze do 3500 na 500 katolików. Jedni i drudzy budują od

niedawna dopiero wspanialsze świątynie, dotąd bowiem nie odważała się tłumiona surowo „raja” pomyśleć nawet o czemś podobnem.

Wszakże ginie tu zupełnie znaczenie chrześcijan, i teraz, wobec przemożnej siły „poturczeńców”, tem bardziej, że przy słabości swej liczebnej „hriscianie” i „koscianie”, „własi” czy „srbi” i „szokcy”, grecy i łacinnicy, po dawnemu własnym antagonizmem się obezwładniają.

Mostar tem naturalniej stał się ogniskiem życia całego kraju, ile że, jak powiedzieliśmy wyżej, stanowi geograficznie środkowy punkt onego. Leży on jakby u głównego węzła sieci wód Neretwy, której przestwór porzecz wyłącznie stanowi Hercegowinę. Każdy jej strumień prawie należy do hydrograficznego systematu Neretwy, każda ziemica z tyłu wyosobnianych orograficznie części tego kraju winna większą lub mniejszą obfitość swego życia tylko stopniowi zasobności jakiegoś promienia wód, pędzącego powierzchnią ziemi czy podziemnymi nurtami ku Neretwie.

Jak kapryśna jest w swym biegu Trebisznica, poznaliśmy to już w drodze. Ale takież są wszystkie niemal jej siostrzyce i sama macierz nawet.

Oto na przykład owa Buna, którą przebyliśmy u jej ujścia do Neretwy, po wspaniałym rzymskim moście, dotąd jeszcze trwającym, wypływa u podnóża parę godzin stąd odległej urwy u starożytnego zamku Błagaj, siedziby niegdyś wspaniałej „hercoga Sziopana”. Ale zostawałby w wielkim błędzie ten, kto by sądził, że tu jej początek.

Źródła Buny właściwie znajdują się aż u czarnogórskiej granicy. Zbiegając się w jeden strumień, Muszyca zwany, ożywiają one wysoką równicę Gacka, główną widownię obecnej walki zawziętej, na której właśnie znajdują się Plana, Kostacz, Czernica, Lipnik, Metokia i inne pamiętne krwawemi zapasy miejsca.

U wyjścia z gackiej równiny ginie Muszyca w „ponorze”, otchłani górskiego podnóża. Lecz wnet się ocuca pod

nazwą Załomki na Newesyńskim polu, najrozleglejszej Hercegowiny równinie, żyznej, ludnej, gdzie właśnie obecne powstanie się rozpoczęło. Przebiegłszy pole Newesinja, ginie potem równie w ponorze, by niebawem dalej wystrzelić z pod skalisk jako Buna.

Neretwa sama, choć nie znika po ponorach, przebiega zato kraj w tak fantastycznych zwrotach, jak żaden z jej dopływów. Źródłiska jej leżą wśród dzikich wyżyn wnętrza kraju, niedaleko od Newesinja. Nabrzmiała potokami sąsiednich wzgórz rzeka pędzi najprzód stąd wprost ku północy, jakby ku bosańskiej granicy, nie ku „sinemu” morzu. Lecz nagle robi zwrot na lewo i od miasta Konicy płynie na zachód, równoległe z łańcuchem gór wielkiego wododziału, aż do ujścia w nią Ramy ze starożytną tegoż nazwiska stolicą kraju, dziś w gruzach.

Od Ramy zaś, okolicą słynną z piękności kobiet, śpieszy Neretwa wężykiem wprost na południe ku Mostarowi.

Ale nim się przedrze do Mostaru, musi Neretwa pierwszej jeszcze, o jakie 20 minut przed miastem, stoczyć straszliwą walkę z groźnymi olbrzymami Humem i Weleżem, które swemi odnożami twardej opoki ściskają tak silnie wezbraną rzekę, że ta zaledwie przerwać się przez ten węzeł kamieni podola, mimo całej swej siły rozwścieczonej. Wymyła tu przecie woda przerwy między skałami, zaledwie od 2-ch do 6-ciu stóp szerokie, i przez nie pędzi dalej ku Mostarowi. Przerwy te z łatwością można przeskoczyć i przejść suchą nogą na drugi brzeg. Jest to nawet ulubiona rozrywka muzułmańskiej młodzieży w jej świątecznych poza miasto wycieczkach. Stąd też miejsce to, wspaniały bardzo widok przedstawiające, zwie się u ludu „Skakati”.

Za Mostarem płynie Neretwa dalej jeszcze nieco ku południowi, a potem ku południo-zachodowi zwróciwszy, przekracza granicę Dalmacyi dzisiejszej i wpada kilku ramionami do „sinego” Adryatyku. Tu po drodze przyjmuje w siebie, z prawej strony, najprzód, podobnie jak inne sio-

strzyce wodne Hercegowiny, kapryśną Jasenicę. Ta bowiem jest tylko dalszym ciągiem owej Listicy, idącej od stołecznego w starożytności Dalminium, skromnego dziś Duwna, która, przepłynąwszy jeziorzysko, Mostarskie-błoto zwane, ginie w otchłani pod Humem, by dalej znów się wyrwać z podziemi pod inną nazwą. Bliżej zaś granicy Dalmacyi wpada do Neretwy Trebiszat.

Lecz prawa strona dolnego biegu Neretwy jest nieskończenie mniej dziś interesująca, co do objawów żywszego narodowego życia, od prawej strony jej wierzchowisk, od równiny Gacka, gdzie właśnie wre najżarliwsza walka.

IV.

Wysoce fantastycznej hydrograficznej sieci wód Hercegowiny odpowiada najzupełniej i układ też jej powierzchni orograficznej.

Alpejska to kraina w całym znaczeniu!

Wody Neretwy otoczyły tu półwieńcem łańcuchy grzbietów skalnych, stanowiących linię wielkiego ich wododziału od dopływów Sawy, a więc Dunaju i Czarnego morza, — a zarazem stanowiących linię graniczną właściwej Hercegowiny, od Krainy horwackiej, Bośni i Rascyi.

Granice czarnogórska stanowią równie grzbiety płonin wododziału od Moraczy. A nawet na granicy dalmackiej ciągnie się, jak widzieliśmy, łańcuch gór dzikich; chociaż, mimo to, dolna Dalmacya, geograficznie i historycznie, do Hercegowiny należy, jako też „przymorze”.

Całe wnętrze nadto kraju przerzniete jest wzdłuż gęstemi pasmami mniej lub więcej wyniosłych grzbietów wapiennych, rzadko gdzie zaledwie okrytych lasem, a zwykle najeżonych, jako turnie, nagiemi, ponuro dumnymi szczytami.

Pasma, prawie wszystkie, idą równolegle do wybrzeża morskiego i linii granicznej od Bośni. Wznoszą się one

tem wyżej, im więcej zbliżają wogóle ku południowi, gdzie olbrzymi Dormitor, stojący jakby na straży Hercegowiny, Rascyi i Czarnogórza, wystrzela na 7,600 stóp nad powierzchnię morza. Łączą się nieraz pasma te podłużne wzajem przez niższe grzbiety; nieraz zaś przerzynają je w poprzek rozszalałe wody górskie, wdzierające się między rozpadliny lub nurty podziemne. Powstaje stąd tedy dziwnie urozmaicona szachownica wyżyn oraz równin, nawet nizin, jednym słowem, owych „pól” znanych, mniej lub więcej rozległych. A wśród ich rozgranicza i między górami labirynty wąwozów, dzikie ostępy, jaskinie, przepaściowe „ponory”, w których rzeki całe giną!

Jedyny kraj do prowadzenia długiej, upartej powstańczej wojny — wojny domowej lub za niepodległość kraju, gdzie sama natura tyle słabszym pomaga.

Więc też Hercegowina, z podobnem wielce do niej sąsiedniem Czarnogórzem, zawsze odgrywały niezmiernie ważną rolę w południowej Słowiańszczyźnie. Tu było gniazdo rodu Nemanjów, który skupił wszystkie „żupy” serbskie w jedną polityczną całość i wznosił potężne carstwo Duszana. Tu najdłużej przetrwała nieujarzmiona przez Turków wolność norodowa i najpierwej też poczęła się znów dopominać o prawo do życia. Hercegowina dalej była dzielnicą Ś-go Savy, „patrimonium Sancti Sabbae”, pierwszego naprawdę duchowego „oświeciciela” narodu serbskiego. Hercegowina też przedewszystkiem była kolebką słynnej bohaterskiej pieśni Serbów. I szlachta tutejsza muzułmańska najzawzięciej do końca broniła się od nowych reform Porty, godzących na obalenie jej przewagi. I lud tutejszy chrześcijański dzielniej od swych sąsiadów Bośniaków mierzył się z przemocą, a dziś oto zwraca uwagę na się całej Europy.

Co wypadki przyniosą, co wola wielkich państw orzecz — trudno przewidzieć. A tymczasem kraj pozostaje pod przemocą turecką, można klasa zwierzchnicza jest muzułmańską — i stolica kraju, Mostar, przedstawia wyłącznie

prawie życie świata, dla którego ideały duchowe są zawarte w koranie.

Świat ten niemniej interesujący przeto. Kultura obca islamu, na pniu słowiańskim najpomyślniej zaszczipiona i kwiatem bujnym okryta — to zaiste przedmiot godny najgłębszego zastanowienia się.

Podbój turecki, prowadząc w nieuniknionem następstwie za sobą przeobrażenie całego dotychczasowego społecznego ustroju Hercegowiny, porywając w objęcia islamu całą niemal szlachtę kraju — nie mógł pozostać bez wywarcia z biegiem czasu najpotężniejszego wpływu na nią. Mniejsza o to, że przyjęcie islamu było tu bardziej przymusowe. Raz zaszczipiony, rozwijał się on niepowstrzymanie: zajaśniały obok, z nowych ideałów wiary, nowe ideały życia. Miała ta cywilizacja obca, wnoszona tu przez zwycięzców, o dzikoświeżej mocy zbrojnej i wytężonym ducha fanatyzmie, coś ujmującego, coś zaraźliwego, ponętne niepokonanie. Kto się raz ukorzył przed nią — już nie był zdolny oprzeć się prądowi, jaki go porywał. W taki sposób Hercegowina, w krótkim dość czasie podboju, stała się w znaczniejszej części przewodniczącej klasy równie szczerze muzułmańską, „turecką”, jak pobratymcze jej Bośnia i Rascya.

Ale byłby w wielkim błędzie, ktoby sobie ten świat „turecki” południowej Słowiańszczyzny przedstawiał zupełnie podobnym do ogólnego typu muzułmańskiego, wszechwładnego na Wschodzie. Świat to zupełnie odrębny, samostny, oryginalny, zwarty w sobie, różny od tego wszystkiego, co się spotyka wśród innych ludów islamu.

Nie zapominajmy bowiem, że islam, już w samym początku swej przemocy, był zbyt mało wymagający dla nowych wyznawców. Zostawiał on im nietykalną ich narodowość słowiańską, ich przedwieczny obyczaj domowy, cały narodowy i rodzinny ustrój ich dawny. Zostawił nienaruszonym obyczaj chrześcijański jednożeństwa, niczem nie nadwierał solidarnej własności rodu, wyborczości przedstawi-

cieli onego, trybu dziedziczenia i t. p. Zostawił wszelkie nadto starosłowiańskie związki ekonomiczne i moralne: utrzymał „zadrugę”, z jej ścisłą wspólnością rodu gospodarczą, uświęcił „pobratymstwo” i t. d. Wymagał natomiast jedynie uznania zasadniczej nauki proroka i przestrzegania pewnych, bardziej zewnętrznych i obrzędowych przepisów koranu.

Nic uderzającego więc, że dzisiejsi begowie, agowie, prawowici dziedzice dawnych „włastelów” kraju, jego „plemstwa”, nie przestali być nigdy ziemianami, szlachtą — podobną zupełnie we wszystkim, w złem i dobrem, do pobratymczej im szlachty reszty ludów słowiańskich.

Nic uderzającego, że i sama rodzina ta szlachecka, muzułmańska, przedstawia tu inny obraz, niż u Osmanów i wogóle wszystkich Azyatów; że i kobieta tu zajmuje inne, znaczniejsze stanowisko w rodzinie. Nie zapominajmy bowiem: kobieta słowiańska, stając się muzułmanką, wcale się ujarzmić nie dała!...

Przestrzega ona wprawdzie, w większych miastach, powierzchny obyczaj wschodni dość surowo, surowiej nieraz nawet, niż w Stambule; ale niewoli haremowej nie znosi. Nie dała się ona ująć w więzy — ani wymysłom obyczajów wschodnich, ani ubliżającym jej dumie przepisom koranu i umiała pozostać towarzyszką męża jedyną — i panią domu. Co więcej, uchroniła w domu własnym stary obyczaj rodowy, swobodę wyboru dziewczęcą, romantyzm żywy w stosunku młodzieży; ożywiała przeważnie duch poetyczny narodu, towarzyskość i twórczość duchową, utrzymując święcie nietykalność domowego ogniska.

Moc tak przeważną w życiu nadawały, po części, kobiecie tutejszej — jej urok i piękność, jakimi powszechnie dotąd się ona odznacza. Nad Ramą i średnim biegiem Neretwy piękna córka szlacheckiego rodu, „plemstwa”, Hercegowiny nie chciała zasłonić swego uroczego oblicza, zostając

muzułmanką — i trzyma się dumnie tego zwyczaju do dziś dnia!

Jaki zaś kobieta tutejsza mogła wywierać wpływ na zwycięzców w pierwszych czasach podboju, da się łatwo wnioskować już z tego faktu, że kiedy raz pierwszy przeprowadzono w „jassyrze” kobiety słowiańskie na bazar stołeczny pierwszych sułtanów Brussy, dzicy Turkowie rozumieli w uniesieniu, iż to są niebiańskie „Peri”, jakie im Allah w swej nieprzebranej dobroćliwości zesłał... Wiadomo też, że kiedy następnie stanęli Turcy mocną nogą w Europie i zasiedli w Adryanopolu, rozpasane ich „czambuły” nie znały nic bardziej pożądanego nad jassyr niewiast słowiańskich.

Ale też i potem, po przyjęciu islamu, nie pozwoliła się kobieta Bośni i Hercegowiny upodrzedzić przez jakieś obce rywalki. W haremie słowiańskim nie mogło być mowy o wprowadzeniu do rodziny jakiej Czerkieski, Gruzinki lub jakiegokolwiek cudzej kobiety — nie pozwoliłyby na to za nic ani matka, ani siostry szlachetnego bega.

Stąd rody szlacheckie, nietknięte żadnem krzyżowaniem krwi, utrzymały dotąd swój czysty piękny typ słowiański, tyle je w świecie muzulmańskim wyróżniający.

Pamiętam — ja sam kiedyś (1870), na kresach Arabistanu, w pustyni, jednym rzutem oka wyróżniłem wśród oddziału kresowej straży tureckiej agę Bośniaka, którego smutne prawo „osvety” — zemsty krwawej, tam zapędziło. I muszę tu wyznać: po poznaniu się czuliśmy się śród Azyatów jak swoi, do siebie należący.

Serdecznie przywiązany do swego domowego ogniska, do swej rodziny, muzulmanin Bośni i Hercegowiny przechował święcie strzeżoną w jej łonie narodową tradycję.

Czci on język swój jako najdroższą spuściznę po ojcach, pielęgnuje go, uprawia. Miłuje do namiętności poezję narodową. Niewątpliwie: dwór bega jest może gościnniejszym przybytkiem pieśni od płoniny hajduczej! —

Mniejsza, czy bohaterem tej pieśni będzie Hasan-aga Czen-gicz, pan na Lipniku—muzułmanin, czy należący do wszystkich—słynny Marko Kraljewicz, czy też bohater chrześcijaństwa, jaki Sybinjanin Janko (Hunyard), lub junak górski—hajduk Welko, albo dziesięciu innych. Mniejsza—czy ideałem tej pieśni będzie wspaniale piękna Hajkuna, siostra bega Lubowicza z Newesyńskiego pola, czy rzewna, smutna Milica—chrześcijanka!

Oczywiście więc, przy takich warunkach moralnych, istotna cywilizacja oryentalno-muzułmańska nie mogła głębokich puścić tutaj korzeni—ani uczoność arabska, ani ideały azyatyckiej poezji. Beg lub aga był przedewszystkiem szlachcicem i żołnierzem, i najpoczuwiej zwykle nie rozumiał ani „bilmes” po turecku, a nawet nie potrzebował tego, bo w razie danym, choćby w Stambule, z janczarami, rozmówił się po słowiańsku. Co zaś do ideałów obcego świata poetycznego—nic mu nie zdołało zastąpić jego rodzimej „pjesmy”.

Zywo przechowując tradycje swe rodowe, przechowała w znaczniejszej części szlachta i swe starożytne rodzinne nazwiska, któremi się dumnie szczyli. Nie zaniedbuje ich nigdy dodawać przy swych imionach muzulmańskich—wbrew zwyczajowi wschodniemu. Nie zapomina też nawet o swych herbach, a nawet nieraz—o dniu chrześcijańskiego patrona swego rodu.

Ale, na nieszczęście, twardo też szlachta pamięta i o swej, niegdyś, nieograniczonej władzy nad „kmetem”, i o jego bezwarunkowem poddaństwie! Za nic więc w jej oczach cała nieodzowność ustępstw, wymaganych przez zmianę ogólnych warunków kraju, wszelkie „hatty” i „tanzimaty” padyszacha! Mimo nieustannych nawet niepowodzeń, doznanawanych przy podniesieniu broni przeciw Porcie, począwszy od Husseina z Gradaszacu—wezyra Bośni, i Alego ze Stolicza—wezyra Hercegowiny, i ostatecznego tryumfu władzy

sultańskiej — nie chciała się szlachta dotąd zdecydować na szczere ustępstwa ludowi.

Musiała więc „raja” sama sobie radzić, chwytając od czasu do czasu za broń. Aż oto wybucha ostatnie obecnie powstanie — Lubibraticza, które, zwracając na się, przez swe następne spotężnienie, uwagę całej Europy, w każdym już razie, bez względu na możliwe następstwa polityczne, dołą ludu nieco podnieść musi.

Powstanie obecne ludu hercegowińskiego było nieodzownym wynikiem jego najopłakańszego dotąd stanu, pod każdym względem.

Do jakiego stopnia niewiele polepszyła się dola niešťczęsnej „rai” w ciągu ostatniego 25-lecia, pomimo szczyrych nawet w części usiłowań Porty, zmierzających do zaprowadzenia stanowczych reform wogóle i określenia ekonomiczno-społecznych stosunków Bośni i Hercegowiny — niech świadczy obraz jej stanu, wiernie przedstawionego w r. 1850, porównany z ową rzeczywistością, jaka mnie, podróżnego, smutnie uderzała, jeszcze po dwudziestu z górą latach potem — w zaraniu obecnego wybuchu.

Obraz ten stosunków z 1850 roku podaje, samochcąc niejako a w żywych nadzwyczaj barwach, znany w południowo-słowiańskim piśmiennictwie Slavaliub Boszniak, w dołączonej przy końcu swej książki, jako pia desideria, petycyi niby pognębionego ludu do „šťczęśliwie panującego” wówczas sultana Abdul-Medżyda.

Zawiera ona 27 punktów — i brzmi co do swej treści, jak następuje:

1) Abyśmy odtąd nie byli nazywani „rają”, lecz wogóle poddanymi cesarstwa Tureckiego.

— Otóż rzecz małej wagi, zdaje się; ale dziś jeszcze — tylko chyba stanawszy na gardle „spahii” szlachetnemu, jakiemu Brankowiczowi lub Sokołowiczowi, możnaby go zmusić do tego, aby nie nazywał dawnych „kmetów” swoich — „rają”, t. j. trzodą — z arabska, chociaż równość

obywatelska zapewniona była przez „hattyszerif” jeszcze 1836 r.

2) Byśmy wobec prawa równi byli Turkom; jako też aby sąd nie był wydawany podług pierwszeństwa wyznania, lecz podług prawa i sprawiedliwości.

— Możliwy też było powtórzyć to życzenie, śmiało, i po 20 latach — tak nic się pod tym względem nie zmieniło! Kadowie sądzą właściwie rają podług prawa — t. j. koranu, jak go sami rozumieją. Ale raju nie może świadczyć przeciw Turczynowi, a gdy ma z nim sprawę, musi postawić za świadków dwóch muzułmanów, których, oczywiście, niczem do tego nie zobowiąże. Próżne więc dochodzenie sprawy z Turczyńcem!

3) Aby wszystkie „szury”, t. j. rady okręgowe przy kadych, składały się nadal w połowie z muzułmanów, w drugiej zaś z chrześcijan.

— Owszem, co do tego punktu, weszło w życie równouprawnienie *alla turca*, przy odpowiednim wszakże podziale pracy; gdy Turcy tedy, z kadym, sprawy rozstrzygają, delegaci rai podają im kawę i lulki tymczasem.

4) Podatki i daniny niech Turcy i chrześcijanie osobno między sobą zbierają i wezyrowi odwożą.

— Dawny tryb wydzierżawiania podatków przetrwał do ostatniej chwili; a choć dzierżawca niezawsze muzułmanin — jednak nie lżej bywa z tem ludowi — podług przysłowia: „najteżej je gładan Turczyn i syt chriszczianin!”

5) Podatki i daniny niech będą pobierane nie z domów, lecz z dostatku i roli.

— Żądanie to zostało wywołane przez wołającą o pomoc krzywdę rai, jaka ją dotknęła, skutkiem wprowadzenia w życie mniemanej reformy postępowej na mocy carskiego „tanzimatu”. Oto — za starego porządku, do r. 1848, „porrez”, t. j. podatek od roli, jaki jedynie kmieć płacił, był wcale nieznaczny. Odtąd mieli go płacić wszyscy, bez różnicy stanu i wyznania, stosownie do ilości posiadanej

ziemi. Lecz begowie szlachetni — i tu sobie poradzili: ogólną sumę należnego rządowi nowego porezu rozdzielili na domy — skutkiem czego najuboższy raju musiał płacić tyleż, co spahija możny! Stosunek zaś ten przetrwał i dalej, mimo upadku ostatniego powstania mużułmańskiej szlachty, jakie w parę lat potem wybuchło.

6) „Haracz”, płacony przez chrześcijan od głowy męskiej — niech będzie zniesiony, jako przeciwny obywatelskiemu równouprawnieniu.

— Istotnie, w r. 1855 zniesiono haracz, zamieniając go przez tak zwaną „bedelię” czy „askeryję”, — „wojninę” po słowiańsku, t. j. toż samo pogłównne, za uwolnienie niby od służby wojskowej, przez chrześcijan płacone; wszakże już nie, jak dawniej, 15 piastrów haraczu wynoszące, lecz 40. Potem zaś wojninę nawet do 90 piastrów podniesiono.

7) Chrześcijanie niech będą przyjmowani do wojska i mają starszyznę z łona swego.

— Utworzono wprawdzie dwa pułki z chrześcijan — kozacki i dragoni; lecz były one złożone z ochotników i zostawały na osobnych prawach, nie mając nic wspólnego ze słusznymi wymaganiami rai. Stan zaś taki trwa i dotąd.

8) Carska dziesięcina niech zostanie obliczona podług wartości i pobieraną odtąd będzie w gotówce.

— Oprócz dziesięciny, wypłacanej w naturze spahijom, jako właścicielom ziemi, dawał kmieć takową i rządowi — co było dla poborców przedmiotem najdokuczliwszych nadużyć.

9) Kmiecie niech panom płacą daniny z ziemi tylko „szestinę” (szóstą część), i jedynie od zboża, siana i tytoniu, bez dostawy dla dworu; zato nie będą obowiązani panowie za nich podatku dopłacać.

— Wiadomo, iż w r. 1848, firmanem sułtańskim, zniesiona została pańszczyzna. Lecz wprowadzenie tego w życie polecone było, jakby umyślnie, jednemu z możniejszych begów bosańskich, głośnemu w swoim czasie Tahio-paszy.

Na radzie więc ziemiańskiej, przezeń zwołanej, postanowiono, aby kmiecie, wzamian pańszczyzny, dawali odtąd panom $\frac{1}{3}$ zbiorów z pól i $\frac{1}{2}$ siana, spahije zaś będą płacić za nich $\frac{1}{3}$ porezu, t. j. podatku od roli. W taki sposób powstała tak zwana „tretina”, jako niby „dobrowolna” umowa ziemian z kmiećmi. Ale oto, już w lat parę potem, woła lud o jej zamianę. Jak zaś sobie szlachta dalej z porezem postąpiła — jużśmy widzieli.

10) Spahija nie powinien mieć prawa samowolnie usuwać kmiecia z roli, chyba gdy ten okaże się niewypłacalnym; lecz i w takim razie winien zwrócić nakład na zasiew, szczepy i budowle, przezeń wyłożony.

— Co się przecie działo pod tym względem do ostatniej chwili, świadczy tylko smutnie o najrozpasańszej samowoli begów i agów.

11) Pańszczyzna, „begług”, niech już nigdy nie wróci.

— Wiemy też, że w r. 1848 zniesiona ona została rzeczywiście; lecz — na papierze jedynie; boć nieszczęsny raja musi przecie odbywać nakazywaną mu robociznę, jeśli nie chce być roli pozbawiony.

12) Wydatki podrózne wezyrów, wojskowych i sułtańskich urzędników — niech będą pokrywane ze skarbu państwa.

— Był to bowiem ciężar straszliwy, jaki wyłącznie ubogiego kmiecia przygniatał. Aleć i do ostatniej chwili wszystko idzie po dawnemu — podług przysłowia: „Ne pyta Turczyn ima li, nego daj!”

13) Naprawa dróg i mostów, jazda pocztowa i wszelkie środki nieodzowne dla podniesienia handlu i przemysłu, niech też co najspieszniej, kosztem rządu, wchodzić w życie poczną.

— O postępie pod tym względem niech świadczy, podana tu wyżej, moja własna podróż ze świetnego Dubrownika przez górską Szumę do Trebinja. Więcej niż nie miło byłoby mi tam spuszczać się drobną ścieżyną, wśród

opok dzikich, bez towarzystwa junaczego Tryfka! Nawet na Trebińczycy, pod miastem, dopiero teraz, jak słyhać, Rauf-pasza kazał most rzucić, tam, gdzie ja w bród jeszcze konno przechodziłem. Zastałem już wprawdzie półszošek skrócony, od Stolacza do Mostaru, ale na tem prawie i koniec. A w Mostarze stołecznym widziałem jeszcze, jak pocziwy „Turczyn” ciągnął sobie sporą sztukę budulcu z gór konno, w ten istnie barbarzyński sposób, że odzimek był sznurem przywiązany do mocnego łęku drewnianego (samary), a wierzchołek włókł się po kamienisku ostrem — że litość brała, patrząc na biedne zwierzę. A prze-mysł? długo jeszcze tu nań czekać...

14) Drukarnia dla chrześcijan — urządzona będzie kosztem publicznym.

— Stanęła wprawdzie jedyna drukarnia na całą Bośnię i Hercegowinę, w Serajewie, gdzie drukują „carskie” ukazy i liche pismo urzędowe pod tyt. „Bosna”. Ale nie ma z tego raja żadnej pociechy.

15) By też chrześcijanie wyznania greckiego mogli swobodnie wybierać metropolitę i biskupów, obeznanych z językiem i obyczajem kraju, którzyby następnie przedstawiani byli na zatwierdzenie sułtana.

— Najboleśniejsza to strona w życiu rai Bośni i Hercegowiny — nie posiadać nawet wyższych przewodników duchownych z łona własnego narodu! Wiadomo bowiem, iż po usunięciu się patryarchów serbskich do Węgier władzę ich tu zastąpili patryarchowie greccy Konstantynopola. Pod panowaniem zaś Turków sam ten patryarchat został przedmiotem licytacji pomiędzy członkami osławionego Fanaru. Oczywiście więc, że i posady wszystkie biskupie były dawane tylko więcej ofiarującemu. Jak tedy taki władzka-Grek, spekulant, mógł się zachowywać względem powierzono-go jego opiece słowiańskiego ludu — tłumaczyć nie potrzebujemy. Znosił lud sroższe może ciemństwo od hierarchii greckiej, niż od Turków, i bardziej ją przeto znie-

nawidził! Porcie było z tem wygodnie; władcy greccy byli pierwszymi zausznikami rządu. Na nieszczęście stan podobny trwa dotąd jeszcze. Pocziwi Bułgarowie już prawie wydobyli się z paszczy Fanaru i zdobyli sobie swój własny egzarchat; a raju Bośni i Hercegowiny jeszcze znosi przekupniów greckich.

16) Byśmy mogli wyznawać swobodnie swą wiarę; przeto niech nam wolno będzie stare kościoły i klasztory naprawiać, rozszerzać, a gdzie zajdzie potrzeba, stawiać nowe, mieć dzwony i dzwonnice, i obrzędy religijne publiczne wykonywać.

— Pod tym względem naprawdę zdobyło się już nieco więcej swobody. W Mostarze samym, w czasie mego tam pobytu 1872 r., tak katolicy, jak i wyznawcy obrządku wschodniego, wznosili bez przeszkody dość świetne murywane świątynie. Lecz daleko jeszcze do tego, aby dzwony śmiały przerywać wołanie muezyna z minaretu...

17) Targi — niech zostaną przełożone z niedzieli na powszedni dzień.

— Co wcale niełatwo, póki koran panuje: po turecku bowiem niedziela zwie się nawet „pazazgjunu” — dniem targowym wyłącznie.

18) Gminie każdej niech dozwolone będzie założyć szkołę i przywołać nauczycieli z zagranicy, którychby opłacał skarb publiczny; niechaj nam też będzie wolno syny nasze za granicę na naukę posyłać.

— Pod tym względem również przyznać należy pewien postęp, chociaż istnienie szkółki mocno zawisło od dobrej woli spahii i władzy-Greka; rząd natomiast nic się w to nie wdaje.

19) Dzieci nasze niech będą przyjmowane do carogrodzkiej szkoły lekarskiej i inżynierskiej — na koszt skarbu.

— Poczęło to już wchodzić podobno w życie, do pewnego stopnia.

20) Abyśmy przy wysokiej władzy mieć mogli dwóch

mężów zaufania, utrzymywanych naszym kosztem, którzyby zanosili przed panującego nasze prośby, posiadali głos przy naradach urzędowych i oświadczali nas z rozporządzeniami władzy.

— Prózne pragnienia: przedstawicielem wogóle wyznawców wschodniego kościoła, przy wysokiej Porcie, jest patriarcha konstantynopolski — Grek!...

21) Aby wszyscy urzędnicy chrześcijańscy i tureccy opłacani byli ze skarbu krajowego, by też nie potrzebowali żyć z doraźnych płat i kar.

— Żadnej przecie odmiany: żyje bowiem urzędnik po dawnemu z łupu, jaki mu się uda zdobyć na rań, pomimo ściślejsz niby określonych praw jego. Zresztą licha płaca rządowa mu nie wystarczy.

22) „Krwarina” (pomsta) niech będzie zniesiona, aby gminy nie były obowiązane płacić kary za krew zabitego: sąd niech zabójcę wysłedzi i podług prawa ukarze.

— Trudna z tem sprawa, gdy, przy braku porządku w kraju, głęboko zakorzeniony stary obyczaj „osvety”, krwawej zemsty, równie staje temu na przeszkodzie.

23) Niech wolno będzie każdemu oddawać się, po dług upodobania, wszelkim rzemiosłom i handlowi.

— Żadnego postępu: tacy przedstawiciele uprzywilejowanego „prawowiernego” przemysłu, jak puszkarz, rymarz, a nawet balwierz i „kadżyja”, nie znieśli by i teraz jeszcze współzawodnictwa giaurów.

24) Rachunki wszelkich dochodów i rozchodów ziemskich niech będą prowadzone jawnie i następnie podawane do wiadomości narodowi.

— W tem przecie zapragnęła być raju za wcześniej ciękawą...

25) Cesarskie i wszelkie urzędowe rozkazy — niech nam będą ogłaszane, obok tureckiego tekstu, i po słowiańsku, bośmy dotąd nigdy dobrze zrozumieć nie mogli, co się nam nakazuje i zaleca.

— Nawet „Turczyn prawy” zwykle nie rozumiał ani „bilmes” tego; a dlaczegóż miałby być lepszy od niego raja?! Dziś przecie, podobno, w dzienniku urzędowym „Bosna” ogłaszane są już rozporządzenia rządowe i po słowiańsku.

26) Aby nam wolno było zgromadzać się, nieuzbrojonym, dla narad—w przedmiocie szkół, piśmiennictwa i gospodarstwa.

— W zasadzie też wolno; ale pierwszy lepszy Turczyn może temu przeszkodzić.

27) Niech nam na koniec wolno będzie swobodnie wychodzić za granicę, byśmy tam przecie mogli znaleźć kawałek chleba, gdy w domu z głodu umieramy.

— Otóż wolno każdemu, kto bliższy granicy a ma oręż, by się w drodze od pościgu obronić...

Taki to postęp zaszedł w społecznych stosunkach Hercegowiny w ciągu ubiegłego 25-lecia!

Niechże też nikt nie wątpi, że jedyne wyjście, jakie pozostawało—było to ponowne chwycenie ludu za broń!

Raja, napewno, nawet w najgorszym razie, wygra na tem nieco. Co się zaś z krajem stanie—o tem tylko Europa zdecydować może!...

HERCEGOWCY. *)

(DOLA LUDU PODŁUG JEGO PRZYSŁÓW.)

Mimo całego rozgłosu, jakiego nabrało obecnie powstanie hercegowińskie, mimo całej wagi politycznej i doniosłości onego, wątpić jednak się poważamy, czy wielu ze śledzących nawet pilniej za objawami potężniejącego ruchu nad Neretwą rozumie w zupełności istotę tego ruchu i właściwe, wewnętrzne, głębsze przyczyny powstania.

Że powstanie to nie jest zwrócone wyłącznie przeciw władzy i rządowi sułtana — wiadomo powszechnie. Nie jest też ono ani narodowe do tyła, ani tem mniej natchnione przez jakieś pobudki religijne, jakby to się zdawać mogło; nie wymierzone więc ono ani przeciw Turkom, jako narodowi, ani też przeciwko islamowi. Przeważa w niem strona społeczna stanowczo. Domowa to walka — w całym znaczeniu.

W istocie rzeczy małą tu gra rolę idea „jednoty jugosłowiańskiej” lub hasło dążności „wielko-serbskich”; nie chodzi nawet w zasadzie o pełną autonomię prowincjonalną. Niespodziane wypadki lub postulata polityki wielkich mocarstw mogą zadecydować o przyszłości krain nad Bosną i Neretwą, jak tam wypadnie; lecz lud, co się rzucił do bronii, wymaga tylko względnej ulgi w swej doli — przede-

*) Gazeta Polska 1875.

wszystkiem od władz miejscowych, od miejscowego zwierzchnictwa.

Doprowadzony do ostateczności a poczuwszy się na siłach, wystąpił on zbrojnie przeciw Turkom. Ale trzeba wiedzieć, kogo on pod Turkiem rozumie, kogo ma za Turka.

Wcale tu nie idzie o sułtana, ani jego „osmanlijów”: tych lud hercegowiński prawie nie zna. Turcy dlań — to jego „plemstwo” własne, jego szlachta rodowita, która po zaborze kraju przez wyznawców proroka, dla utrzymania swych kastowych przywilei, sama przyjęła islamizm i religijnie „poturczyła się”. Ona to przedewszystkiem ciąży nad ludem: mimo wszelkich „tanzimatów” padyszacha, mimo stanowczego osłabienia jej potęgi, po upadku ostatniego przedstawiciela nieokiełznanej siły możnowładczej, pana na Stolaczu, Ali-baszy Ryzwan-begowicza. Ona to (szlachta miejscowa muzułmańska), jako begowie i agowie — posiadacze ziemscy więksi i mniejsi, jako kadowie — sądzący podług koranu, jako urzędnicy sułtańscy nazw różnych wreszcie — ona to stanowi nienawistnych dla ludu „Turków”. A Turcy ci, ci begowie, agowie, kadowie, tem bezwzględniejsi dla ludu, o ile sami siebie uważają za najlepszych narodowców (słowiańskich) i najistotniejsze obywatelstwo kraju. Wprawdzie pańszczyzna już zniesiona, lecz zależność wieśniaka tem niemniej dotkliwa!

Otóż powstanie obecne musi być z natury rzeczy przeważniej społeczne; lecz nie dość tego — z powodu wysoce oryginalnego wytworzenia się tu w ciągu dziejów stosunku klas, wyznań i cywilizacyi jednego i tegoż narodu, musi też ono nosić równie wyjątkowe wielce cechy charakterystyczne, dające mu pozór powstania narodowego i religijnego.

Właściwy tedy charakter powstania tego wówczas tylko się rozumie należycie, gdy się pojmuje doniosłość odcieni nawet w istocie społecznych stosunków kraju.

Nikt zaś nie zaprzeczy, ażeby istota bytu społecznego

pewnego ludu nie miała się wypowiadać — najdzielniej, najwybitniej — w jego przysłowia, jako uznanej skarbnicy jego mądrości. Nie wątpimy więc, że byłoby to bardzo na dobre, gdyby się dało choć na chwilę zajrzeć w głąb tej skarbnicy, dla zdobycia świadectwa ludu o samym sobie.

Z przyjemnością zatem witamy w 3-ch pierwszych zeszytach illustrowanego pisma serbskiego, jakie wychodzić zaczęło w Wiedniu, przy końcu ubiegłego roku, pod tytułem „Serbadija”, całą grupę (90) przysłów ludowych, zebranych w Hercegowinie. Witamy tem żywiej, że zebrał je, znany w świecie naukowym słowiańskim starożytnik, a ostatniemi laty konsul austriacki w Trebinju, Wuk Wrczewicz. Nie są to przysłowia w ścisłym znaczeniu, lecz raczej dialogowane „przypowiadki”; wszakże znaczenie onych nie mniejsze.

Przejrzyjmy tedy owe „pytalice”, jako „narodne umotworine”, jako owoc twórczości fantazyi ludu i spowiedź jego duszy.

Oto na 90 tych przypowiastek większa część jest takich, które się właśnie odnoszą do bytu społecznego i dotyczą najboleśniejszej strony w życiu hercegowińskiego ludu, mianowicie jego zależności od klasy zwierzchniczej, czyli „Turków” w pospolitem rozumieniu. Przypowiadki te pochodzą oczywiście z czasów dawniejszych; przecie nie przestają one charakteryzować najżywiej i sytuacji dnia dzisiejszego. Nie zmieniły się czasy bowiem na tyle, by przysłowia ludu już tylko o jego smutnej przeszłości świadczyć miały, gdy mu oto przyszło rzucić się ostatecznie do broni!

Ciężkaż bo niedola doprowadza lud do tego: ciemieży aga, krzywdzi kady, i własny pop nieraz nie lepszy; „zulum”, gwałt i niewola powszechne. A więc w „uskoki” za granicę, lub w „hajduki” między góry niedostępne, nim się gromadniej nie chwyciło za broń, przy dobrej otusze butniejszej braci z Przymorza a Czarnej-Góry!

Wszakże w przypowiadkach jeszcze panuje jakaś re-

zygnacya fatalistyczna, opromieniona dziwną ironią, rozpaczliwą a bohaterską, nad swą dolą.

W bycie codziennym człek bez wyjścia. Na zapytanie sąsiada, dalmackiego Przymorca: — A jak tam u was śpiewają? — „raiah” hercegowiński z rozpaczą odpowiada: — Nie znam ci ja innej pieśni, jedno jęk i żal! A zapytane w Dubrowniku, z katolicka pobożnym, dziecię „hriszciańskie” (wschodniego obrządku) z Hercegowiny: — Mały, boisz li się ś. Trójcy? — powiada rezolutnie: — „Czwórcy” się nawet boję — „agi, kadego, zułumczara i zapyteh”, boję się czterech — pana, sędziego, poborcy i strażnika!

Co Turczyn to ciemieżca! Pytał raz Czarnogórzec raiaha: — Czy znajdzie się Turek, coby nie był gwałtownikiem? i otrzymał smutnie zagadkową odpowiedź: — „Na sto jeden, a na tysiąc ani jeden!” Tak też zagadnięty raiah przez raiaha z innej okolicy: — Czy tam u was gorsi są agowie czy prości Turcy? — dobitnie twierdzi: — „Wszyscy źli, a najpierwsi najgorsi, pierwsi następnych uczą, by nas gorzej męczyli!”

Turcy bowiem stworzeni są do panowania, a niewierne gjaury do niewoli — tak ma być napisane w „kitabie”, księdze św., podług słów wiejskiego „muftego”, przewodnika prawej wiary. — A czy nie pisze tam w kitabie, że i raiah może się dostać do rajy? — pyta „czypczyja”, wieśniak, agę. „Owszem, pociesza go aga, ale wtedy tylko, gdy pierwszy 40 lat Turczynowi wiernie wysłuży, a potem go Turczyn rozsieka.”

Wogóle wszystko przeznaczone dla Turka.

Pyta kady kadego: — A cóż, effendy, twoja raiah? — Ot jakoś..., powiada sędzia poważny, „od tłustej owcy runo mi przypada, a od chudej, z biedy, choć miara mleka!” — A dlaczego, „babo”, oddałeś to jagnię adze? — woła wiejski chłopczyzna do ojca. — „He, mój synku, odpowiada mu stary, lepiej dać zgodnie jedno, niż z przymusu dwoje!”

Nawet swoboda dziewcząt niepewna. — A na coś mi, ago, poturczył córkę? — skarży się rozżalony „czypczyja”. —

„Eh, bo widzisz, brzydka i niewidoma wasza, a młoda i ładna nasza jest!” — tłumaczy mu aga.

Ciemństwo ludu poddanego najrozpasańsze i bezkarne. Oto pyta aga wieśniacze dziecię: — A wiesz za co cię biję? — Boś aga! — odpowiada chłopak. — Któż ci to powiedział? — Powiedzieli mi to dziad i ojciec! — To znowu syn zagaduje ojca wieśniaka: — „Babo”, gdy powróci nasz aga z Mekki, czy będzie też tłuc nas po dawnemu? — i słyszy rozpaczliwie rezygnacyjne słowa: — Będzie, synku, i bić, i gnębić! — Jest w tem wszystkim jakieś fatalistyczne pochylenie głowy pod niezwalczoną przemocą!

Obok ciemństwa siły brutalnej, żadnej rękojmi własności. — Powiedz, effendy, pyta „knez”, sołtys wiejski, „subaszę”, kiedy mi też dług zwrócisz? — O zwrócę najpewniej, „kiedy się dwa piątki w roku spotkają!” Biedny raiah nie posiadał nic prawie, coby mógł nazwać svojem wyłącznem dobrem. — Czy też my mamy co takiego, co nie jest własnością agi? — pyta syn ojca. — „Owszem, mamy dwie rzeczy, odpowiada ten, duszę i karmnego wieprza!” — Ileż tu gorzkiej ironii nad własną niedolą!

Za to też dostatek powszechnym udziałem Turków. Oto zagadnął pobratym pobratyma: co się też najniezwykłej w świecie widzieć daje? I wypada z sarkastycznego zestawienia pobratymów, że „ubogi Turczyn i karmnik chudy!”

W sądach sprawiedliwości żadnej: zdzierstwo uorganizowane i bez litości najmniejszej.

Już Marko Kraljewicz, ów bohater pieśni serbskich, powiada matce, że „do kadego idzie się z pełną kieszenią a wraca z próżną!” Więc też i sam kady dalej upewnia, że „u kogo chybia a u niego zawsze urodzaj!” A żonie, pytającej go o cenę masła na targu, z urazą odpowiada — „a kiedyś ci to ja masło za pieniądze kupowałem?” — Bierze też on wszystko bez skrupułu. Oto pyta raz raiah kadego, czy też „charam,” grzech, kradzione jagnię spożywać? — Oczywiście! — była odpowiedź. — A jam wczoraj jedno ukradł,

powiada chłop, i właśnie tobie je przynoszę! — „Inna rzecz kradzione, inna darowane — zostawże je tu!” — zawyrokował nasz kady.

Demoralizacya wszędy najbezczelniejsza.

Trudno „rai” doprosić się o należność. — Nie zapłacisz mi też, effendy, za owo siano? — natrąca raz wieśniak kademu. — Jako żywo, odpiera sędzia, „w tej izbie się nie daje, lecz bierze!”

Bezprawia otwarte i na każdym kroku. — Na coś wziął moją „strukę” (płachtę wełnianą) a zostawiłeś mi swoją? — woła raiah Turczynowi. — Eh, wszak widzisz, tłómaczy Turczyn, „twoja nowa a moja stara!” — i poszedł spokojnie.

Niema sądu, niema świadków. — Czy widzisz, ago, pyta raiah, kto tam pędzi moją krowę? — „Wlach” (chrześcijanin wschodniego obrządku) nie jest, rzeczce aga, a o Turczyzna mnie nie pytaj!

Ani zdrowie, ani życie poddanego chrześcijanina nieuszanowane.

Woła raz aga adze: — Na „din” nasz, na wiarę świętą! wszak ci to owo „Wlaszcze” twą kukuruzę po księżycu okopuje? — I cóż? — odpowiedź — niech będzie większe pohańbienie krzyża!” — To znów raz drugi pyta „hadżyja”, pielgrzym pobożny, syna: — Mujo, kto się tam bije na bazarze? — Nic tam niema, chowaj Boże, powiada synek, tylko się „Własi” między sobą pobili. — Niechaj się psy rzną! — zamknął hadży.

Przeciw bezprawiom nikt nie śmie wystąpić stanowczo. Pytają czasem „seljanie”, wieśniacy, „popa”: — Dlaczego nam, popie, czego nie powiesz? — Rozumieścież mnie, tłómaczy się ojciec duchowny, „nie śmiem mówić fałszu dla Boga, a prawdy dla kadego!”

Ale nieraz i pop nie lepszy! Pytano wieśniaka: — Czy ci ciężiej przyjąć w dom „kaludziera”, mnicha, czy agę? — lecz raiah bez namysłu wykrzykuje: — „Ani przed chałupę ich, Boże! a cóż dopiero do chałupy!”

Częstuje też lud i swoje duchowieństwo sarkazmem. Opowiada więc sobie, że pytano raz kaludżiera: — Dlaczego się i wy nie żenicie? — a ten miał odrzec tylko: — „Choć się nie żenim, a przecie nie tracimy czasu!” A o popie powtarza, gdy go zagadnięto: — Czy też ty, popie, dajesz co kiedy komu za duszę? — a pop na to: — „Jedną ręką biorę, drugą błogosławię, a trzeciej przecie nie mam!”

Jednem słowem, zewsząd bieda — i wyjścia niema! — Na cóż znosicie „zułum”, niewolę turecką? — pytał nieraz Czarnogórzec „raję” hercegowińskiego; i długo odpowiadano: — „Bóg wysoko, car (sułtan) daleko, a my już przywykliśmy do niedoli!”

Wszakże ten sam Czarnogórzec, gdy go zagadnięto: — A gdyby ci też do więzienia kotorskiego przyszło? (w Cat-taro austriackiem) — stanowczo odparł: — „Prawa i błogosławiona turecka szabla!” — A nawet pierwsze ideały dziewczęcia nieraz tureckie. Przy okoliczności pytam babę: — Jak też dziewczęta same siebie, podług lat, cenią? — Otóż nie inaczej: każda z nich od 14 do 16 powiada — wartabym za sułtana; od 16 do 18 — za wezyra; a już dopiero od 18 do 20 — „kto będzie, to będzie, byle męska głowa!”

Wszystkiemu przecie musi być koniec, i „zułumowi” tureckiemu nad Hercegowiną. Przeczuli to prawowierni oddawna, ów „kijamet” — koniec panowania islamu. Oddawna pytali pobożni „hadżyje” muftego: — Po czem poznać, że się już zbliżył „kijamet?” — A odpowiedź była jedna: — „Gdy Własi (chrześcijanie) poczną kawę pić, a Turcy rakiję (wódkę)!”

Poczęli też Turcy zapijać się na potęgę! Ale wszakże pewniejsza oznaka „kijamet” to obecne chwycenie się za broń górali. To tylko im pozostawało: agowie, kadowie innego języka nie rozumieli — niechże oręż przemawia!

Lecz przecie: „Ako Bog da!”

MNIEMANI TURCY

BOŚNII I HERCEGOWINY. *)

Obecne powstanie rajahów Hercegowiny i Bośni, przedstawiające w sobie tyle oryginalnych cech charakterystycznych, w których upatrywać można najbardziej stanowcze rękojmie tak niespodziewanego dotychczas jego powodzenia, zwracają coraz żywszą uwagę naszą i na istotę wewnętrznego życia owych krain i ludów.

Wiemy już powszechnie, że walka, srożąca się do obecnej chwili, jest przede wszystkim walką społeczną, w której strona religijna nadzwyczaj małą gra rolę, a narodowa prawie żadnej. Wiemy, że udział, jaki bierze rząd turecki w zgębieniu powstania, choć tak potężny, jest wszakże pośredni tylko; a Turcy owi, co się mocują w zapasach z powstałym ludem chrześcijańskim, — jest to w znaczniejszej części szlachta miejscowa, zagrożona teraz ostateczną utratą odwiecznej swej władzy. Niemniej przeto w charakterze obecnego ruchu pozostaje dla nas wiele jeszcze niewytłómaczonego a niezwykle interesującego. Nie rozumiemy np. tej antychrześcijańskiej gorliwości u słowiańskiej, najczystszej krwi, szlachty, która z przymusu tylko miała przyjąć islam; nie rozumiemy, skąd ta kardynalna różnica w porywach powstańczych ludu Bośni i Hercegowiny; różnica względnego doń stosunku szlachty i t. p.

*) Gazeta Polska 1875, Nr. 239 i 240.

Wszakże nie rozumiemy należycie tego wszystkiego stąd jedynie, że wcale tu nie chcemy uwzględnić przeszłości dziejowej; nie chcemy obeznać się głębiej z charakterem wewnętrznego — socjalnego, kulturowego — rozwoju tych bliskich nam pobratymczych społeczeństw. Przy świetle jednak historyi, wszystko, co zdaje się nam niewytłómaczonem, odrazu zagadką być przestaje!

Zapytajmyż dziejów: kto są właściwie ci osławieni Turcy dzisiejsi z nad Bosny i Neretwy? Co więcej, zapytajmy dziejów: dlaczego Turcy ci są dziś takimi?

Oto w połowie XIV-go wieku, za czasów Stefana, dziada, ze strony macierzystej, królowej polskiej Jadwigi, a zaślubionego z Elżbietą, księżniczką kujawską, nad brzegami pięknej Bosny i w górskich ustępach Hercegowiny panował taki stan rzeczy, pod względem polityczno-społecznym i religijnym, że już w tak oddalonym czasie znajdujemy tam w pełnym rozwoju wszystkie niemal żywioły, jakie w bieżącej chwili występują jeszcze raz do stanowczej, rozstrzygającej walki. Zastajemy tam feudalizm w najbujniejszym rozkwicie, a chrześcijańskość warstw możniejszych więcej niż wątpliwą.

Lecz zdaje nam się, że jedynie ten fakt ostatni obowiązani jesteśmy szerzej tu nieco przedstawić i rozjaśnić.

W połowie XIV-go wieku wyższe klasy społeczeństwa Bośni niepewnego chrystyanizmu?!

Tak! — i w znaczniejszym nawet stopniu, niżby to się nam zdawać mogło; a co więcej — od bardzo dawnych czasów.

Tak, możnowładztwo bośnijskie było oddane przeważnie wrogiemu prawowiernej nauce chrześcijańskiej *bogomilstwu* i związane z niem nadto długą historyczną tradycją!

Nauka heterodoksyjna bogomilów, inaczej patarenów, katarów — zwana, pierwowzór zasad głośnych w zachodniej Europie albigensów i waldensów, zdobyła sobie pewne znaczenie wśród ludów serbo-horwackich już w wieku XII-ym. Potężny król serbski Stefan Nemanja wsławił się nawet

jej popieraniem. Lecz najgłębiej puściła ona swe korzenie w Bośni.

Ban tego kraju Kulin (z końca wieku XII-go i na pocz. XIII-go) jawnie popierał patarenów, a gorliwymi ich wyznawcami była własna żona bana, córka podobno Stefana Nemanji, i biskup Daniel. Bośnia ulegała wtedy przeważnemu wpływowi Węgier i poddawała się skądinąd powiewowi zachodniej kultury. Wrzała wtedy na Zachodzie straszna wojna z albigensami. Innocenty III-ci był nieubłagany. Trudno też było wątpić, aby, tępiąc bez litości tak niebezpiecznych wrogów katolicyzmu w południowej Francji, mógł on długo znosić swobodny rozkwit patarenizmu tuż za Adryatykiem. Zagrożony tedy przez Węgrów i papieża, musiał ban stanowczo wyrzec się herezyi. Lecz oczywiście bogomilstwo wśród ludu bosańskiego nie zamarło, a po jakimś czasie znów przyszło do poważnego znaczenia socjalnego i politycznego. Przy Ninosławie, następcy Kulina, panowała ona po dawnemu, narażając nawet kraj na wojnę z królem katolickim Węgier Belą IV. W XIV-tym wieku nauka patarenów utrzymała się w całej swej mocy. Banowie Stefan Kotromanowicz i Twerdko, który przybrał tytuł króla Bośni, otwarcie ją prawie popierali. Papieże za to używali wszelkich możliwych środków dla jej wytępienia: wysyłali misye i urządzali krzyżowe wyprawy. Lecz wysilenia te okazały się bezskutecznymi. W XV-tym wieku patareni zostawali zupełnie w tych samych warunkach swobody i mocy, co i pierwej. Król Twerdko III-ci, podobnie jak jego poprzednicy, niezachwianie ich podtrzymywał. Bogomilstwo też wtedy miało swych zwolenników we wszystkich warstwach społeczeństwa: nie tylko dał mu się porywać lud, lecz sprzyjali mu, przejmowali się jego zasadami możni włastele, despotowie, wojewodowie. Było ono wtedy prawdziwie potężne: zespolone siły katolicyzmu zachodniego i ortodoksji wschodniej nie mogły straszному wrogowi podołać!

Czemże przecie było owo bogomilstwo, ów patarenizm — jako nauka? W czym spoczywała ta jego potęga, porywająca lud i zarazem ujmująca wyższe klasy społeczne? Co w niej było narodowego? Skąd nakoniec przyszła ta nauka?

Do Bośni i Hercegowiny przyszło bogomilstwo z sąsiedniej a pobratymczej Bułgarii. Bułgaria bowiem była w Europie właściwą onego kolebką: wszystkie jego odcienie i rozgałęzienia dalsze, tak patarenizm bośniacki jak i albigenizm prowansalski, stąd wzięły swój początek. Lecz pierwotnie powstało ono w głębinach Azji, w dalekim Iranie, — było płodem zespolenia nauki Zoroastra i Chrystusa, z którego wyrodził się tam manicheizm. Manicheizm ten perski zjawiał się wśród Bułgarów jednocześnie z chrześcijaństwem, już w IX-tym wieku, a może i wcześniej. Unarodowił się tu wszakże dopiero w wieku X-tym, za cara Piotra, przybierając następnie swojską nazwę bogomilstwa od jednego z najdzielniejszych swych opowiadaczy, popa Bogumiła. Przypadek pochodzenia tej nazwy podniósł tylko, w oczach wierzących, symboliczne jej znaczenie. Takie, już po słowiańsku unarodowione, bogomilstwo szerzyło się nie tylko po sąsiedzkich krainach południowej Słowiańszczyzny, lecz sięgnęło z jednej strony do dalekiej Rusi owoczesnej i Litwy, a z drugiej, przerzuciwszy się przez Adryatyk do Włoch północnych, jako nauka katarów, ogarnęło całą południową Francję. Stałe stosunki albigenów ze słowiańskimi bogomilami są znane historyi.

Na słowiańskiej ziemi atoli bogomilstwo było mocniejsze, nie tyle łatwe do zwalczenia; czuło się tu bowiem ono na tradycyjnie i duchowo własnym gruncie.

Zasadniczą podstawą nauki bogomilów, podobnie jak manicheizmu, był dualizm, uznający dwie potęgi, rządzące światem: dobrą i złą — równych sił i w wiekuistej walce z sobą. Prastarego Białoboga zastąpił tu Chrystus, Czarnoboga zaś Satanael, tak, jak w manicheizmie zastąpili Ormu-

zda i Arymana. Uznawało bogomilstwo i Tróję Ś.; lecz wcale inaczej od katolików ją pojmowało. Stary testament bogomili odrzucali, jako dzieło przedstawiciela pierwiastku złego — Satanaela, który, równie jak Chrystus, był synem bożym, odrzuconym tylko przez Boga Ojca. Królestwo boże na ziemi, w ich rozumieniu, poczynano się od przyjścia Chrystusa. Człowiek był dziełem wspólnem Satanaela i Chrystusa, który przyjściem swem na świat odkupił ludzkość ostatecznie. Lecz życie człowieka, jak i życie wogóle, zawsze jest walką dobrego ze złem... i t. p.

Oto w jaki sposób, na pniu starosłowiańskiego pogaństwa, z jego białym i czarnym bogami, zaszczepiła się nowa, pozornie chrześcijańska, doktryna!

Lecz co do wpływu na umysły i życie tłumów, dogmat wszelki jest rzeczą mniejszego znaczenia: wiąże je zawsze więcej realna strona wyznania lub stopień potęgi, z jaką oddziaływa ono na ich wyobraźnię. A właśnie też i pod tym względem bogomilstwo posiadało niezwalczoną moc pociągającą dla młodzieńczego, zaledwie wychodzącego z barbarzyństwa a nie znoszącego więzów, społeczeństwa.

Nauka bogomilów dawała stanowczą odpowiedź na wszelkie zagadnienia, dotyczące tajemnic wiary — jak stworzenie świata, zbawienie duszy, przyszłe losy człowieka i ludzkości i t. p. — odpowiedź, zaspokajającą zupełnie fantazję ludu i pragnienia jego poetyczności. Wyznawcy gorliwsi tej nauki poświęcali się surowemu ascetyzmowi i dawali z siebie wzór, tak pobożności szczerej, jak wogóle wszelkich cnót przez lud wielbionych. Lecz, co więcej nad to wszystko, bogomili, w stosunkach społecznych, odrzucali hierarchię duchowną uorganizowaną i przeczyli prawowitości wszelkiej wogóle ciężącej nad społeczeństwem władzy; potępiali niewolniczą zawisłość człowieka od człowieka i t. p. Hierarchia zaś ich własna była naśladowaniem ideału pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Że podobne socjalno-demokratyczne zasady, w połą-

czeniu ze stroną religijno-fantastyczną bogomiłów nauki, nie mogły nie porywać za sobą masy ludowej — o tem niema potrzeby wątpić. Trudniejszym, na pozór, byłoby do wytlómaczenia przejście się bogomilstwem możnowładztwa i samych panujących. Wszakże przypomnijmy sobie, o ile arystokratycznymi stały się, w dawnej Polsce, demokratyczny kalwinizm i radykalna nauka Socyna i braci polskich — a zrozumiemy rzecz. Oto butne i niezależne prawie politycznie możnowładztwo „włastelów” Bośni i Hercegowiny uwalniało się przez patarenizm od więzów wszelkiej — ortodoksalnej czy katolickiej — hierarchii, tyle cięższej nad społeczeństwem w owe czasy. Banowie zaś i „kralowie” pozbywali się przezeń jednocześnie roszczeń tak Byzancyum jak Rzymu i uwalniali się od zależności, już to względem carów, już też patriarchów serbskich.

Patarenizm tedy, tyle odpowiadający duchowym i społecznym potrzebom wszystkich niemal klas socyalnych ówczesnej Bośni, głębiej niż gdziekolwiekbydź zapuścił tu swe korzenie.

W połowie XV-go wieku stronnictwo polityczne patarenów tak było potężne, że po śmierci Twerdka III-go nawet zdołało wynieść jednego ze swoich na tron. Stefan Tomasz był istotnie sam gorliwym patarenem. Lecz panowanie jego przedstawia chociaż najwyższą, jednak ostatnią już chwilę przewagi politycznej wyznawców bogomilstwa. Przy jego następcy Stefanie Tomaszewiczu († 1463 r.) stronnictwo katolickie, podsycane z zewnątrz, wytrwale prowadzące oddawna zaciętą walkę ze śmiertelnymi władzami rzymskiej wrogami, wzięło nad nimi ostatecznie górę. Zwycięzcy, podobnie jak niegdyś w południowej Francyi, tak i tu teraz, nie mieli litości nad przeciwnikami! Rozpoczęły się straszliwe prześladowania patarenów: chodziło katolikom o wytępienie odszczepieństwa tego do szczętu. Co się więc nie ukorzyło, chociaż pozornie, musiało ustępować z kraju. Do 40 tysięcy prześladowanych wyniosło się do

Hercegowiny, której władzca właśnie porzucił był katolicyzm. Patareni, ścigani w jednych okolicach, przenosili się w inne, osłaniali się w ostateczności pozorami nawrócenia; stali jednak mocno przy swoim i z zapamiętałą nienawiścią wrogów czekali godziny pomsty. W Bośni, między przygnębianą szlachtą i obywatelstwem miast kipiało wszystko...

Co do Hercegowiny — tu patarenizm nie tak licznych jak nad Bosną znalazł był zwolenników. Miała ona inną, swą własną, religijno-polityczną tradycję, która ją chroniła od tego. Jak wiadomo, była to dziedzina uwielbionego przez Serbów Ś. Savy, syna króla Stefana Nemanji († 1237 r.), a z sąsiednimi ziemcami Trawunji, Zety, Zachumu stanowiła między plemionami serbo-horwackimi ognisko wschodniej ortodoksji. Bogomilstwo tedy trudniejszy miało tu dostęp. Lecz zato wogóle przez wyznawców wschodniego obrządku mniej było prześladowane.

Tymczasem zbliżała się powoli, stopniowo, straszna burza, wywracająca wszystko z posad, i ku tym tu stronom. Z chorągwią Mahometa na czele posuwali się niezwalczeni Turcy! Po nieszczęśliwej bitwie na Kosowem polu 1389 r. poddali się ich przemocy Serbowie. Los, jaki ich w następstwie spotkał, zgotowany był i dla najbliższych sąsiadów i pobratymców. Gdy zginął 1444 r. pod Warną młodzieńczy król polski i węgierski, syn Jagiełłów Władysław, nie było już żadnej nadziei obrony. W dziewięć lat po klęsce warneńskiej, 1453, padł Konstantynopol; w dziesięć lat potem (1463) stała się też i Bośnia pastwą Osmanów; a ostatecznie, po latach dwudziestu (1483), uległa ich jarzmu i dziedzina bezsilnych potomków „hercoga” Stefana Pawłowicza. Zmierzył się był jeszcze z Turkami Jagiellończyk, król węgierski Ludwik Dziecię, Kazimierza wnuk; ale gdy ten 1527 r. pod Mohaczem zginął, zaciężył nad południową Słowiańszczyzną islam najbezgraniczniej.

Nigdzie on atoli nie znalazł dla siebie takiej podstawy potężnej i tyle sprzyjających żywiołów, ile w Bośni!

Kraj ten, targany ciągłemi rozterkami wewnętrznymi, doszedł do stanu najzupełniejszego obezwładnienia. Przedstawiciele swobód ludowych i dzielnej opozycji przeciw oficjalnej hierarchii, patarenowie, byli zdeptani wprawdzie, ale sprężystość władzy zwierzchniczej przez to się nie podniosła. Moźnowładztwo, bez różnicy wyznań, nie dało się krępować niczem. Patareni zaś, doprowadzeni zaciekle przesławianiem wrogów do ostateczności, gotowi byli do wszystkiego się rzucić, byle dopełnić już przynajmniej obowiązku zemsty.

Wśród takich to okoliczności wkraczają do Bośni Turcy, w celu ostatecznego podboju onej. Miasta, oddane bogomilstwu, dobrowolnie otwierają im swe bramy. Z nadzieją zapewnienia sobie większej tolerancji religijnej u muzułmanów, niż jaką mieć kiedy mogli ze strony braci chrześcijan, łączyli patareni i widoki swe polityczne. Kraj więc stał się łatwym łupem zdobywców; król Stefan Tomaszewicz został 1463 r. okrutnie zamordowany. Lecz i patareni omylili się srodze w swoich rachubach!

Nie chcieli Turcy robić żadnej różnicy pomiędzy „gaurami”. Kto chciał zachować prawa swe obywatelskie, swe przywileje szlacheckie, musiał nieodzownie zostać czcicielem proroka. Roznamiętnieni w swej zapamiętałości patarenowie rzucili się więc teraz w objęcia islamu, by wziąć górę nad wrogami. Lecz i tym razem się zawiedli. Dla ubezpieczenia swych praw i własności feudalnych, swej nieograniczonej władzy nad kmieciem, szlachta katolicka i obrządku wschodniego równie pośpieszyła po niedługim czasie oddać cześć Mahometowi. Za szlachtą poszła i znaczniejsza część ludności miejskiej. Niepostrzeżenie cała prawie warstwa zamożniejsza Bośni, bez różnicy dotychczasowych jej wyznań, ocuciła się muzułmańską. W Hercegowinie przecie, mniej poddającej się wpływowi patarenów, mniej też „plemstwa” i włastelów przyjęło islamizm.

Zostawszy muzułmańską, szlachta bośniacka, przeobra-

żona teraz na begów i agów, wcale przecie nie zatraciła swej narodowości. Owszem, zdobyła ona wcześniej pewną, dość znaczną nawet, autonomię dla swego kraju. Większą częścią urzędy, nawet wezyrostwo Bośni, oddawane były krajowcom; szlachta muzułmańska miała bezpośredni wpływ na zarząd kraju; obcych, rodowitych Turków wśród siebie nie znoszono. Za to Bośniacy niejednokrotnie trzęśli Stambułem: słynny wezyr sułtana Solimana I-go, Mehmed, był begiem bosańskim, z rodu Sokołowiczów. Odgrywali oni wielką rolę we wszystkich wyprawach na Węgry i pod Wiedeń. W domu, u siebie, pielęgnowali swój piękny język słowiański, trzymali się ile można starożytnych obyczajów, nie dopuszczali między siebie wielożeństwa; lecz stając się z czasem coraz szczerzej mosleminami, coraz więcej srożeli w swej bucie feudalnej i niemiłosierniej gnietli kmiecia.

Gdy nadszedł czas liberalnych reform w Turcyi, begowie bosańscy wystąpili z najzaciętszą względem rządu opozycją. Nie pozwolą Stambulowi niczego dotyczyć, ani autonomii, ani praw feudalnych. Broń tu tedy musiała rozstrzygać. Szlachta wyteżyła wszystkie swoje siły, aby nie dopuścić zmian żadnych; lecz po upadku (1852) dzielnego swego przywódcy Ali-baszy Ryzwan-begowicza, ze Stolacza w Hercegowinie, musiała przemocy ustąpić. Pozbawiono ją części praw feudalnych — pańszczyzny; pozbawiono części własności lasów, pastwisk górskich; zaprowadzono nowy porządek sądowniczy i administracyjny. Nie ugięło to przecie szlachty!

Rozsrożeni przeciw porządkom stambulskim i samym „Osmanlijom”, „Turcy” nasi — jaką to nazwę nadawał swemu zbisurmanionemu plemstwu, swoim odwiecznym włastelom słowiańskim, lud poddańczy — poczuli się żywiej jeszcze w swej odrębności w obliczu świata otomańskiego; poczuli się narodowiej, bardziej po słowiańsku. Ale ustąpić ze swej buty szlacheckiej, zgodzić się na uszczuplenie swej

władzy nad kmieciem, „rają” podłą, czy to z niej „hriszczanin” (wyznawca wschodniego obrządku), czy „krścianin” (katolik) — do tego nie czują siły.

Oniby mieli „dobrowolnie” ustąpić?! Oni, „Turczyni prawi”, jak z dumą czasem się nazywają, a razem prawi potomkowie przedwiecznych panów tej ziemi?! Oni — Sokolowicze, Czengicze, Kapetanowicze, Filipowicze, Kowczycze, Lubojewicze; co więcej, syny krwi królów i banów — Brankowicze, Kulinowicze — oniby mieli „Stambułlijom” bezecnym i nędznej „rai” ustąpić?! Jeszcze raz nie!

Ale i rajahom nie stało już cierpliwości, i wzięli się za broń; więc na nich! I oto wojna obecna „Turków” z ludem „słowiańskim!” Patrzymy też, kto występuje do boju z nim, kto ginie w bitwach? Cóż sami właśnie Czengicze, panowie z Lipnika, Lubojewicze z Lubowicy, od granic Czarnogórza, Kulinowicze i inni. Niech w nas nie obudzają wątpliwości z turecka brzmiące nazwiska, jak np. Mahmudbaszyczów, Hadżyjowiczów, Braszkowiczów — są to nazwiska patronymiczne, które najpewniej zastąpiły inne, stare szczerosłowiańskie.

Szlachta muzułmańska Bośni walczy tedy do upadłego. Karmazynowym begom chodzi jedynie o utrzymanie tego, co posiadają; drobnota szaraczkowa — agowie, widzą też potrzebę ekonomiczną walki. Większa część ich, za dawniejszych czasów, żyła rzemiosłem rycerskim na pańskich dworach, w częstych pospolitych ruszeniach; ze zmianą stanu rzeczy, z wprowadzeniem „nizamu”, agowie okrutnie zubożeli, a pracować nawet koło roli nie umieją. Lepiej już sobie radzą miejskie rodziny starojanczarskie. Otóż walka agom do czasu chleb daje.

Wogóle nawet muzułmańskiej szlachcie tylko o tymczasowość już chodzi. Rozsądniejsi rozumieją doskonale nieodzowność następstwa ostatecznego całej dotychczasowej społecznej walki; ale gotowi rozstać się z koranem, o utrzymaniu swej władzy i nadal nie wątpią. Doskonale mi to

przed trzema laty wypowiedział samochcąc jeden z begów hercegowińskich, w żywej rozprawie o miejscowych stosunkach: — „Ja im tam pójde i do ich cerkwi, może; ale raja musi mi być poddana”.

Tacy to Turcy są owi „Turczynowie” bosańscy i hercegowińscy. Nie są oni gorszymi narodowcami od ludu chrześcijańskiego obojga wyznań, miłują swój język i stary obyczaj, po turecku nie umieją powszechnie, a Turków, Osmanów, niewiele mniej od Niemców nienawidzą. Rodowe swe tradycje żywo oni przechowują, otaczając nawet pewną mistyczną czcią swe herby stare i papiery heraldyczne; wierzą nawet w realną pamiątek tych wartość, w przyszłości może niedalekiej. A że się nie rozczulają przy potrąceniu ich rodowych tradycji chrześcijańskich, — boć i o tych tradycjach swoich coś oni więcej wiedzą, niż księgi nasze, a napewno od nich dopiero i my z czasem czegoś więcej o patarenach i bogomilstwie się dowiemy.

Tradycje chrześcijańskie żywiej są przechowywane między szlachtą Hercegowiny, owego dziedzictwa św. Savy, „oświeciciela” narodu serbskiego, gdzie patarenizm mniej przeniknął. Co więcej, niemało tu rodów włastelskich pozostało dotąd chrześcijańskimi. Stąd to też owa uderzająca różnica w charakterze socjalno-politycznym między Hercegowiną a Bośnią. Lud tu skorszy do broni i dlatego, że ma gotowych przewódców; gdy go begowie docisną, stare plemstwo, które pozostało wierne krzyżowi św., samo powołuje go do odporu i staje zbrojnie na czele. Kto zna bliżej stosunki miejscowe, widzi to naocznie i w dzisiejszej zawierusze.

Niejeden tu ród stary rozszczepił się na odrośle muzułmańskie i chrześcijańskie. Starzy Chrabrenowie np., rozrodzeni na Miłorađowiczów z Dubrawy, z których jedna gałąź przeniosła się do Rosyi, Opijaczów z Crnicza, Ljoliczów i Kuzmanów, mają wśród siebie przedstawicieli islamu i krzyża. Niejeden ród też ma swe rozgałęzienia w sąsiedz-

twie, pobratymczym Dubrowniku, Dalmacyi, Czarnogórze, a stosunek jednej krwi podtrzymuje jej żywotność i u pnia. Oto czarnogórcy, panujący dziś, Niegosze Petrowicze to potomstwo starych Herakowiczów od góry Niegosz w Hercegowinie i t. p. Ale znaczniejsza część dawnego plemstwa pozostała na swych odwiecznych siedzibach.

Więc też i dziś, w obecnej zapamiętałej domowej wojnie, kto sroży się najbardziej przeciw powstaniu? — jak wiemy, muzułmańska, posiadająca rzeczywistą władzę, szlachta; kto temu powstaniu przywodzi? — równie ludzie szlacheckich tradycji, związani z „rają” swem wyznaniem i upokorzeniem.

Spojrzymy na ich szereg cały: wszystko to są przedstawiciele starych rodów szlacheckich, przez nawałę turecką złamanych! Najgłośniejszy ze wszystkich, Micia Lubibraticz, dowódca główny oddziałów, walczących pod Trebinjem, pochodzi z rodu Powrszy, i za Łuki Wukałowicza, w powstaniu 1861 r., był sam „kapetanem”. Druga jego rodzinna nazwa Balordicz. Naczelnik oddziału w Gacku, pop Bogdan Zimonicz, również znacznego pochodzenia: ród jego zawsze trzymał w swem ręku dostojęństwa „kneza” Gacka, uznawane nawet przez Turków; sam też on był już wojewodą swego plemienia za Ali-baszy Ryzwan-begowicza 1852, a jako taki, walczył i w wojnie czarnogórskiej 1861 i 1862 r. Podobnego pochodzenia jest też współzawodnik jego sławy, głośny pop Żarko Leszewicz, dowódca oddziałów między Czarnogórzem, starą Serbią a księstwem. A oprócz tych powszechniej nam znanych, i drobniejsi dowódcy, naprzykład Banian z nad rzeki Limu — dwaj Koprywice; Rudynian — Baczewicz; Szarańców z nad rz. Tary — Kneżewicz; Piwian z nad Piwy — Babicz, wszyscy ludzie szlacheckich tradycji.

Co więcej jednak uderza w rozpasanej tej walce domowej: niektórzy z agów, w poczuciu, że z upadkiem starego feudalizmu muzułmańskiego usuwa im się z pod nóg socjalna ich podstawa, łączą się już teraz z chrześcijańską bracią;

niektórzy z begów (możny Omer-beg Lubojewicz) decydują usunąć się na stronę, by się nadal trzymać neutralnie.

Przy innych, bardziej sprzyjających ludności chrześcijańskiej, okolicznościach podobnych przykładów napewno byłoby więcej. Wprawdzie historyczna nieodczowność zbliża powoli już chwilę, w której cała muzułmańska szlachta stanie po stronie swego ludu, by go na wieki przejednać. Rozumieją to już poważniejsze wśród niej umysły. A śmiało rzec można, że na takim pojednaniu się warstw społecznych jednego narodu zyskałyby Bośnia i Hercegowina nieskończenie więcej, niż Serbia książęca na wytępieniu swego zbisurmanionego plemstwa, tyle osławionych „spahijów”, „delijów” i t. p. Nie przesadzajmy bowiem faktów życia, pod tchnieniem górnych doktryn: życie samo świadczy, że dzielny to żywioł jeszcze, w obliczu poczynającego się narodowego odrodzenia, ta szlachta muzułmańska!

Lecz nim takowe spotężnieje, dać się wyzuwać ze swego dobra własnej mizernej „rai”, cierpliwie znosić, jak shar-dziale „świnopasy”, Serby, szczują ją na możne dwory, patrzeć, jak hajduckie plemię Czarnej-Góry podsycą wszelkie zamysły łotrowskie, na to nawet duma rycerska nie pozwala! A nadomiar wszystkiego, jeszcze te obmierzłe „Szwaby” z Becza (Wiednia) w nieswoje się wścibiają! Bądź-co-bądź, lepiej, że już na teraz zgodnie z sułtanem, swym „carem”, i jego Osmanlijami; niech sobie „nizam” i Arnauty na pomoc przychodzą! „Inszallah!”

Tacy to są mniemani Turcy Bośni i Hercegowiny!

BELGRAD. *)

(WSPOMNIENIE.)

Jakżeż nieskończenie inaczej wyglądał Wschód — wogóle — przed 15-stu laty! Wyglądać też musiała o wiele odmiennie i przednia brama do tego Wschodu, jaką przedstawiał dla Europy chrześcijańskiej przez długie wieki Belgrad.

Przed laty 15-tu, na wyniosłej skale, górującej nad zbiegiem Sawy i Dunaju, strzelały ku obłokom śmiało białe minarety, powiewała u wieżycy zamkowej dumnie zielona chorągiew proroka; dziś natomiast jaśniej tu spokojnie, niezwalczenie, krzyż św. Minarety runęły w wieczne zapomnienie; a krzyż osłonił swemi ramionami niejedną rzecz świętą, co się przez ten czas upomniała o żywsze życie.

Stałem pod basztami zamku belgradzkiego wczesną jesienią 1860 r.

Było to, pamiętam, 15-go września — dzień świeży, pogodny, jasny. — Belgrad przed oczami przybysza roztoczył się szeroko po wzgórzach i rozdolach, w całej swej okazałości i krasie wschodniej.

Dla mnie przecie oryginalność ta wschodnia nie mogła mieć takiego uroku niespodzianki, jak dla Europejczyka, który po raz pierwszy wstępował tu w progi Wschodu. Ja

*) Gazeta Polska 1875, Nr. 37, 39, 40, 41, 59.

tu właściwie przybyłem Wschód ten pożegnać, poznawszy już Sтамбуł z jego cudami, przeszedłszy Bałkany parę razy, i wtajemniczony już nieco w byt Słowian południa, w wielolicznych dzielnicach. Przybywałem nie od Pesztu, nie od Zagrzebia, lecz od Bramy Żelaznej, gdzie się tak majestatycznie stykają strażnicze nasze Karpaty z przednią jakoby czatą sędziwego Hemu. Przybywałem parostatkiem z dolnego Dunaju, od Widynia, najeżonego równie działami turreckimi.

Nie uwięziły więc mej uwagi ani meczety ani minarety; zajęła całość, zajęli ludzie. Lecz nie obudził też zdumienia, nie przykuł do siebie widok rozstawionego na strażnicach żołnierza otomańskiego, stojącego w swych bezpiecznie oberwanych łachmanach mundurowych, zawsze dumnie, zawsze wyzywająco — tego już byłem przedtem poznał bliżej. Nie zastanawiał mię i tłum ludu, cisnącego się do brzegu na powitanie parostatku. Jedna bowiem wskazówka młodego Bośniaka, towarzysza podróży od Widynia, rzucona smutnie przy pożegnaniu, jedno: „ewoti nasza bracia — siroma”! dało mi przedmiot najżywszego, niepodzielnego zainteresowania się, usuwającego na stronę wszystko inne. Wskazówka ta dotyczyła tłumiących się wrzawnie na statku tragarzy. — „Ewo ti, ewo pògani Turcy”! — potwierdził stojący tuż za nami Czarnogórzec, równie towarzysz podróży.

Zrozumiałem!

Oto ci tragarze, ci młodzi po większej części ludzie, o zwinnych ruchach, w karmazynowym wyszarzanym stroju, ta „bracia” dla bęga bosańskiego, ci „Turcy” dla syna Czarnej-Góry — to ostatnie niedobitki potężnej szlachty serbskiej „włastelów, welikaszów, plemstwa”! Chwiejna na Kosowym polu, butnie umizgająca się do zdobywców w osobach, które tak plastycznie upostaciowuje Kraljewicz Marko z pieśni ludowych, — potem, za przykładem braci z Bośni, cała niemal muzułmańska i ciężąca nad własnym ludem jarzmem okrutnem — szlachta ta zapomniała się aż do niepamięci odstę-

pstwa. Kiedy wybiła zato ostatnia godzina, nie ma też ludzkiej litości nad nią: Kana-dzurdzy i Miłosz mordują swych begów i agów, gdzie mogą, — wściekłość tu walki socyalnej dominuje nad walką religijną, polityczną, narodową. Osmanowie, Porta odgrywają tu rolę podrzędniejszą. — Szlachta ginie! I oto resztki jej, butne a niezdolne do porządnej pracy, jeśli nie stoją na służbie sultańskiej — wstrętnej, pogardzanej, wołą ciężary do miasta nosić, niż ustąpić.

Smutny widok: nie umiało „plemstwo” serbskie narodowi przewodniczyć, zaprzedało go wrogom krwi i wiary, zatraciwszy samo w sobie narodowe poczucie; więc i naród go się zaparł, a prawnuki włastelów z czasów Duszana skończyli na tem, że na swych grzbietach szlacheckich nosili towar żydowski i Niemców z Becza (Wiednia). Żal było jakoś patrzeć na tę młodzież, przedstawiającą jeden z najpiękniejszych typów słowiańskich na południu; — już i poginie to wszystko Turkami!

Tak rozważając dalej, postępowałem raźnie za zwinnym begiem, potomkiem może jakiegoś budyńskiego lub chocimskiego baszy, niosącym mój tłumok podróżny, niecierpliwy spotkania się z kolegami z Kijowa, których pomiędzy Białogrodzianami miałem kilku.

Tegoż samego dnia jeszcze, wieczorem, znalazłem się wśród dość liczego kółka, przeważnie z Kijowian złożonego, jakie się było zebrało u młodego profesora liceum P. Sr. Wesoloż nam było — żywo, sympatycznie; przypominaliśmy sobie historyjki uniwersyteckie i akademiczne z Padołu, — oni żartowali ze mnie, że tak uparcie z horwacka po serbsku mówię—ja im wetowałem, dowodząc, że i na „Serbadyę” bym się zgodził, byleż mieli takiego biskupa, jak Horwaci w dyakowski, i takie wina, jak piwnica ks. Strossmayera. Zjawilo się więc i sławne „niegotyńskie” wino — musiałem i to chwalić; szło tedy coraz weselej — jużem się począł i sam litować nad Horwatami, że im „Szwabi” nawet tytoniu pocziwego mieć nie pozwalają. Ale o Serbii, o miejscowych

stosunkach — nic, ani słowa; widziałem, że jakaś zmora ciąży nad umysłem mych Białogrodzian; przypuszczałem tedy, iż względy przed obcym nakazywały unikać potrącania pytań, mogących zdradzić rozprzężenie zdań w kole biesiadujących towarzyszy — i nie nastawałem. O, jakżem się też potem zdumiał, gdy się przekonałem, że to cień „starego wilka szumadyjskiego” — duch księcia Miłosza, ciążył tak okrutnie nad młodzieżą serbską. Stary bohater już leżał prawie na śmiertelnej pościeli, w pobliżkim Topczyderze, a jeszcze trwoga niezłomnej jego woli zamykała wszystkim usta. Nie wierzono jeszcze, aby autokrata ten mógł już wprędce ukochaną swą Serbię pożegnać. A Serbowie wyrosli byli już dawno z politycznego niemowlęstwa, — i ze zgrzytem, choć w ponurem milczeniu, znosili przemoc przywróconego (1858) z takim zapalem wybawcy kraju.

Mimo przedłużonej w późną noc biesiady koleżeńskiej, wśród której wspomnienia z nad Dniepru najwięcej nas ożywiały, następnego dnia (16 wrz.) już z rannym braskiem byłem na nogach — i na mieście.

Najprzód, oczywiście, chodziło mi o uchwycenie ogólnego widoku krajobrazu. Wzgórze bliżej cytadeli przedstawiało najlepszy punkt potemu. Jakżeż wspaniały widok roztoczył się stamtąd przedemną! U stóp mych dwie szerokie, jasne wstęgi wód Sawy i Dunaju — które tu się w swym biegu majestatycznie łączyły; a za niemi niknąca w niedościgłej oku głębi widnokregu, jakby bezgraniczna, wojewodyńska równina, idąca gdzieś tam ku „pustom” węgierskim. Bliżej nieco, nad samym Dunajem, bieleły się mury austriackiej twierdzy Zemlina; uśmiechały się weselo rozproszone po dolinie miejskie osady „Wojskowego Pogranicza”. Z przeciwnej strony, ku południo-zachodowi, jakby się staczał z nadbrzeżnej wyżyny twierdzy tureckiej, po fałistych wzgórzach ku nizinom Sawy i dalej, nowy „serbski” Belgrad — „Beograd” ich ukochany. Dzielił go od tureckiego „gradu” obszerny plac, zwany Kali-mejdan (niby krasna po-

lana — z grecka po turecku). Było to widowisko kilkunastu zapasów dwóch światów — Wschodu i Zachodu, chrześcijan i wyznawców islamizmu, Słowian i — najczęściej w przeciwnych obozach też braci słowiańskiej; mniejsza o jej nazwy urzędowe: janczary, „spahije”, „delije”. Arena krwią ludzką przesycona. Tuż przy Kali-mejdanie prawie — część miasta najdystyngowańsza, usiłująca przybrać pozór europejski, parę ulic brukowanych, kilka porządniejszych kamienic, a wśród tego cerkiew katedralna, liceum, hotel i t. d. Poniżej, przy najznacniejszej ulicy, „Terazia” zwanej, skromny „konak” — dwór książęcy, szkoła wojenna, koszary. A dalej poza tem rozległe małomiasteczkowe, słowiańskosielskie części miasta — Wraczan i inne. Jeszcze dalej, za niziną, ku Sawie — ogrody, winnice, dąbrowy, a wśród ciemni drzew „Topczyder” — zamiejska willa księcia Miłosza, w której oto starzec bohaterski dogorywa — gdy cień jego jeszcze trzyma lud w grozie. Najwyższy szczyt skały, dominującej nad całą okolicą, zajmowała twierdza, „grad”; przy niej zaś tak zwana turecka, muzułmańska część miasta — jak zwykle, ciasna, lichą dość i brudną.

Gdym się swobodnie począł przyglądać, z pewnej odległości, twierdzy i wystrzelającym z poza jej murów minaretom — zostałem przebudzony z mych kontemplacji odezwaniem się nadchodzącego żołnierza — Turka.

— Próżno, giaurze, niedoczekanie wasze, żebyście kiedy nam tę tu twierdzę wzięli.

— Bóg jest wielki! — odpowiedziałem, gotując się do dzielniejszego odporu, w razie dość tu powszedniej w owe czasy ze strony żołnierzy napaści.

Ale spojrzawszy w oczy memu Turkowi, zobaczyłem, że i to brat Słowianin. Parę zaś słów dalszej rozmowy przekonały mię, że mam do czynienia z poczciwym Pomakiem — wydała go mowa macedońska.

Miałem był już sposobność zapoznania się przedtem bliżej z Pomakami. Niedawno jeszcze przechodziłem w ich to-

warzystwie, idąc z tureckiego Zagórza do dunajskiej Bułgaryi, najwyższy grzbiet Bałkanów—szczyt Trojański. Wiedziałem co za lud: krew czysta słowiańska, a islamizm ich więcej niż problematyczny. Ani wielożeństwa, ani surowej obserwacji przepisów koranu; swój przedwieczny zwyczaj rodowy—wesoły—i zawsze „czutura” wina gdzieś w kącie.

Więc też śmiało zaczęłem mego wojaka:

— A cóż to ci tak bardzo na tem zależy, żeby tu na „grodzie” siedzieli „Osmanlije”? Tyś przecie nie z ich krwi.

— Osmanlija — Boże uchwaj; lecz zawsze Turczyn!

Wiedziałem, że na takie „dictum” — próżna odpowiedź i tłómaczenie.

Dla Słowianina bowiem islamity — czy to on Bośniak, czy Pomak z Dospadzkiej płoniny (Despotodah w Tracyi, u granicy macedońskiej), skąd właśnie był nasz żołnierz, dla nich, powtarzam, nazwa „Turczyn” oznacza ich charakter wyznaniowy i politycznie-obywatelski, nigdy zaś nie nosi cechy narodowej w ścisłym znaczeniu. O ile więc Osmanów nienawidzą, o tyle szczerze stoją pod godłem półksiężyca. Uderzyłem zatem w inną stronę:

— Cóż ty masz wreszcie za swą gorliwość od waszego pady-szacha? Otóż oberwany, gorzej jak derwisz; co śmieszniej — w giaurskim cisnącym stroju z nieznośnemi guzikami, w dokuczliwych butach; mustrują cię jak nieboże stworzenie, a tu dusza głodna — wszak prawda, że już kilka miesięcy nie pobieracie żołdu?

Trafiłem w sedno. Mój pocziwiec prawowierny zasępił czoło, osłonięte czerwonym fezem, splunął; lecz nagle podnosząc wzrok swobodniej, odparł mi stanowczo:

— Eh, mniejsza z tem, jest — niema — wszystko jedno; niema w świecie lepszego ojca nad naszego pady-szacha; ma on, to i my mamy, jeśli mu zaś zabraknie, trzeba być cierpliwym; widać tak już Najwyższy zrządza, żeby nie te giaurskie porządki wojskowe tylko!

— A na wojnie?

— Ej, giaury, giaury, co wy tam o tem wiecie, właśnie na wojnie najwięcej nas oszczędza i chroni. Czy wiesz, jak w czasie „Kerym kawhasi” (krymskiej wojny) było?

— Ciekawym!

— A znasz ty „Carograd” i Stambuł i morze?

— Niedawno stamtąd wróciłem.

— Otóż przed wojną, jak zająrzeć tylko okiem, wszystko to było pokryte statkami i wojskiem giaurskiem. A po co? — żeby nas osłonić! Pady-szach kazał giaurskim „kralom”, żeby oni swoje wojska na „Moskowa” posłali!

— A na wojnie—wszystko giaury musieli wytrzymywać, a myśmy dopiero szli za nimi! A kto Achtyar (Sebastopol) szturmował? Także wasze giaury — Franki, Inglizy. Niema jak pady-szach!

Rozstaliśmy się.

Pomak mój odszedł, począwszy sobie nucić coś po macedońsku. Szkoda — nie podsłuchałem, może to był jaki rapsod z owego niezmiernie bogatego cyklu pieśni orficznych, jakie parę lat temu, na zdumienie świata uczonego, odkryto właśnie najliczniej pomiędzy Pomakami Dospadzkiej płoniny. Ile to tam jeszcze zagadek! Oto muzułmańscy górale, krwi słowiańskiej, przechowują zabytki poezyi, odnoszącej się swą treścią do czasów, co poprzedziły rozkwit cywilizacyi helleńskiej. Co za niepojęte dziwy w życiu psychicznem ludów!

Wracając do Pomaków, szczerych, swobodnych a śmiałych górali, niepodobnych zupełnie do swej potulnej, skrzętniej, zabiegliwej przemysłowo a oszczędnej braci bułgarskiej — tych nasi, wędrowni tam, doraźni etnologowie gotowi byli uznać za potomków licznych z dawnych czasów „jassyrów” z Polski—i stworzyli byli na to całą teorię historyczną. Ja wprawdzie sam przywiozłem parę monet srebrnych Jana Kazimierza, które tam piękne muzułmanki na piersiach w naszyjniku nosiły; lecz niczego to nie dowodzi co do pochodzenia Pomaków. W 10 lat potem przywiozłem

był dwie monety Zygmunta III-go aż z gór Syndżaru, między Tygrem a Eufratem, od Jezydów, jedynych dziś czcieli ciemnego Arymana! Pomacy, poprostu, jest to ród słowiański miejscowy, który w taki sam sposób został muzułmańskim, jak szlachta Bośni. Wyrazy zaś szczeropolskie wśród nich spotykane, jak *stodoła*, *koszula* i wiele innych, są tylko szczerosłowiańskimi.

Rozprawiając sobie swobodnie pod twierdzą belgradzką, nie przeczuwaliśmy — ani ja, ani mój interlokutor, że po 8-iu latach ani nogi tureckiej w twierdzy tej więcej już nie postanie, że meczety pustkami staną, wkrótce minarety padną, a przednia ta strażnica bisurmanów stanie się niezdobytą basztą, zapewniającą bezpieczeństwo wynurzającego się coraz energiczniej nowego życia! Nie przeczuwaliśmy, że dziki, krwawy Kali-mejdan tak prędko zielenią ogrodów się okryje, kwieciami się ozdobi. Lecz wszystko tu już zapowiadało i wtedy niezwalczoną konieczność rozwoju życia w południowej Słowiańszczyźnie w pewnym zakresłym kierunku, — zapowiadało zogniskowanie się tego życia coraz przeważniej właśnie w Belgradzie.

Dzień 16 września obchodzili Białogrodzianie jako dzień imienin młodego księcia Michała. Widać było wszędzie cechę świąteczną po mieście. Starano się solenizantowi okazać życzliwość, tem żywszą, im bardziej ponuro zachowywano się względem surowego Miłosza. Nadzieje wszystkich stronnictw serbskich, nadzieje całej Słowiańszczyzny południowej — zarówno Bośniaków i Bułgarów przez Turczyzna pogiębionych, jak i zawiedzionych przez Habsburgów Serbów wojewodyńskich i Horwatów nawet — zwracały się teraz ku księciu Michałowi. Jego trzeźwy umysł, ukształcenie wyższe, liberalne, doświadczenie pewne życia, spokój duszy i niewątpliwa miłość narodu, miały służyć rękojmią pożądaney świetnej przyszłości.

Na obiedzie w hotelu pod „koroną serbską” (pod

srbske krune), jedynym przyzwoitszym w owe czasy w Belgradzie, spotkałem się z Ludewitem Gajem.

Któż w Słowiańszczyźnie nie słyszał, nie czytał o tym człowieku?

On pierwszy począł rozbudzać uspione narodowe życie Horwatów, on wychował bana Jellaczyca, on go podtrzymywał swym duchem w zawziętej a tak bezowocnej walce z Madziarami — w czasie rewolucyi węgierskiej. Gdy go potem, po r. 1849, z całym narodem horwackim, tak bezpiecznie „prewarili Szwabe” (oszwabili Niemcy), nie ustał on i nadal w swej namiętnej działalności na raz wytkniętej drodze. Duszą jego niespokojną miały nieustannie trzy główne motywy życia: miłość szczerą kraju i stworzonej przez siebie illirskiej idei, nieklamana nienawiść do Niemców i nieprzezwyciężona obawa Madziarów. Namiętność szła w nim ściśle w parze z zasadniczo obmyślanym programem politycznym. I dziś wszelkie wady jego osobiste naród już mu darował i uczył pamięć wielkiego pracownika; a Madziary pamiętają Gaja, póki madziarskiej gospodarki w dunajskiej dolinie starczy.

Poznałem był Gaja osobiście wczesną wiosną tego (1860) roku, w czasie świąt wielkanocnych, w jego willi własnej pod Zagrzebiem. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie ten namiętny człowiek na mnie wywarł. Mniej niż średniego wzrostu, silnie zwartej budowy, cery śniadej, o rysach twarzy bardzo wydatnych i żywych czarnych oczach, człowiek ten zdawał się być stworzony do zacieklej walki — bez względu jakiego rodzaju. Wtedy właśnie, obarczony długami, rzucony w kąt zapomnienia, jak wyciśnięta cytryna, przez politykę wiedeńską, — co gorzej, opuszczony przez własnych swych wychowawców politycznych — nie myślał on przecie ustąpić ze swej drogi.

Ludzie młodszy, jak Kukuljewicz—historyk, Mazuranicz, ban dzisiejszy, dramaturg Bogowicz—dziś przyjaciel peszteński, nie mówiąc już o biskupie Strossmayerze — wszyscy ci

pochylali się ku porozumieniu z Madziarami — tak „prokleti Szwabe” dokuczyli niedawnym aliantom do żywego. Gaj stał zawsze jeden przy swym illiryzmie i zamienionej w system obawie Madziarów.

Sam młody, rozumiałem lepiej młodszych; raz więc, pamiętam, zagadnąłem był Gaja, żartobliwie, lecz stanowczo, co do płonności jego obaw.

— Daruj — odparł mi — widzę, że w was przemawiają tylko owe znane sentymenta zakarpackie, na jakie nasze „baratony” wcale nie zasługują; wreszcie nie nasza to rzecz. Co do nas, co do naszych obaw — bardziej one są uzasadnione, niż wam się zdaje: nie znacie ani nas, ani ich. — Potem nagle podnosząc się, — posłuchaj — powiada:

— Byłeś też kiedy w jakiej gospodzie w Zagrzebiu, gdzie wieczorami młodzież nasza się bawi?

— Byłem.

— Przypomnij więc sobie, jak to tam idzie...

— Raźnie, żywo, wesoło, a co więcej — z „baratonami” dość zgodnie.

— Właśnie — zgodnie, więcej niż zgodnie! — Lecz o co innego pytałem — nie przyjrzałeś się dobrze, jak do tego przychodzi — a więc ci obrazowiej przypomnę.

— Owszem — pamiętam doskonale.

— Tem ci lepiej — a więc, nie prawdaż? — że tak oto:

— Wchodzisz do sali przed wieczorem, zastajesz młodzież naszą siedzącą grupami przy stolikach, każdy przy swej lampce „bukowackiego” wina — cicho, spokojnie, gazetę czytać możesz. Wieszają tam jedni psy na „Szwabach” — ale nie głośno; wymyślają inni, donośniej może, Madziarom. Dalej wspominają bana Jellaczycza — i sromotne zamachy na narodowość, i bitwy krwawe niedawne. Powoli nastrój powszechny obecnego „junactwa”, wśród którego niejedyn może jeszcze ran nie dogoił, dochodzi do najwyższego stopnia rozsróżenia. Niechnoby — zdaje się — pokazał się tu jaki teraz Madziar!

— Wtem wchodzi istotnie młody „baraton” — oficerzyk konsystującego w Zagrzebiu węgierskiego pułku. — Brzęk, brzęk ostrogami, — każe sobie równie podać wina bukowackiego i siada przy niezajętym stoliku. Ale jakże tu pić samemu?

— Czyż do tego już przyszło, że człowiek w Zagrzebiu musi pić, jak Niemiec, sam jeden — nagle wykrzykuje nasz huzar. — Baraton Horwat! — zwracając się do pierwszego, bliżej siedzącego — biliśmy się jedni i drudzy tego, mniejsza o rację — czyż nie potrafimy równie wypić razem porzeczniej szklanicy horwackiego wina?

— Nie Horwatowi to odmówić na takie zawezwanie! Ja sądzę, — rzekł uśmiechając się do mnie ironicznie Gaj, — że i wasz człowiek odmówiłby podobnie nie potrafił?

— Horwat—ciągnął dalej—nie lubi być dłużny: ze swej strony postawił butelkę i przyjaciół zaprosił. Madziar też ubliżyć sobie nie dał... Tymczasem nadeszło jeszcze paru huzarów — przyłączyli się do kompanii i oni — każdy po horwacku przemówił i zaklął się po horwacku na „szwabskiego boga”. Ożywienie powszechne, grupy się łączą, zapomniano i o ranie i o bojach krwawych, nasi „junacy” poczynają z gościnności po madziarsku przemawiać...

— Wchodzi następnie „banda”—muzyka i siada na swej estradzie. Junacy nasi już teraz pierwsi każą grać marsza Rakoczego; Madziarzy zato „Josz Horwatska” intonują. Dalej — „żywili!” — „elien”— „Madiar-ember!” — „Horwat baraton!” — na przemiany, póki nie pokryje tego frenetyczny jeden okrzyk: „szwabskiego boga!” I nuż do „czardasza” — wir, wrzawa — w tłumie tylko już madziarską słychać mowę.

Gaj bawił krótko w Belgradzie: interes jego tu był dość widoczny.

Pod wieczór poszliśmy zwiedzać porządniejszą, *quasi* europejską, część miasta, w nadziei przyjrzenia się zarazem i ulicznemu ruchowi, w dniu tym świątecznym.

Wszystko tu przecie wyglądało jeszcze nawpół po azyatycku — i miejsce i ludzie. Obok nowo wzniesionych murów, świadczących o nowych tu potrzebach, o żywszych nadziejach, ciągnęły się z sielską niewymyślnością, bezładnie prawie, rzędy drewnianych dworów, domów i nawet lepianek. Przyzwoitszy magazyn, z europejska urządzony, ginał wśród labiryntu sklepików i kramików — niewiele się różniących od tureckich. Wszędy, obok burzliwej energii życia, jakaś niepewność, nieufność, nieśmiałość.

Pytałem o przyczynę.

— Eh, Boga mi, bracie! — powiada mi dawny towarzysz kijowski — a wiesz ty, jak się u Turków nasz „Beograd” nazywa?

— Słyszałem go nazywanym zawsze ze słowiańska.

— Owszem, mają oni nadto inną, wielce znaczącą nazwę w swym sakramentalnym urzędowym języku. Zwą go Dar-el-dżihad, co znaczy po arabsku — dom wojny świętej!

— Więc?

— Więc! Oto, dopóki miasto to „domem wojny świętej” dla Turków, nie zaś dla Serbów — dopóty ono podnieść się nie może, podnosić się nie będzie! Kto ci tu się budować zechce pod grozą dział bisurmańskich, kto kapitały włożyć na cokolwiekbądź? Ot, nie widać, jak tuż-tuż, może jutro, może pojutrze, rzucimy tu się wzajem jedni na drugich, Turcy na nas, lub na nich — my! Co tu myśleć o czem innym: to dziw, że i tyle Belgrad się już dźwignął!

A potem, bardziej jeszcze ożywiając się, zawołał:

— A też sąsiady nasze one chrześcijany, Niemcy austriackie, przyjaciół, protektory — czy wiesz, jak oni się obwarowali względem nas? Oto każdy poddany austriacki, mieszkający w Belgradzie, jest wolny od wszelkich opłat miejskich. Trzeba zaś wiedzieć, ilu tu jest poddanych cesarskich oprócz wojewodyńców. Konsul nawet „niemiecki” przestrzega z zasady, aby jego protegowani dobrowolnych

opłat nie wnosili! I myślę tu o podniesieniu miasta. Myśmy zupełnie ubodzy — „siromasi”!

Nieznac tego było wszakże po ludzie tłumniej snującym się tego wieczora. Militarym postawom męskim harmonijnie odpowiadał powszechny wtedy jeszcze prawie strój z azyatycka słowiański. Zgrabne kurtki granatowe czarnym jedwabiem szamerowane lub wyszywane srebrną nicią, podobne kurtki karmazynowe — sukienne; na tem często krótkie lisie futerka, równie sukniem granatowem pokryte, „ciurcze” zwane; tejsze barwy szerokie spodnie „czakszyre”, obciśłe goleń obejmujące; stopa w barwnych „czarapach” szumadyjskich i „papuczach”; głowa zdobna zawsze w fez czerwony z kutasem jedwabnym obfitym. Lecz zapomnieliśmy o pasie — to skarb cały, a często jeszcze wtedy cały arsenał Serba — w jedwabnym tym pasie spoczywały jego „pistołe”, jatagan i co miał do obrony.

Kobiet widać było niewiele, i te stroiły się z męska, z azyatycka; przedniejszą ich ozdobą był fez, nieraz na denku cały dukatami wyszyty, i spadające z pod niego u młodych dziewcząt dwa bujne warkocze; zresztą ślicznie bramowane kurtki. Imieniny wszakże księcia Michała nie przysporzyły mi spotkania żadnej odznaczająco się pięknej Białogrodzianki.

Wśród ludzi, których pragnąłem spotkać w Belgradzie, oczywiście pierwsze miejsce zajmował sędziwy a tyle poetyczny zawsze Karadżycz. Słowiańszczyzna brzmiała jego sławą — zbiór jego pieśni serbskich znany był całej Europie, a prace jego piśmiennicze stanowiły epokę w historyi umysłowego rozwoju Serbów. Wuka Stefanowicza poznałem był właściwie już dawniej — w początku zimy jeszcze tego roku, w Wiedniu, gdzie on dłuższy czas przemieszkiwał z piękną swą córką a żoną naszego kijowskiego kolegi — Wukomanowicza. Był to wtedy już starzec lat 70-ciu z górą; gdyby nie wzrost za mały i ułomność, idealny typ Serba. Oblicze surowe męskie, a łagodne choć poorane czoło, wzrok, mimo

wieku, przenikliwy i bystry, a wyraz twarzy pełen jakiejś wieśniaczej prostoty i swobody. Patrząc atoli na tę twarz wyrazistą, na długie, grube siwe wąsy starca, na jego duży fez grecki, prędzejby się go wzięło, nie będąc uprzedzonym, za weterana bojów krwawych jedynie, nie zaś cichego pracownika na niwie zadań cywilizacyjnych. Dopiero oswojenie się z tem obliczem pozwalało dostrzedz w niem żywsze opromienienie poezji i badawczego umysłu.

Teraz, w Belgradzie, szedłem mu tylko cześć oddać i wywiązać się z obietnicy opowiedzenia kiedyś o tem, co mi się tam widzieć zdarzy — w zamierzonych wędrówkach po bałkańskim świecie. — Szedłem zaś tem śmieiej, ile żywo pamiętałem, z jakim się to szczerem przejęciem wypytywał on mnie niegdyś o własny kraj.

Na trzeci dzień więc po przyjeździe do Belgradu (17 wrz.) powitałem starego Wuka w jego skromnem mieszkaniu. Lecz tu na progu już prawie musiałem szukać rozjemstwa gospodarza.

Rzecz się tak miała:

Zastałem u niego dwóch Hercegowińców, z którymi razem przyjechałem parostatkiem z dolnego Dunaju. Hercegowińcy ci przybywali tu od czarnogórskiej granicy, dla ratowania swoich krewniaków, czy „pobratymów”, uwięzionych w twierdzy belgradzkiej przez Turków i wpłątanych w bardzo niebezpieczną sprawę, z powodu głośniejszej w owym czasie bójki, w której kilkunastu muzułmanów zamordowano.

Bijatyka, w rodzaju podgoryckiej obecnie, między bracią „Mujem” (Mahometem) a „Jowanem” — muzułmaninem a czcicielem krzyża św., była wtedy rzeczą bardziej powszednią, niż dzisiaj. Mujo był zuchwalszy, Jowan zaś nieskończenie więcej zawzięty! Był powód, byle okoliczność, byle pozór tylko nawet, zaraz porywano się do nożów — wszędzie, do pierwszego spotkania: czy to na bazarach Stambułu, Mostaru lub Serajewa, czy to wśród dzikich gór i sielskich

zagród Bośni lub Hercegowiny. A cóż dopiero na neutralnym poniekąd gruncie, jaki przedstawiał taki naprzykład „Kali-mejdan”, między „Dar-el-dżihadem” prawowiernych a serbską „waroszą” Belgradu; albo — gdzie na ustroniu, nad brzegiem Sawy — tamże.

Otóż i w tym roku, wiosną, goszczący w Belgradzie Hercegowińcy i Czarnogórcy, spotkawszy się pewnego wieczora z bosańskimi „agami” nad brzegiem Sawy, nie wytrzymali — i rzucili się na „karmazynów”. Szlachta, na swe nieszczęście, mało była zbrojna — śmiertelni jej wrogowie liczniejsi; rozpoczęła się tedy rzeź prawdziwa — żadne perswazyje ludzi rozsądniejszych, którzy tu nadbiegli byli na odgłos zgiełku, nie zdołały powstrzymać rozpasania się zapamiętałców. „Turcy”, korzystając z mroku zapadającej nocy, gdy już ich kilku tylko bezbronnych pozostało, pochowali się byli pomiędzy drzewem; ale i to im nic nie pomogło. Mimo ciemności, wyciągnięto ich wszystkich, co do jednego, z pomiędzy budulcu — i bez litości wymordowano.

Za co? — dlaczego? — nikt nie pytał; a gdym potem sam raz zagadnął naocznego świadka, jakże przecie wydobyto w mroku tych nieszczęśliwców? — otrzymałem sarkastyczną odpowiedź:

— Coś mi za „tudzinac” (cudzoziemiec) taki, że tego nie wiesz!? — Czarnogórzec węchem Turka tropi — wierz, nie wierz — śmieję się, nie śmieję.

Oczywiście, na wiadomość o tym smutnym wypadku, oburzenie między Turkami w twierdzy doszło do zaciekłości — wołano o pomstę doraźną; ale wdały się w to energicznie obustronne władze — winowajców, kogo osiągnąć zdołano, okuto w kajdany i rzucono w głąb więzień straszliwych fortecy.

Jak dziś z powszedniego zajścia w Podgorycy pomiędzy sąsiadami zrobiono tyle rozgłośną historję, że jeszcze dotąd nie widać jej końca, tak wtedy Turcy ze swej strony

chcieli fakt ten — rzezi nad Sawą — po swojemu wyzyskać, przez podniesienie go głośnie na piedestał polityczny. Stąd śledztwo surowe i groźba kary srogiej.

Zatrwożyły się serca „pobratymów” od Trebinja, Grahowa i Gacka; trzeba było śpieszyć co tchu ku pomocy braciom.

„Tko se ne osvjeti
Taj se ne prosvjeti!”

— wielka prawda — kto się nie zemści, nie dostąpi zbawienia; aleć to jeszcze prawda większa — kto bratu nie stanie w przygodzie, „u nesreci” — ten nie brat.

Trzeba było śpieszyć.

Otóż ci dwaj Hercegowcy, których zastałem u Karađzycza, byli to właśnie „pobratymy” skompromitowanych: przybyli tu oni w tajnym zamiarze ratowania swoich — chociażby przez ułatwienie ucieczki z twierdzy. Do starego zaś Wuka przychodzili nie na gościnę tylko, lecz po radę zdrową, praktyczną.

Znał 70-letni starzec ten wszystkie rody serbskie, ze wszystkimi był pokumany; a może był i pobratymem jakiego tam „gospodara” sędziwego w Hercegowinie — dziada lub ojca któregoś z młodzieży więzionej. Udawano się więc doń pospolicie — we wszelkich sprawach; zewsząd — wprost, jak do swego, bez pośrednictwa; i znany Europie mąż spełniał chętnie nieraz nawet najpowszedniejsze prośbaczce, sielskie zlecenia; tem chętniej zaś, im potrzeby proszących były poważniejsze.

Wszedłem na zbyt ożywioną rozmowę. Nim zdołałem powitać gospodarza i przypomnieć się mu — już mnie spotyka apostrofą jeden z Hercegowińców:

— Ewo ga prijatelja Turka!

Gospodarz zanadto znał swój świat, by się nie domyśleć możliwych powodów zawziętości. Więc z dobrodusznym uśmiechem, witając mię, pyta: „A co, wędrowcze, pe-

wnieś tam czem naszym oto pocziwcom krwi napsuł?" Nie rozbroiło to przecie rozsrożonych na seryo górali. Trzeba było bardziej stanowczej interwencji. „Pa ne moj goworiti, brate — ostawi go s mirom — to je nasz czowiek!” — rze-
cze Wuk. Owo „nasz czowiek” stanowczo, poważnie po-
wiedziane, uciszyło wszystko.

Potem, pogodzeni już z góry, opowiedzieliśmy uprzej-
memu gospodarzowi zdarzenie, które nas było poróżniło.

Fakt ten jest zbyt charakterystyczny, bym go nie miał
tu powtórzyć.

Oto dostawszy się z Bałkanów, przez Łowiec, nad
brzeg Dunaju, w Swistowie, pamiętnym przez traktat, za-
warty tu (1791 r.) między Austryą i Turcyą, siadłem 1 wrz.
na idący ku „Żelaznej Bramie” parostatek. Tu spotkałem,
między innymi, dwóch Serbów, których z postawy wynio-
słej, marsowej, ze stroju wyszukanie wojennego i z całego
uzbrojenia wreszcie wziąłem był za Czarnogórców. Zbliże-
nie się między podróżnymi łatwe, a zatem — i ściślejszy
stosunek; byliśmy więc z sobą razem dzień ten już cały
i następny ranek. Dowiedziawszy się zaś, że są Hercegowińcy,
tem więcej się nimi zainteresowałem, ile że nie miałem wte-
dy jeszcze możności poznania ciekawej ich krainy. O tem,
co ich prowadziło do Belgradu, oczywiście mi nie mówili;
a ich zawziętość namiętą przeciw Turkom brałem za wy-
raz powszechnego usposobienia „rai” (rajahów).

W Widdyniu, następnego dnia (12 wrz.), wsiadło na
nasz parowiec trzech Bośniaków — muzułmanów. Uderzyła
mnie niepospolita męska piękność najmłodszego z nich. Był
to młodzieniec najwięcej dwadzieścia parę lat liczący, — słu-
szny, wysmukły, harmonijnie przytem kształtny, o ślicz-
nych klasycznie regularnych rysach, jasnych włosach,
a ciemnych rzęsach długich i ciemnem oku. Cała postawa
jego miała w sobie coś męsko-ujmującego — pewne zacięcie
rycerskie, a obok tego pogoda oblicza, słodycz uśmiechu
i jakaś dystynkcyja ruchów — wielkopańska, że ją tak na-

zwę. — Strój jego świadczył o zamożności i należeniu do wyższego towarzystwa — cały „karmazynowy”. Duży zawój ze staro-turecką fantazją noszony, zgrabny dołman krótki, pod nim obcisła, srebrem szyta, kamizola, bogaty i grubo owinięty pas, szerokie „szalwary”, wąsko niżej kolan spadające na perskie „czarapy” i „papucze” — wszystko karmazynowe. Za pasem broń droga: pistolety duże, z osadą pysznie srebrem nakładaną, i kandżar równie bogato oprawny, w guście starożytnym. Swobodne, uprzejme obejście się młodzieńca jednało mu wszystkich, co się doń zbliżali.

Dowiedziałem się niebawem, że był to syn jednego z możniejszych begów Bośni, i że wraca właśnie do domu, w okolice Serajewa, z pobożnej pielgrzymki, odbytej do Mekki. Towarzyszyło mu dwóch, dodanych przez ojca, dawnym obyczajem, przyjaciół domu — stary „chodża”, jako kapelan, i niewiele starszy od pańskiego syna szlachecki wyrostek — „aga” — niby dworzanin jego przyboczny.

Nikt tedy mnie nie posądzi o brak chęci zbliżenia się z nimi. Młody Omer-beg sam to ułatwił swobodą swego obejścia się.

Dziwnieź była oryginalna i poetyczna natura! Choć syn Czerkieski, był on Słowianinem do ostatniej kropli krwi; nie mówił innym językiem, jak tylko po bosańsku — i nie chciał mówić inaczej. Miał na to „chodzę,” by się w czytaniu koranu wyręczyć, miał przyjaciela dzieciństwa i powiernika — młodego „agę”, by się od nienawistnych „Osmanlijów” opędzić w potrzebie po turecku. Zato po „illirsku” mówił tem dźwięcznem narzeczem bosańskiem, w którym się lubują znawcy — językiem pańskich zamków i dworów — wreszcie językiem większości może tych pieśni, które w tak wspaiałym darze złożył cywilizacyi Karadżycz.

Rozmiałowany też on był w poezyi: umiał na pamięć pewnie więcej pieśni od niejednego „ślepcy”, gęślarza. Zdaje się, że cała tradycja zamierająca świetnej sławy arystokracji Bośni zaklęta była w duszy tego młodzieńca — tradycja

potęgi i blasku. Szlachta to bosańska przedewszystkiem trzęsła Stambułem za wielkich Solimanów i Selimów — w osobie sławnego wezyra Sokolicza Ibrahima, dalekiego przodka naszego młodego Omer-bega; — za pośrednictwem cudnych oczu cudnej „Elchasseki”, równie pobratymki, branki podolskiej, znanej Roxolany — trzęsła Stambułem przez janczarów, przeważnie tam dzieci krwi słowiańskiej; szlachta to bosańska z serbską siedziała na zamku budyńskim, w sercu Węgier.

Oburzał się dalej „beg” młody na nowe porządki w Bośni — „hatty” i „tanzimaty” carskie (sultańskie): najwięcej go bolało, że to sprowadza obcych ludzi do kraju — Osmanów i Arnautów. Z gwałtownością napadał na zdrajców, jak powiadał, Słowian, co stare porządki pomagali niszczyć „Osmanlijom” — na Omera-baszę, sąsiada z Horwacyi, i Iskender-bega (Ilińskiego), który nawet miał za żonę piękną Bośniaczkę. Oczywiście tem żarliwiej stawał w obronie ostatnich bohaterów szerokiej swobody szlacheckiej — Husseina-kapetana i sławnego pana na Stolaczu, Alego Ryzwan-begowicza. — Przepadło wszystko — powtarzał, — ale sława jaśnieje.

Wszystko to w opowiadaniu jego płynęło wezbranym prądem wymowy, spadało kaskadami. Zajęcie się moje widocznie podnosiło jego zapał — on rad był, że go ktoś umie pytać, i że to, co stanowiło istotę jego ideałów, mogło obcego tyle obchodzić. W czasie naszych rozpraw dwaj jego towarzysze — „chodża” i „aga” — kapelan i uboższy brat szlachcic, przyjaciel i dworzanin, patrzyli jak w tęczę na swego wychowanka. Jego zapał i wymowa porywały ich samych, przepełniały miłością i dumą. Zato Hercegowińcy, mijając nas, spoglądali bardzo z ukosa.

Omer-beg był szczerym muzułmaninem; ale naprawdę żaden z „imamów” nie przyznałby mu jego prawowierności za zgodną z urzędową nauką. Z islamu wziął on tylko stronę jego poetyczną i surowy, „wahabicki” prawie, mono-

teizm. Formy wyznań chrześcijańskich lekceważył, wszakże fanatykiem nie był. Pielgrzymka jego do Mekki była przeważnie wynikiem potrzeby poznania za młodu nieco świata. Poznało się też po drodze, oprócz Stambułu, Damaszku i Kairu — i Bruszę, i Smyrnę i Jeruzalem, — a u grobu proroka widziało się prawowiernych ludów tyle.

Choć sam się „Turczyinem” obojętnie nazywać pozwalał, nienawidził on Turków istotnych tyle co Niemców — a miał też jeszcze jedną zakorzenioną nienawiść. Od Serbów i Czarnogórców trzymała go na stronie duma szlachecka i pamięć przelanych krwi potoków; więcej sympatyzował z Horwatami. Reszta świata wcale go nie obchodziła. Bośnię swą za to kochał do zapamiętałości naiwnej — a w Bośni pieśń nadewszystko.

Pieśń, jego zdaniem, w tem, co ma najszczytniejszego, jest kwieciami zamków i dworów szlacheckich, muzułmańskich; nie zaś — płodem fantazyi „hajduckiej” czerni serbskiej. Lecz w obliczu pieśni mój poetyczny bóg młody gotów byłby i z „przeklętym” Czarnogórcem się pogodzić.

Tak rozprawialiśmy, z przerwami, godziny całe... Zdo byłem sobie przyjaźń szczerą Omera. — Oddani sobie, nie postrzegaliśmy nic dokoła, nie zwracaliśmy nawet uwagi, jak brzegi Dunaju — bułgarski i mullański — nikły nam z oczu.

Pod wieczór owi Bośniacy rozciągnęli na pokładzie pyszny dywan perski i zasiedli do posiłku. Łatwo się domyśleć, że i ja byłem zaproszony — na winogrona, skrzydel kawona i... czarny tytoń arabski, jako osobliwość, z Ziemi Św. wieziony.

Gdy tak, oryentalnie rozsiadłszy się, delektuję się kłębami aromatycznego dymu, zbliża się ku mnie jeden z Hercegowińców i z rozwściekloną twarzą pyta:

— Jesi li ty chrystjanin?

— Jesam! — odparłem — ale po co pytasz, kiedy wiesz?

— A cóż ty tu z tymi „psami tureckimi” będziesz się łamać?

Lecz nim zdołałem odpowiedzieć, już młody beg stał z obnażonym kandżarem przeciw kandżara Hercegowińca. Jedna chwila jeszcze — i poczęłyby padać trupy. Ale, na szczęście, nadbiegł w porę kapitan statku — broń kazał złożyć i wziął ją pod klucz do swojej kabiny, a przeciwnikom zagroził, że jeśli który spór zacznie, to statek zatrzyma i każe go wysadzić na ląd.

Zamilkli Hercegowińcy, ale wzrokiem pioruny ciskali na mnie: taka w nich wrzała nienawiść ku „Turkom” — Bośniakom, podsycana jeszcze niepewnością losu uwięzionych w twierdzy belgradzkiej pobratymów.

Ja zaś, teraz już umyślnie, nie opuszczałem mego młodego przyjaciela i dnia następnego, badając go dalej o tradycje dziejowe arystokracji Bośni i Serbii.

W tej to więc myśli powiedział mi on, po przybyciu do Belgradu, wskazując na cisnących się tragicznie:

— Ewo ti nasza bracia — siroma.

Hercegowińcy zaś, gniewni, powitali mnie u Karadżyczja jako „priateljja Turka”.

W dalszej rozmowie stary Wuk zupełnie nas pogodził; a jam mu jeszcze opowiedział o świeżym ruchu umysłowym między Bułgarami.

We cztery lata potem wielki ten pracownik pożegnał na wieki swą Serbię: umarł 8 lutego 1864 r. w Wiedniu. Wieczna mu cześć!

Po obiedzie, tegoż dnia, poszliśmy obejrzeć liceum.

W dziwny jakiś sposób uderzał wyobraźnię obcego przybysza widok tego przybytku nauki europejskiej, wśród jego, wtedy prostaczo-sielskiego i dziko-azyatyckiego, otoczenia. Zdawało się, że to tylko samotna, naprzód wysunięta reduta cywilizacji, wzniesiona tu do atakowania z poza niej barbarzyństwa.

Istotnie, w owym jeszcze czasie, przed gmachem lice-

alnym zalegał obszerny, nagi, pusty plac, po drugiej stronie którego ciągnął się zawiliły labirynt brudnych uliczek tureckiego miasta, a pod same mury liceum tuliły się, z jednej i drugiej strony, nędzne drewniane sklepiki w azjatyckim guście i nędzniejsze jeszcze domostwa.

Barbarzyństwo przecie musiało się cofnąć — i dziś, po ustąpieniu Turków z twierdzy, na miejscu ich uprzywilejowanej lichej dzielnicy stanęła porządna europejska część miasta, a z obu stron wspaniałej uniwersytetu budowy wznoszą się rzędy świetnych kamienic z bogatymi magazynami, ciągnące się aż do Terazii. Plac zaś ów pusty, wyrównany i zasadzony drzewami, stanowi najpiękniejszą ozdobę Belgradu.

Gdyby Turcy siedzieli dotąd w twierdzy, nigdyby byli nie przyzwolili na zajęcie i przyozdobienie tego placu. Był tu bowiem niegdyś cmentarz muzułmański; a prawowierni islamici, jak wiadomo, uważają miejsce takie za święte i nie-tykalne. Stąd to po miastach wschodnich tyle starych cmentarzysk wśród najbardziej zaludnionych części miasta; stąd takie, stosunkowo niezmierne, przestrzenie pocmentarnych uroczysk, że w głębi Azji można spotkać całe nekropole starych grobowisk. Co raz grobom było poświęcone, jest grobów własnością — oto maksyma islamu.

Gmach nawet licealny nie był wtedy zupełnie jeszcze ukończony. Budowa onego, rozpoczęta w r. 1851, trwała aż do 1862 r. Jest to budowa wspaniała, ale w stylu wysoce eklektycznym: bizantyjsko-romańsko-renesansowym, przypominająca swym frontem i masywnością pyszne gmachy weneckie. Szerokie, wspaniałe wschody prowadzą wewnątrz budowy na taras, wznoszący się 120 stóp nad placem i dający jeden z lepszych punktów dla ogarnięcia, rzutem oka, tak Belgradu całego, jak i jego okolic. Budowla sama kosztowała sto tysięcy dukatów. Lecz, co ważniejsze, gmach ten nie był kosztem publicznym wzniesiony. Jest to dar patriotyczny Serbii, jednego z jej zacniejszych obywa-

teli. Świadczy o tem napis złotemi literami, nad portykiem: „Misza Atanasjewicz swej ojczyźnie”. A imię to słusznie przejdzie z rodu w ród; bo zaprawdę — wznieść przybytek nauki dla przyszłych pokoleń jest to dar największy, jaki można zrobić narodowi własnemu.

W gmachu licealnym znajduje się biblioteka i bardzo interesujące muzeum narodowe.

Poznałem i bibliotekarza. Był nim młody, wielce poważany dr. Janko Szafarzyk. Dr. Janko jest bratem stryjecznym sławnego Pawła Józefa Szafarzyka, autora „Starożytności słowiańskich”, i równie jak on — Słowakiem węgierskim. Gdy zadania życia zwróciły Józefa ku Pradze, Janko przyjął (1843) wezwanie spragnionych oświaty pobratymczych Serbów. Raz stanąwszy na gruncie serbskim, poświęcił on się całkowicie nowej swej, przybranej, ojczyźnie i wyświadczył jej, niezmordowaną swą pracą w zakresie oświaty i wychowania, nadzwyczajne usługi. Jako profesor liceum, on pierwszy wykładał Serbom historję i literaturę słowiańską; gromadził zewsząd materyały do dziejów Serbii, zwiedzał w tym celu obce archiwa (weneckie, medyolańskie); uporządkował wzorowo bibliotekę i muzeum; jednym słowem, dał z siebie pobratymcom wzór sumiennej a energicznej, w znaczeniu europejskiem, działalności naukowej.

Obecnie serbskie muzeum narodowe jest szczególnie bogate w starożytne rzymskie kosztowności, klejnoty i ozdoby, pochodzące z odkopanych grobowisk, a nadto w przedmioty z wieku brązowego. Godny też uwagi jest zbiór numizmatów staro-helleńskich. Wszystkie zaś zbiory przewyższa zbiór monet rzymskich, wynoszący 6,312 sztuk. Zbiór numizmatów serbskich, oczywiście, jedyny w świecie. Biblioteka narodowa obejmuje: książki drukowane, wynoszące 27,655 tomów, rękopisy starosłowiańskie, serbskie szczególnie, większą częścią z wieków średnich pochodzące, pomiędzy którymi znajdują się unikaty i cenne rzadkości, oraz zbiór serbskich inkunabułów i starych druków, razem

ze zbiorem map i rycin. Bardzo interesujący równie jest zbiór broni starożytnej i galerya obrazów historycznych, z portretami sławniejszych patryotów serbskich, którzy się odznaczyli w wojnach o niepodległość.

Dziś liceum bèlgradzkie, podniesione faktycznie na stopień uniwersytetu, przestało już być zbrojną tylko re-
duta, i, obok nowego uniwersytetu w Zagrzebiu, stanowi otwartą świątynię narodowej oświaty dla wszystkich bałkańskich Słowian.

PIEŚNI BOHATERSKIE SERBÓW.

W Belgradzie obchodziło mnie najżywiej wszystko, co tylko mogło rozjaśnić wewnętrzne sprężyny młodego, rwącego się do czynów, życia Serbów; obchodziły mię wszelkie jego objawy. Lecz niemniej też interesowało mnie i duchowe dziedzictwo po zamierchłej i ustępującej już przed naszymi oczyma w krainę cieniów niedawnych lat przeszłości. Szczerze się nawet przyznam, że, zbliżając się do Belgradu, marzyłem przedewszystkiem o tem, że tu dopiero nasycę się pełną serbską „pjesmą”.

Znałem ja już i pierwiej niejeden rapsod i ogólny charakter pieśni ludowych Serbów, ale teraz, w Belgradzie, pragnąłem spotkać prawdziwego gęślarza z górskich dąbrów Szumadyi. Bawiąc tedy dni parę u ujścia Sawy, napróżno zatęskniłem był już naprawdę do „berd”, by tam choć przecie zaspokoić potrzebę rozmarzonej duszy.

Ku wielkiemu memu uszczęśliwieniu, wieczorem (18-go wrześ.) na drugi dzień po odwiedzinach Karadźyczza, znalazłem się w towarzystwie, gdzie spotkałem istnego rapsody-
stę—a nadto od hercegowińskiej granicy.

Był to młody jeszcze człowiek, nawet wyżej nieco wykształcony, ale tak całą swą istotą pogrążony w świecie pie-

śni, tak przezeń owładnięty, że zastępował wybornie „prawego ślepcę” — gęślarza.

Rozkoszowałem się tedy.

Dziwne robi wrażenie „junacka” pieśń serbska: rytm jej kadencyjny, recytatywowy, ma coś w sobie surowo homerycznego, a ton ten rapsodyczny podnosi jeszcze gęśla.

Gęśla jest to instrument z białego lipowego drzewa — rodzaj niby dużych skrzypców, o jednej strunie tylko. Wydobywane smyczkiem ze struny tej dźwięki wybornie towarzyszą marsowemu nastrojowi głosu gęślarza. Duet zaś ten muzyczny, głosu i gęśli, niewypowiedzianie podnosi i uwydatnia treść powieści bojowej.

Kto pierwszy raz słyszy pieśń bohaterską Serbów, zostaje uderzony czemś w niej nie swojskiem, niby jakimś azyatyzmem; lecz następne osłuchanie się pierwsze to wrażenie zupełnie zgładza. Pospolite następne okrzyki mogą być nawet wzięte z pieśniarstwa tureckiego, tak bogatego w swoje nieskończone „aman, aman!” i inne wykrzykniki; pewne muzyczne motywy równie wspólne być tu mogą ze śpiewem Azyatów; duch atoli pieśni serbskich, jeśli niezawsze jest chrześcijańskim, to napewno słowiańskim jest wszędy.

Lecz w zakresie poetycznej twórczości świata słowiańskiego pieśń serbska posiada odrębny zupełnie charakter. Odrębność ta staje się tem wybitniejszą w obliczu poezji ludowej innych narodów Europy. Jest w niej ta świeżość, swoboda i pełnia, jakie zwykle przyznajemy poezji ludu w czasach jego bytu patryarchalnego; jest w niej samej jakby moc wewnętrzna nieskończonego odradzania się.

Najdotykalniej o tem sam przekonałem się tego wieczora właśnie. Byłem jedynym dalekim gościem w biesiadującym towarzystwie; chciano więc dać mi poznać bliżej swe skarby duchowe; ale zarazem chciano i uczcić gościa. Samemu piewcy najbardziej leżało to na sercu, tem żywiej, gdy słyszał pod koniec biesiady moją żartką rozprawę sporną

z towarzystwem na pewnym punkcie. Na uwieńczenie tedy jakby wszystkiego, powstał on milcząco, podniósł ku mnie szklanicę „rujnego” wina, wziął gęślę i — jak uderzy głosem do nieba, zdawało się, że groby się zatrząsą i umarli powstaną, — taki dziko-majestatyczny hymn zabrzmiał. Dźwięczały w nim — i nasze „berda” — tatrzańskie, i „grad” — stary, jasny, poza niemi, i rzeka — „biała”, i morze — „białe”, i pola, i bory; poniosły się wichurą — czuby łbów golonych z pod Łysej góry wiedeńskiej, przemknęły wyloty karmazynów; potem zawyła dzika pomsta „szwabie” i Turkom; a cały hymn ten, czy rapsod, zakończył jeden okrzyk, jeden wyraz „słoga” — zgoda swoim.

Zdumieniu memu nie było miary: pomijam treść, moc i doniosłość pieśni, a ta niepojęta łatwość improwizacyi uderzała mnie równie imponująco w czasie doznawanych wrażeń. Była to dla mnie niespodzianka nad niespodzianki. Gotów byłem widzieć w tem promień niezwykłej twórczości.

Podziękowałem od serca za cześć i uczczenie takie i pośpieszyłem z zagadnieniem:

— „Boga mi, bracie!” — skąd ci ta siła poetyczna taka? skąd ci moc tej porywającej improwizacyi?

— Skąd każdemu „Serbinowi” — odpowiedział najnaiwniej w świecie gęślarz.

— Istina Bog! — potwierdzono całem kołem.

— Jeśli tak — skądżeście wy, Serbowie, przyszli do tego, czego żaden z pobratymców nie posiada?

— To nasz dziedziczny spadek moralny — tyle wiemy — i na tem nam dość, niech kto inny dochodzi źródeł — była powszechna, mniej więcej, odpowiedź na to, w streszczeniu.

Ale właśnie dojść źródeł nie łatwo.

Przekonałem się następnie i sam najfaktyczniej, że zdolność improwizacyjna Serbów jest dość powszechna. Jak dziś w Belgradzie, tak w krótkim czasie potem w Nowym-Sadzie wojewodyńskim powitano mnie, przy czaszy karło-

wickiego wina, podobnie rapsodyczną apostrofą — powitano i pożegnano drugą. Przekonałem się nawet, że to dar, dający się nabyć w pewnej mierze.

Młody Serb, nieco fantastyczniejszy od innych, nieco goręcej rozmiłowany w poezji narodowej, umie na pamięć tyle pieśni, tyle rapsodów, potrafi przywołać na rozkaz swej wyobraźni tyle gotowych obrazów życia i przyrody, tyle form, postaci, barw, symbolów — że, pochwycawszy myśl jaką, potrzebuje tylko sięgnąć dłonią do skarbnicy niewyczerpanej pieśniarstwa, by myśl tę przyodziać w najpiękniejsze poezji narodowej szaty. Jest to zdolność tego rodzaju niemal, co u nas zdolność poetycznego dziewczęcia, układającego równianki wśród kwiecistej wiosennej łąki: byle myśl dziewczynie po główce przemknęła, a kwiecica dla jej oddania tyleż, tyle! I tam więc — kwiecica, poetycznych form gotowych — bezmiar, a ten tylko jest wyższym improwizatorem, kto je jaśniejszą, bujniejszą na razie myślą przejmie. Stąd też niby, u Serbów powszechnie, taka improwizacyjna twórczość obfita. Myśl wyższa wszakże w krainie poezji — i tu jest udziałem tylko wybranych.

Lecz tego nie dosyć. Skądże wytryska to ciągle żywe źródło narodowej Serbów twórczości wogóle?

Gotowych formułek w odpowiedzi na trudne zapytania nie brakuje nam nigdy; i tu więc sobie powiadamy, że przyczyny tego spoczywają w szczególnych właściwościach narodowego charakteru Serbów i ich dziejów. Tak też oni sami tę rzecz rozumieją.

Pytałem tego wieczora jeszcze: w czym leży tajemnica, że Bułgarowie, zostający w tych samych warunkach bytu co i Serbowie, posiadający też same motywa poezji, rozwinięli przecie pieśń swoją w inny zupełnie sposób?

„Bugaryn basz junak nyje; Bugaryn — gradinar!”

Otóż dowiedziałem się: Bułgar—to ogrodnik, a nie rycerz! — Istotnie — musi w tem leżeć głęboka różnica etniczna, sięgająca przedwiecznych czasów. Zato cichy ten

ogrodnik przechował nienaruszeniej pamiętki duchowe przeszłości pogańskiej.

Nawet „żeńskie” pieśni serbskie różnią się wielce od innych tego rodzaju słowiańskich: zamiast powszechnej gdzieindziej smętności—wesołość i swoboda przedewszystkiem z nich tryska.

Charakterystyczną zaś cechą pieśni „junackich”, — heroicznych, bohaterskich, wojennych, stanowi ich przedmiotowość, plastyczność i poważna prostota. Poeta w nich przedstawia przedmiot opiewany takim, jaki on jest sam w sobie; przedstawia go nie w barwnych szatach, a z całym realizmem, dotykającym niemal; nareszcie całą opowieść swą trzyma w tonie pewnej surowej godności, podnosząc przez to więcej jeszcze, wśród świeżości obrazów, głęboki tragiczny patos.

Wszystkie pieśni junackie, razem wzięte, stanowią w sobie jedną nierozrwaną całość: są to jakby pojedyncze rapsody tylko wielkiego eposu narodowego. Wszędy tu jeden nastrój, jeden charakter — ton i styl. Poczynając od cyklu pieśni o carze Łazarzu, idzie on jednostajnie przez wszystkie „hajduckie”, „uskockie”, przez cykl Kara-Dźordża i Miłosza, aż do najnowszych czarnogórskich. Jednoistość ta — do tego stopnia posunięta, że pieśni najnowszej daty noszą równie ogólne cechy archaiczne. Widać talent poety zostaje tu wciąż pod przeważnym, mistycznym wpływem wyrobionego przez wieki epotycznego stylu i trybu pieśni ludowych i poddaje się mu nieuniknienie, mimo niepowszedniej nieraz własnej śpiewaka oryginalności i fantazyi.

Przyczynę tej jednoistości narodowej Serbów poezyi chyba w tem widzieć wypada, że po wszystkie czasy, aż dotąd, samo życie ich było jednoistne poniekąd. Jednoistne — we wszystkich warstwach społecznych — od butnie niesfornego „włastela” z czasów walk na Kosowem polu do niemniej dumnego szumadyjskiego „swinopasa”, co dynastye tworzy; od wyniosłego bega Bośni, z jego wzgar-

dliwym „zakonem” proroka, do skrzętnego „seljaka” z nad Morawy; od „trgowca” miast posawskich do niezłomnego syna „Crne-gore”. Jednoistne, w głównych zarysach, po wszystkich krainach serbskiego rodu i do ostatniej chwili jeszcze. Obce tu wpływy — byzancki, italski, turecki, były bezsilne w działaniu na masy; a one właśnie — najprzeważniej, bądź-co-bądź, pieśni tworzyły.

Nie zgodziłby się na to przyjaciel mój, karmazynowo dumny młody Omer-beg, wracający z „hadżetyku” do Mekki; ale dosyć tego.

„Ne moj goworiti već — Omer-beže”.

Tem niemniej — pieśni serbskie, razem wzięte, wiążą się z sobą jakby w nieprzerwany łańcuch jednego jedyne go poematu, opowiadającego losy dziejowe illirskich ludów.

Lecz lud tu opowiada tylko sam o sobie, o swej rozpaczliwej walce ze śmiertelnym wrogiem, a zatem: gdzie dokładał sam ręki, gdzie nakładał głowę. Nie pytaj go wiele o starych Nemaniczach, o Hunyadzie, lub księciu Eugenim. Lud podnosi do czci te tylko chwile, kiedy sam jest „wojnikiem” i wodzem.

Mimo swej ogólnej jednoistności, pieśń serbska przedstawia wszakże, po głębszem obeznaniu się z nią, najwyższe urozmaicenie. Dostrzegamy w niej całe warstwy, piętrzące się jedne na drugich, jako świadki różnych czasów i różnej doli szeroko rozrzuconych plemion jednego narodu; dostrzegamy niemniej ten przestwór bezgraniczny, jaki życie zostawiało namiętnej grze indywidualizmu. W tem też właśnie spoczywa po części i owo bogactwo znane tej pieśni.

Stworzyła ją patryarchalna prostota, przez długie wieki ogarniająca naród cały; stworzył — homeryzm, że tak powiemy, nastroju jego niezwalczonej wśród przeciwności energii ducha; stworzyła tragiczność położenia, wyzywająca do rozpaczliwych bez przerwy wysiłen i poświęceń; a nadewszy-

stko — owa, nie dająca się jeszcze należycie określić, niespożyta oryginalność natury serbskiej — wiecznie świeżej, wiecznie młodej — „junackiej”, samorzutnej we wszystkim.

Lecz na ile pieśń serbska powstała samodzielnie, pod względem etnicznym poetyki i muzyki — dla mnie rzecz to jeszcze niewyraźna.

Nie przywiązuję wagi do zapytania: skąd u Serbów ten sam recytatywowy charakter pieśni bohaterских, co wśród synów pustyni arabskich? Każdego, kto znał Serbię a gościł potem pod namiotem Beduinów, uderzyło to ekscentryczne podobieństwo. Skąd ono?

Chyba to wynik jednostajnego stopnia, u kolebki narodu, ogólnie ludzkiej kultury patryarchalnej, przechowanej tam w życiu na wieki, tu zaś w trybie rapsodów tylko.

Niema tu mowy wcale o jakimś przypadkowym wpływie. Choćby to mocno obraziło mego Omer-bega, nie znającego „miru” dla współwyznawców swych Turków i Arabów, powiedziałbym mu teraz: że też wpływ tureckiej pieśni na bosańską niezaprzeczony przynajmniej w tych nagłych jej rzutach głosowych, tyle charakterystycznych, a pieśń otomańska wiele przyjęła od arabskiej. Wpływ to przecież bardziej zewnętrzny tylko.

Zato niepospolitej wagi nabiera wskazanie na ściślejszy stosunek pieśni serbskiej ze staro-illiryską, albańską dzisiejszą, skipetarską. Tą drogą bowiem, cofając się stopniowo w dal wieków, odszukamy może wszystkie ogniwa tego homerycznego łańcucha, który łączy niewiedomie dzisiejszą oryginalność pieśni serbskiej z Homerem. Odszukamy może i ogniwo pelazgickie; Illirowie bowiem starzy toć rodzeni bracia Pelazgów, a znaczenie ich w etnicznym rozwoju narodowości serbskiej również zdaje się być faktem, nie ulegającym żadnej wątpliwości.

Wartoż badać głębiej pieśń albańską? Najniezawodniej zapewni ona nam niemniej bogatą zdobycz etnologiczną, jak

niespodziane, zdumiewające odkrycia w krainie pieśni bułgarskiej.

Już dziś nawet możemy przeczuwać, iż wprędce pokaże się, że, co do swego ogólnego charakteru, bohaterska pieśń Serbów, wobec pieśni innych Słowian, należy do cyklu pan-illiryskiego i bliższa jest albańskiej, niż słowackiej lub ruskiej.

Rapsody ukraińskie inne zupełnie noszą cechy od pieśni junackich Serbów; począwszy chociażby nawet od „Słowa o pułku Igora”, wszystkie one tchną smętnym, rzewnym liryzmem. Uległy one równie, i może w wyższym stopniu, wpływowi pieśni „tureckiej” (wogóle wziętej), przy wiekustem sąsiedowaniu Rusi z przeróżnymi ludami krwi turańskiej; ale i wpływ ten dotknął strony ich lirycznej tylko, muzycznej może. O wpływie samym ciekawy łatwo się przekona, jeśli choć jedną noc przyjdzie mu spędzić w turkomańskiej „jurcie”. Recytatywu zaś epotycznego rapsodów serbskich na Ukrainie śladów niema.

Przed dziesięciu laty słyszałem wprowadzie, w czasie odpustu na św. Jan („na Iwancia”), w Kamieńcu Podolskim, dziada, śpiewającego, przy towarzyszeniu liry, jakąś starą nabożną pieśń ruską zupełnie w sposób serbski; niby rapsod, wynoszący czyny jednego z męczenników za wiarę; lecz był to dowód tylko doraźnego, bezpośredniego wpływu trybu pieśniarskiego braci zadunańskiej, najdalej sięgający czasów zaboru Podola przez Turków. Zresztą przykład bardzo sporadyczny.

Lira i gęśla, lirnik i gęślarz, należą do dwóch różnych światów, choć się nierzadko stykają.

Gęśla występuje tam, gdzie niema muzyczności. A właśnie Serbowie są najmniej muzycznym, lirycznym ludem ze wszystkich słowiańskich. Nie mają oni zmysłu dla pieśni rzewniej Słowaków tatrzańskich lub ukraińskiej Rusi. Junacka ich „pjesma” — to nie „pieśń”; akompaniament zaś gęśli — to zaledwie że muzyka.

Ale i taka muzyka powinna się stać u nas przedmiotem głębszych badań.

Przemawiam tu ze stanowiska etnologicznego jedynie.

Etnologom bowiem wogóle, jak się zdaje, ani się jeszcze śni, jakie to bogate żniwo naukowe przyspieszyć mogą porównawcze studia etno-muzyczne i naukowe, systematyczne zestawienia motywów muzycznych prastarych pieśni ludów. A tymczasem może się to okazać równie potężną dźwignią w badaniach ogólnych, jak zgłębianie poezji ludu i jego podań, zabytków języka i pisma, i wogóle wszelkich bez wyjątku pamiątek starożytnych i starożytniczych. Motywa muzyczne pieśni, równie jak słowa, mają swą kolebkę i różną dolę życia. Wyrrywają się one z piersi ludu, towarzyszą mu w jego wędrówkach, stają się powszechną własnością pobra-tymczych rodów, narzucają się nieraz imponująco obcym, zatracają się, powracają — a zawsze służą jako wskazówka jednoty krwi, bliskości kultury lub ściślejszych w pewnym czasie sąsiedzkich stosunków.

Jednostajność motywu piosenki ludowej, np. u Persów i nad brzegami Wisły, czegoś przecie uczy, jak i jednostajność kontuszów, żupanów.

Badajmyż więc.

Dziś potrzebowalibyśmy bardzo etnologa-muzyka, któryby zeszedł świat nasz i cudzy, jak daleko sięgnąć, i spisał wszystkie motywa pieśni; a pewnie dowiedzielibyśmy się z nich coś więcej o sobie.

Dowiedzielibyśmy się więcej i o źródłach oryginalności pieśni Serbów.

Młody rapsodysta, który mnie tak porwał, owego wieczora, w Belgradzie, swą improwizacją, przypominając mi i „grad” jasny i wody „białe”, ani spodziewał się pewnie, że kiedyś obudzi tyle zagadnień i wspomnień tyle. A więc ślę mu stąd uroczyste „żywio!”, a całemu kołu biesiadnemu — „żywili!”

Umieją też tam oni i o naszej północy śpiewać w swoim epotycznym tonie. Są tam żywsze rzeczy od znanej nam powszechnie Osmanidy Gundulicza — i trzeba o tem pamiętać.

Więc jeszcze raz:

„Żywili!”

Z CZARNOGÓRZA.*)

Dzikie, ponure, surowe jest Czarnogórze w swem, przymusowem dotychczas, politycznem wyosobnieniu: jego wybrzeże morskie, cudne, bogate, jego „Primorje”, nadewszystko ukochane, pozostaje zawsze jeszcze w obcych rękach!

Każdy wyraz uniesienia, zachwytu, jakie prawy syn Czarnejgóry słyzy wyrrywające się z ust cudzoziemca, szubującego na lotnym parowcu po wodach rozkosznego Adryatyku, u ślicznych wybrzeży Przymorza — jest dla niego jakby wyrzutem sumienia, jakby uderzeniem „jataganu” wprost w serce. A cóż dopiero, gdy zostaje świadkiem ekstatycznych porywów obcego człowieka przy zagłębianiu się statku pomiędzy urocze wylewy zatoki Kotorskiej. Zatoka ta bowiem — to jakby rajske wrota, rozwierające dla Czarnogórcy świat szeroki, a powierzone cudzej, wrogiej mu straży.

Bez przesady — krajobraz, jaki przedstawia się obcemu przybyszowi, pragnącemu powitać dzikie, skaliste wyżyny Czarnogóry od strony „sinego” morza, jest tak majestatyczny, wspaniały i w najżywsze urozmaicenie bogaty, że niewiele znajdzie się w świecie widoków, coby czarującą panoramę brzegów Kotorskiej zatoki uroczym wdziękiem przewyżżyć mogły.

„Bocche di Cattaro!” Ileż te wyrazy rozkosznych wspomnień obudzają w duszy każdego, kto był tyle szczęśliwy, że zwiedzał wschodnie wybrzeża Adryatyku!

*) Tygodnik ilustrowany 1876, Nr. 14 i 15.

Nic fantastyczniejszego nad tę zatokę.

Minąwszy piękny Dubrownik (Raguzę) i słynne w pieśniach Konawlje (Canale), fala spieniona „sinego” morza wdzierą się gwałtownie u przylądka Ostrego (Punto d’Ostro) pomiędzy nadbrzeżne opoki i, wyrwawszy sobie raz drogę, pochłania w nagłych zwrotach, tworząc jakby trzy oddzielne jeziorzyska czy zalewy, całą nizinę, zawartą wśród piętrzących się ku niebu surowych olbrzymów górskich, a spotykających się tu jako ostatnie czaty Dynarskich Alp i Bałkanów. Dotyka ona najprzód pamiętnej w dziejach obecnego powstania Sutoryny nagiej i pięknego Castel-nuovo, zwanego przez Słowian Herceg-novi. Dalej rozlewa się szeroko pomiędzy skalnymi wyżynami Kriwoszja i Żupy, tworząc wielce ujmujące cichym swym wdziękiem wybrzeża. Nakoniec, zwyciężywszy ostatnie twarde opoki zapory, co ją chciały powstrzymać już w dalszym wylewie, u Kamenara tem zuchwalej się rzuca we wszystkie już strony, ku samym podnóżom olbrzymów, wdzierą się aż ku Rysnu (Risano), wraca ku Perastowi (Perasto) i w śmiałym zawrocie na południe wyzywa, niby na bój śmiertelny, dumnie wznoszący się ponad Kotorem „Mons labeaticus” starożytnych, Lowczen dziś zwany.

Kotor (Cattaro), dzisiejsza stolica Przymorza, zostającego pod władzą Austrii, przedstawia najbardziej może malowniczy widok w całej zatoce. Porywa on wędrowca swą dziką pięknnością. Z oddali zatoka ta zdaje się omywać same stopy kamiennych olbrzymów, mury miasta, niby nad otchłanią zawieszone, razem z cytadelą na ostrym grzbiecie się wznoszącą — wszystko zaś tchnie jakby grozą jaką tajemniczą. Lecz za przybiciem do lądu wyniosłe szczyty gór nagich, zwieszone ponad miastem, odsuwają się wgląb — i oto miasto roztacza wesoło cały labirynt wązkich uliczek i skromnych „piazza”, przy których wznoszą się budowle, nieraz rywalizujące ze wzorami zwierzchniczej niegdyś Wenecyi, albo nawet, charakterem swego stylu i śladami ozdób,

przypominające czasy bardziej starożytne i Byzancyum. Wśród domostw zielenięją tu małe ogródki, pełne pomarańcz i cytryn, a galerie mieszkań ocienia bujna łoża winna. Całe miasto, w ogóle swym, tchnie czemś uroczym spokojnem. A dokoła niego dziki majestat górskiego świata, jakby przeglądający się dumnie w ujętem w rozkoszne wybrzeża zwierciadło wód jednej z najpiękniejszych w świecie zatok morskich. Taka to droga prowadzi przechodnia na Czarnogórze.

Ale już pierwsze wrażenie, jakie wywiera wznoszący się tuż poza Kotorem graniczny Lowczen, Monte-Sella u Włochów, pozwala przeczuwać, co to za świat różny poza jego surowymi szczytami się roztacza. Świat to istotnie wyjątkowy, niepodobny do innych, jedyny w swoim rodzaju.

Czarnogórze całe jest to, ni mniej-ni więcej, tylko jedna olbrzymia twierdza kamienna, otoczona łańcuchami gór, których nagie boki spadają od sąsiednich granic stromo, ku wnętrzu kraju natomiast spływając łagodniej. Tworzy ono w ten sposób wielką kamienną równicę, przerziętą w różnych kierunkach wyniosłymi grzbietami skał nagich i opasaną tak ściśle, że zaledwie wody jedne, wybuchające z jego otchłani, zdołają ku swym odpływom się przedrzeć.

Jakby narożne strażnice tej twierdzy straszliwej, wznoszą swe czuby ku niebu majestatyczne skalne kolosy: od północy Dormitor, sięgający do 6,600 stóp, od wschodu Kom, 7,500 stóp wyniosły, i znany nam już Lowczen od południo-zachodu, tylko 5,100 stóp wysokości mający, ale zato najdroższy szczyt synów Czarnej-Góry, jako główne pierwotnie i właściwe dotąd onej gniazdo. Od południa nareszcie stanowi ostatnią strażnicę góra Sutturman.

Obwód granicznych murów tej twierdzy niedostępnej wynosi od 110 do 120 godzin drogi. Szerokości z północy na południe ma ona 24 godzin, długości zaś od zachodu na wschód godzin 28. Ale, na nieszczęście, niedostępna ta z natury swej twierdza południowych Słowian nie jest

wszakże dotąd niedostępną faktycznie. Turcy do obecnej chwili zdołali utrzymać w swych rękach dwa terytoria, należące do geograficznego składu Czarnogórza: od północy Nikszycz, od południa Spuż. Wdzierają się one tak głęboko w łono wolnego kraju, że rozciągłość onego po tej linii środkowej wynosi tylko sześć godzin zaledwie, a Czarnogórze, przybierając postać liczby 8, rozpada się na dwie równe prawie części, pomiędzy które wróg z łatwością może się wdrzeć.

Tędy też wkraczali Kjuprili-basza w roku 1714, a za naszej już pamięci Omer-basza w r. 1860.

Dwie owe składowe części Czarnogórza stanowią: od zachodu „Czarnogóra” właściwa, od wschodu zaś tak zwane „Berda”, czyli kraina gór.

Pod względem hydrograficznym Czarnogórze wogóle stanowi porzecze Moraczy, wpadającej do jeziora Skadarskiego (Skutari), i jej dopływów, z pomiędzy których najważniejszym jest rzeczka Zeta. Moracza wszakże tylko w górnym swym biegu należy do Czarnogórza; nad resztą panują Turcy. Zato dotyka granica czarnogórska w jednym miejscu Skadarskiego jeziora.

Cała powierzchnia kraju wynosi tylko 76 mil kwadratowych, a ilość mieszkańców zaledwie do 200,000 dochodzi.

Właściwa Czarnogóra dzieli się na 4 obwody, czyli „nahije”, z których nahija Katuńska stanowi sama jedna pierwotne gniazdo wolnego narodu. W niej też znajduje się Niegoszko-polje, kolebka panującego dziś rodu, w niej wreszcie i stołeczne Cetynje, z sędziwym swym monasterem. A monaster ten to pierwsze ognisko, przy którym zapłonęło życie czarnogórskie.

Czarnogórze dzisiejsze, razem z dolnem porzeczem Moraczy i wybrzeżem morskiem, stanowiło zawsze, pod nazwą Zety (Xentha), górnej i dolnej, nierozdzieloną część posiadłości serbskiego narodu, i oczywiście wchodziło w skład carstwa Duszana († 1356). Po rozprzężeniu się onego Zeta

dostała się pod władzę rodu Balszyczów, z których ostatni przekazał ją po roku 1421 spokrewnionym z sobą Czernojewiczom. Najślawniejszym z nich był Iwan, syn Stefana, dzielny bojownik o wolność narodu z przemocą turecką, od którego i cały kraj przezeń posiadany otrzymał nazwę Iwanbegowiny. Umarł on roku 1490.

Był też ów Iwan i pierwszym właściwym twórcą przyszłej wolności Czarnogóry, a nawet samego zawiązku istnienia nowego jej społeczeństwa.

Po upadku Serbii właściwej, Bośni, Hercegowiny i na koniec Albanii, tak bohatersko a bezskutecznie bronionej przez przyjaznego Czernojewiczom Kastrjoticza Skanderebega, Iwanbeg pozostał jedynym z udzielnych władców serbskich, który śmiał stawiać czoło Turkom. Lecz ściśnięty przez ich potęgę straszliwą ze wszech stron prawie, tracił on posiadłość za posiadłością i ustępował coraz dalej w bezpieczniejsze górskie dziedziny. Z Żablaku, przy ujściu Moraczy do Skadarskiego jeziora, przeniósł się do zamku Obod, a stamtąd wyżej do niedostępnego Cetynja — i pozostał tylko przy posiadaniu skał nagich na pochyłościach dzikiego Lowczenu.

Bohaterska duma Czernojewicza nie dała się przecie niczem ugiąć, i z niedostępnych turni urągał on śmiertelnemu wrogowi chrześcijaństwa, wzywając w góry swe „czarne”, na bój z nim, wszystkich miłujących krzyż święty i swobodę. I ostatecznie góry te, dotąd puste zupełnie, zawrzały nowem życiem i zasłynęły po raz pierwszy u swoich, u przyjaciół i u wrogów.

Z czasem ubogą dziedzinę Czernojewiczów poczęto zwać wyłącznie Czarną-Górą, a nazwa ta rozciągała się coraz dalej z rozszerzaniem się następnych ich posiadłości, tak, że później cały kraj górnej Zety przybrał takową u wszystkich sąsiadów. Turcy zwą go też Kara-dah, Albańczycy Mal-Esija, Grecy Mavro-Vuni, Włosi zaś Monte-negro — i cała za nimi zachodnia Europa.

Głównem ogniskiem, przy którem skupiały się wzrastające zastępy bojowników przeciw wrogowi krzyża, oczywiście, był monaster. Wzniósł go też właśnie na południowym krańcu cetyńskiego „pola”, prawdopodobnie z gruzów dawnych, ten sam Iwo Czernojewicz i uderował prawami metropolii. Stąd też na wszystkie strony szło błogosławieństwo na bój z niewiernymi.

Lecz nieskończenie większego znaczenia nabrał ten monaster od czasu, gdy ostatni z Czernojewiczów, zmęczony nieustanną walką, ustąpiwszy w r. 1516 do Wenecyi, przekazał wszystkie swe prawa władcy. W cetyńskim bowiem monasterze rezydowali wszyscy władcy zwierzchnicy Czarnogórza, od początku wieku XVI aż do połowy bieżącego stulecia—i z tego też monasteru otrzymywało główny kierunek i podniecie dzieło politycznego odrodzenia kraju.

Co zaś do samego miasta Cetynja, takowe zaledwie dopiero w obecnym wieku, pod koniec rządów ostatniego władcy Piotra I, powstawać poczęło. W pobliżu dworu, jaki był sobie wniósł ten władca tuż przy monasterze, stały powoli domostwa dla przyjęcia przybywających do Cetynja na radę naczelników plemion i innych dostojników górskiego ludu. Następnie wzniesione zostały budowle, przeznaczone do celów publicznych: rezydencya dzisiejszego księcia, nowa cerkiew, szpital, nowe mieszkania „senatorów” i t. d.; usadowili się też tu ludzie oddający się rzemiosłu i szukający pracy wogóle. W taki sposób powstała owa „stolica” Czarnogórza — osada, mająca dziś do 120 domów, rozrzuconych w kilku ulicach, i około 550 mieszkańców. Żywe to wszakże jest ognisko rzeczywistej siły zbrojnej i cywilizacyjnej, przez szkoły stąd działające.

Wznosi się też i rośnie od lat kilku druga stolica górską, dla wschodniej połowy Czarnogórza, krainy Berdów, stolica, Daniłow-grad zwana, nad rzeką Zetą, na równinie Białopawliczów. Chodzi tu o stworzenie jednego środkowego targowiska, któreby odwróciło ruch handlowy od są-

siedniej Podgorycy nad Moraczą, zostającej w ręku Turków. Wybrane potemu miejsce okazało się wielce odpowiedniem, jakoteż i plan budowy nowej osady, przez Milutynowicza w 1869 roku skreślony. Rzucono już most przez rzekę Zetę i wszystko tu się ożywia.

Lecz ognisko duchowego życia w krainie Berdów przedstawia dotąd zawsze stary monaster Ostrog, również w nahi Białopawliczów leżący. Wsławił on się, podobnie jak monaster cetyński, w długiej walce za swobodę kraju i pracą nad jego odrodzeniem. Dziś w poważnych swych murach, okalających świątynię i dwa klasztory, górny i dolny, mieści wyższy zakład wychowawczy, mający przygotować przewodników duchownych dla ludu. „Bogosławia” owa, czyli seminaryum, zostało tu dopiero w r. 1873 z Cetynja przeniesione. Przewodnikiem jej jest czcigodny archimandryta Ljubicz.

Nie trzeba zaś zapominać, że znaczenie szkoły duchownej wśród surowego górskiego ludu jest nieskończenie bardziej ożywcze, niż w społeczeństwach, na wysokim stopniu kultury umysłowej stojących.

II.

Lud czarnogórski, pod względem etnicznym, stanowi jedną z gałęzi potężnego konaru serbo-horwackiego rodu, na łonie południowej Słowiańszczyzny. Nazwa Czarnogórzec, „Crnogorac”, jest nazwą miejscową jedynie polityczną, nigdy zaś mianem rodowem i narodowem. Czarnogórzec czuje się w jedności narodowej najsilniejszej ze wszystkimi Serbami. Sąsiedniego Hercegowińca, Bośniaka, Rajca z tak zwanej starej Serbii, Serba z księstwa i Wojewodyny uważa on za rodzoną bracię, za plemiona jednego narodu. Stanowi on z nimi jeden typ fizyczny i moralny, posiada jeden etniczny charakter, jedną historyczną i poetyczną tra-

dycją żyje i w istocie swej niczem się od braci owej nie różni. Wszakże natura wyjątkowa nagich wyżyn skalnych jego kraju, rozpasana walka bez przerwy o byt i swobodę i dumne cieszenie się tą swobodą — wszystko to razem nie mogło nie oddziaływać również na wyrobienie pewnej odmienności tak w typie właściwym Czarnogórcą, jak i w jego umysłowym nastroju. Jest on też przede wszystkim synem gór wolnych, jest Czarnogórcem.

Za przeważniejsze charakterystyczne cechy typu czarnogórskiego uważać należy wysoki wzrost, silną budowę kości, potężnie rozwiniętą muskulaturę, ciemną skórę, ciemne włosy, czarne, ogniste oczy i ruchliwe, wyraziste oblicze. Spotykać się atoli daje u Czarnogórców nierzadko i mała postawa, tak szerokopieczysta, jak i szczupła, a niemniej też skórę bielszą, jasne włosy, modre oczy i wyraz twarzy bardziej spokojny. Przeciwności podobne dają się widzieć nawet w łonie jednej i tejże samej rodziny. Tak na przykład w rodzie dziś panującym Niegoszów sławny władca Czarnej-Górze; jego następca książę Daniło był wcale małego wzrostu; synowiec zaś tego, dziś panujący książę Mikołaj, ma znów postawę wyniosłą, silną, szerokoramienną, pełną wojenno-męskiego wyrazu. Przeciwności podobne łatwo wszelako wytłómaczyć sobie jako prosty wynik atawizmu, przy znanej różnorodności pierwiastków, z jakich przed oczyma dziejów powstała dzisiejsza ludność Czarnogórze. Co zaś wszystkich Czarnogórców jednostajnie odznacza, to niepospolita fizyczna wytrzymałość na wszelkie trudy i niewygody i hart nadzwyczajny ciała. Obok tego posiadają oni ruchy żywe i zręczne, postawę silną i wyniosłą, chód lekki i elastyczny i pewną równomierność we wszystkim, nawet w objawach własnej żywości.

Co do piękna form ciała wogóle i rysów twarzy w szczególności, trudno nie przyznać, że pod tym względem ludność czarnogórska obojczy płci przedstawia jeden z pię-

kniejszych typów południowej Słowiańszczyzny, a nawet, rzec można, bez obawy posądzenia o przesadę — typów Europy. Trzeba je wszakże brać tylko jako typy ludowe.

Pomiędzy młodzieżą osobliwie spotyka tu się często regularność rysów skończonej doskonałości; spotyka się dziewczęta, uderzające swą świeżością i wdziękiem, dziwnie odbijającym przy bardzo lichej nieraz na ich ramionach siermiedze. Ale, na nieszczęście, gdy u chłopaków młodzieńcza czystość rysów ustępuje z wiekiem pięknemu dumą, męskiemu wyrazowi, świadczącemu o sile i powadze — świeżą piękność dziewczęcą zastępuje na twarzy kobiety wyraz troski, zmęczenia i bólu — takie tu jest ciężkie jej życie! Słuszne też jest najzupełniej często dające się słyszeć zdanie, że na Czarnogórze o tyle trudno widzieć piękną matronę, o ile łatwo spotkać co krok wspaniałego starca. Natomiast często tu bardzo dają się widywać postacie niewieście, pełne powagi i godności. Wreszcie znamy je wszyscy z dosyć upowszechnionych po illustrowanych pismach, naszych i obcych, obrazów znakomitego naszego pobratymca, Jarosława Czermaka, osobliwie w illustrowanem piśmie serbskiem, wychodzącem w Wiedniu, pod tytułem „Srbadija”.

Przy swej fizycznej sile i wytrzymałości, od dzieciństwa przez ćwiczenia podnoszonych, posiada też Czarnogórzec i niepowszednie zdolności umysłowe. Pojmuje on rzeczy łatwo i żywo interesuje się wszystkim; w wydawaniu sądów jest wielce oględny i rozważny; uczy się chętnie wszystkiego, szukając w wiedzy praktycznych rezultatów przedewszystkiem; do samodzielnych studyów atoli nie starczyłoby mu wytrwałości.

Zato obdarzony on jest od natury wyobraźnią, zdolną do najpotężniejszego polotu, która wre w nim, jako wiecznie żywe źródło poezyi i wymowy. Sam zawsze „junak”, pełen heroicznego umysłu, nie może Czarnogórzec obywać się bez oddawania uroczystej czci nietylko ceniom bohater-

skich swych przodków, ale i znakomitszym bojownikom żyjącym. Jest to jego potrzebą moralną, jest koniecznością duszy. Nic zastanawiającego tedy, że cała jego poezya brzmi tylko bohaterskimi rapsody, przechowującymi pamięć wszystkich ważniejszych wypadków w dziejach kraju. Są one w ustach każdego, powtarza je każde dziecko, niema zaś bohatera, aż do junaków ostatniej chwili, o którymby pieśń zapomniała. Najświeższe wypadki stają się natychmiast jej własnością. Zawiera się też w niej i cała mądrość militarna górali, cała potęga ożywcza, podniecająca do dalszych heroicznych czynów każde nowe pokolenie. Powstaje ona tuż wśród samych faktów, wśród działających osób — i potem, z dźwiękiem gęśli „ślepców”, płynie po „płoninach” w nieśkończoność. Znakomitym tego rodzaju bohaterem-rapsodystą ostatnich czasów był między innymi wojewoda Mirko Petrowicz, ojciec księcia Mikołaja, a zdolnym pieśniarzem jest i sam panujący dziś książę.

Obok daru poetycznego, odznacza się również Czarnogórzec wysoką zdolnością wymowy, której dowody daje wszędy—u domowego ogniska, na radzie wojennej i w sądzie.

Lecz prawdziwą namiętnością syna gór jest polityka. Każdy Czarnogórzec jest urodzonym dyplomata, decydującym wciąż o losach świata. Mniejsza że czasem nie ma czem nagiego ciała przykryć.

Zachowanie się Czarnogórca względem obcych odznacza się pewną oględnością, połączoną z wyrazem poczucia osobistej godności wolnego człowieka. Lecz oględność ta łatwo przechodzi w szczerość serdeczną, skoro góral przekona się, iż w nieznanym spotkał przyjaciela swego narodu. Zawsze przestrzega on pilnie względów surowej zewnętrznej przyzwoitości. Na słowo jego można liczyć w przygodzie; niema też w oczach górala większej zbrodni nad zawiedzenie i zdradę.

Gościnność Czarnogórca niczem nie ustępuje w szczerości swej gościnności południowo-słowiańskich ludów wo-

góle. Gość jest osobą świętą, i najuboższy góral znajdzie go czem przyjąć i poczcic serdecznie.

Cnoty Czarnogórca, na których spoczywa cały byt niezależny ubogiej jego ojczyzny, jak łatwo zrozumieć, wychodzą poza zakres pospolity. Istotnie bowiem tylko wytężeniem wszystkich swych sił moralnych mógł on wolność swą zdobyć i może ją podtrzymywać nadal. Przywiązanie też jego do swych gór, namiętne zamięłowanie w swobodzie, bezgraniczne męstwo, sięgające nieraz zapamiętałości, surowość obyczajów niezachwiana, a obok tego wszystkiego rzadka zdolność poddawania się rozkazom i przewodnictwu starszych — oto tajemnice potęgi Czarnogórca.

Wszakże, przy tylu zaletach charakteru, nie jest też wolny Czarnogórzec i od wad niemałych, pochodzących w części z jego namiętnej natury, a w części będących nieodzownem następstwem wyjątkowego przez długie wieki położenia jego kraju. Stanowią je przede wszystkim, podniesione do najwyższego stopnia zaciekłości, uczucie zemsty — „osveta” i rozpasana, dzika niełudzkość w postępowaniu z wrogiem. Odciętych głów tureckich nie składa się już jednak w stosy tryumfalne; jest tedy nadzieja, że z postępem uspołecznienia i oświaty ujemne te rysy charakteru górali stracą na swej szorstkości.

Zasadniczą podstawą społecznego Czarnej-Góry ustroju jest rodzina, dom, „kucza”. Jedyńm przedstawicielem domu tego jest jego gospodarz, „domaczyn”. On jest głową i panem, od niego wszystko zależy. Powszechnej jeszcze dotąd u południowych Słowian wspólności rodowej między Czarnogórcami nie ma. Kraj ich za ubogi na to; przetwarzająca się w ród rodzina nie znajdowała tu sposobu utrzymania się całem kołem w jednej miejscowości, a wreszcie silnie rozwinięty w górach indywidualizm przeszkadzał wspólności rodowej.

Oczywiście rodzina czarnogórska jest rodziną „męską”, wojenną; stanowisko kobiety zupełnie w niej podrzędne:

praca i posłuch — oto niewiasty zadanie. Jako matka, ona też wychowuje dzieci; ale krzepnący w siły chłopak wnet wychodzi z pod jej rzeczywistej opieki. Małżeństwo jest rzeczą układu między rodzicami: dziewczęcia nikt o skłonność serca nie pyta, a wypowiadać swe zdanie surowe pojęcie wstydlivosti mu nie pozwala. Zato cześć kobiety jest przedmiotem najwyższych względów. Za lada uchybienie winowajca odpowiada własną głową, lub krwawa zemsta prześladowuje ród jego cały; a gdy Czarnogórka doczeka się grona synów dojrzałych, zdolnych stanąć w szeregu obrońców ojczyzny, wtedy, lecz tylko wtedy, otrzymuje ona też uznanie i znaczenie rzeczywiste. W synach zdobywa ona sobie zaszczyt i obronę; niema bowiem Czarnogórzec droższej nad matkę istoty na świecie — nie wyjmując nawet siostry, którą najkłiwszą także miłością otacza. Wogóle zatem takie żywe psychiczne uznanie wynagradza może kobietę czarnogórską za jej społeczną poniewierkę. Wreszcie dziś już, z postępem oświaty, w zamożniejszych rodzinach większa też swoboda kobiet dostrzegać się daje.

Zwarte w sobie tak po męsku, pod surową władzą „domaczyna”, bliżej pokrewne rodziny stanowią „bractwo”, przedstawiające pierwszy stopień społecznego zrzeszenia się, bez współnictwa własności wszakże. Wyższy stopień tego zrzeszenia się stanowi „pleme” (pokolenie), jednoczące w sobie większą lub mniejszą ilość bractw, zespolonych przede wszystkim potrzebą wspólnej obrony. Powszechny zaś związek plemion z ich dziedzicznymi przywódcami — knezami, wojewodami, stanowi całą polityczną podstawę Czarnej-Góry.

Przejście wszakże kraju z pod zwierzchnictwa władców pod władzę świecką, w osobie księcia Daniła Petrowicza Njegusza (1851—1860), poprowadziło z konieczności do poddania w nim partykularyzmu plemion idei państwowej, w imię której nowopowstające księstwo Czarnej-Góry i Berdów poczęło się odtąd stanowczo rozwijać.

Następca Daniła, obecnie panujący ks. Mikołaj, idzie pod tym względem energicznie w jego ślady — i Czarnogórze drobne, jako jądro polityczne znaczniejszej na przyszłość potęgi, w istocie porządnie dziś po europejsku się organizuje.

Książę panujący, Mikołaj Petrowicz Njegusz, urodził się w r. 1841. Jest on synem słynnego ze swego bohaterstwa wojewody Mirka, brata księcia Daniła. Pierwsze wychowanie swe pobierał w Cetynju, pod okiem stryja, a potem w Tryeście. Następnie został 1855 r. wysłany do Paryża, gdzie oddawał się naukom wojennym. W r. 1860 wiosną wrócił z Paryża do Cetynja. Gdy zaś 1 sierpnia tegoż roku zginął ks. Daniło w Kotorze, wskutek zemsty krwawej, młody synowiec jego został obwołany księciem Czarnej-Góry i Berdów.

Książę Mikołaj przedstawia w osobie swojej najdoskonalszy typ Czarnogórcy: silnej i z góralską gibkiej budowy, dzielnego „junackiego” umysłu, śmiały, lecz trzeźwy polityk, a nadto wielbiciel poezyi narodowej i sam rapsodysta, sam pieśniarz.

Znana jest po wszystkich ziemiach serbskich pieśń jego: „Onamo, onamo za brda ona” (Tam, tam, za góry owe), wraca patryotycznym zapalem. Napisał on też jeden większy utwór, tragedję pod tytułem „Wukaszyn”, z czasów upadku carstwa Duszana.

Wychowanie jego było dosyć gruntowne; nie obce mu też są języki francuski, włoski, niemiecki i rosyjski. Sam będąc dostatecznie wykształcony, stara się nadewszystko, przy zapewnieniu obronności kraju, o szerzenie europejskiej oświaty między ludem.

Młody jeszcze, jest już głową licznej rodziny. Żona jego, księżna Milena, córka wojewody Piotra Wukowicza, z siostrą swą Miluką, przedstawiają również dwa bardzo charakterystyczne typy żeńskie Czarnej-Góry. Książę Mikołaj jest ojcem siedmiorga dzieci. Domniemany następca jego, Daniło, urodził się 1871 roku.

GEŚLARZ SERBSKI. *)

Geślarz! — Jakaż to fantastyczna dla nas postać, obudzająca wspomnienia wieków zamierzchłych, kultury pierwotnej, bytu patryarchalno-bohaterskiego, rozwianej poezyi heroicznej tłumów ludowych! Gdyby naraz, wywołana do życia dotknięciem jakiej różczki czarodziejskiej, postać ta wśród nas stanęła, wzięlibyśmy ją za widmo z krainy nieskończenie dalekiej przeszłości legendowej, z krainy zaklętej historycznego mytu. A przecie, u naszych pobratymców zadunajskich, postać to żywa do dziś dnia, co więcej — odpowiadająca najistotniejszym potrzebom obecnego nastroju ducha narodu. Któż wreszcie z oddali nie słyszał o geślarzu serbskim?

Jak niegdyś stary lirnik ukraiński, jest on natchnionym stróżem najdroższych skarbów duchowych narodu, piastunem jego poezyi bohaterskiej, jej twórcą nieraz i poświęconym kapłanem. Dusza jego, jego pamięć, przedstawia nadto niezgłębioną, niewyczerpaną skarbnicę dla dorastających pokoleń, które on wprowadza w zaklęty świat cieni praojców, odkrywa im tajemnice istotnej ich potęgi, a w stanowczej chwili pobudza i zagrzewa do czynu.

Prawdziwy geślarz to urodzony wieszcz, poeta — pojmujący swoje zadanie jako obowiązek święty względem

*) Kłosy 1875, Nr. 540.

narodu, jako przeznaczone sobie z góry posłannictwo; czując, że w nim potęga ducha narodu spoczywa zaklęta!

Bywa to zwykle człowiek sędziwy, doświadczony, co za młodu przeżył wszelakie burze życia, był sam „junakiem” i junaków „pobratymem”, walczył obok nich, a nieraz i sam młodzież prowadził na wroga. Czasem bywa to tylko fantasta natchniony, przejęty nawskroś pieśnią jedynie, w świecie pieśni, światem pieśni żyjący i często ślepy starzec. Stąd lud serbski pospolicie gęślarza bez różnicy „ślepac” nazywa, jak starożytny Grek swego rapsodystę zwał „homeros” — niewidomym.

Lecz dziś i wśród plemion serbskich coraz rzadszymi stają się starzy gęślarze; zmieniają się czasy i potrzeby; cywilizacja i tu wnosi inne wymagania. Wszakże wędrowiec może jeszcze i teraz z łatwością posłyszeć dźwięki gęśli, może jeszcze dowoli upoić swą duszę, przysłuchując się żywym rapsodom bohaterskim bogatego niezmiernie Serbów eposu. Zamiłowanie bowiem do pieśni nie znika, dar improwizacyjny prawie wrodzony; więc też i wśród młodzieży wykształcenszej nie trudno dziś jeszcze o pieśniarza, co poczuwa się być prawym dziedzicem „ślepców”.

Doznałem tego osobiście w podróży mojej niegdyś po Serbii — i z przyjemnością powtarzam tu wrażenie me gdzieindziej już podane.

Po długiej nadbałkańskiej wędrówce bawiłem pewien czas w Belgradzie. Obchodziło mnie tu najżywiej wszystko, co tylko mogło rozjaśnić wewnętrzne sprężyny młodego, rwącego się do czynów, życia Serbów; obchodziły mnie wszelkie jego objawy. Lecz niemniej też interesowało mnie i duchowe dziedzictwo po zamierzchłej i ustępującej już przed naszymi oczyma w krainę cieniów niedawnych lat przeszłości, zawarte w pieśni. Szczerze się nawet przyznam, że, zbliżając się do Belgradu, marzyłem przedewszystkiem o tem, że tu dopiero nasycę się pełną serbską „pjesmą”.

Ku wielkiemu tedy uszczęśliwieniu, wprędce znalazłem

się w towarzystwie, gdzie spotkałem istnego rapsodystę — a nadto od hercegowińskiej granicy.

Nie był to wprawdzie gęslarz: był to młody człowiek, nawet wyżej nieco wykształcony, ale tak całą swą istotą pogrążony w świecie pieśni, tak przezeń owładnięty, że zastępował wybornie prawego „ślepcę” — gęslarza.

Rozkoszowałem się tedy!

Kto pierwszy raz słyszy pieśń bohaterską Serbów, zostaje uderzony czemś w niej nie swojskiem, niby jakimś azyatyzmem; lecz następne osłuchanie się pierwsze to wrażenie zupełnie zagładza. Pospolite następne okrzyki mogą być nawet wzięte z pieśniarstwa tureckiego, tak bogatego w swoje nieskończone „aman, aman!” i inne wykrzykniki; pewne muzyczne motywy równie wspólne być tu mogą ze śpiewem Azyatów; duch atoli pieśni serbskich, jeśli nie zawsze jest chrześcijańskim, to napewno słowiańskim jest wszędy.

Lecz w zakresie poetycznej twórczości świata słowiańskiego pieśń serbska posiada odrębny zupełnie charakter. Odrębność ta staje się tem wybitniejszą w obliczu poezji ludowej innych narodów Europy. Jest w niej ta świeżość, swoboda i pełnia, jakie zwykle przyznajemy poezji ludu w czasach jego bytu patryarchalnego; jest w niej samej jakby moc wewnętrzna nieskończonego odradzania się.

Najdotykalniej o tem sam przekonałem się tego wieczora właśnie. Byłem jedynym gościem z daleka w biesiadującym towarzystwie; chciano więc dać mi poznać bliżej swe skarby duchowe; ale zarazem chciano i uczcić gościa. Samemu piewcy najbardziej leżało to na sercu, tem żywiej, gdy słyszał pod koniec biesiady moją żartką rozprawę sporną z towarzystwem na pewnym punkcie. Na uwieńczenie tedy jakby wszystkiego, powstał on milcząco, podniósł ku mnie szklanicę „rujnego wina”, wziął gęslę — i jak uderzy głosem do nieba, zdawało się, że groby się zatrząsą i umarli powstaną,—taki dziko-majestatyczny hymn zabrzmiał. Dźwię-

czaly w nim — i nasze „berda” — tatrzańskie, i „grad” — stary, jasny poza niemi, i rzeka — „biała”, i morze — „białe”, i pola i bory; poniosły się wichurą czuby łbów golonych z pod Łysej góry wiedeńskiej, przemknęły wyloty karmazynów; potem zawyla dzika pomsta „szwabie” i Turkom; a cały hymn ten, czy rapsod, zakończył jeden okrzyk, jeden wyraz „słoga” — zgoda swoim!

Dziwne robi wrażenie „junacka” pieśń serbska: rytm jej kadencyjny, recytatywowy, ma coś w sobie surowo homerycznego, a ton ten rapsodyczny podnosi jeszcze gęśla.

Gęśla jest to instrument z białego lipowego drzewa — rodzaj niby dużych skrzypców o jednej strunie tylko. Wydobywane smyczkiem ze struny tej dźwięki wybornie towarzyszą marsowemu nastrojowi głosu gęślarza. Duet zaś ten muzyczny, głosu i gęśli, niewypowiedzianie podnosi i uwydatnia treść powieści bojowej.

Wprawdzie Serbowie wśród Słowian są najmniej muzycznym, lirycznym ludem. Nie mają oni zmysłu dla pieśni rzewnej Słowaków albo Rusinów ukraińskich; junacka ich „pjesma” to nie pieśń, akompaniamet gęśli to zaledwie że muzyka; ale i taka muzyka wystarcza gęślarzowi do poruszania wielowładnie sercami mas ludowych, wystarcza mu do porywania ich fantazyi w wyższe krainy, do decydowania ich woli na czyny stanowcze. O, gęślarz serbski — to stary czarnoksiężnik, co i dziś jeszcze cuda tworzy, a napewno i w obecnej oto chwili, gdzieś w obozowisku hercegowińskim, tyle znaczy, co posiwały w boju z „Turkami” wódz „hajduczy!”

Bez gęślarzy nie byłoby swobody serbskiej!

Zamieszczony przez nas w „Kłosach” drzeworyt jest kopią obrazu Dżordża Krsticza, młodego, pięknych nadziei, ucznia monachijskiej akademii malarstwa, którego współrodacy Serbowie radzi powitać w przyszłości jako swego „Brandta lub Czerbaka!”

WUK WRCZEWICZ*).

Walka rozpaczliwa, jaką, doprowadzony do ostateczności, lud hercegowiński tak bohatersko i wytrwale, przed oczyma całej Europy, gorączkowo zaciekawionej, toczy oto z odwiecznym swym wrogiem, — dała poznać też ostatnimi czasy i na szerszej widowni imię człowieka, który, chociaż nie w krwawych zapasach wcale, ale niemniej od głośnych bojowników, skutecznie przyczynił się swem poświęceniem do podniesienia tego ludu.

Mówimy tu o starym przyjacielu i współtowarzyszu trudów znakomitego Wuka Stefanowicza Karadźyca — Wuku Wrczewiczu.

Wyższym polotem ducha wiedzeni, rozumieli ci dwaj ludzie, że, niezależnie od wysiłen zbrojnych, czyli obok takowych raczej, podniesienie moralnej samowiedzy osurowiałego w niewoli wiekowej serbskiego ludu upotężnić tylko może rękojmie wywalczonej przezeń swobody. Całą więc energię swej gorącej miłości dla narodu, całą siłę swej inteligencji i pracy zwrócili oni ku temu przedewszystkiem, aby ile można głębiej rozświetlić przed nim samym skarby umysłowe, przekazane mu w spadku po czasach ubiegłej samotności i wiekach prób ciężkich — pełni otuchy, że w ten sposób ożywią skuteczniej wiarę narodu we własną moc wewnętrzną i nieodzowność zdobycia swobody; — z drugiej

*) Kłoso 1876, Nr. 576.

zaś strony — aby skarby te odsłonięte roztoczyć przed oczyma Europy, dla tem pewniejszego przekonania jej o prawie do swobody — narodu, który takie dziedzictwo duchowe po przodkach posiada.

Czego na tem polu dokonał Karadżycz, powszechnie wiadomo. Lecz rzadko komu z obcych znany jest niepowszedni udział skromnego Wrczewicza w tej tak trudnej a wysoce życiodawczej pracy; mało kto wie, że zasługi jego, względem Hercegowiny przedewszystkiem, mają nieocenione znaczenie.

Podobnie jak żywot Karadżycza — ciekawa jest bardzo przez swą oryginalność i biografia jego pobratyma. Wiadomo, że jaki lud, tacy też jego przedstawiciele. Otóż i w nich uderza najbardziej taż sama, świeża, młodzieńcza, niezwalczona siła — wieśniacza, czy góralska, co, przytłumiona długą barbarzyńską przemocą, rwie się teraz gorączkowo i sama sobie toruje drogę ku zdobyciom powszechnej cywilizacji; uderza dziwna samorzutność i niezwalczona energia pracy i życia!

Wuk Wrczewicz urodził się w Rysnie (Risano), na Przymorzu Kotorskiem, powszechniej znanem pod włoską swą nazwą Bocche di Cattaro, w r. 1811.

Urodził się tedy w okolicy — tyle słynnej po świecie ze swej nieporównanej piękności, ile głośniejszej w pieśni ludowej serbskiej dla przywiązanych do niej świetnych wspomnień dziejowych. Świat to bowiem pieśni bohaterskiej i romantycznej: cudna, nieopisana zatoka, a nad nią, i tuż w jej pobliżu, Czarna-Góra sławna, Krywosze, Konawlje, Trawunia — słowem, widownia walk i zapasów nieskończonych.

Urodził się on na łonie rodziny bardzo skromnej. Ojciec jego był sekretarzem gminy rysańskiej, a zarazem nauczycielem włoskiego i serbskiego języka w szkole miejscowej. Obarczony liczną rodziną, mimo niesłychanych trudności położenia, potrafił przecie dać dość wysokie wzglę-

dnie wychowanie swym dzieciom. Młody Wuk był najstarszym w rodzeństwie — i jako taki, po śmierci ojca, w roku 1831 zaszłej, zastąpiwszy go w obydwóch urzędach — pisarza gminy i nauczyciela, stanął już w dwudziestym roku swego życia na czele rodziny i wziął na siebie cały ciężar jej utrzymania.

Można sobie z łatwością wyobrazić położenie takiej głowy rodu i dostojnika gminy — lat dwudziestu, bez innych środków wyżywienia licznego rodzeństwa nad skromną bardzo płacę! Wszakże niezwalczonej energii Przymorzanin (Primorac) młody, podołał temu zadaniu. Co więcej — pełen ognistego zamięłowania do rzeczy ojczystych, pracował z uniesieniem nad wszystkim, co tylko świetnej przeszłości narodu lub jego obecnych potrzeb moralnych dotyczyło. Obeznał się więc wcześniej z bogatą, wspaniałą, literaturą poetyczną Dubrownika i pilnie czytywał pisma znanego Dosyteja Obradowicza, usiłującego wskazać nowe tory ledwie co rozjaśniającemu się serbskiemu życiu. Starał się też równie ściślej zapoznać i z literaturą włoską.

Dusza poetyczna młodego Wuka potrzebowała przecie szerszego przestworu życia: ciasno mu było w cichem Rysnie, nad uroczą zatoką, u podnóża dzikich olbrzymów górskich. Zapewniwszy tedy los młodszego rodzeństwa, postanowił on szukać szczęścia w świecie dalekim... Ale tu właśnie spotkała go niespodzianka życia, — jedna z tych, jakie dość często fantastyczne, o miękkim sercu, natury dotykają. Poważny mąż jego siostry, zasobny kupiec z niedalekiej Budwy (Budua), nad Adryatykiem, oparł się zapędowi młodzieńca i zobowiązał go do przyjęcia miejsca agenta przy swym handlu. Biedny fantasta uległ więc serdecznemu naleganiu krewieństwa i oddał się rezygnacyjnie wstrętnemu dla siebie zawodowi. W r. 1833 przeniósł się z Rysna do Budwy — i tu mieszkał aż do r. 1841.

Powszednie wszakże zatrudnienia praktycznego życia

nie zdołały oderwać Wuka od dalszego umysłowego kształcenia się i pracy nad nauką.

Rok 1835 był epoką w życiu umysłowym Wrczewicza. W roku tym odwiedził Budwę znakomity pracownik w sprawie cywilizacyjnego odrodzenia serbskiego narodu, Wuk Stefanowicz Karadżycz. Spotkał on się tu oczywiście z zapalonym Przymorcem, zaprzyjaźnił się z nim i stanowczo wpłynął na dalszy kierunek jego pracy. Karadżyczowi chodziło przede wszystkim o gromadzenie wszelkich skarbów umysłowej twórczości narodu serbskiego, skarbów „narodne umatworine”—a sam temu podolać nie mógł. Otóż w Wrczewiczu znalazł teraz jedyne go potemu pracownika. Zamiłowanie poetyczne w rzeczach ojczystych, zdolność namiętnego przejmowania się wyższego polotu zadaniami, pilność badawcza, wytrwałość w cichej pracy i skromność wrodzona charakteru — wszystko to uzdolniało go w wysokim stopniu do mozolnego, przez długie lata, a nieobliczonej doniosłości trudu.

Od tej więc chwili poświęcił się Wrczewicz, na całe już życie, poszukiwaniu owych skarbów twórczości ludowej — wszędy, gdzie tylko osobiście mógł ich osiągnąć. Zbierał je tedy w początku na Przymorzu rodzinnem, potem na Czarnej-Górze, наконец — aż do obecnej chwili, w Hercegowinie. Za życia Karadżyca posyłał on zbiory te swoje zacnemu pobratymowi do Wiednia, który je razem z innemi na świat wydawał, zawsze przy tem serdecznie i zaszczytnie wspominając zasługi Wrczewicza. Wiemy zaś wszyscy, jak niezmiernego znaczenia było owo wydawnictwo Wukowe!

Zbierając z zapalem zabytki twórczości narodu z ubiegłych czasów, próbował też Wrczewicz i swych własnych sił: tak w roku 1839 umieścił w Dalmatyńskim Magazynie oryginalną swą pieśń przeciw krytykom narodu, pełną życia. Nadto z powodzeniem tłómaczył znaczniejszych liryków włoskich, osobiwie utwory klasycznego piewcy pięknej Italii—

Metastazyusza. W każdej zaś swej pracy powodował się przede wszystkim gorącym uczuciem narodowym.

Tymczasem, po kilkoletniem uciążliwym zatrudnieniu w zawodzie handlowym, przyszedł nareszcie Wuk do przeświadczenia, że droga ta, sprzeczna do głębi z całym przyrodzonym nastrojem jego duszy, nie doprowadzi go do niczego. W roku 1841 tedy opuścił portową Budwę — i przyjął miejsce sekretarza gminy w sąsiednim Gerbalju — w owej Żupie, głośniejszy jako przedmiot sporu niegdyś pomiędzy Czarnogórcami i Wenecją. Wprędce zaś potem ożenił się w Kotorze (Cattaro).

Pamiętny przez gwałtowne po całej Europie, polityczne i socyalne, zaburzenia rok 1848, w którym i monarchia Habsburgów uległa była silnym wstrząśnieniom — nie pozostawił w spokoju i ustronnego Przymorza: otóż „pobuni se i Boka Kotorska”, dopominając się przywrócenia swych praw zdeptanych. Ożywiony powszechnym zapalem Wrczewicz wystąpił teraz dzielniej i na polu publicystycznym, pisując często do wychodzącego w owym czasie w dalmackim Zadrze (Zara) dziennika „Prawdonosza”. Lecz musiał wziąć dymisyę ze swego urzędu sekretarza gminy, który wszakże wprędce zamienił na obowiązek tłumacza przy trybunale kotorskim.

Wypróbowana gorliwość o dobro narodu i zdolności Wrczewicza zbliżyły go wcześniej z pierwszym księciem czarnogórskim — dzielnym Daniłem, który go w r. 1852 zobowiązał do przyjęcia przy sobie urzędu sekretarza. Przepędził tedy, obdarzony wysokiem zaufaniem, Wuk na Cetynju całe trzy lata prawie najpiękniejsze swego życia — mile i czynnie. Tu zbierał on, z najżywszem przejęciem się, dalej, zabytki twórczości poetycznej narodu; a obok tego gromadził źródła do dziejów Czarnogórza i biografii sławnego władcyki Piotra II i księcia Daniły. Lecz okoliczności rodzinne, potrzeba oddania dzieci do szkół, których ówczasie w Cetynju jeszcze nie było, zmusiły go do opuszczenia

Czarnogórza, mimo całej przykrości, z jaką się z niem rozstawał. Umiał też on tu zjednać sobie powszechne zaufanie i współczucie, a księżę Daniło na rozstaniu obdarzył go, za zasługi, krzyżem „za niezależność Czarnej-Góry”.

W roku 1855 przeniósł się następnie Wrczewicz z całą swą rodziną do Zadru, gdzie przyjął miejsce tłumacza przy namiestnictwie Dalmacyi. Wkrótce zaś wydał niezmiernie popularne dzieło swe poetyczne, noszące tytuł „Moralno-zabawne i szaljiwo pouczne zagonetke”, to jest Zagadki wesoło pouczające — na które miał do tysiąca przedpłacicieli. Lecz zwiększone potrzeby rodziny i wydatki na wychowanie dzieci zmuszały teraz Wrczewicza do wysileń nadzwyczajnych w pracy, której poświęcał często 14 godzin dziennie, przyjmując na siebie, oprócz obowiązkowych zatrudnień z urzędu, nadto zajęcia prywatne. Smutne następstwo podobnego nadużycia sił było do przewidzenia: niezwalczony pracownik został zagrożony utratą wzroku. Na szczęście wszakże, w porę jeszcze przybył do Wiednia dla zasięgnięcia porady lekarskiej — i od niebezpieczeństwa się uratował.

Gdy w roku 1861 „raja” hercegowińska chwyciła, pod dowództwem Łuki Wukałowicza, za broń przeciw Turkom, rząd austriacki potrzebował mieć w samym ognisku powstania człowieka ze swego ramienia, któryby też posiadał nieograniczone zaufanie chrześcijańskiej ludności. Ówczesny gubernator Dalmacyi, baron Mamula, przedstawił ministerstwu za takowego właśnie Wuka Wrczewicza. Został on tedy wysłany na agenta konsularnego do miasta Trebinja, w Hercegowinie — gdzie, jako wicekonsul austro-węgierski, pozostaje do obecnej chwili, — zdobywszy sobie najżywsze uznanie i cześć biednego ludu, którego intencye zawsze dzielnie całą swą mocą popierał.

Lecz nierównie większego znaczenia nabrał pobyt Wrczewicza w Hercegowinie dla nauki. Ognisko niegdyś życia serbskiego, leżała ziemia ta dotąd odłościem dla badaczy prze-

szłości narodowej. Gorliwy zbieracz skarbów twórczości ludu, uderzony on był niesłychanem ich bogactwem, przechowaniem w pamięci — tak ubogiej „rai”, jak butnych „begów”. Rzucił się tedy z podwojoną energią do gromadzenia onych. Obfity też plon wynagrodził jego niezmordowaną pracę!

Jeden znaczny dział skarbów owych „narodne umatorine” został wydany w piśmie „Zabawinice”, wychodzącym w Dubrowniku. Cały zbiór żeńskich pieśni ludowych posłany był Karadźyczowi do Wiednia i przygotowany przezeń do druku; został wszakże dopiero po śmierci znakomitego patryoty, w r. 1866, wydany nakładem funduszu, z ofiar narodowych powstałego, pod tytułem „Srbske narodne pjesme u Hercegowini”. W r. 1868 wydało też serbskie naukowe towarzystwo w Belgradzie dwa ważne dzieła Wrczewicza: „Srbske narodne pripowietke” i „Narodne igre”, a niebawem, za jego zasługi na polu piśmienniczym, wybrało go swym członkiem honorowym. Po dwóch latach (1870) wysłał on temuż towarzystwu trzy nadto rękopisy do druku: dwie księgi pieśni „junackich” i jedną przysłówi ludowych, które atoli jeszcze dotąd na świat nie wyszły. Ostatnimi zaś czasy bardzo zajmujące jego artykuły były zamieszczane w zadarskiem piśmie „Prawo”, które następnie przedrukowywały inne pisma serbskie i horwackie. Nawet do ostatniej chwili, mimo swego wieku i uciążliwych zatrudnień z urzędu, jakich mu jeszcze przysporzyło niepomału obecne powstanie, pracuje on niezmordowanie nad gromadzeniem pożądanego plonu — choć, na prawdę, pokłosie mu już tylko w Hercegowinie do zebrania pozostało.

Ciekawe są wszakże nadzwyczaj jego „Pytalice”, czyli przysłówia i przypowieści ludu hercegowińskiego, w formie pytań, zamieszczane w roku ubiegłym przez Wrczewicza w piśmie illustrowanem serbskiem, wychodzącym w Wiedniu, pod tytułem „Srbadija”. Korzystaliśmy z nich dla scharakteryzowania, własnymi słowy, ludu — Hercegowiń-

ców i ich rzeczywiście rozpaczliwego stanu, który zostawiał im zawsze jedno tylko wyjście — porwanie się za broń!

Przed miesiącem zaś otrzymaliśmy wiadomość z Trebinja, że sędziwy a nieustrudzony badacz zebrał tych „pytalic” przeszło tysiąc — więcej, niż najbujniejsza fantazyja mogła przypuszczać. Nadto wiemy, iż Wrczewicz przygotowuje do druku „Kronikę” obecnego powstania.

Nikt zaś nie może znać lepiej od niego wszystkich sprężyn i ewolucyi tego powstania: nikt też nie posiada, skupionych w jednej osobie, tylu warunków potemu. Oto bowiem staje przed nami wypróbowanej cnoty narodowiec, znający do gruntu kraj i lud, kochający je, a upotężniony tu dostojęństwem konsula sąsiedniego, najbardziej zainteresowanego, mocarstwa; w tej zaś chwili, gdy to piszemy — używany z gubernatorem Dalmacyi, Rodiczem, do traktowania z powstańcami, którzy w nim najwyższą ufność pokładają!

Zasługi Wrczewicza na polu piśmiennictwa serbskiego — są niepospolite: po Karadźyczu on najwięcej wzbogacił je cennymi zabytkami przeszłości; wzbogacił język, podając wzory narzecza Hercegowiny — najpiękniejszego i najczystszeo; ożywił przeświadczenie narodu o potęgę jego ducha twórczego! Imię też jego pozostanie na wieki w pamięci serbskiego narodu.

Cześć więc zacnemu starcowi, co życie swe całe poświęcił dla wyższych zadań!

BULGAROWIE.

CHARAKTERYSTYCZNE CECHY ICH NARODOWEGO ODRODZENIA.*)

Ciekawy jest niezmiernie roztaczający się przed naszymi oczyma obraz, jaki przedstawiają niezwalczone wysilenia pognębionych w pochodzie dziejowym ludów starosłowiańskich, zmierzające ku zdobyciu sobie nieodzownych warunków pełniejszego narodowego życia.

Obraz ten jest niezmiernie żywy, bogaty, urozmaicony—bardziej urozmaicony, niżby to się nam zdawać mogło. Widzimy tu, wśród wzbierającego coraz silniej prądu ogólnego, grę życia niepospolicie rozkołysaną, rozstrzeloną wielostronnie. Niezależnie od przemożnych przyczyn i warunków zewnętrznych, każdy lud tu wnosi swój indywidualny charakter, swoją wyrobioną w ciągu wieków etniczną właściwość, swoją odrębną naturę narodową.

Pod tym zaś względem Słowiańszczyzna stara przedstawia nam cały świat swój osobny. Za wiele bowiem dziś powtarzamy o jednostajności, solidarności, tożsamości nie raz nawet; za mało też wskazuje się dziś z rozwągą na potęgę w istocie swej wyrobioną osobowość historyczną ludów, na ich wysoce różny od siebie indywidualizm narodowy.

Niech nas nie łudzą pewne wspólne szerokie rysy, tak zewnętrzne, jak i ze świata duchowego wzięte. Ludy słowiań-

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 166.

skie, brnąć do tyła różnemi drogami przez dzieje, nie mogły nie wynieść z przeszłości różnych zasobów wewnętrznych do dalszego życia. Żywsze zaś wyróżnienie się w obliczu ogólnego typu słowiańskiego determinował nadto potężnie i większy lub mniejszy przypływ takiej lub innej krwi obcej. Stąd też ludy, siedzące na krańcach Słowiańszczyzny, posunęły się najdalej w kierunku tego wyróżnienia się etnicznego. Wśród grona staro-słowiańskiego najprędzej ocucili się w walce odrodzenia Czesi i Bułgarowie.

Pierwsi, najbliżsi nasi sąsiedzi, znani są nam dostatecznie; zato o Bułgarach zaledwie jakieś ogólne pojęcie w szerszem kole posiadamy.

Bułgarowie tymczasem ze wszystkich pobratymczych ludów, posiadających dawno zamierzchłą, świetną przeszłość historyczną a wydźwigających się dziś do nowego życia, przedstawiają najbardziej wyjątkowy charakter w swej posępno-zawziętej walce o prawo samoistnie-narodowego bytu.

Kto zna zbrojną rzutkość Serba i krewką moc odporu Horwata, ani się domyśli, że siedzący tuż z nimi o miedzę od wieków Bułgar może istotnie stanowić z nimi tak uderzające przeciwieństwo we wszystkim.

Zdawałoby się, że Bułgarowie to lud innego szczepu, innej krwi, innej sfery dziejowej: tak on się wyróżnia od reszty Słowian wogóle. A przecież lud to słowiański na wskroś, i napróżno upatrywać w nim tylko zesłowianiony ród obcy, a tem mniej przeważnie turański, jak to pospolicie się dzieje.

Obecnie, ze wszystkich słowiańskich, jest to naród najbardziej cichy, potulny, ostrożny, najbardziej podejrzliwy, nieufny i zwarty w sobie, nakoniec najmniej wojenny. Kilkuwiekowa sroga niewola do tego stopnia pierwotną swobodną naturę słowiańską przetworzyła. A niewola tego rodzaju, jak podobnej nie spotkać gdzieindziej: niewola pod wyrafinowanie skombinowaną przemocą gwałtowności Turków. Może ona nawet sięgać głębszych czasów, czasów bez-

litośnej przewagi bizantyjskiej lub surowego zwierzchnictwa nad wielkim słowiańskim Bałkanów ludem barbarzyńskiej hordy przybyszów z nad Wołgi. Nieznany bowiem dokładnie stosunek turańskiej drużyny pierwotnych Bułgarów, która wytworzyła arystokrację u plemion podbitych.

Przewodniczony przez swe wojenne turańskie możnowładztwo, słowiański naród, który przybrał równie nazwę Bułgarów, nie był zawsze po dzisiejszemu potulny. Nie tylko Asparuch i Krum, dzicy (z wieku VII i VIII), ale i chrześcijańscy już „carowie” Borys i Symeon (z w. IX i X) byli postrachem sąsiadów — drżała przed nimi Byzancja.

Za to też strupieszala sama, czując się ciągle pod grozą żywej mocy świeżego społeczeństwa, pomimo że na czas pewien (1021) obaliła nawet jego polityczną samoistość, lecz nie była w stanie utrzymać one na długo pod swą władzą — dla ochrony własnej — toczyła je wszystkimi swemi żądlami. Podbój turecki dokonał reszty: Kosowe pole, Nikopol, Warna nie ocaliły wogóle południowych Słowian, Bułgarów zaś wystawiły na bezmiar niedoli.

Pod jarzmem muzułmańskim Bułgarowie tracą odrazu prawie całą siłę wewnętrznego oporu, tracą inteligencję narodu. Arystokracja wytępiona do szczętu niemal; autonomia kościoła zniesiona ze zniesieniem odrębnego narodowego patryarchatu; wyższe duchowieństwo zastąpione przez wysłańców Fanaru. Język cerkiewny, słowiański, gdzie było można, wyparty z religijnego obrzędu. Lud ciemny, zostawiony bez przewodnictwa moralnego, ocuca się w niewoli najbezbronnejszy. Samo geograficzne położenie kraju, tuż u bram stołecznego Stambułu, wydawało lud ten na ciągły, nieunikniony łup napastników. Rozproszony, jak bezsilna czereda, bez spójni żadnej żywszej, ogólniejszej, był on przeszło trzy wieki pastwą przemocy rozpasanej Turków. Nic dziwnego tedy, że nie śmiał on nawet myśleć o stawieniu czynnego oporu naciskowi; że z rezygnacją zwarł się w sobie i zasklepił jedynie w bycie familijnym. Niezmiernie su-

rowe warunki, trwające przez pokolenie całe, ustalały ten przymuszony nastrój charakteru Bułgara.

Że w tem ostatecznie zawiera się najgłówniejsza przyczyna powszechnego upotulnienia charakteru tego narodu, trudno powątpiewać. Spójrzymy bowiem na górala lub na Pomaka muzułmańskiego, co umieli zasłonić się „płoniną” lub „koranem”, czy tak potulni, jak pospolicie lud w do-
linach?

Wiadomo też, że „hajducy” zabalkańscy, w walce za niepodległość grecką, dorównywali śmiałością wszelkim „kle-
ftom” i „kyndżaliom”. Słynny bohater tej walki, Botzaris, był to Boczar, Bułgarzyn macedoński.

Serbskie plemiona były nieporównanie szczęśliwsze; broniło ich bardziej dogodne położenie geograficzne i bliższe sąsiedztwo chrześcijańskiej Europy. Bitne ich możnowładztwo, w przeważnej swej części ocalone przez przyjęcie islamizmu, nie zatraciło wcale narodowości; lecz owszem podtrzymywało ją uprawą języka i poezji swojskiej. Co więcej, naciskiem swym na lud, wywołując w nim ducha oporu dotkliwszej przemocy „domowej”, żywiło nawet poniekąd niezależne usposobienie warstw swobodniejszych, jakie doprowadziło z czasem i do następnego uniezależnienia się Serbów dzisiejszego księstwa. Co zaś do ludu poddanego, przecie i dziś jeszcze „raja” bosańska nie o wiele mniej powolna swym szlachetnym „begom”, jak rolnik bułgarski dla „Osmanlii” lub Skipetara prawowiernego. Mimo to wszystko, wiadoma jest między Bułgarem a Serbem przez wieki wyrobiona różnica plemienna charakteru, różnica, stanowiąca poniekąd paralelę z tem, co widzimy u nas np. między Krewicami a Rusią ukraińską.

Wobec tego nie należy zapominać jeszcze, że Bułgarowie, nie stanowiąc geograficznie jednolitego zastępu, nie przedstawiają ściślej jedności i co do charakteru. Jest też pod tym względem wiadoma różnica między pasem nadbalkańskim i zabalkańskim a ludem górskim, zupełnie

inne, dzielniejsze cechy posiadającym. Co do wpływów obcych, jeśli szukać wpływu turańskiego, to od ujść Dunaju przedewszystkiem; trackie i macedońskie „zagórze” greckiemu tchnieniu bardziej od wieków podległe.

Ale, koniec końców, wzajemne współdziałanie wszystkich historycznych przyczyn razem nadało wśród Bułgarów stanowczą przewagę usposobieniu do cichego, zasklepionego rodzinnego życia z wszystkimi jego koniecznymi następstwami.

Nad życie rodzinne niema też nic droższego dla Bułgara na świecie. Jego żona i jego pole — oto co przeważnie duszę jego zajmuje; poza obrębem pracy i „drogiego dobra” (miano czułe, nadawane towarzysze jego ciężkiego bytu) nic go nie zdoła roznamiętnić. Szuka on szczęścia jedynie w pożyciu domowym. W domu swym jest on też panem istotnym. Lecz i kobieta, jako matka, jako żona, zajmuje tu równie niepoślednie miejsce; jest ona towarzyszką i doradczynią mężczyzny we wszystkim; gdy tymczasem kobieta grecka jest tylko pierwszym dzieckiem w domu męża. Miłość rodzinna wszystkich członków międy sobą wielka; powaga ojca rodziny stanowcza.

Wysokie znaczenie historyczne wewnętrznej mocy bytu rodzinnego wybornie charakteryzuje jeden z badaczy stosunków wschodnich w następującym obrazie: Bułgar, powiada on, podobny jest do Izraelity wieków średnich, który, spotykając jedynie prześladowania w społeczeństwie, zaślepionem ciemnotą i fanatyzmem, szukał schronienia i pociechy u domowego ogniska, gdzie stawał się na nowo, w oczach poświęconej żony i dzieci pełnych uszanowania, synem Judy, dziedzicem obietnic, danych przez Jehowę patriarchom. Tak też i ten oto, pogardzony i ciemniony przez Turka, na kawałku ziemi, potem jego zroszonej, przy ognisku chałupy, co chroni drogie dlań głowy, przeobraża się w istotnego pana, który ma prawo rozkazu wszystkim członkom rodziny, jako ich zwierzchnik dostojny. Czuje

się przytem, jako wyznawca św. krzyża, mocnym nadzieją, że przy opiece Chrystusa, po dniach próby, zakreślonych wolą nieba, podniesie on czoło swe, za długo uniżone pod jarzmem islamizmu!

Oczywiście wyrazem życia tak ściśle zwartego musiały się stać spokój, rozważa i oględność; a wobec tego wytrwała praca, zabiegliwość skrzętna, oszczędność, skromność i prostota. Połączyły się z tem nieuniknienie i nie małe ujemne strony: brak wyższego polotu umysłu i woli, lękliwość i bierna rezygnacya, podejrzliwość i skrytość a przebiegłość prostacza; oszczędność zaś posunięta do skąpstwa i nieużyteczności.

Nie dba sobie przecie pocziwy Bułgar o niechęć i docinki swych najbliższych sąsiadów, choć go ci wcale nie szczedzą. Turek nadużywa najbezkarniej jego łagodności; Grek wyśmiewa jego wielką prostotę i bez ogródek przezywa go „kondrokephali”, tępą głową; Arnauta drwi z jego oględności; Serb pobratymczy gorszy się jego cichą uległością bisurmańskiej przemocy i częstuje go też za to do zbytku epitetem „kukawica”, tchórz, mając siebie za „junaka”; nawet ciemny Wołoch, za przykładem swego wyfrancuzonego „bojarstwa”, uważa go za pośledniejszego od siebie. Odpłaca się też i Bułgar w podobny sposób swym sąsiadom sowicie, osobliwie owym domniemanym dziedzicom Trajana i Temistokla, i rusza spokojnie swoją drogą.

Główne zatrudnienia jego: rolnictwo, pasterstwo i drobny handel. Do handlu ma Bułgar widoczną skłonność, i tem się też wyróżnia nie mało od reszty staro-słowiańskiej braci, ulegającej pod tym względem tyle wstrętowi rycerskiemu, ile wieśniaczej niezdarności.

Szranki jego publicznego życia — to jego sioło, gmina, tuląca się pod ochronę świątyni pańskiej; tu się zestrzelały dłań w ciągu wieków absolutnej niewoli wszystkie wyższe zadania bytu.

Sąsiedni Grecy, Serbowie, Albańczycy wyrąbawali się

oręźnie z pod tureckiego jarzma; Bułgarowie, gdzie mogli, wspierali ich wysilenia, ale wogóle szli swym torem odrębnym w pochodzie odrodzenia nowoczesnego chrześcijańskich Turcyi poddanych słowiańskich ludów wogóle. Inne też były ich zadania rzeczywiste, uwarunkowane bardziej wyjątkowem ich położeniem, bardziej szczególnym charakterem.

Po powyższem określeniu wyrobionej przez dzieje etnicznej natury Bułgarów z łatwością teraz zrozumiemy nieodzowność takich, a nie innych, charakterystycznych cech ich narodowego odrodzenia.

Oto rodzina stoi tam wiekuiście jako opoka niewzruszona. O niepodległości politycznej narodu ani marzyć niepodobna; za to można zmierzać do zdobycia sobie większej swobody społeczno-narodowej, pod zwierzchnictwem sułtańskiem. Ale wszelka narodowa społeczność na Wschodzie ma swój wyraz w kościele, posiadającym zwykle wysokie przedstawicielstwo w obliczu władzy najwyższej i urzędów krajowych. Kwestya oświaty i autonomii gmin nawet zależy najzupełniej od kościoła; związana z nim i kwestya narodowości samej. Lecz co począć? Bułgarowie nie stanowią prawnie odrębnego społeczeństwa narodowo-religijnego; od pierwszej chwili podboju przez wyznawców Mahometa wcieleni do kościoła greckiego. A więc najgłówniejsze i jedyne na teraz zadanie narodu — wywalczyć sobie od Greków autonomię kościoła!

Wszelkie tedy potrzeby Bułgarów: społeczne, cywilizacyjne, narodowe, polityczne, jednym słowem, wszelkie, zogniskowują się w hasło: dosyć Grekom panowania w bułgarskiej cerkwi, niezależność jej starożytna musi być wskrzeszona.

Ależ to da się zdobyć jedynie przez walkę, długą, niezmordowaną, zaciętą, bezwzględną! — Tak! — I Bułgarowie potulni okazali się do tej walki znakomicie zdutnymi.

Uspodobieniu ich wewnętrznemu przysła w pomoc i pewna tradycja historyczna dawniejszych walk religijnych,

pewne nawyknienie do roznamietniania się kwestyami kościoła, osobiwie w zetknięciu z Grekami.

W ciągu średnich wieków właśnie odznaczyli się Bułgarzy przedewszystkiem walkami na polu religijnem. W pierwszym okresie swej niepodległości, po przyjęciu chrztu (864), wytworzyli oni byli odrębny cerkiewny obrządek, co stał się normą dla Słowian południa i wschodu. Odegrali też niebawem nie małą rolę w pierwszym ważeniu się zapaśniczem o hegemonię hierarchiczną między Konstantynopolem a Rzymem. W okresie zaś ujarzmienia przez Byzancyum (od r. 1021), usiłując przywrócić niepodległość swą polityczną, jednocześnie wywołali przeciw onemu i energiczną opozycję religijną, na groźnej dla ortodoksów nauce wschodniego manicheizmu opartą. Zapalczywie prześladowana przez Greków nauka ta, objawszy najprzód pod nazwą „bogomilstwa” szerokie krainy Słowian, sięgła z czasem kończyn zachodniej Europy, nim nareszcie, jako doktryna katarów, nie zatoneła w potokach krwi nieszczęsnych albigenów. Stąd Bułgarzy zaś, pomimo wyraźnego braku zamiłowania w subtelnościach teologicznych, tak dalece posunęli swą opozycję religijną, że imię ich (u Francuzów „bougre”) w średnich wiekach stało się przedmiotem zgrozy, jak z czasem imię bratnich husytów stało się synonimem najwęgówrańszego radykalizmu, podkopującego same posady ustalonego kościoła. Bogomilstwo padło, ostatnie resztki onego — pawliszczanie, wyznają dziś katolicyzm. Lecz Bułgarowie, zdobywszy nanowo polityczną niepodległość od Greków, zdobyli sobie przecie i odrębny narodowy patryarchat. Patryarchat ten, ze stolicą w Ternawie czy Ochrydzie, stał się wyrazem religijnym ich narodowości i cywilizacyjnej samoistności. Po podboju tureckim znieśli go następni Grecy, i cerkiew Bułgarów, ich narodowość, kultura, język, byt cały, poszły na pastwę przewrotnego Fanaru i samolubstwa panhellenizmu.

Otóż dla przywrócenia swobody narodowej i społecz-

nej, swobody kultury i języka, gdy potrzeba było znowu zacząć od wywalczenia sobie swobody kościelnej, od zapewnienia pierwszej samoistności narodowej cerkwi — w walce o to mieli już Bułgarzy świetne historyczne precedenccy, co mogły ich natchnąć zaufaniem w nieodzowną skuteczność ich cichej energii.

Gdy tedy Hellenowie i Albańczycy, Serbowie i Bośniacy wywalczali z bronią w ręku swobody swe od Turków, Bułgarzy znosili w kornem milczeniu nieprzemogłą władzę zwierzchniczą sułtana. O bardziej gwałtownych porywach ich do życia dzielniejszego nic nie było słyhać. Ale za to w ciszy siół Tracyi, Macedonii i naddunajskiej Bułgaryi odbywało się tak stanowcze spokojne przeobrażenie, taka głęboka wewnętrzna rewolucya, że było to dla Europy prawdziwą niespodzianką, gdy naraz ujrzała ona lekceważony dotąd naród występującym w pełni siły i wytrawnej odwagi do walki z patriarchami greckimi o przywrócenie niezależności narodowej jego cerkwi.

Rozbudzenie się z kilkuwiekowego odrętwienia ludu bułgarskiego wyraźniej czuć się dało zaledwie dopiero pod koniec ubiegłej połowy obecnego stulecia. Jak szeroki świat bułgarski, po obu stronach Bałkanów, wszędzie, po wszystkich wsiach i osadach ustronnych w górach, po przedmieściach miast wielkich, dała się widzieć jakaś niezwykła, mrówcza prawdziwie krzątania. Inicyatywy nie dostrzedz tu znikąd, a przecie w każdej gminie roił się żywiej ludek koło cerkwi, radził cicho i medytował; sąsiedzi zagrzewali się wzajem, dodawali sobie otuchy. Grecy w ciemniństwie swem hierarchicznem doszli byli właśnie do najwyższego stopnia bezecności; nadmiar tego, powszechnie ożywieni wielką ideą panhellenizmu, marząc o wyzwoleniu całego świata greckiego z pod muzułmańskiej przemocy, w potrzebie sił większych liczebnych, uwzięli się teraz przysporzyć takowych przez wynarodowienie Bułgarów. Bezmyślny tedy ów zamach na nietykalność słabszej narodowości wywołał

i tu podobny skutek, co w Węgrzech; o ile tam junacza zapędliwość Madziarów doprowadziła do namiętnego przeciwdziałania podwładne im ludy słowiańskie, o tyle tu wyrafinowańszy system hellenizacyi rozniecił powoli posuniętą do zapamiętałości, oddawna ponuro żywioną, niechęć narodową warstw bułgarskich.

Czynne przeciwdziałanie rozpoczęło się najzawzięciej tam, gdzie obie te narodowości bezpośrednio stykały się z sobą, a więc w Macedonii, u wrót rodzinnej ziemi śś. apostołów Cyryla i Metodego, Soluni (Tessaloniki) i na Zagórzu (w Tracyi). Wzięto się najprzód do przywrócenia słowiańskiego nabożeństwa, gdzie zaprowadzone było greckie, a opór rozstrzygano nieraz „spokojnie” nożami u ołtarza. Po tem rzucono się do przetworzenia szkółek greckich na słowiańskie, gdzie te już istniały; a dalej do pomnożenia ich po wszystkich krańcach. Oczywiście towarzyszyć temu musiało przeobrażenie stosunku gmin do zarządu cerkiewnego i pilniejsze odtąd wglądanie w sposób zużywania cerkiewnych dochodów. Tem tedy uderzono Greków w sedno: cała misterna budowa bezdusznej hierarchicznej eksploatacyi obcego ludu została dotknięta: walka poszła na zabój. Ogniskiem ruchu za Bałkanami stał się Płowdyw (Felibek u Turków, Philippopolis starożytny) w Tracyi.

Bułgaria naddunajska niemniej się ożywiła. W miastach nadbrzeżnych, jak Ruszczuk, Świstów, i podgórskich, jak Tarnów, Szumna (Szumla), również czynnie poczęto brać się do rzeczy. Tu zaś już silniej oddziaływał przykład Serbów i Wołochów, wpływało skuteczniej bliższe sąsiedztwo cywilizowanej Europy. Duch ofiarności podniósł się do niepospolitego stopnia. Zakładano wszędy szkoły gminne, a po miastach wyższe nawet; wysyłano młodzież za granicę, do Rosyi i Austryi, gdzie przygotowywano przyszłych nauczycieli. Poczęto pisać i drukować dzieła pierwszej potrzeby w języku narodowym, w Ruszczuku, Belgradzie, Bukareszcie, Wiedniu. Poprzedziło je (1840) wszystkie tłoma-

czenie na język ludu ustępów pisma Św., dokonane przez jednego z „kalugarów” rylskiego monasteru. Raz obudzony prąd już potężniał coraz dalej własną mocą. Była to przecie praca narodowo-społeczna przede wszystkim, praca kulturowa, nie polityczna. Propaganda panslawistyczna i wpływy serbskie bardzo tu mało ważyły: ciężenie jarzma tureckiego coraz niecierpliwiej znoszono, ale naprawdę myślano tylko o podniesieniu oświaty i uwolnieniu się ze szponów hierarchii greckiej.

Patrzyłem ja na ten ruch zbliżka, w moich wędrówkach po ziemiach bułgarskich 1860 r. Srożono się wtedy na Turków okrutnie, po cichu słyszałem nawet nieraz młodzież wyśpiewującą w górach pieśń hajducką:

Stani, stani junak balkanski,
Od sen se dëlbok ¹⁾ sabudi!
Sresztu ²⁾ naroda-t Ottomanski,
Ty Bolgary-te powedi!

ale żaden „junak” nie powstawał. Napróżno dalej brzmiało stanowcze:

I těj my mnogo preterpiachme,
No stiga ³⁾ tolkoz da terpiem:
Da bedem pak ⁴⁾ kakwi-to biachme,
Il syczki ⁵⁾ da se istrebiem!

— nikt za broń nie myślał chwytać i mierzyć się z Turkiem. Za to samo wspomnienie nienawistnych „Gercy-te” burzyło krew ostatniego owczarza w „planinach”. Lecz najbardziej na seryo zajmowały wszystkich: samorząd cerkiewny i szkoły. „Momczeta-ta” (dzieci) i „daskali-te” (nauczyciele) byli na ustach każdego; ja sam, bywając na dorocznych egzaminach szkolnych (w Szumaniu, w Płowdywie), czułem, że jestem przytomny największej uroczystości narodowej. Powszechne zaś uznanie nieodzownej konieczności obalenia supremacyi patryarchatu konstantynopolskiego, dla

¹⁾ Głęboki. — ²⁾ Naprzeciw. — ³⁾ Dosyć. — ⁴⁾ Znow. — ⁵⁾ Wszyscy.

zdobycia sobie pierwszych warunków swobodniejszego narodowego rozwoju, było tak głębokie i silne, że nie wahało się myśleć o unii z kościołem rzymskim.

Przebieg historyczny agitacji zjednoczenia z Rzymem dobrze jest znany, jak niemniej znane jest i to, że dopiero postrach tej doniosłości, co unia, otrzeźwił nieco z zaciętości Fanar, ów „urbs leonina” ortodoksyi wschodniej, i zmusił go do pewnych ustępstw Bułgarom.

Zrobiony zaś w ten sposób raz wyłom utworzył drogę zapaśnikom bułgarskim i do dalszych zdobyczy na patryarchacie i Grekach.

Tymczasem rozwój życia wewnętrznego posuwał się w niepowstrzymanym biegu. Korzystano z ustępstw Fanaru, korzystano z następstw sultańskiego tanzimatu, korzystano wogóle ze wszelkich dogodniejszych warunków, w jakie Turcyja wchodzić poczęła po wojnie Krymskiej. Wzmagał się samorząd gmin, podnosiła się zamożność i oświata, wzrastały szkoły.

W najbliższem sąsiedztwie stolicy wielkiego padysza i patryarchy ekumenicznego, w Tracyi, ruch narodowy bułgarski zogniskowywał się najżywiej w starożytnym Filipopolu, słowiańskim dziś Płowdywie. Tu powstała pierwsza wyższa szkoła narodowa w 1850 r., po kilkunastu latach przetworzona na rodzaj liceum nawet; dalej oświata stąd rozlewała się na cały „sandżak” (obwód) Płowdywski. W r. 1870 było w tym obwodzie 25 szkół przygotowawczych i 108 początkowych, z których 18 dla dziewcząt. Roczny wydatek na utrzymanie tych zakładów wynosił do pół miliona piastrow, sumę, pokrywaną z powszechnego opodatkowania rodzin i dobrowolnych ofiar. Nadto wysyłano na koszt publiczny zdolniejszą młodzież za granicę. W 1867 r. było za granicą, z jednego sandżaku Filipopolskiego, młodzieży uczącej się: 5 w Paryżu, 4 w Wiedniu, 7 w Rosyi, 2 w Anglii, 40 w Stambule. Jednem słowem, jak widzimy, ilość szkół i uczni wcale nie do lekceważenia.

Jeśli teraz w tym stosunku weźmiemy ilość szkół i uczących się we wszystkich ziemiach bułgarskich, to liczba ich ogólna przyświadczy, że Bułgarowie w ostatnim dziesięcioleciu wcale nie mniejsze od innych swych pobratymców zrobili postępy, przy najuciążliwszych warunkach walki z podwójną przemocą — baszów i fanaryotów.

Nareszcie, gdy naród wzmógł się na siłach moralnych, nie potrzebował już znosić dłużej pęt hierarchii greckiej i w zapamiętałej walce lat ostatnich zdobył sobie przeciw tyle pożądaną samoistność narodowego kościoła. Zgodzono się na utworzenie „autocefalnej” cerkwi bułgarskiej, jako „egzarchatu” katedry patriarchy konstantynopolskiego. Zgodzono się wprowadzić tylko w zasadzie: walka co do konsekwentnego przeprowadzenia układu toczy się jeszcze dątd zawzięcie; ale istota rzeczy zdobyta, niezależność cerkwi narodowej zapewniona, egzarchat uorganizowany i uznany za najwyższą reprezentację narodowo-polityczną przez władze tureckie.

Pozostaje teraz tylko spokojnie i rozważnie korzystać z następstw tak wielkiej zdobyczy i dalej, już samoistnie teraz, prowadzić dzieło odrodzenia narodu, podniesienia go moralnego i skonsolidowania.

Wprawdzie poza linią demarkacyjną egzarchatu pozostało jeszcze wiele gmin bułgarskich pod władzą grecką, które teraz same za siebie prowadzą walkę rozpaczliwą, grożąc w Macedonii przyjęciem katolicyzmu; lecz i to powoli się ułoży.

Trzeźwość umysłu, praktyczny zmysł zdrowy, cierpliwość i wytrwałość zdają się zapewniać Bułgarom i nadal spokojny organiczny rozwój cywilizacyjny. A brak rzutkości rycerskiej wszelki, tak junactwa, jak bohaterstwa, uchroni ich od przedwczesnego hazardowania się na walkę nierówną.

Wreszcie też brak idealizmu czyni poczciwego Bułgara obojętnym na ponęty wielkich politycznych idei, zarówno

panslawizmu jak „jugo-słowiaństwa”. Na swoje szczęście, ma on na wszystko podobne jedyną odpowiedź:

„Szteme da czekame!”

Słyszysz wprawdzie Europa, od czasu do czasu, temi ostatnimi laty, o przygotowywującym się zbrojnym wybuchu w Bałkanach, lecz są to zwykle wieści przesadne, nie mające rzeczywistej podstawy. Owo zaś powstanie niby w górach 1868 r. było nierozumnym porywem nielicznego tylko grona młodzieży miejskiej, podniecanej przez obcych, a bez sympatii u ludu, który to poryw tylko tendencyjnemu dziennikarstwu winien swój rozgłos.

Widziałem ja tych „junaków bałkańskich”, w dwa lata potem (1870 r.), w dalekim Dyarbekirze, stolicy Kurdystanu, nad Tygrysem. Skazał ich tu był kilkudziesięciu na wygnanie ówczesny wielkorządca „wilajetu” Dunajskiego (Bułgarii) Midhat-basza. Za wstawieniem się serdecznem pobratymców, puścił ich tam z fortocy na wolę Izmael-basza, ów Turek stary, co to się tak sromał na samo wspomnienie wizyty cesarzowej Eugenii, złożonej głowie prawowiernych w Stambule. Doprawdy młodzież ta bułgarska była Bogu ducha winna...

Charakterystyczne też cechy odrodzenia Bułgarów są jakby biegunowo przeciwne znanym cechom pokrewnych Serbów; a uderza to wszędy, i w życiu powszedniem, i w poezyi. Stąd i obecny, tyle ożywiony, ruch „jugo-słowiański” nie ma wśród nich uznania. Idą oni swoją drogą, i idą, względnie do swej etnicznej natury, szczęśliwie!

O jakże oni już daleko uszli po swej drodze!

Przed piętnastu laty, najdumniejszy Bułgar, jakiegom spotkał, był to chłopczyzna, pędzący gromadkę prosiąt u szczytu Trojańskiego Bałkanów. Na zapytanie:

— Swinczeta imasz, momcze?!

— Eh, Boga mi, imam! — odpowiedział; a w tonie tej odpowiedzi brzmiało mi i tłómaczenie sytuacji; — jam ci

tu w górach swobodny, nie „szehirlija” — mieszczuch, jak tamci tam w dolinach tureccy niewolnicy!...

A dziś, i w dolinach, o ileż inne warunki najpowszejdniejszego nawet życia. Dziś już Turek pocziwemu Bułgarowi jego małych „domuzów” nie strzela...

I tak odpowiednio we wszystkim.

Szczęść Boże!

W SPRAWIE
WYPRAWY NAUKOWEJ DO BUŁGARYI,
ZAMIERZONEJ 1880 R. PRZEZ CES. ROS. TOWARZYSTWO GEOGRAFICZNE.

ODPOWIEDŹ JW-mu PREZESOWI SEKCJI ETNOGRAFICZNEJ.

Na uprzejmą, w imieniu specjalnej komisji, wybranej dla ułożenia programu naukowej ekspedycji do Bułgarii, odezwę Szan. Pana poczytuję za zaszczyt odpowiedzieć co następuje:

Pomysł i cel zamierzonej wyprawy naukowej dla wszechstronnego, ile można, zbadania Bułgarii razem z całym półwyspem Bałkańskim odpowiada tak widomie, dotykalnie wysokim potrzebom nauki dzisiejszej, a wobec tego samo zadanie tej wyprawy zasadnicze tak jasno uwydatnia się z prospektu komisji, że wszelkie uwagi ogólne co do tego przedmiotu stają się zupełnie zbytecznymi. Jeśliby się zaś czuło zmuszonym do wypowiedzenia tu przy okoliczności jakiejś myśli ogólniejszej, będzie nią chyba jedynie wyraz głębokiego uznania dla tych, co umieli nadać życie przedsięwzięciu takiej doniosłości, a tak długo napróżno w kole pracowników nad południową Słowiańszczyzną wyczekiwaniu. Mogą więc oczywiście mieć tu miejsce jedynie uwagi i pytania bardziej specjalne, drobiazgowo, oderwane — jeśli nie odosobnione, a jakie zawezwani przez komisję uważaliby za odpowiednie zaznaczać, każdy ze swego wyjątkowego

stanowiska, nie dotykając wcale przedmiotów i rzeczy ogólniejszych.

W taki oto sposób rozumiejąc zadanie me własne — odpowiedzi na uprzejme zawezwanie Szanownego Pana, pozwolę sobie zrobić tu jedynie parę uwag z zakresu etnologicznego przede wszystkim, ograniczając się na ten raz wyłącznie Bułgarami i Bułgaryą.

Uważałbym tedy za konieczne między innemi:

Najprzód, — przy badaniach etnologicznych i etnograficznych ludu bułgarskiego, pilne zaznaczanie i określanie prowincjonalnych i plemiennych indywidualizmów oraz, ile możliwości, ściśle rozgraniczanie ich między sobą z bacznością zarazem uwzględnianiem warunków topograficznych. Obok czego nie należałoby pomijać z uwagi tak plemiennego grupowania się po stokach Hemu, stanowiącego tam pierwotne historyczne podścielisko rodu trackiego w starożytnych czasach, jak i późniejszych, znanych z dziejów, etnicznych naleciałości. Napewno też znajdą się w ten sposób dość poważne zasady do wyróżnienia i charakterystycznego oznaczenia wśród jednoistnego napozór narodu Bułgarów i większej jeszcze ilości plemion obok owych uwydatniających się z ogółu wyraźniej: Szopów, Zagorców, Makedonów.

Następnie, traktowanie ze stanowiska bardziej etnologicznego znanych wyróżnień religijnych. Stosuje się to równie do Pomaków, jak do Pawlikianów. Co do pierwszych, osobliwie tych, którzy w Dospadzkiej płoninie (na Rodopie) zasiedli — nie dość nam wiedzieć, że są to Bułgarzy chrześcijańscy, co się „pomaknuli” ku islamowi; radziłyśmy dociec, jacy to chrześcijanie: ortodoksalni czy Pawlikianie, a może to resztki Bogomilów, które, zasiadłszy w górach, powitały podobnie Patarenom bosańskim Turków jako zbawców. Znamy ich jako nie arcyprawowiernych, ale mocno przywiązanych do starego obyczaju, i wogóle — jako dzielniejszych junaczo od chrześcijan; i czyby więc nie dały się odgrzebać wśród nich ślady jakiegoś etnicznego wy-

różnienia, zabytki jakie starotrackie lub inne? A oweż rozgłosne a osławione pieśni, orficzne niby etc., zebrane wśród nich przeważnie przez Werkowicza? Wypadałoby to sprawdzić i doprowadzić do należnego mianownika.

Co zaś do Pawlikianów — wiemy o ich przeobrażeniu się nie tak dawnem, jakby za dotknięciem laski czarodziej-skiej — z ciemnych sekciarzy w gorliwych łacinników; i wiemy też o antagonii z ortodoksami oraz o braku w nich wszelkiego poczucia narodowego. Czyby nie można było dopatrzeć się w tem również powodów etnicznych, wobec znanego faktu — ile to kwestye wiary łączyły się pospolicie na Wschodzie byzantyjskim z antagonizmem szczepowym, plemiennym. Przy badaniu więc tradycyi etc. Pawlikianów nie tylko chodziłoby powinno o przyczynek do historii słowiańskiej cerkwi lub wyjaśnienie zawilości religijnych.

Koniecznem jest niemniej zwrócenie szczególnej uwagi, przy śledzeniu różnic prowincjonalnych, plemiennych, i na owe szczątki obcych szczepów i rodów ze starej doby, jakie jeszcze nie zatoneły w masie ludności słowiańskiej. Mamy tu na myśli naprzykład takich Gaga-Uzów w okręgu Warneńskim, — bułgarskich chrześcijan ortodoksalnych o tureckiej mowie. Domniemani to Połowcy, Uzy, bracia Kumanów węgierskich, a bodaj i naszych karpackich Hucułów, stanowiących tyle odrębny typ wśród reszty górskiej Rusi. Zbadanie więc mowy i obyczaju Gagauzów możeby dało nam więcej podstaw do porównań przy zastanawianiu się i nad temi ostatniemi, jak niemniej przy rozważaniu niezrozumiałych zabytków dniewrowego Niżu, które w łatwy sposób za tatarskie w czambuł uważamy, gdy przecie musiało tam niemało pozostać pamiątek i po Połowcach oraz owych Czarnych Kłobukach wszelakich. A może się wykaże, że Gagauzowie stanowią szczątek hordy turańskiej, co zadu-najskich Słowian podbiła!

Głęboką też i wielce żywotną wobec nauki znajdujemy wypowiedzianą przez komisję myśl, że dla dokładniejszego

zbadania ludów południowo-słowiańskich zakres działań naukowej ekspedycji winien być rozciągnięty i na inne narodowości Bałkańskiego półwyspu. Możnaby atoli myśl tę jeszcze uzupełnić, dodając (nawet w programacie), że wśród tych zaś narodowości pierwsze miejsce należy Skipetarom, Arnautom. Odbyta przed rokiem wycieczka do Albanii bardziej jeszcze utwierdziła mnie w tem przekonaniu. Zresztą sama natura rzeczy za tem przemawia. Albańczycy jedyni to przecież bezpośredni potomkowie potężnego trako-illirskiego szczepu, co niegdyś zaludniał przeważnie szerokie przestwory Bałkańskiego półwyspu, zajęte później przez Słowian. Gałąź onego tracka (licząc do niej i starożytnych Macedończyków) cała prawie została pochłonięta przez Słowian bułgarskich, nadto przez nich wyłącznie, że nawet nie byłoby to przesadą wcale, gdybyśmy przyjęli, iż połowa może krwi, jaka płynie dziś w żyłach narodu bułgarskiego, bodaj czy nie jest tracką. Przekazali też niewątpliwie Trakowie dzisiejszym Bułgarom niejedno może podanie, niejedyn obyczaj i t. d., a kto wie, czy nie wpływ to właśnie pierwsiastku trackiego, unaradawiającego się całemi prawie masami, przy wspólnym obrzędzie cerkiewnym, po słowiańsku, sprawił przeważniej znany ów rozkład języka bułgarskiego, co go tak oddalił od mów reszty pobratymców. Zbadanie zatem najbliższej dziś w krewieństwie Trakom starożytnym albańszczyzny, osobliwie odłamu jej macedońskiego, rozwarłoby skarbnicę niewysłowienie bogatą dla porównawczych badań etnograficznych i lingwistycznych. Zdaje się nawet, iż przyszedł już czas potemu, aby w programie badań nad Słowiańszczyzną południową wogóle postawić jako nieodzowny dział w ich dziedzinie studia albańskie, niezależnie od wagi tychże uznanej wobec klasycznego hellenizmu.

Po Skipetarach drugie zaraz miejsce, co do wagi naukowo-porównawczej w zakresie etnologii bałkańskich ludów, zajęliby oczywiście Własi, Wołosi macedońscy, Kuco-Włachami i Cyncarami zwani. Czy jest to bowiem romanizo-

wana ludność miejscowa, trackiego rodu, czy późniejsi przybysze od Karpat ze zromanizowanej Dacyi, odgrywali oni zbyt wybitną rolę w dziejach Bułgarii, osobliwie za drugiego carstwa, ażeby nie zasługiwać na pilniejsze zbadanie. A cóż dopiero, gdy się zważy, że mogą oni przechowywać jakieś szczególne podania starożytne. Niepodobna wszakże będzie cośkolwiek o nich pewniejszego powiedzieć w stosunku do Bułgarii bez poprzedniego oznaczenia stopnia ich, jak i Włachów epiirskich, pokrewieństwa z bliższymi nam Wołochami karpackimi — Rumunami.

Znaczenie wpływu na Bułgarów innych na półwyspie Bałkańskim żywiołów, jak Greków i Turków, choć bardzo stanowcze, mniejszej jest wobec etnologii doniosłości.

Z innej zaś strony, gdyby chodziło o odnalezienie choćby w złomku jakim żywego wzorca, coby najbardziej zdawał się być zbliżonym ku słowiańsko-bułgarskiemu pierwotnemu pod względem języka przynajmniej, wypadłoby chyba zwrócić się aż ku Ochrydzkiemu jezioru. Tam bowiem mowa bułgarska najmniej, zdaje się, straciła na swej słowiańskości, przetrwała bliższą cerkiewszczyźnie i stanowi najwyraźniejsze przejście ku językowi serbskiemu. Tamby też szukać form pierwotnych bułgarszczyzny, gdy w pobliżu macedońskim nosowe dźwięki się nawet przechowały.

Co do wpływu zaś języka bułgarskiego na inne po-bratymcze w przeszłości dalekiej, uważaćby należało za nieodzowne zwrócenie bacniejszej uwagi nadewszystko na stopień, rodzaj i różnicę takowego wpływu na język ruski południowy oraz język rosyjski, szczególnie na ludową rosyjską mowę. Wpływ ten, wpływ cerkiewszczyzny i wogóle południowo-słowiańskiego lingwistycznego żywiołu, tyle zdaje się przeważny w procesie wytwarzania się przed oczyma historii języka rosyjskiego, dopiero wtedy będzie mógł być należycie oceniony, gdy się pozna lepiej samą bułgarszczyznę. Chociaż długo może jeszcze będziemy pytać: dlaczego wpływ ten na bliższą przecie rusczyznę południową jest o wiele

słabszy, lub mocą też jakich przesiąkań rozwielił się on na północy.

Namacalny wpływ odwrotny języka rosyjskiego na pierwociny obecnego piśmiennictwa Bułgarów mniejszego znaczenia.

Przy badaniu języka bułgarskiego w jego stosunku do innych słowiańskich wypadałoby też zwrócić pilną uwagę i na jego szczególne a mniej znane powinowactwo co do pewnych form gramatycznych leksycznego żywiołu i wymawiania dźwięków z językiem polskim. Nietyle nadto z językiem piśmienniczym i mową klasy wyższej, ile z gwarami ludu pewnych okolic Powiśla. Co wobec tego uderzające, to bliższść pokrewieństwa najdalej na południo-zachód wysuniętej mowy Bułgarów macedońskich. Wiemy zarazem, iż tam dotąd przetrwały nawet miejscami tak dobitne niemal dźwięki nosowe, jak w mowie ludu wielkopolskiego, „jusy” zaś dawne nosowe w ten sam sposób wogóle się zatężyły, przeobraziły, jak *ą* i *ę* u Małopolan — tam, gdzie takowe dźwięki już zatracone. Pomijamy już pewne charakterystyczne formy bułgarskie, wspólne jedynie z gwarą mazowiecką (jak „syćźki” — wszystkim). Na szczególniejsze owo powinowactwo tak oddalonych języków zwrócili już uwagę i sami uczeni bułgarscy, jak znany prof. Drinow; rozumieją oni, iż bez ciągłych zestawień i porównań z polszczyzną (ludową) niepodobna nawet zgłębić i z całą naukową ścisłością określić samej fonetyki bułgarskiej. Szkoda wielka, iż pan Drinow nie mógł doprowadzić do skutku swego zamiaru wycieczki lingwistycznej po ziemiach polskich, za to niechby ktoś z członków ekspedycji, znających szerzej polszczyznę, baczniej śledził za idyotyzmami bułgarskimi we względnym do niej stosunku: a wytryśnie może stąd jeszcze nadto niejeden promień i kwestye etniczne rozjaśniający.

Niemniej też w wyniku odpowiednich porównawczych studyów należałoby zbadać i określić stopień i moc, tudzież przeprowadzić paralelę różnic i podobieństw w skutkach

względne go wpływu języków tjurkskich, resp. tureckiego lub tatarskiego, na języki bułgarski i rosyjski.

Z innej zaś strony, gdyby się znajdował w ekspedycji ktoś, znający gruntownie mowę ludową Tatarów kazańskich i Czuwaszów, dziedziców po kamskich Bułgarach, nie wadziłoby też śledzić w języku dzisiejszym bułgarskim zabytków turańskich, jakie mogły być wniesione za Dunaj z nad Wołgi.

W podróży po ziemiach bułgarskich nie wadziłoby też zaznaczać śladów rusczyzny (nie mamy tu na myśli jedynie Dobruczy), jako pamiątek może doraźnego pobytu niegdyś po czyflikach spahijskich, tak częstego a licznego nieraz, jasyru z Podola i Rusi Czerwonej. Nie od rzeczy również byłoby i notowanie spotykanych pomiędzy Bułgarami, sprzecznych z ich zwykłą patronymiką, polskich nazwisk ziemiańsko-szlacheckich etc.

Jeśliby zaś komu z członków wyprawy wypadło pozostać w Bułgarii na czas dłuższy oraz wybrać punkt jakiś szczególny na stacyę naukową, to za taki uważalibyśmy jedynie Ochrydę oczywiście: rozgranicze to świata bułgarskiego w jego najciekawszym, macedońskim odłamie ze światem albańskim, skąd niedalecy też Własi Pindu i Serbowie Rascyi, stanowisko więc jakby z góry wybrane dla prowadzenia najwszechstronniejszych zarazem etnologicznych i lingwistycznych badań.

Na zakończenie, pozwoliłbym sobie zrobić jeszcze uwagę, iż nie należałoby pomijać i tych z rozproszonych po półwyspie Bałkańskim choć nielicznych Słowian zachodnich, z których niejeden odpowiednio wykształcony, a znający już z domu nieraz parę języków słowiańskich, w ciągu długiego tam pobytu samochcąc nawet nabył niemało wiadomości różnorodnych, jakie mogłyby służyć za wskazówki drogocenne dla członków zamierzonej wyprawy naukowej.

Polecając uwagi powyższe światłemu ocenieniu Szanownego Pana dla przedstawienia ich na rozejrzenie komisji, pozostaję z głębokiem poważaniem

A. J.

W KRAJNIE SŁOWEŃSKIEJ. *)

Słowiańszczyzna południowa staje się obecnie przedmiotem coraz żywszego zajęcia się całej Europy wogóle. Wszakże nietylko fakta i potrzeby polityczne są wyłącznym tego powodem. W życiu wewnętrznem naddunajskich ludów odbywa się takie przeobrażenie powszechne, że nie może ono uniknąć najpilniejszej uwagi. Powstają tu nowe prądy w ruchu umysłowym, nowe zwroty wyobrażeń, które ze swej strony zapowiadają następstwa nieobliczonej w blizkim czasie doniosłości.

Dla nas rozwój życia wewnętrznego wśród południowych pobratymców winien być bardziej jeszcze interesujący, niż objawy ich działalności na zewnątrz zwróconej.

Wśród wielu innych, niezmiernie ważnym faktem bieżącej chwili, wobec zadań bardziej harmonijnego nadal rozwoju całej Słowiańszczyzny południowej wogóle, jest nowy zwrot umysłów, jaki się coraz wybitniej dostrzegać daje w Krajinie i na całym obszarze ziem chorutańskich przez Słowian zamieszkałych. Oto Słowińce, po długich, rozpaczliwych a bezowocnych wysileniach utrzymania swej odrębności narodowej w samoistnem piśmiennictwie, słabi liczebnie i zdeptani ostatecznie przez Niemców w zakresie życia polityczno-społecznego i narodowego, gotują się sta-

*) Gazeta Polska 1875, Nr. 49.

nowczo do wyrzeczenia się dotychczasowej swej odrębności w piśmiennictwie i zamierzają wejść ostatecznie w ścisłą jednotę kulturalną połączonych już dawniej Horwatów i Serbów. Jedyna to bowiem kotwica zbawienia dla nich.

Cały naród słowińsko-chorutański w Krajinie, części nieznemczonej Chorutan i Styrska, nadto w Istrii, wynosi zaledwie 1,300,000. Dla tej już więc bezsilności liczebnej, nie może on myśleć o normalnym, odrębnie narodowym rozwoju swych sił. A cóż dopiero, gdy siły te ubezwładnia fatalnie przemożny germanizm? Przy niepodobieństwie zaś porządnego rozwoju, poczyną brakować już tchu w walce o utrzymanie nawet swego rodowego, szczepowego indywidualizmu!

Do tego przyszło, że po owem ruchliwem życiu politycznem, jakie szczególnie w Krajinie dawało się widzieć w ostatnich czasach, nastąpiła bezduszna prawie apatya. W niedawnej walce wyborczej żadnej niemal energii już nie okazali „młodzi” Słowińce. Jedyne ich dziennik „Słovenski narod”, wychodzący w Lublanie, ma podobno już ustać; istnienie nawet „słoweńskiej” drukarni jest zagrożone; czasopisma staro-słowińskie tylko wegetują, na polu literackiem nic się prawie nie dzieje. Gorszy stan jeszcze w Styrsku, a prawdziwie politowania godny w Chorutanach (Karynty). Niema też nadziei wyjścia, krocząc dalej po tej drodze. Lecz właściwie ta rozpaczliwość położenia prowadzi obecnie wybitniejszych narodowców słowińskich do powrotu ku zaniechanej dawno myśli panilliryzmu, jaką niegdyś tak energicznie wyobrażał ich współzemiańin a poeta świetnych zdolności Stanko Wraz, a która dziś przybiera tylko inną szatę w nazwie swej — jednoty „jugosłowańskiej”. Wprawdzie duchowieństwo kraińskie występuje jeszcze i teraz przeciwko temu zjednoczeniu się z Horwatami i Serbami w literaturze z całą zapamiętałością, twierdząc, że byłaby to zdrada własnego narodu; atoli nieodzow-

ność logiczna przyczyn i następstw przemoże. Przeciwdziałanie bowiem podobne nie ma w sobie ani zasady, ani mocy wewnętrznej.

Kto zna też bliżej rzeczywisty stosunek etnograficzny Słowian illiryskich wogóle między sobą, ten wie dobrze, na ile te ludy są blizkie sobie we wszystkim. A jeśli Horwaci, potężniejsi od Chorutanów, nic na godności swej narodowej nie stracili, jednocząc się w piśmiennictwie z Serbami, co więcej, zyskali na potęgę; to napewno i ci też nie tracą nic na ściślejszem przytuleniu się ku Horwatom.

Język chorutański tak jest blizki horwackiego, a przezeń i języka, który dominuje dziś w piśmiennictwie Horwatów i Serbów, że zdaje się być tylko onego odcieniem, narzęciem. Stąd też Razlag, Tomann i inni Słowińce wydawali pierwiej swe prace w języku serbsko-horwackim. Myśl nadto jednoty w piśmiennictwie wcale nie jest nowa: wybitniejsi narodowcy słowińscy i horwaccy już w latach pięćdziesiątych rozważali wzajem kwestyę nieodzowności wprowadzenia jej w życie.

Gdy zaś nieodzowność ta stanie się już dokonany fakt, będzie to wypadek niezmiernej doniosłości nietylko dla plemion chorutańskich, lecz i dla całej Słowiańszczyzny południowej.

Słowińce wytrzymają nacisk germanizmu i ocalą swój byt, stając się współuczestnikami bujnie rozwijającej się samoistnej zespolonych ludów illiryskich kultury, siłą onej upotężnią osłabione siły własne; korzystać też będą od-tąd wspólnie z dobrodziejstwa nowego „południowo-słowiańskiego” uniwersytetu w Zagrzebiu; i koniec końców odetchnąwszy nowem życiem, odrodzą się do dźwigania razem z pobratymcami nowych, wyższych zadań. Cała zaś Słowiańszczyzna illiryska, tak zespolona w jeden pod względem kultury zastęp, niepomalu wzmoże wewnętrzną moc

- i dzielność swej działalności wielostronnej; niepomąłu podniesie energię walki i śmiałość swych zamysłów i stanie prędzej do ostatecznego zmierzenia się z fatalnie ciężącemi przyrodzonemu jej rozwojowi przeszkodami.

W imię postępu, w imię kultury, należy i nam więc najserdeczniej powitać pierwszy świt ten objawów nowego tam życia!

RUCH UMYSŁOWY

WŚRÓD POŁUDNIOWYCH SŁOWIAN. *)

W chwili obecnej, gdy uwaga całej Europy zwrócona jest na krwawą widownię rozpasanej a zbyt nierównej walki, jaką w złowrogiej chwili rozpoczęły ludy słowiańskie podległe Turkom z uciskającą je przemocą, gdy walka ta, nawet najpomyślniej politycznie skończona, dla straszliwych spustoszeń, co jej towarzyszą, przedstawia, w nieodzownem następstwie, na długie lata jeszcze obraz smutnego zacofania — nie od rzeczy będzie wskazać, jak tymczasem najbliżsi ludów tych pobratymce, zostający w jedności rzeszy Austro-Węgierskiej, swobodnie a poważnie kroczą po drodze pracy cywilizacyjnej.

Bracia rodzeni — Serbowie i Horwaci — stanęli na wielce różnych drogach. Nie pytajmy, która z nich cywilizacyjnie jest skuteczniejsza: wybór decydowały tu przemienne okoliczności dziejowe. Wszakże jeden to naród prawie, język jeden; kultura więc jedna, choć kultów dwa, i przy dwóch piśmiennictwach literatura jedna. Co się zatem dokonywa w jednym z ognisk narodowego życia południowych Słowian na polu prac umysłowych, staje się w następstwie udziałem ich powszechnym. Opatrznościowo też naprawdę dzieje się, iż wobec srogiego zniszczenia, które jak wezbrana

*) Gazeta Polska 1876, Nr. 207.

powódź zalewa coraz szerzej siedziby Słowian tureckich, tuż o miedzę graniczną, pod władzą rakuską, goreje bezpiecznie ognisko wyższej kultury, które będzie miało w sobie moc ożywienia z czasem i popiołów na rumowiskach, jakie po sobie pozostawi dzisiejsza wojna bez litości.

Ogniskiem takim na całą południową Słowiańszczyznę jest stołeczny Horwatów Zagrzeb (Agram). Od niedawna posiada on w murach swych dwie wysokie instytucje naukowe, skupiające w sobie całe życie umysłowe zadunajskich ludów: akademię nauk, otwartą w 1867 r., i uniwersytet, założony w r. 1874 za ledwie. Wprawdzie instytucje te są zbyt świeże jeszcze, ale skupiły one już rozproszone siły zdawna gotowe. Wiele też się tu istotnie robi pod ich skrzydłami.

Poprzestając tylko na pobieżnym rzucie oka na prace dotychczasowe samej akademii (podane w *Revue histor. T. II*), nie będziemy w stanie odmówić wysokiego uznania dla ruchu umysłowego Horwatów, zostających od pobratymców w szczęśliwszych warunkach.

„Jugo-Slavenska Akademia,” której głównym założycielem był, znany powszechnie w cywilizowanym świecie ze swego światła i gorliwości narodowej, biskup dyakowski Strossmayer, ma za prezydenta człowieka głębokiej nauki, znanego ze swych poważnych prac historycznych, kanonika Raczkiego. Pod jego też dzielnem przewodnictwem akademii ta już dotąd przyniosła ogromne przysługi nauce, przede wszystkim w zakresie badań nad dziejami południowej Słowiańszczyzny.

Wydania akademii tworzą już dziś przeszło 50 tomów, rozpadających się na cztery działy:

1. Pamiętniki akademii (Rad Jugo-Slavenske Akademije), obejmujące prace z dziedziny filologii, historyi i nauk przyrodniczych, 33 tomy in 8-o.

2. Zbiór tekstów starożytnych (Starine), 7 tomów.

3. *Monumenta spectantia historiam Slavorum meridionalium*, 5 tom.

4. *Starożytni pisarze horwaccy (Stari pisci hrvatski)*, 7 tom.

W dziale historycznym prac (Rad) akademii zasługują na szczególniejszą uwagę następujące tomy:

T. I-y. Dokumenta, dotyczące dziejów Serbii i Bośni z wieku XIII—XV, wyd. przez Raczkiego i innych.

T. II. „*Pokres na slavenskom jugu*” (Przewrót na południu słowiańskim), ważna praca Raczkiego nad dziejami Kroacy i Węgier XIV — XV w.

T. IV. O stosunkach rzeczpospolitych Dubrownika (Raguzy) i Wenecyi do r. 1358, przez Simę Ljubicza (obecnie konserwatora Muzeum w Zagrzebiu) i in.

T. VII. *Dzieje bogomilów i patarenów*, znakomicie opracowana ze źródeł słowiańskich monografia, dotycząca znanego ruchu religijno-politycznego na południu, przez Raczkiego.

T. IX. *Stosunki handlowe Dubrownika i Wenecyi*, przez Matkowicza.

T. XXIII. *Pannonia rzymska*, przez Kukuljewicza-Sakińskiego.

T. XXXI. O historii literatury ragusańskiej, przez Pawicza.

T. XXXII. Przegląd dzieł, dotyczących prawa słowiańskiego, przez Hanela, prof. uniwersyteckiego w Zagrzebiu.

Co do 2-go działu wydawnictw akademii jugo-słowiańskiej, t. j. tekstów starożytnych (*Starine*), wydaje ona takowych corocznie po sporym tomie, w językach łacińskim, włoskim i słowiańskim, gdzie się też znajdują i cenne teksty głągolicie.

Do działu 3-go (*Monumenta*) należą przedewszystkiem: zabytki, dotyczące stosunków pomiędzy Wenecją i Słowianami południowymi, ogłoszone przez Simę Ljubicza z archi-

wów weneckich a obejmujące przeszło 100 dokumentów, od X — XV w.

W zakresie działu 4-go (Stari pisci hrvatski) wydała już akademія 7 tomów wielce poważnego znaczenia dla historii i literatury południowej Słowiańszczyzny. Stanowią je przeważnie pisarze dubrowniczcy; a wiadomo powszechnie, jakie stanowisko wśród pobratymczych ludów zajmuje pod względem oświaty Raguza, owa śmiała rywalka polityczna i handlowa Wenecyi. Dotknęliśmy tego wyczerpująco w odpowiednim artykule p. t. „Dubrownik”. Od XVI do XVIII w. w murach tego miasta kwitła cała szkoła świetnych poetów, powstała pod wpływem humanizmu i odrodzenia włoskiego. Dziś zaś poeci ci stanowią klasyczne wzory do naśladowania. Niepośledniego też znaczenia są wstępne uwagi, poprzedzające zwykle tekst, jak naprzykład wstęp Kukuljewicza-Sakcińskiego do dzieł Marulicza, gdzie autor roztaacza pełny obraz historii literatury dalmatyńskiej do XVI wieku.

Pomiędzy zaś osobnemi wydaniemі akademii ważniejsze są nast.:

„Historia dubrovacke drame”, Pawicza, jako niezmiernie ciekawy przyczynek do historii teatru w Europie.

Historia literatury serbskiej i horwackiej przez Jagicza, dotąd wszakże doprowadzona tylko do XV w.

„Pisani zakoni na Slovenskom jugu” przez Bogisicza, rozbiór wszystkich dokumentów prawnych, dotąd wydanych, z czasów samoistności ludów południowej Słowiańszczyzny, — i Raczkiego: „Acta conjurationem Bani Pietri a Zrinia et comitis Fr. Frangipani illustrantia”, zawierające z górą 600 dokumentów, rozrzuconych po różnych bibliotekach Europy a dotyczących głośniejszej w XVII wieku sprawy sprzysiężenia dwóch horwackich magnatów, Zrińskiego i Frankopana, celem wydobycia Węgier z pod przemocy cesarskiej Habsburgów.

Otóż, jeżeli ocenimy należycie tylko to chociażby, co

jedynie zagrzebska akademія w ciągu 8 lat swego istnienia, w zakresie studyów nad przeszłością dziejową południowej Słowiańszczyzny, wydała — musimy przyznać niepospolitą energię ruchu umysłowego w dzielnicy, zostającej pod berłem rakuskiem. Cóż dopiero, gdy przypomnimy sobie, że wszędy tam, w Horwacyi, Sławonii, a po części i Dalmacyi nawet, obok nowo powstałego uniwersytetu w Zagrzebiu, istnieją oddawna porządne szkoły narodowe, których baczny stróżem jest sam właśnie naród, życiem konstytucyjnym do głębi przeniknięty,—a które dostatecznie przygotowują młodzież do następnych prac poważniejszych. Nie zdziwimy się też, słysząc, że niezmordowany w swych pracach cywilizacyjnych biskup Strossmayer, obdarzając swój kraj świetną galeryą obrazów, poważa się myśleć na seryo i o wzniesieniu w Zagrzebiu akademii umiejętności pięknych. Zagrzeb horwacki, jednym słowem, staje się coraz bardziej głównem ogniskiem narodowej oświaty słowiańskiego południa.

Gdy tedy zniszczeni obecną walką Serbowie będą już w stanie, po należytych wypoczynku, wrócić do cichych prac cywilizacyjnych, znajdą w każdej potrzebie u zarzewia rozniecającego się wśród Horwatów umysłowego życia należyty zasilek i poparcie.

LEDZIANGRAD.

POLSKA I POLACY W POEZJI LUDOWEJ SŁOWIAN
ZADUNAJSKICH. *)

„Ledzian grad i Poljaci u srpskoj
narodnoj poeziji“ od Stojana Nova-
kovic'a — u Novome Sadu 1879.

Skarbnica wiedzy naszej, przeświadczenia naszego, o ubiegłej przeszłości własnego narodu, o jego życiu wewnętrznem, jak zmiennych kolejach znaczenia i wpływów jego na zewnątrz, wzbogaca się z dniem każdym, rozszerza się coraz bardziej z każdą niemal przemijającą chwilą. Doba bowiem, jaką przebywamy, doba badań i poszukiwań, odkryć i zdobyć, wyświetleń i rozjaśnień, w każdym zakresie dziejznawczym wogóle, jest niemniej taką w zakresie własną naszą przeszłość ogarniającym. Nic dziwnego też, gdy spotykają się tu niejednokrotnie niespodzianki nawet. Sprawiają zaś nam one, przy powszechnem dziś zajęciu się wśród ludów cywilizowanych wyświeczeniem wzajemnych kulturowych ich stosunków w przeszłości, nietylko własni na tem polu pracownicy, lecz, częściej może nawet, badacze obcy oraz pobratymcy bliżsi i dalsi. Niejedno też zagadnienie, bezpośrednio czy pośrednio nas dotyczące, zostało rozwiązane w sposób podobny.

*) Ateneum 1880, t. V (504 — 511).

Tak, w chwili tylko co ubiegłej zaledwie, w dali od nas, wśród pobratymców naszych, co to przed wieki, z sąsiedniej nam a zamierzchłej dziś Syrbii wielkiej, przenieśli się za modre wody dolnego Dunaju, zostało rozwiązane, niespodzianką prawie dla nas, i — tyle razy napróżno dotąd stawione zagadnienie: w jakim też przecie upowiciu zadrzemała i drzemie jeszcze niezbudzona w pieśni ludowej Słowian południowych, wielce żywa dawniej niewątpliwie, myśl i pamięć o Polsce?

Któż bowiem nie stawiał sobie podobnego pytania: kto tylko miał sposobność czy potrzebę bliższego zapoznania się z poezją ludową Zadunajców, tak epicką przeważnie; kto miał możność przekonania się, iż ogarnia ona w sobie wszystkie pierwiastki owej straszliwej walki świata słowiańskiego z wdzierającym się w jego łono islamizmem, której tak długo przewodniczyła właśnie Polska? Któż nie dosłuchiwał się tego wyrazu w żywych zwrotach i okrzykach starej jakiej pieśni bojowej serbskiej, ilekroć zdarzyło mu się, cichym wieczorem, gdzieś u strumienia, pod rozłożystym jaworem, na popasie podzielać wyteżone zajęcie się towarzyszków podróży, tłumnie otaczających wędrownego gęślarza? I nikt z nas wszakże, mimo najpilniejszego rapsoarów zadunajskich śledzenia, nie dosłyszał tego wyrazu w pieśni iście ludowej. A przecież sławnem swem „polem Kosowskiem” obejmuje ona wszystkie „poła”, wszystkie niemal i z różnych czasów starej doby pobojuwiska wielkie słowiańskich pobratymców z Turkami; a przecież zna tak dobrze króla Władysława od Warny, jak samego cara Lazara! Co więcej, samo piśmiennictwo Słowian południowych, tak pięknie kwitnące w słynnym Dubrowniku aż do końca XVII wieku, do najszczytniejszych swych utworów poezyi epicznej liczy, jak wiadomo, poematy, opiewające bohaterские walki Polaków z półksiężycem. Liczy „Osmanidę” Gundulicza, sławiącą pierwszą wyprawę chocimską z królewiczem Władysławem, a obok niej Kanawelicza „Jovan So-

bieski" i Boguszynowicza „Obkrużenie Becza" — odsiecz wiedeńską tegoż króla Jana; pomijając już inne mniejsze lub znane późniejszych czasów utwory. Nadomiar tego południowi nasi pobratymcy znają w przeszłości dobrze Polskę, faktycznie; tak pośrednio przez Węgry, jako też i przez bezpośrednie z dziećmi jej zetknięcia po tureckich rozgraniczach i pobojuwiskach. Niepodobieństwem więc było po prostu, aby w pieśni ludów, których cała niemal poezya życia tchnie nadewszystko uczuciem zgrozy i żądzą odwetu względem Turków, samej nazwy owego narodu, co przez tyle wieków chodził z nimi w srogie zapasy, znajdować się pod tą lub inną osłoną nie miało.

W taki oto sposób każdy z nas rozumował, kogo chwilami żywiej ten przedmiot obchodził. Lecz, jakkolwiek robiliśmy założenie najbardziej uzasadnione, jakkolwiek wyprowadzaliśmy wnioski najbezpośredniejsze i najzupełniej proste, byliśmy od rozjaśnienia rzeczy wciąż jednostajnie dalecy. Dowód to tylko, jak mało jeszcze wtajemniczeni jesteśmy w głębiny świata duchowego naszych pobratymców, nawet odnośnie do tego, co nas samych bliżej lub wprost dotyczy; gdy naprawdę klucz do rozwiązania zagadki leżał tuż pod ręką. Odstąpiliśmy atoli niepowodzeniem prób własnych, zwątpiwszy o jakiejkolwiek skuteczności poszukiwań w tym kierunku, skazaliśmy się samochcąc na wyczekiwanie bierne, nim tam kiedy ktoś z pobratymców naszych zagadkę ową, niespodzianką jaką, rozwiąże.

Czekaliśmy długo; ależ nakoniec tak się przecie stało: zagadka została rozjaśniona.

Dokonał tego znany nam dobrze skądinąd, choćby dla bardziej szczerzego zajęcia się naszemi sprawami, profesor belgradzki Stojan Nowakowicz, w rozprawie swej „Ledziangrad i Polacy w poezyi ludowej serbskiej", zamieszczonej przezeń pod koniec ubiegłego roku w „Latopisie Matycy serbskiej" (zw. 120), roczniku, wydawanym w Nowym Sadzie na Wojewodynie (w południowych Węgrzech).

Doprowadziły ku temu pilnego badacza strony ściślej historycznej ludowych pieśni Słowian zadunajskich gorliwe poszukiwania naukowe w celu odgadnięcia znaczenia zagadkowego dotąd wyrazu „Legen”, „Ledjan”, „Ledzian”, jaki oddawna wyzywał napróżno, idącą w zawody, przenikliwość uczonych sławistów, — wyrazu, nietylko dosyć często, lecz, co większa, w najpiękniejszych pieśniach występującego; a przed innemi w znakomitej pieśni o weselu Duszana, owego władcy, w surowo-bohaterskiej postaci którego skupił naród serbski najszczytniejsze swe ideały z głębszej przeszłości. Jest to znana w zbiorze Wuka Karadżycza pieśń 29-ta tomu II-go, śpiewana z rozmaitemi odmianami nietylko przez Serbów, lecz i przez Bułgarów nawet, i przechowywująca w sobie bardzo starą opowieść o swataniu się „silnego” cara w dalekiej obcej krainie „Ledzianu”.

Przy powszechnej czci poetycznej, jaką naród otacza imię ukoronowanego bohatera swej dalekiej przeszłości oraz wszystko, co się z niem wiąże, pytano nieustannie: jakąż przecie być może owa zagadkowa kraina, w której ludowa pieśń każe szukać żony najpotężniejszemu z carów? gdzież jest ojczyzna właściwie owej pięknej carycy — córki „Kralja od Ledziana”? Każdy atoli gdzieindziej takowej dopatrywał. Zwracano się najprzód ku bliższym sąsiadom — ku świetnej Wenecyi, ku Węgrom potężnym; lecz tam i tu napróżno. Z drugiej strony, z powodu, iż nazwa „Ledzian” występuje często w pieśniach ludowych pod postacią „Ledzian-grad”, rozumiano, że grodu tego należy szukać w obrębie starych gniazdowych ziem serbskich, w okolicach sławnego Pryzrenu — jak to wskazywał uczony Kopitar, a później Juryszycz. Ten ostatni w dziele swem „Deczanskj prvenac” ściślej nawet oznaczał miejscowość, wskazując na miasto „Leszok” (Leszek latopisców) w Połogu, niedaleko od Tetowa, na południo-wschód od Pryzrenu, nad górnym Wardarem. Pilniejsze badania atoli wcześniej zwracały uwagę uczonych i ku dalszym krainom. Prowadziły ku temu nieodwołalnie

spotykane wzmianki o „królach ledianskich” nawet u pewnych latopisców starożytnej Serbii; osobliwie u tak zwanego rocznikarza Brankowicza (w Arkiv za jugoslav. poviestnicu III). Uderzał tam (str. 11) szczególnie następujący ustęp charakterystyczny (z końca XIII w.): „Indignatus igitur Dragutin abijt ad socerum suum Vladislavum, Regem Ungariae, narratisque omnibus pervicit, ut Vladislaus magnum exercitum genere suo daret et a fratre suo *Rege Ledianensi* accepit quoque exercitum et pergens ad fratrem” etc.

Zdawałoby się, iż, mając w ręku tak wyraźną wskazówkę, nie można było ani na chwilę wahać się co do rozumienia zagadkowej nazwy, jak i co do charakteru nieodczynnych wyników, z rozjaśnienia onej wypływających. Brakowało wszakże potemu jeszcze środka tak historycznej, jak i lingwistycznej świadomości. Pejaczewicz zatem, który pierwszy zwrócił na ten ustęp uwagę, uwiedziony podobieństwem brzmień, mógł tylko ostatecznie zamącić pojęcia, rozumując w swej „Hist. Serb.” (str. 219): „Ledianorum nomine, opinor, Lithuanos intelligi, quorum fortasse pars aliqua sub fratris degebat regimine”, t. j. że ów „Rex Ledianensis”, domniemany „brat” Władysława (IV), mógł być też zwierzchnikiem litewskim; stąd „Ledian” — Litwa oczywiście. Nie zmieniło podobnego pojmowania wyraźne przeczenie temu takiej powagi, jak P. J. Szafarzyka, który wszakże nic natomiast nie stawiał; ani Kopitara, nie chcącego, jakeśmy widzieli, wyjść z obrębu starych ziem serbskich. Ruwarac, co jeden z pierwszych począł rozważać ludową poezję serbską ze stanowiska literacko-historycznego, przychylił się ku zdaniu Pejaczewicza. Dla tem mocniejszego uzasadnienia owego zdania, uciekł się on nawet do dowodów z zakresu fantazyi historycznej, utrzymując, iż pamięć o Litwie mogła się wśród Serbów przechować z tych zamierzchłych czasów, kiedy to jeszcze przodkowie ich nad Karpatami bezpośrednio z nią sąsiadować mieli! Co, nawiasem powiedziawszy, niewiele kogo raziło i stąd jeszcze, iż, idąc za błędną wska-

zówką u Porphyrogenety, przypuszczano, że Serbowie przybyli nad Dunaj z północno-wschodnich stoków Karpat, nie zaś z wielkiej Syrbii nadłabskiej.

Tłómaczenie powyższe wyrazu „Ledzian” nie dawało atoli możności rozumienia jasnego zagadkowych zawsze zwrotów w odnośnych pieśniach i z konieczności podniecało do ściślejszego rozważenia przedmiotu oraz nowych w źródłach poszukiwań. Dlaczegoż daleka, niesamoistna, więc ledwie znana na południu Litwa miałaby zajmować takie wysokie, takie wyjątkowe miejsce w poezji ludowej serbskiej? — słusznie pytano. Dlaczego owszem miejsca owego zaszczytnego nie przyznałoby z większem uzasadnieniem narodowi, który faktycznie odgrywał przeważną rolę na widowni kilkuwiekowych zapasów śmiertelnych Słowiańszczyzny południowej, właśnie w epoce tworzenia się jej pieśni bohaterskich? Poczęto zatem na nowo zwracać się po rozwiązanie do roczników. Wspominany wyżej latopisiec Brankowicza zawierał jaśniejszą jeszcze od przytaczanej wskazówkę, w dziwny sposób uchodzącą dotąd uwagi. Wyraźnie tam bowiem stoi: „anno 1440 constitutus est in Ungaria rex Vladislav *Ledianin*”. Zatem epitet to narodowy Jagiełłowicza, przyszłego bohatera z pod smutnej Warny, dotąd króla „polskiego” jedynie. Wprawdzie epitet ten mógłby oznaczać, podług dotychczasowego tłómaczenia wyrazu, i Litwiną z pochodzenia; lecz profesor Nawakowicz, który, podniecony uwagami W. Jagicza (*Archiv für slawische Philologie* II, 623), zabrał teraz ostatnie już słowo w tym przedmiocie, wystąpił stanowczo przeciw podobnemu rozumieniu, zbrojny w kombinacye historii i lingwistyki. Wziął on za podstawę swego wniosku proste niezmiernie założenie: oto Warneńczyka poznali Słowianie zadunajscy nie bezpośrednio, jako króla polskiego, lecz przez Węgry; w węgierskiej też postaci lingwistycznej zatrzymać mogli w swym języku i nazwę jego narodową „*Ledianin*”. Wyraz ten bowiem jest widomem, ze słowiańska, przetworzeniem słowa madziar-

skiego „lengyel”. „Lengyel” zaś, jak powszechnie wiadomo, u Węgrów nie kogo innego, jedno Polaka oznacza. Jest to podobnież madziarskie tylko przetworzenie wyrazu Lech, raczej Lęch (Лѣхъ, Ляхъ), jak podaje słusznie Miklosicz (*Die slawischen Elemente im Magyarischen*, str. 39); wyrazu, który służy za nazwę, jaką nam wyłącznie nadają wszystkie ludy Wschodu, ledwie znające dawniej miano nasze właściwe.

Otóż tedy owe tak długo zagadkowe w poezyi ludowej Słowian zadunajskich wyrazy „Ledjan”, „Ledzian”, „Ledzian-grad” nie oznaczają nic innego, jedno ziemię Lechów, Polskę. Tegoż samego znaczenia są wyrazy: „Legen”, „Lean”, „Legen-grad”, spotykane w pieśniach bułgarskich. Najwidoczniej nawet przeszły one razem z odpowiedniami pieśniami do Bułgarów od Serbów, co tem mniej może ulegać wątpliwości, ile że pieśni takowe dają się słyszeć w północnej Macedonii, której ściślejszy pod każdym względem stosunek z Serbią jest dobrze znany. Co zaś do przyrostku „grad”, często występującej przy mianach narodowych, krajowych, nie powinna ona nikogo w błąd wprowadzać, jako wskazująca niby wyraźnie na miasto jakieś: jest to licencya pieśniarska jedynie, lubująca się w podobnem przetwarzaniu gramatycznych form; skąd często Węgry na Madżar-grad przeobrażane. Ciekawa też rzecz, co za nazwę nosi Polska w owych trzech pieśniach bułgarskich, jakie miał przesłać A. Chodźko Akademii Umiejętności w Krakowie, osobliwie w owych dwóch pieśniach starszych, odnoszących się do Warneńczyka.

Mając już rozwiązaną kwestyę nazwy, pod jaką przeważniej występują Polska i Polacy w starożytnych rapsodach bohaterskich u południowych pobratymców, tem swobodniej teraz, tem łatwiej będziemy mogli już przystąpić do zbadania i rozjaśnienia, aż co do odcieni, samego istotnego stanowiska, jakie pamięć naszej przeszłości narodowej w poezyi ludów zadunajskich zajmuje. Wątpliwa atoli, czy

prędko doczekamy się tego, że ktoś z pośród nas zbierze i rozgrupuje należnie pieśni epiczne pobratymców na półwyspie Bałkańskim, których treść odnosi się w większym lub mniejszym stopniu do naszych własnych dziejów lub choćby tylko ubocznie, poetyczno-fantazyjnie, narodu naszego dotyka; następnie zaś ważniejsze z nich przynajmniej naszemu językowi przyswoi i, wspierając się na źródłach, rozświeci jasnym promieniem mglistą ciemnię, okrywającą dotąd zakres duchowo-poetycznej spójni Polski z południem. Będzie to stanowić niemałą dla nas zdobycz duchową w krainie wspomnień z dawno ubiegłej przeszłości, zdobycz nieobojętną w obliczu nawet poważnej potrzeby najwstrętniejszego szerzenia świadomości własnej co do moralnej istoty stosunków naszych z pobratymcami. Boć ani Zamarski, ani inni tłumacze dotychczasowi pieśni serbskich, ani też badacze życia ludów zadunajskich wogóle nie byli jeszcze w możności sprostania zadaniu podobnemu, nie mając dostatecznej potemu podstawy i najgłówniejszego punktu oparcia!

Zanim atoli ktoś ze specjalniej potemu przygotowanych ziomków przedmiot ten ostatecznie z naszego stanowiska wyświeтли, nie będzie zbytecznem, gdy tu na zakończenie powyższych uwag wskażemy, co też przedwstępnie już sam prof. Nowakowicz wypowiedział w zasadzie o znaczeniu wspomnień o Polsce oraz wyżynie poetycznej idei dziejowej polskiej w starych rapsodach bohaterskich jego własnego narodu.

Zaznacza przedewszystkiem uczony serbski samą nieodzowność faktyczną i moralną owego znaczenia, owej wyżyny. Słusznie on mniej świadomym przypomina, że dla Serba „svaki je drag, koj hoće na Turczina”, t. j. każdy dlań drogi, kto gotów na Turka! Tak było wieki całe, począwszy od pierwszej klęski narodowej na Kosowem polu. Wieki całe od czasu tego złowrogiego wypadku, którego bezpośredni następstwem było ciężkie jarzmo bisurmańskie,

zwracały ludy zadunajskie tęskny wzrok wciąż ku północy, stamtąd wyczekując pomsty i zbawienia. Witany był z uniesieniem każdy, kto im niósł nadzieję swobody, nabierał szczytności bohaterskiej i poetycznego blasku każdy, kto odważył się stawzić zbrojnie czoło straszliwej potędze otomańskiej, a coś dopiero, kto miewał szczęście i siłę dzielną odnoszenia nad Turkami zwycięstw! W pierwszej zaś dobie walki rozpaczliwej z półksiężycem, kiedy groźna moc onego zdawała się być nie do skruszenia, chodzili z nim w zapasy Węgrzy i Polacy, a po upadku Budymia Polacy niemal już jedni i nieraz zwycięsko!

Można sobie wyobrazić tedy, jaką aureolą promieniał w wyobraźni i sercu uciemżonych ludów naród, co wyjątkowiej w danej epoce miał na swych chorągwiach znamię krzyża świętego, godło wyjarzmienia; naród, w którego zbrojnych szeregach znalazło najżywsze wcielenie dogasające zarzewie rycerskości chrześcijańskiej; naród nakoniec jednej krwi i blizkiej mowy. Nie mogło nawet być inaczej! Polacy pierwsi zachwiali potęgą otomańską, zwycięstwa pod Chocimiem i Wiedniem okryły imię ich chwałą niespożytą, otoczyły je bohatersko-poetycznym urokiem u pobratymców. Nic dziwnego, że na spragnionem wyzwolenia południu słowiańskiem brzmiały pieśni na cześć bohaterów, coraz liczniej dziś wykrywane; jak w wolnym Dubrowniku powstawały poemata pod natchnieniem powszechnego dla zwycięzców uwielbienia. Gdy w pierwszej dobie walk z islamem przyćmiewa jeszcze w pieśni nieszczęsnego króla Władysława wyniosła postać bohatera Węgiei Hunyada, ulubieńca jej „Sybinjanina Janka”, później już tylko Ledzianie (Polacy) ją zajmują!

Przypomina prof. Nowakowicz, że i sama Polska nie była Serbom obca od dawien dawna. Wskazuje, że znakomity Serbin XV-go wieku, Michał Konstantynowicz z Ostrowicy, bojownik krzyża św. z pod Warny, potem janczar, z przysus, w niej szuka przytułku, a za gościnność obdarza jej

piśmiennictwo znanemi „Pamiętnikami Janczara”. Przypomina, że poeta Miaskowski świadczy, iż gęślarze serbscy znani byli po Polsce od dawnych czasów. Zwraca uwagę i na ślady częstych pielgrzymek duchowieństwa serbskiego po Rusi, „na leszsku zemlu”. Dla nas wskazówki podobne są zbytczne: w potrzebie moglibyśmy Serbom przytoczyć innej wagi dowody, że przodkowie nasi znali się wzajem dobrze od wieków, za pośrednictwem Rusi, a nawet Węgier.

Ale wróćmy do pieśni.

Że przy bliższej znajomości Polski, przy uwielbieniu dla dzielności wojennej jej synów, bohaterowie naszych zapasów z Turkami musieli być zarazem bohaterami pieśni zadunajskich, nic nadto prawdopodobniejszego. Autor rozprawy rad widzieć dowód potemu we wspomnieniach poezyi epicznej pisanej, która, sławiąc „svi poljaczkci krali izbrani, Jageloni, Vladislavi, Kazimiri, Szyszmani” etc., pomiędzy bohaterami narodowymi (jak car Stefan, Miłosz Obilicz, Marko Kraljewicz, Sybinjanin Janko), widocznie spotkała już ich pierwiej w ludowej pieśni. Być to mogło; choć dziś w pamięci pozostały zaledwie imiona króla Władysława (Jagiellowicza) i jego mściciela, „zmija ognistego” (ognena zmaja), króla Jana III. A nadto powtórzyć tu wypada, iż nasz Warneńczyk jest w pieśni serbskiej bohaterem Kosowego pola: opiewa ona „Kad se kralju Vladislave na Kosovo otpravljasz!” Inne zaś imiona już zatarły się.

Przechowało się zato najżywiej idealne w pieśni wspomnienie krainy tej, niemal mistycznej, co wydawała takich dzielnych wojowników, z którymi sami groźni Turcy musieli się liczyć. Urok poetyczny, jakim ją raz pieśń owiała, otacza ją do tej chwili. Zagórska ta bowiem dla Naddunajców kraina, stawszy się raz przedmiotem tęsknoty i nadziei w pośród ich ciężkiej niedoli, porywała ku sobie fantazyę i w innym jeszcze niemniej żywym kierunku. Oto odniosła ku niej pieśń i swe ideały piękna niewieściego,

nakazując bohaterom narodowym szukać sobie towarzyszek życia w dalekim, tajemniczym Ledzianie. Ścisłe fakta dziejowe rapsodystów pod tym względem wcale się nie wiązały. Obok tego, ze zmianą czasów i ideałów zmieniały się same nazwy opiewanych postaci: w starych pieśniach dawne miana historyczne i idealne ustępowały miejsca nowym. Wyznać trzeba, że zapewne w ten a nie inny sposób wystąpiła w pieśni serbskiej taka postać fantastycznej „Petruszy djewojki, córki króla od Ledziana” lub też ów „Ban od Ledziana”, idący w zapasy ze „Zmaj-despotem Wukiem” i inne. Tem niemniej trzeba było niezwykłego uwielbienia dla narodu, w łonie którego kazano szukać, w świecie ideału, oblubienicy samemu Duszanowi!

Później i pamięć rzeczy się zatarła, gdy gwiazda tego narodu była przygasła; dziś życie uśpioną świadomość przeszłości znów rozbudza!

OD GRANICY BOSAŃSKIEJ.

DYAKOWAR (DZIAKÓW).

5 Września.

Nie, niepodobna mi nie podzielić się wrażeniami, jakie mnie tu pochłaniają i niepowstrzymane za daleko może unoszą! Od chwili bowiem jak się stąpi na ziemię horwacką, ogarnia człowieka uczucie, powszechnego tu dziś, uroczyste świątecznego nastroju. Wszystko też, o co tylko potracisz, czego dotkniesz się, oddycha tutaj niewysłowienie żywym przejściem się stanowczością dziejową rozpoczętej za Sawą walki. Naród czuje, że przyszła nakoniec tyle upragniona dlań doba ostatecznego i jedynie zbawczego przełomu w jego bycie historycznym: rozumie to doskonale jego inteligencya, wie o tem instynktem dziki nawet granicznik. Zająęcie Bośni — toć cel najwyższy narodowych dążeń! Nigdzie też nie przyjęto z takim namiętnem uniesieniem radości powołania do broni, jak na pograniczu horwackiem; dla nikogo przejście Sawy nie było tak w całym znaczeniu świętem narodowym, jak dla Horwatów. Mniejsza o widoki szczególne wiedeńskiej czy peszteńskiej polityki — pułki horwackie szły wesoło na krwawą biesiadę, przyśpiewując swoje: „Josz Hrvacka ni propala...” przy nieuciszonych okrzykach „živili!”, jakiemi je wszędy witał i żegnał lud po drodze.

I wszystkie te pułki, co do jednego, już poszły!

Następne wypadki znane są dostatecznie z dzienników...

Horwat jak nigdy nie ludził się łatwością zadania i widział przed sobą nieodzowność arcy-krwawej rozprawy, tak

nie wątpi o jej ostatecznym dla siebie kiedyś wyniku i gotów jest do najwyższych poświęceń. Z radością więc niemal patrzy na powołanie pod broń nie tylko rezerwy, lecz i jego „dobrańców” (honwedów). Ma też słuszość: on bowiem przeważnie decyduje w obecnej chwili o kierunku dziejowym przyszłych losów południowej Słowiańszczyzny, gdy każdy przecie wie, że *ta* kultura tam ostatecznie weźmie górę, jakiej dumna Bośnia poddać się zechce lub musi. A więc wszędy tu spotykasz wytężenie sił narodu, podniesione do najwyższego stopnia.

Łatwo tedy zrozumieć, ile dramatyzmu wśród rozpasanej wrzawy ruchu wojennego, jakiej tu jestem każdej chwili świadkiem.

A mam wszystko jak na dłoni z wysokości mego okna w pałacu biskupim, zwróconego na piękny ogród i główną drogę tuż obok, prowadzącą do Brodu i za Sawę. Nie potrzebuję się nawet wychylać, by widzieć owe różnojęzyczne tłumy i zastępy wojenne, które tędy, jakby wzburzonemi falami, bez przerwy prawie, wałą a wałą — na odsiecz... Nasłucham się też niemało. Mógłbym teraz cały słownik klątw madziarskich ułożyć. Bo i jak tu — proszę — prawemu „Magyarembrowi” nie kląć na świat cały, kiedyby on chciał „baratonowi” Turkowi poskoczyć na pomoc w przygodzie, a tu mu każą iść go bić!? Co gorzej — sam ten baraton nie zna się na sentymentach dlań madziarskich i, jakby naumyślnie, przeciw dywizji Saparego najbardziej rozszalał, że rwie ją a rwie bez wytchnienia; gdy tymczasem „niegodziwe” Horwaty ze swymi Filipowiczami, Jowaniczami siedzą już dawno po Serajewach, Mostarach — i jeszcze się śmieją.

Trzeba zaś wiedzieć nadto, że Horwat jest dumny nie tylko ze swej własnej dzielności wojennej, lecz równie i z dzielności pobratymca — przeciwnika. Onby się naprawdę rumienił ze wstydu, jak za samego siebie, gdyby „Turczyn” bosański bił się mniej sławnie, niż się bije.

To, co w Wiedniu — gdzie doprawdy dziwią się „ciemnocie” Bośniaków, nie chcących rozumieć dobrodziejstwa ofiarowanej im tak „wspaniałomyślnie” cywilizacji niemieckiej — co tam, powiadam, uchodzi za „wilder Fanatismus”, „Barbarei” etc. — dla Horwata jest „junactwem” (bohaterstwem). Ma on z Bośniakiem swe rachunki dawne, przedwieczne; wie, że tylko krew je zmaże; ale rachunki to „braterskie”, nic obcym do nich; a że pobratymiec w ostatniej chwili swego odrębnego bytu tak bitnie nawałnicy stawia czoło, więc i jemu samemu rośnie stąd serce. Nie może więc nikogo dziwić, gdy przy uniesieniu wojennem spotykają się tu co krok wyrazy uwielbienia dla dumnej szlachty Bośni „ponosnej”. Turcy, jako Turcy („Osmanlii”), nikogo tu nie obchodzą: tych się przyjaźni Madziarów poleca.

Dworuje się też niemało z tego, jak się sromotnie polityka peszteńska na Turkach zawiodła, rozumiejąc, że się to tak na raz, ni stąd — ni zowąd, bez poprzedniego, za pośrednictwem Horwatów, szczerego porozumienia, da zająć Bośnię „po przyjacielsku”, bez boju i krwi przelewu. Użala się, iż zapomniano o bucie muzułmańsko-szlacheckiej begów, którą w swej porze ukołysać było nietrudno; lecz ukołysać było nieodzownem, nie doczekując ostatniej chwili, kiedy już przeciwnicy Austrii mieli czas rozdmuchania po całej Bośni uczucia narodowego przeciw „Szwabie”, jakim to mianem wzgardliwem piętnuje się tam dotąd wszystko ces.-kr.-austriackie.

Chce rząd austriacki zato popełnioną omyłkę co tchu naprawić teraz i porusza wszystkie swe siły, jakie ma pod ręką. Idzie więc tedy w chwili obecnej żołnierz najrozmaitszy, tak co do broni, jak narodowości: idzie zaś każdy z różnym animuszem. Oczywiście, nikt z dalszych nie dzieli ani zapалу horwackiego, ani madziarskiej zawziętości.

Najbliżsi może z usposobienia czy nastroju do Horwatów są mazurscy młodzi chłopcy. A miałem ich tu wczoraj też przed oczyma — skądś od Sanu. Wisusy — całą noc

mi spać nie dawali, pokrzykując z pobliskiej gospody, przy swych sielskich piosenkach, raz-po-raz wcale wojennie: „Pójdę ci ja na wojenkę, pójdę!” Ale to tylko krew gra młoda; a przytem wino sławońskie takie doskonałe, dziewczęta na Posawinie takie hoże, a w obecnej chwili zbrojnym gościom tak tu radzi. Zresztą wiadoma rzecz, jakim poetą staje się odrazu nasz chłopak, gdy mu się karabin w garść dostanie.

Ruś daleko ciszej usposobiona. Spotykam Stanisławowców na kolei żelaznej w Zagrzebiu już w wagonach do odjazdu; tłumy zgromadzonego świątecznie ludu wołają im bez przerwy „živili!” Żołnierz milczy uporczywie, czasem tylko dolatuje odeń mrukliwa uwaga: „Nechaj sobi hołosiati!” Pytam więc jednego: „Co to wy się, chłopcy, Turka boicie?” — „Ta my nijakoho czorta nie boimosia, ale... ale żyńki i dity u chati zostawiliśmy!” — była odpowiedź. Dowiedziałem się, iż to szła rezerwa, złożona istotnie po większej części z ludzi żonatych.

Słowak również idzie spokojnie i bez odgrózek, a bić się napewno będzie dzielnie, jak zawsze, i milczeć będzie; a tymczasem podżartowuje z cicha z przyjaźni madziarskiej dla Turka.

Wogóle zaś nawet wojska, idące obecnie na odsiecz — i te są przeważnie słowiańskie; mniejsza, że pułki tu numerami lub mianem niemieckiego dowódcy przezywają. Aż miło patrzeć na żołnierza — takie to wszystko śliczne! Aż łza się jednak nawija na oku, boć to, koniec końców, idzie na krwawą biesiadę bratobójczą...

Do Serbów też za to mają tu teraz urazę głęboką. Przekonali się przecie Serbowie — żalą się Horwaci — jakich to potrzeba sił na zajęcie Bośni; że z bogami, mogącymi w ostatecznej chwili zawsze liczyć na Stambuł i Arnautów, niełatwa sprawa; że nigdyby oni (Serbowie) nie byli w stanie pokonać swych śmiertelnych karmazynowych dawnych wrogów, gdyby im nawet Europa na zajęcie Bośni była

pozwoliła! A cóż dopiero mówić o uorganizowaniu, o ucywilizowaniu kraju? Skąd Serbom zdobyć się na takie siły inteligencyjne, kiedy ich brak u siebie w domu czują? Wreszcie Europa odmówiła im wcale mandatu... Po jakiego więc licha dzisiaj, gdy się fortuna uśmiechnęła Horwatom, stawiać im zapamiętałe tyle przeszkód w zajęciu, samo przez się już niełatwem, Bośni? Jakiem czołem zasłaniać się i tłómaczyć tem, że tu się stawia tamę jedynie wylewowi obcyzny, tamę Niemcom i Madziarom; gdy przecie lada dziecię wie, że to sprawa szczerzo-słowiańska, horwacka, i że wrogi Słowiańszczyzny w Austryi z musu jedynie zwrócili się w tę stronę, w której dla siebie chmury tylko w pioruny ciężarne dopatrywać mogą?! Tem zaś to gorsze, że Serbowie występują tu skrycie i podstępnie, umywając ręce od roboty!

Coby na to Serbowie potrafili odpowiedzieć — mniej-sza; można ich łatwo zrozumieć i darować im wiele, gdy się widzi, że właśnie chwila ta obecna decyduje, na wieki może, o hegemonii w łonie Słowiańszczyzny południowej, o supremacyi moralnej nadal Zagrzebia nad Belgradem i o rozwianiu się na raz jeden wszystkich dotychczasowych ideałów i marzeń „Omladyny”.

Niedaleka przyszłość przyświadczy temu.

Lecz i dziś już stanęli Horwaci nieskończenie silniej, niż kiedykolwiek przedtem, przy swej chorągwi trójjedynego królestwa: Kroacy — już z Krajną, Dalmacyi — już z Hercegowiną i Sławonii — już z Bośnią. Stanęli — i nie odstąpią napewno od swego ideału, mając niezachwianą nadzieję, że złamią wszelkie moce złowrogie w postaci Madziara i Niemca i po latach kilkunastu dojdą do polityczno-narodowej, pod Habsburgami, jedności...

Tymczasem krzątają się żywiej koło swego moralnego centrum: koło akademii i uniwersytetu w Zagrzebiu, koło szkółek ludowych, żeby też mieć więcej dać co z siebie potem i dorastającej dziatwie agów boszańskich i begów.

W obecnej chwili właśnie odbywa się w Osieku, stolicy Sławonii, zjazd nauczycieli ze wszystkich ziem horwackich, aż do Dubrownika.

Jednocześnie odbywają się po całym kraju wrzawne wybory sejmowe.

Życie wszędy tryska.

WOŁOSZA. *)

WOŁOSZCZYNA.

Nazwa „Wołoszczyzna“, niekiedy „Wołosza“, występuje u nas w wielorakiem znaczeniu: najprzód, jako termin bardziej etniczny, stosuje się ona do całego przestworu ziem, zajmowanych przez ród wołoski (rumuński) przed i za Dunajem, potem do dwóch, razem wziętych, historycznie znanych „hospodarstw“ wołoskich, Mołdawii i Multan, zjednoczonych ostatecznie jako obecne królestwo Rumunii, nakoniec nadawano ją rzadziej pierwszemu z tych gospodarstw, jako reprezentującemu wobec Rzpltej, przez ściśle zespolenie, tak geograficzne, jak i historyczne, z obszarem jej ruskich prowincyi, całą Wołoszę. Rzeczywistą wagę faktyczną atoli posiada przedewszystkiem to ostatnie znaczenie; wobec czego Wołoszczyzna była dla nas krainą, leżącą u południowo-zachodniej granicy Rzpltej, pomiędzy Dniestrem a górami Karpackimi, od Pokucia aż do ujść Dunaju. Nosila kraina ta jeszcze inną szczególną nazwę, mającą swe uzasadnienie nie tyle w geografii, ile w genezie historycznej ludu, mianowicie nazwę Mołdawy (nigdy Multan;) była takowa wszakże u nas dość rzadko w użyciu. Przeważała bezwarunkowo nazwa ogólna. Z całego świata bowiem rumuńskiego Wołosza mołdawska jedynie wchodziła w sferę życia Rzpltej, była dla niej samą Wołoszczyzną. Ta część Wołoszczyzny była

*) Słownik geograficzny, t. XIII.

zespółona z Rzpltą licznymi węzłami stosunków geograficznych, tradycyi dziejowych, potrzeb polityki, obronności przemysłu, potrzeb moralnych nakoniec.

Pod względem *geograficznym* stanowi Wołoszczyzna nieodzowne jakby dopełnienie czerwieńskich ziem ruskich Rzpltej. Spływa ona niejako od wierzchowisk Seretu i Prutu, kryjących się na ruskim Pokuciu, łożyskami tych rzek pomiędzy pasmem Karpat, od huculskiej Czarnohory ku południowi idącym, oraz Dniestrem podolskim ku ujściom rzek tych jedynie, do morza; w obliczu których to ujść i same Karpaty, jakby umyślnie, zwracają się nagle na zachód, odsłaniając tam dzielnicę geograficzną już inną, dunajską. Same zaś gardziele („hirla”—z ruska) dunajskie są raczej ujściem Seretu i Prutu, nie Dunaju, dosyć rzucić okiem na nie. Mają one z Dunajem dzisiaj wspólną deltę jedynie, podobną do tej, jaka się w inny sposób wytwarza dla Padu i Adygi w Lombardyi. Zresztą pierwotne ujście Dunaju wcale nie zataczało się przed wieki dokoła granitowej wyżyny Dobruczy na północ, jak obecnie, lecz przedzierało się najniewątpliwiej południowym rębem tej wyżyny, wprost linią Czarnowody, ku morzu, gdzie Kustendża. Jakkolwiekby Seret z Prutem w takim stopniu tylko należały do Dunaju, ile Boh do Dniepru, że się ich limany spływają. Wołoszczyzna mołdawska nie należy więc wcale, ściśle biorąc, do geograficznego obszaru dunajskiego, który w tej stronie, topograficznie nawet, kończy się na linii Milkowa, wpadającego do Seretu, nieco wyżej jego ujścia. Zatem, rozciągająca się poza tą linią, między południowemi Karpatami a dolnym Dunajem, Wołosza podgórska, multańska, dziś wyłącznie Walachią zwana, nie stanowi zupełnie, pod względem geograficznym, jakiejś jedności z Wołoszczyzną mołdawską. Przeciwnie nawet, o ile tamta przez Dniestr zespala się z Rusią czerwieńską, boć przecie nie powód to rozbitcia całości geograficznych, że Dniestr w średnim swym biegu z prawej strony nie otrzymuje dopływów, o tyle multańska Walachia stanowi w wyż-

szym o wiele stopniu jedność topograficzną z Bułgaryą, jako dzielnicę jednej doliny niższo-dunajskiej, między Karpatami i łańcuchem Bałkanów; całość tak jednolitą, jak dolina Lombardyi po obydwu brzegach Padu, od Alp do Apeninów. Wobec czego Wałachia ściślej niż z Wołoszczyzną zespolona jest geograficznie z Transylwanią, nawet stamtąd bowiem wypływa główna jej, po Dunaju, rzeka Aluta, spuszczająca się ku nizinom przez wąwóz Czerwonej Wieży. Niezależnie tedy od wszelakich legend dackich, od spójni późniejszych etnologicznych, od obecnego zespolenia dzielnic wołoskich w dzisiejszej Rumunii, Wołoszczyzna stanowiła dopełnienie ziem ruskich Rzpłtej za Jagiellonów tak dobrze, jak stepy czarnomorskie między Dniestrem a Dnieprem. Dzieje same prowadziły ku temuż rezultatowi. Oto w połowie IX w., w epoce pierwszego wyraźniejszego zawiązania się rzeszy politycznych pod sterem Piastów i Ruryków, na całym dorzeczu Dniestru, aż do morza, siedzieli Tywercy słowiańscy, pokrewni karpackim Horwatom i Dułebom wołyńskim. Lud ten, zajmujący obydwie brzozy starożytnego Tyrasu, wchodzi z czasem w spłot potężnie wznoszącej się w Kijowie szerokoramiennej ruskiej rzeszy; następnie, po rozszczeniu się Rusi, kraina, przez ten lud zamieszкана, staje się dziedziną książąt dzielnic halickiej. Władza tych książąt sięga niejednokrotnie daleko na południe, i na początku drugiej połowy XII w. powstaje nawet w Berładzie, na dopływie Seretu, na chwilę dział odrębny, do którego należą grody: Tekucze i Mały Halicz (późn. Galacz). Czy jednak osady Tywerców, a następnie i posiadłości pierwszych książąt halickich, sięgały z biegiem dolnego Dniestru i Prutu aż do wyżyn Karpat siedmiogrodzkich, rzecz wątpliwa; najprawdopodobniej cały pas bliższy wschodnich pochyłości tego łańcucha gór zostawał dalej przytuliskiem jakiego odłamu Daków, ocalonych od pogromu Trajana i zromanizowanych nawet może nieco przez starożytnych władców tamtych krain. Wszelkie atoli stalsze

przez kogokolwiek bądź zasiedlenie było na długie czasy wprost niemożliwe. Dolne Podniestrze, ku Dunajowi, leżało na samej linii wielkiej drogi stepowej, po której koczownicze ludy azyatyckie, w niepowstrzymanym swym wylewie, przesuwwały się przez wieki całe ku wnętrzu Europy, wypierając się wzajem kolejno. Nie mogła się też tu mocniej ustalić i władza rуска. Półtora wieku koczowali tu Pieczyngowie, tak, że Zadniestrze, kraina nad Prutem i Seretem, otrzymała od nich u kronikarzy nazwę „Pacinatia”; w połowie zaś XI w. Pieczyngów tych spędzili stąd nowi przybysze ze stepów zadnieprzańskich, Połowcy, czyli Kumani, czystej krwi turskiej, jak i ich poprzednicy.

Namioty połowieckie okrywały stepy zadniestrzańskie podobnież z górą półtora stulecia, od którego to czasu dawna „Pacinatia” przybrała nazwę Kumanii. Co tem słuszniejszym się stało, iż nawała mongolska, po fatalnej porażce nad Kalką, wyparła (1225) i koczujące na stepach Podnieprza hordy połowieckie również za Dniestr. Ale niebawem i nad Zadniestrzem zawisła burza. Zmysł samozachowawczy nakazywał Połowcom zespolic się z Zachodem, przede wszystkim węzłami moralnemi, przez przyjęcie chrztu. Chan ich ówczesny, Bart, nie wahał się. Na jego prośbę arcybiskup strzygoński Robert otrzymał od papieża rozkaz zajęcia się nawróceniem pogan; Teodoryk zaś, przeor dominikanów, którzy arcybiskupowi w tem najwięcej pomagali, został 1228 roku wyznaczony na biskupa Kumanii. Nadto posłał papież błogosławieństwo do nawracania pogan królowi węgier. Andrzejowi II, którego syn Bela IV poczał (1236 r.) tytułować się nawet królem Kumanii. Atoli nowa nawała mongolska (1241 r.) zniweczyła wszystko do szczytu. Kumani całą hordą uszli z nad Dniestru na Bułgary i do Węgier, częśćka ich tylko ukryła się w górach.

Opuszczona przez koczowników połowieckich kraina nie przestała mimo to nosić nazwy Kumanii. Zaległa ona była odtąd pustynią, Mongołowie bowiem niedługo się tu

trzymali, koczowiska ich ponad Prutem i Seretem znikwały powoli. Po upływie zaś wieku od wypędzenia Połowców zwycięstwo Kazimierza W. nad Tatarami podolskimi pod Lublinem 1344 r., a następnie rozгромienie przez jego siostrzeńca Ludwika 1352 r. tych, co pozostawali jeszcze w Siedmiogrodzie, stanowczo uwolniły i Zadniestrze od owych najświeższych przybyszów azyatyckich, którzy poczęli odtąd skupiać przeważnie siłę swą w Krymie.

Bogate w skarby przyrody ziemie Kumanii nie mogły dłużej pozostawać bez zaludnienia; bogactwa te same wabiły sąsiadów. W najodpowiedniejszych dla zajęcia ziem kumańskich warunkach znajdowali się teraz Wołosi; oni też niebawem zajęli opuszczoną przez Połowców i Mongołów Kumanję.

Nowi ci przybysze znani już byli od wieków w sąsiedztwie. Nazwy „Wołoch”, „Włach”, „Wlach” nadawali wogóle Słowianie, idąc w tem może za przykładem Germanów, najprzód ludom szczepu celtyckiego, z biegiem czasu zromanizowanym przez wszechwładców starożytnego świata, a następnie wszelkim ludom romańskim bez różnicy krwi pierwotnej, a więc tak dobrze Italom, jak i innym. Wnosząc z tej nazwy, musieli być ci nowi przybysze na puste kumańskie Zadniestrze plemieniem szczepu romańskiego. Byli takowem w rzeczy samej, z tą wszakże różnicą, iż nie powstałi oni, jak zachodni ich współplemieńcy, z pnia italskiego lub celtyckiego, lecz wyrosłi z gałęzi trakoillirskiego odłamu ludów aryjskich. Wyrośli nadto na miejscu w południowym swym odłamie na obu stronnych stokach szerokoramiennych pasm Hemu; w północnym zaś na pochyłościach, zataczających się półwieńcem ku średniemu Dunajowi, Karpat dackich. Tu i tam pod nieprzewyciężonym parciem wpływu rzymskiego.

Proces historyczny *romanizacyi* tego ludu znany jest dostatecznie. Po dokonaniu takowej u plemion odłamu południowego już w pierwszej dobie cesarstwa przyszła ko-

lej i na Dacyę, rozpostartą po obydwu stronach pasma górskiego, pomiędzy dolnym Dunajem, Cisą i Dniestrem. W ostatecznym wyniku wojen eksterminacyjnych cesarza Trajana oraz systematycznej następnie kolonizacji zapanaowała i tam wszechwładnie, jak pierwiej wśród ludów Galii, Iberyi etc., kultura i mowa zwycięzców. Czy przecie wylew romanizacji sięgnął wtedy aż Dniestru, rzecz wątpliwa.

Gdy przyszła wielka wędrówka ludów barbarzyńskich, władza rzymska za następców Trajana musiała się cofnąć na prawy brzeg Dunaju; nie mogąc bronić Dacyi, odwołano legiony i osadników. Dakowie zromanizowani woleli wszakże, w znacznej części, szukać schronienia w kotlinach i halach gór ojczystych, niż opuszczać kraj rodzinny. Odkąd zaś doliny naddunajskie i naddniestrzańskie stały się szerokim gościńcem coraz zmieniających się kolejno hord barbarzyńców, góry te zostały kolebką, w której dzieje wykołysały w ciągu długiej pomroki wieków nowy, nieznany odłam wschodnio-romańskiej, czyli „wołoskiej” narodowości. Kotliny siedmiogrodzkie Dacyi transalpińskiej były Wołochów kolebką istotniejszą nawet, niż kotliny i stoki starożytnego Hemu.

Zresztą świat ten karpacki bliżej nas też obchodzi. Niemniej przeto do szerokiego zakresu Wołoszy wogóle należy historycznie i etnograficznie i świat *bałkański*, nie przedstawiający wszakże geograficznie nigdzie znaczniejszego skupienia gałęzi tej etnicznej. Zromanizowane plemiona bałkańskie, których przyjęta od Słowian nazwa „Vlachs” zjawia się jednak u byzantyjskich pisarzy nie wcześniej jak na początku XII w., były istotnie rozproszone po całym półwyspie, błakając się od wieków ze swemi stadami, jak i dotąd jeszcze po części, nietylko po wyżynach Hemu i Pindu, lecz i po Helladzie. Przy powszechnem zaś rozproszeniu, każde ich znaczniejsze gniazdo z osobna otrzymało u Greków nazwę „Vlachia”, tak w życiu pospolitem, jak i w urzędowych aktach. Stąd w ciągu wieków średnich

spotykamy na półwyspie Bałkańskim przeróżne Włachie, rozrzucone bez żadnej spójni i jakiegoś narodowego środowiskowego ogniska. Tak pomiędzy XII a XV w. istniały na południu półwyspu: „Vlachia Wielka”, które to miano nadawano ówczesnie starożytnej Tessalii; „Vlachia Mała”, czyli dawna Etolia, oraz „Vlachiotis” — Epir. Na Bałkanach zaś i dolnym Dunaju istnieje w ciągu XIII i XIV w. całe państwo „włacho-bułgarskie”, czyli tak zwane carstwo bułgarskie drugie, ternowskie. Chociaż nie da się w niem wydzielić Włachii, jako krainy osobnej, widać, iż tu Wołosi byli bardziej jeszcze wśród Słowian rozproszeni; znaczenie ich niezaprzeczone, ale nie oparte na podstawie terytoryalnej. Akta i dokumenta urzędowe, greckie i łacińskie, podając wciąż nazwy: Blachia, Vlachia, Valachia, osobnej przecie tego miana ziemi, miejscowości, nie wskazują. Rubriquis w swem sprawozdaniu r. 1524 zaznacza tylko, jako uległą Tatarom, poza Dunajem, ku Konstantynopolowi, Wałachie, która jest ziemią Assana, i mniejszą Bułgaryę, nic bliżej nie określając.

Ale też i w świecie karpackim, w owej, bardziej istotnej, jakeśmy już na to wskazali, kolebce Wołoszy, występuje ona pierwotnie podobnież nie w zwartym zastępie, lecz rojnemi, wśród innych żywiołów, gniazdami, krzepnąć pozwoli w ciszy kotlin ustronnej Transylwanii, osłoniętej z trzech stron prawie łańcuchami gór.

Wszakże i przy warunkach górskiego zabezpieczenia, lud ten dako-rzymski, romański, wołoski, nie mógł się jednak rozwijać samoistnie, swobodnie. Koczownicy wprawdzie nie tknęli go prawie, ale natomiast nie był on w stanie uchronić się od niepowstrzymanego wylewu Słowiańszczyzny. Przenikali Słowianie wszędy różnemi drogami, torowanemi pługiem i mieczem, pod przewodnictwem własnych wojewodów; najczęściej zaś pędzeni tłumami naprzód przez napierających na nich Gotów, Hunnów, Awarów. Przeniknęli też i w dawne Daków siedziby; jeśli już odda-

wna, co najprawdopodobniejsze, nie zajmowali spolem z nimi górskich siedzib. Wytwarzająca się w ostępach Karpat południowych nowa narodowość romańska przesiąkła tedy na wskroś słowiańskością, a nawet na długie wieki słowiańską powłoką całkiem została przysłonięta. W etnicznej onej stąd genezie, do dwóch poprzednich pierwiastków: dackiego i rzymskiego, przyłączył się jeszcze trzeci, słowiański. Lecz najbardziej stanowczym pośrednikiem owego wpływu tak przeważnego Słowian na zromanizowaną do szczytu ludność starożytnej Dacyi było plemię turańskie Bułgarów (Bólgarów).

Bułgarowie, przybysze od Wołgi i Kamy, stanawszy raz nad Dniestrem, zagarnęli najprzód pod swe koczowiska całą podgóorską Dację, a następnie przeszli przez Dunaj, przekroczyli Balkany i powstrzymani zostali dopiero u murów samego Carogrodu. W podbitych krainach zastali oni już przeważającą ludność słowiańską; zakładając tedy potężne carstwo, sami się stali Słowianami i odtąd będą najgorliwiej popierać sprawę narodową swych poddanych. Do spójni politycznych przybyła silniejsza od nich spójnia moralna, religijna; nowopowstała cerkiew bułgarska była właśnie cerkwią słowiańską, posiadającą swój odrębny obrządek i samorząd. Carstwo bułgarskie, chociaż odwzorowujące u siebie porządki byzantyjskie, wytworzyło nadto własny swój systemat polityczno-społeczny, na silnem możnowładczem „bojarstwie” oparty. Wszędzie więc, gdzie tylko sięgało zwierzchnictwo Bułgarów, wznosiła się świątynia dla słowiańskiego obrządku, rozgospodarowywali się carscy bojarowie. Stało się to oczywiście i w ziemiach najprzód przez Bułgarów zajętych, to jest w starożytnej Dacyi, tak naddunajskiej, jak niemniej i zagórskiej, transalpińskiej. Ludność jej wszelka, a więc i owa zromanizowana obok słowiańskiej, musiała przyjąć naprzód bułgarskie bojarstwo usłowianione, potem obrządek słowiański, a nareszcie cały tryb społeczny bułgaro-słowiański, z panującym w cerkwi, urzędzie i do-

mach możliwych językiem słowiańskim. Romanizm pozostał udziałem warstw najniższych; na wyżynach życia dziejowego długo nie widać go zupełnie. Stara Dacya pociągnięta została przez Bułgarów na wieki całe w odmet życia świata południowo-słowiańskiego. Taki stan rzeczy zastali Madziarowie, gdy ostatecznie pod koniec IX w. przekroczyli Karpaty i, przed rzuceniem się na równiny Pannońskie, poczęli się sadowić mocno w Transylwanii, którą razem z dzisiejszą Wałachią Grecy nazywali nawet Bułgaryą zadunajską.

W Bułgarii tej północnej, „ardelskiej”, pomiędzy Cisą, w całym biegu onej, a południowo-wschodnim łańcuchem zataczających się półwielcem ku niej Karpat, zastali Madziarowie udzielne słowiańsko-wołoskie księstwa. Zagarnawszy je pod swe panowanie, nie wprowadzili oni tam narazie żadnych zmian stanowczych w położeniu ludności miejscowej, romańskiej. Kraina ta, Transylwanią, Erdelem, też Ardelią od Turańców zwana, wieki całe przechowała swój obrządek słowiański w cerkwi, swój język słowiański w możnowładczych stosunkach. W niedostępnych zaś gór czeluściach zdołały tu wytworzyć się z czasem i utrzymać, w stanie napół niezależnym nawet, małe odrębne dzielnice, jak: Marmarosz na północy, Fogarasz — u wierzchowisk Aluty na południu. Mimo wszystko, żywioł słowiańsko-romański, ze swym właściwym obrzędem, trzymał się tam mocno; owszem, w czasie późniejszych nawet nawałnic, ze strony nowych stepowych najeźdźców, górską Ardelia była i dla mieszkańców równin ostatnim zwykle przytułkiem.

Nie znaczy to zupełnie, aby zwierzchnictwo Madziarów nie miało być tam uciążliwe wcale. Katolicyzm występował tu bardzo wojowniczo, pociągając ku sobie coraz bardziej miejscowe możnowładztwo wołosko-słowiańskie, zmuszane samą nieodzownością swego położenia do ściślejszego zbliżania się z przewodniczącym pierwiastkiem narodowym w ziemiach, podległych koronie św. Szczepana. Nie wszystko jednak ulegało przemożnemu kierunkowi: dla niechętnych

nowym porządkom rozwarły się z czasem szerokie wrota wychodźstwa.

Wyrosła w ciągu kilku wieków pod osłoną ciszy gór ludność wołoska, sama sobie ogólną nazwę „Rumunów”, „Rumynów” nadająca, spotężniawszy liczebnie, poczęła po uspokojeniu się stanowczem groźnych ruchów koczowniczych (Mongolów), pod przymusem wymagań życia samego, rozszerzać się we wszystkie strony. Najprzód wylew osadniczy zwrócił się z biegiem strumieni i rzek górskich, ku żyznym nizinom pochłaniającej je Cisawy. Ułatwiało to jednosc zwierzchniczej władzy potomkom Arpada. Poza obrębem więc gniazdowej ziemi Wołochów, zagórskiej, zapłonińskiej, u południowych Słowian poczęły powstawać nowe osiedlenia wołosko-słowiańskie, pod opieką węgierską. Wzmogło się najprzód dawne, w banacie Temeskim, nad Temeszem, wpadającym do dolnej Cisawy, a z kolei, po przekroczeniu Wrót Żelaznych, powstało takowe w banacie Zewryńskim, czy Krajowskim, nad Dunajem, aż do Aluty, zależnym pierwiej od Bułgarów, potem od Templaryuszów.

Przewodnictwo w ruchu wychodźczym ku Dunajowi ujął w swe ręce przeważnie możny ród *Basarabów*, pewnie jeszcze z dawnych bułgarskich bojarów pochodzący. Nazwa jego powstała jakoby z przetworzonego przezwiska, jakie nadano protoplastom onego, za dodawanie stałe, przy podpisach, imienia bogobojnego epitetu: „Boży rab” — sługa Pański. Gdy tedy jedna z gałęzi onego, korzystając z opuszczenia przez koczowników nizin naddunajskich, zajęła ze swym ludem poddanym krainę do Olty (Aluty), z tego powodu wyłącznie pierwotnie *Basarabiem* (Bessarabią) zwanej; druga gałąź, posiadająca w górach południowej Ardelii państwo Fogarasz (Wakarasz), przeszedłszy na południową pochyłość gór, zwróciła się w połowie XIII w. ku Dunajowi z biegiem Dembowicy, przenosząc główne swe siedlisko coraz głębiej z podgórskiego Kimpolungu, przez Targowiszczę (Tergowiste), do nadolnego Bukaresztu (Bukoroszcza).

Na czele tego wychodźstwa stał dzielny Raduł (Radosław) Czarny Basaraba, który, korzystając z okoliczności, stał się prawie niezależnym (tak od Węgrów, jak od Bułgarów) panem całej przestrzeni pomiędzy południowemi Karpatami i dolnym Dunajem, gdzie już go były poprzedziły napewno dawniejsze, od Bałkanów nawet, wychodźstwa i osady pobratymców.

Lud, któremu Raduł przewodniczył, był górskim; przychodził ze starożytnej Dacyi transalpińskiej, transylwańskiej, „zapłonińskiej”; zwał się sam i był zwany przez pobratymców dalej w dolinach osiadłych („a montibus”) wyłącznie *Montanami* (góralami). Z pozorną tedy sprzecznością a przecie zupełnie konsekwentnie, cała północna, zajęta przez nich, nizina dolnego Dunaju otrzymała z tego powodu nazwę Montanii, Muntanii, skąd „Multan” u Polaków, a „Cara Munteniasca” u swoich. Wojewodowie zaś tej krainy przybierali tytuł „transalpińskich” w aktach, pisanych po łacinie, albo też „ungro-wlachijskich”, gdyż Grecy, mając przed oczyma całe potężne państwo Bułgaro-Vlachów (t. zw. drugie bułgarskie), a nadto lud Makedo-Vlachów i inne, dla wyróżnienia dali jej nazwę „Ungro-Vlachii”. Chociaż sami Węgrzy początkowo zwali ją tylko „Hawas afléd” — ziemią ze śnieżnemi górami. Miano zaś dzisiejsze „Walachii”, „Wołoszczyzny” niby *per excellentiam*, otrzymała kraina ta od swych bezpośrednich sąsiadów obcego szczepu, a następnie i na Zachodzie, dopiero później. Przodkowie nasi nazywali Wołochy naddunajskie Multanami, rządców zaś onych nie inaczej, jak „multańskimi hospodarami”.

Dzisiejsza nazwa „Valachia”, początkowo, przez Węgrów szczególnie, na oznaczenie podwładnej im dzielnicy wołoskiej używana, a która obecnie nadawana jest przez obcych Multanom, ustaliła się wogóle w swej wyłączności bardzo późno, gdy naprawdę, po ostatecznem prawie unicestwieniu się ludności południowo-wołoskiej za Bałkanami,

po zdeptaniu jej politycznego bytu w Siedmiogrodzie a przy stałym dążeniu Mołdawy ku Rusi, podkarpacka nizina dolnego Dunaju stała się głównym ogniskiem narodowości wołoskiej. Ustaliła się zaś ta nazwa w ogólnej swej postaci, „Vlachia”, „Valachia”, przez usunięcie nadto w pierwotnym mianie („Ungro-Vlachia”) pierwszego składowego wyrazu, świadczącego jedynie o dawnej jej zawisłości od Węgier. Pierwotnie zaś nazwa ta w ogólnej swej postaci była nawet niemożliwa; nazwa bowiem Vlachii nadawana też była dawniej innym krajom.

Pomiędzy XII a XV w. istniała więc za Bałkanami nie jedna Vlachia: w Tessalii, Etolii, Epirze. Było też rzeczą wielce naturalną, że nowopowstającej Wołoszy multanńskiej nie dano odrazu nazwy Vlachii, lecz Ungro-Vlachii jedynie, lub też Białej Vlachii, która to nazwa, zdaje się, stosowała się pierwiej do Wołochów mezyjskich (bałkańskich), następnie zaś do mołdawskiej Wołoszy, która dla nas była Wołoszczyzną *per excellentiam*, przypadła nazwa Czarnej Vlachii. Turcy utrzymali tylko miana greckie, nazywając Multany Ak-Iflak, Mołdawę zaś — Kara-Iflak albo „Bogdan”, od miana panującego rodu gospodarów. Sami zaś (późniejsi) hołdownicy Rzpltej zwali się najczęściej: „wojewoda wołoski, gospodar ziemi mołdawskiej”, w tytule tym urzędowym słowiańskim łącząc razem etniczne i geograficzne miano swej ziemi.

Zagórscy, „muńtańscy” Wołochowie, dotąd poddani czy hołdownicy Węgrów, z początkiem XIV w. wyzwalają się od nich stopniowo i po ustąpieniu hord koczowników posuwają się niepowstrzymanie z biegiem Dunaju, aż ku jego gardzielom i poza nie nawet, ku brzegom dobruckim, do morza Czarnego.

Potęźniej zaś do tego stopnia, że pod koniec tegoż wieku jeden z potomków Raduła Basaraby, Mircza, już się tytułuje: „wojewoda Transalpinus (Multan), Tfogaras et Omlas dux (gniazda pierwotnego na Siedmiogrodziu), Se-

verini comes (banatu Krajowy) terrarumque Dobrodictii (Dobruczy) despotus”.

U ujść Dunaju spotkali się też Muntanie z pobratymcami, od północy idącymi.

O ile spotężnieni w swem prastarem siedmiogrodzkim gnieździe Wołochowie posuwali się z jednej strony ku południowi, o tyle z drugiej nie zaniedbywali też okoliczności, sprzyjających wylewowi ich na północ, ku właściwym już siedzibom plemion słowiańskich. Usadowili się oni najprzód, mocno i niezależnie prawie, w ostępach górskich Marmaroszu, na północy Ardelii; gdy zaś Kumanowie opuścili wierzchowiska Seretu i Prutu, przeszli przez grzbiety gór Karpackich na drugą onych pochyłość i, szukając coraz nowych, żyzniejszych pastwisk, poczęli się wylewać z biegiem rzek ku południowi, na spotkanie z pobratymczymi Muntanami Basarabów. Oczywiście wyjście takie, taki exodus, powrót, jak chcą nowocześni rumuńscy historycy, nie mogło być jednorazowe, lecz odbywało się powoli, falami niejako. Ostatnia taka fala wychodźstwa wołoskiego miała przebyć Karpaty pod przewodnictwem „wojewody” marmaroskiego Bohdana w połowie XIV w., a więc po upływie stulecia całego od zestąpienia Raduła ze swymi „zapłonińcami” ku nizinom Dunaju. Bohdan ów tedy był też pierwszym wojewodą wołoskim na Zadniestrzu.

Wychodźcy ci z Marmaroszu zajęli pierwotnie nieznaną przestrzeń tylko, rozciągającą się ponad górskim potokiem Mołdawą, wpadającym do Seretu. Stąd otrzymali od pobratymców nazwę Mołdawian, a kraj przez nich zagarnięty wziął miano „Cara Moldavaneska”. Miano to następnie, po rozszerzeniu się zwierzchnictwa Bohdanidów ku południowi, rozciągnięte zostało i na całą krainę, zawartą pomiędzy wschodnim łańcuchem Karpat, Dniestrem, ujściami Dunaju, i zastąpiło zupełnie dawną nazwę Kumanii. U sąsiedniej Rusi wszakże, a za jej przykładem i u Polaków, Kumanie ową przezwano z czasem od nazwy rodowej no-

wych przybyszy: Wołochami lub Wołoszczyzną, które to miano utrzymywało się tak w aktach urzędowych, jak i w mowie potocznej w całym ciągu istnienia Rzpltej. Używana przecie była i nazwa Mołdawii, jako przeciwstawienie nazwie Multan, odnoszącej się zawsze i wyłącznie tylko do Wołoszy naddunajskiej.

Szybkie atoli spotężnienie Wołochów na Zadniestrzu nie było dziełem wychodźstwa ostatecznego jedynie. Wychodźcy marmaroscy zastali tu napewno rozproszone osady pobratymców oraz współwierznych sobie Słowian, które przetrwały wszelkie nawałnice koczowników: Pieczyngów, Połowców, Tatarów mongolskich, i teraz chętnie się kupiły pod chorągwie Bohdanidów. Co zaś do żywego przypływu i falowań ludności wołoskiej, ułatwiał takowe sam jej długowiekowy tryb życia pasterskiego, który się stał, mimo prastarych wpływów rzymskich, charakterem prawie narodowym Wołocha. Do takiego zaś stopnia, że nawet długo potem jeszcze na pograniczu Rzpltej przybywający osadnicy wołoscy byli zwykle ludem pasterskim, ich znane osobne „prawo wołoskie” prawem pasterskim wyłącznie. Wylewowi Wołochów towarzyszył po części przypływ też innych żywiołów, osobiłwie z Rusi, z za Dniestru.

Przybysze wołoscy do dawnej Kumanii, która już ziemi mołdawskiej przybrała nazwę, przynieśli ze sobą, z gór swych gniazdowych, Marmarozu, własny swój porządek i ustrój społeczny, wyrobiony w ciągu całych wieków bytowania zacisznego w ostępach ardelskich. Na wytworzenie tego porządku społecznego złożyło się więcej może pierwiastków, niż na wytworzenie samej narodowości wołoskiej, rumuńskiej. Ziemia ardelska, siedmiogrodzka, tak później od 7-miu grodów (burgów) saskich nazwana, była (do przyścia Madziarów) integralną dzielnicą potężnego carstwa bułgarskiego. Po rozłamaniu się carstwa tego na poly została ogniskiem północnego jego odłamu; po upadku nakoniec dzielnicy południowej stała się głównym przytuliskiem nie-

zależnem Bułgarów wogóle. Wszelkie tu więc porządki społeczne, polityczne i religijne były też same, co za Dunajem, co w Bałkanach, — więc słowiańsko-bułgarskie; narodowość ludu pospolitego nie była wcale uwzględniana. Nowi zdobywcy, Węgrowie, zastają Ardelię na powierzchni zupełnie słowiańską: język obrzędu religijnego, język klasy panującej, imiona samych książąt — wszystko to słowiańskie. Zresztą tam cały ustroj polityczny ściśle bułgarski; a więc „bany”, „bojary” i wszystko, co przez potomków usłowianionych Kruma i Kubrata przejęte zostało z ponętnych wzorów olśniewającego barbarzyńców Byzancyum. Węgrzy, podbijając ziemię ardelską i sadowiąc się hordą swą przeważnie za Cisawą, nad Dunajem, wewnętrzne jej porządki dawne zostawili najwidoczniej długo nietkniętymi prawie. Siedmiogrodzie miało zawsze swych odrębnych wojewodów (palatynów), chociaż z Węgrów w znaczniejszej części; ale wobec zapewnionego samorządu Sekelów i Sasów, widzimy tu uznawanymi również i starych władców bułgarskich nad ludnością wołoską, w dzielnicach takich, jak Fogarasz, Marmarosz i inne. Pozbawienie bowiem Wołochów w Siedmiogrodziu wszelkich praw politycznych, widocznie po ostatecznem już zmadziaryzowaniu możnowładztwa ze starych rodów bułgarskich, nastąpiło dopiero w połowie XVI w. Słowiański zaś język cerkwi był wyparty nie przez szerzący się katolicyzm wcale, lecz przez obudzony pod wpływem reformy religijnej ruch narodowy, prowadzący do zastąpienia go powoli przez język wołoski, rumuński.

Bohdan tedy przybył nad Mołdawę z tłumem wołoskich pasterzy, jako istny ban bułgarski, podobny do południowych swych pobratymców z rodu Basaraby, siedzących na baństwie w Krajowej lub w Fogaraszu. Wnosił on z sobą obrządek słowiański, język słowiański w bliższem otoczeniu, a zarazem cały byzantyjsko-bułgarski porządek polityczny.

Przybysze nowi na Zadniestrze nie przedstawiali się więc sąsiedniej Rusi Halickiej, która mogła rościć do zaj-

mowanej przez nich krainy dawne swe prawa, jako żywioł obcy, w obcej postaci występujący. Owszem, zdawało się, jakby wracało na dawne swe siedziby jakieś zabłąkane plemię staro-ruskie, wobec tylu niezatartych znamion pokrewieństwa moralnego, wypływających z jednorodności, jednostajności nawet, wspólnej ich byzancko-słowiańskiej kultury ogólnej.

Nic dziwnego tedy, że sadowiąca się za Dniestrem Wołosza tak odrazu i tak żywo zespoliła się z Rusią mnogimi węzły, tak swobodnie i chętnie dała się porwać w zakres warunków jej życia. Zdawałoby się nawet, iż węzły te nowe z Rusią, niezależnie wcale od warunków geograficznych, były silniejsze, niż z pobratymcami multzańskimi, którzy długo trzymali się gniazdowej swej Ardelii i z nią Węgier, przy każdej okoliczności przekraczali Dunaj, a dla Mołdawian mieli tylko uczucie współzawodnictwa.

Zwano też Zadniestrze czasem nawet wprost „Rosso Vlachia”, Wołoszczyzną Ruską. Tego właśnie greckiego terminu użyto w akcie erekcyjnym (1401) pierwszej w tym kraju episkopii w Białogrodzie (Ak-Kermanie), zależnej od metropolii halickiej. Chociaż pierwszy już ów władyka, razem z następsem uniezależnieniem, otrzymał z Konstantynopola tytuł metropolity „Moldo-Vlachii”.

Nieuniknionem następstwem takiego stosunku było, iż od stanu rzeczy na Rusi sąsiedniej zależał przeważnie, w każdej danej chwili, i stan samej Wołoszy. Gdy zaś ta Ruś najbliższa, naddniestrzańska, czerwieńska, dostała się w znaczniejszej swej dzielnicy Polsce, państwo to poczęło, prawie od samego zawiązku wołoskiego nad Mołdawą społeczeństwa, wywierać na nie wpływ swój pod względem politycznym, ekonomicznym i kultury. Samo nawet usadowienie się Wołochów na Mołdawie zawarunkowane było ustaleniem potęgi polskiej nad Dniestrem, którego nieodzownem następstwem być musiało spędzenie koczowników tatarskich z nad brzegów tej rzeki w głąb stepów czarno-

morskich. Zwycięstwo Kazimierza W. nad Tatarami pod Lublinem (1344) dozwoliło i wychodźcom z Marmaroszu rozpostrzeć swe siedliska i władzę w dawnej Kumanii.

Zetknięcie się wszakże bezpośrednie Kazimierza W. z Wołochami, pierwsze w naszych dziejach, mogło być atoli doraźne jedynie. Dopiero wyniesienie Jagiełły na tron Piastów i następna unia Litwy z Polską, wypadki, sprawdzające za sobą stanowczą zmianę we wszystkich stosunkach politycznych wschodniej Europy, musiały oddziaływać i na rozwój nowonarodzonej Wołoszczyzny.

Wytyczne fakta dalszych dziejów Wołoszczyzny, czyli ziemi mołdawskiej, oraz jej wojewodów, wołoskich „hospodarów ziemi mołdawskiej”, podane już zostały poprzednio (t. VI, 802) w ustępie: *Multany, Mołdawia*; w którym należy zmienić, co nieodzowne, tytuł jedynie na „*Mołdawia* al. *Wołoszczyzna*”, czasem błędnie *Multanami* zwana”. „*Multany*” bowiem, czyli „*Wałachia*” naddunajska, mają zupełnie odrębne swe dzieje, rozwijające się równolegle z mołdawskimi, lecz całkowicie inne; chociaż jedne i drugie spływają się ostatecznie, dla wytworzenia dzisiejszej Rumunii.

Nie tu miejsce tłómaczyć wyczerpująco przyczyny podobnego powikłania i obłądnego bałamuctwa, jakiego nie potrafili się ustrzedz autorowie opracowań: „*Multany*” i „*Bessarabia*”. Dosyć będzie zaznaczyć, iż wogóle winą temu przeważną niekrytyczne posiłkowanie się obcemi opracowaniami. Nawet poważni nasi historycy, jak Lelewel, Szajnocha i Szujski, gmatwali istotne znaczenie i stosunek wzajemny owych nazw: *Wołoszczyzna, Mołdawia* a *Multany*.

Nie lepiej zaś działo się pod tym względem i z nazwą *Bessarabia*. Wywody wstępne w odnośnem opracowaniu (t. I) niech służą za wskazówkę, o ile wypada być ostrożnym wobec obcych przywidzeń niedorzecznych, gdy się ma we własnem piśmiennictwie historycznem rzecz faktycznie stawioną. Oto nazwa ta „*Bessarabia*”, „*Basarabie*” jest przedewszystkiem nazwą — nie stałą, lecz ruchomą, tak histo-

rycznie, jak i geograficznie. Z postępem czasu oznaczała ona coraz to inne krainy, dostające się pod władzę znanego nam już rodu Basarabów. Tak więc pierwotnie Basarabiem nazywano najstarszą nad Dunajem dzielnicę tego rodu, między Żelaznemi Wrotami i Alutą, mianowicie banat Seweryński lub Krajowski, czyli dzisiejszą Małą Wałachię. Następnie nazwę tę stosowano i do dalszych posiadłości rodu Basarabów, a więc do Multan całych, czego mamy częste świadectwa u Długosza, jak i w aktach urzędowych, w których gospodarowie „wołoscy”, nam bliżsi, zwykle tak nazywają naddunajską dziedzinę swych sąsiadów i przeciwników. Nawet w inwentarzach Metryki Koronnej spotykamy w nadpisach nad pewnymi działami aktów wołoskich: Besarabia seu Transylvania (oczywiście Transalpinia-Montania), używaną w tem właśnie znaczeniu. Nakoniec, gdy Basarabowie multanścy poczęli od czasu do czasu zagarniać pod swą władzę i „nadolną” ziemię wołoską, mołdawską, z zamkami Kilią i Białogrodem, „nagórni” Wołosi od Soczawy musieli ją przezywać nieraz podobnież Basarabiem. Co więcej, Bielski, jak wszyscy nasi dawni ściśli pisarze, rozumiejący należycie znaczenie miana Multan, raz nawet nazywa nadolną dzielnicę mołdawskiej Wołoszczyzny „ziemią multzańską”. Gdy zaś dla Wołoszy naddunajskiej ustaliła się nazwa Montanii, Multan, a potem Wałachii, nazwa Bessarabii pozostała wyłącznie dla zagarniętego przez Turków i Tatarów od Mołdawii poniżej między ujściami Dniestru i Dunaju. W naszym zaś już wieku zastosowano administracyjnie nazwę Bessarabii i do całego międzyrzecza Wołoszczyzny od Dniestru do Prutu, zdobytego od Turków 1812 r., tak, że nazwa ta posunęła się aż pod Chocim, zapomniana już zupełnie u Wrót Żelaznych i nad Dembowicą. Myśmy wszakże w przeszłości zwali ową nadolną dzielnicę Wołoszczyzny, pospolicie, z tatarska Budziakiem, od miana w ich języku „Budżak”, tyle, co „zawęgle”, niejako przypominającego

„Uhliczów” Nestora, siedzących w zawęglu tem przed wieki przy Tywercach.

Zwracając się teraz ostatecznie do zasiedlenia (i co z tem związane) owych dzielnic świata wołoskiego, zaznaczyć wogóle winniśmy, że odpowiednio dwoistemu charakterowi przeszłości onego i wszelakie też jej zabytki, dotąd jeszcze, podobnie podwójny charakter noszą. Romanizacya dotknęła wszystkie tam niemal żywioły, wszystkiemu nadano romańską, czy zromanizowaną nazwę, osadom, miastom; ale z pod każdej prawie nazwy takiej wyziera znaczenie onej pierwotne, dźwięczy u sąsiadów, i teraz jeszcze bez zmiany, pierwotne, słowiańskie nadewszystko, brzmienie. Brzmienia też owe pierwotne słowiańskie, formy nazw, używane przez nas powszechnie i pilnie przestrzegane, winny nas i nadal stale obowiązywać.

Podajemy tedy poniżej nazwy słowiańskie (staropolskie względnie) znaczniejszych z przeszłości miast przynajmniej, do zapamiętania. Tak oto wskazaćby się dały:

Na Wołoszczyźnie mołdawskiej, od Płoniny do morza: stołeczna w pierwszej dobie jej dziejów Soczawa, dziś po rumuńsku Suceva, Seret — Sereth, głośny zwycięstwami bohaterów Chocim — Chotin, Botuszany — Botoseni, Chorłów czy Hyrlów — Harleu, Radowce — Radauti, Bania — Baja, Niemcza — Nemtu, Jasy stołeczne, Jaski Targ pierwotnie — Jasi, Soroka — Soroki, Orhijów — Origa, Kiszyniew — Kissineu, Łopuszno — Lapusna, Roman, czy Romanów Targ — Romanu, Koroczunów Kamień — Piatra, Baków — Bacau, Waslin — Vaslui, Berład — Berladu, Tekucza — Tecuza, Gałace, Mały Halicz pierwotnie — Galati. Nadto w Budżaku (Bessarabii): Tehynia czy Bendery — Bender, Białogród wołoski, po tur. Akkerman — Cetatea Alba, Kilia — Chilia, Nowesiolo — Chilia Nova, Wilkowo, po gr. Likostomion — Akolutra.

Na Wołoszczyźnie zaś multańskiej „od Żelaznych Wrót do Braiłowa”: Argiszów — Arges, Targowiszcz — Tergoviste,

Zewrin czy Seweryn — Turnu Severinu, Krajowa — Kralowo,
Zimnica — Zimnicca, Bukarest, Bukoroszcz raczej — Bucuresci,
Zurżewo czy Dżurdżewo — Giurga, Braiłow — Ibraila, Bu-
zów — Buzeu, Rybnik — Romnik i inne.

(„Sprawy wołoskie za Jagiellonów” w t. X Zród. Dziej.).

WOŁOSZCZYZNA — MOŁDAWIA A MULTANY. *)

Od lat stu tak się zmieniły nasze stosunki z dawnymi sąsiadami, tak dawna stosunków tych żywotność poszła w zapomnienie, świadomość tego tak się przyćmiła, że, oskrzydleni szerszym pochodem obcej kultury, daliśmy się, pod jej wpływem, sprowadzić nieraz na błędną drogę w tem nawet, w czem sami winniśmy byli przewodnikami pozostać. Tak się stało w niejednym zakresie. Niejedno też teraz przypominać sobie wypada.

W obecnym nawet razie, podnosząc zaznaczony w tytule temat, tylko przypomnienie mamy na celu.

Pobudza nas tu bowiem do przemówienia jedynie poczucie potrzeby ujęcia się za starym trybem rozumienia u nas pewnych sąsiedzkich stosunków i rzeczy zmaconych, jeżeli nie zanikłych zupełnie, w powszedniej naszej pamięci.

Przed stuleciem oto znaliśmy również doskonale, jak inne, i południowe też nasze sąsiedztwo, wiedzieliśmy należycie, z kim tam mamy do czynienia: Rzplta u ściany południowej, za Dniestrem, stykała się z Wołoszą, miała tam za sąsiadkę Wołoszczyznę, którą od morza dzielił Budżak, od Dunaju odgradzały Multany.

*) Pam. Drugiego Zjazdu historyków polskich we Lwowie.

Dziś — o dziwy — ocuciły się nasze zameczki podolskie „na kresach multańskich”; Multany, nawet w poważnym ze wszech miar „Słowniku geograficznym”, pomieniały się terytoryami i historią z Mołdawią; nazwa ich okryła na nowych mapach starej Rzpltej cały przestwór ód Soczawy do wołoskiego Białogrodu; a Chocim — ten tyle nam pamiętny, tyle nasz Chocim — znalazł się nietylko administracyjnie w Bessarabii.

Zmącenie nazw i pojęć ostateczne.

Nie potrzebujemy tu udowodniać rozmiarów tego zamętu, jego niemal powszechności: u dziennikarzy, publicystów, w broszurach, w powieściach. O to byłaby jeszcze mniejsza. Ale do dziś dnia podobnego gmatwania dopuszczają się autorowie poważni, w pismach i wydawnictwach, bardziej ściśle poprawności niezbędnej przestrzegających. Każdy z nas wie o tem doskonale.

Jakież przecie tego przyczyny?

Chyba w piśmiennictwie naszym historycznem z lat ostatnich nie podnoszono tej kwestyi?

Tem gorzej, że właśnie inaczej.

Już przed 12-tu laty, przy odpowiedniej potemu okoliczności, w t. X-tym „Źródeł Dziejowych”, traktującym „Sprawy wołoskie za Jagiellonów”, we wstępnem tam studyum, kwestya ta wyczerpująco, tuszmy sobie, została wyjaśniona. Jednocześnie też prof. Emil Kałużniacki, wydając w t. VII-ym Aktów grodzkich i ziemskich „Dokumenta mołdawskie i multańskie z arch. m. Lwowa”, wszędy, poczynszy od tytułu, termina odnośne należycie zaznaczył.

Nic to przecie, albo wcale mało, jak widzimy, nie pomogło!

Sprawę podnoszono w wydawnictwach poważnych, źródłowych, u nas obchodzących tylko specjalistów, badaczy; w pismach o szerszem kole czytelników nikt tego nie zaznaczył, nie poparł — i wszystko zostało po zwyczaju. Co więcej, z modą naiwnego archaizowania, gdzie się to da,

przybyła nam też słabostka do brzmień domniemalnie bardziej staroświeckich. Pomiedzy innemi tedy nierozumiejący rzeczy rozumieją, że więcej po staro-, po szczeropolsku brzmi, niby synonimiczna, nazwa Multany, niż Mołdawia, że z tejże zatem racyi Wałachię trzeba zwać nie inaczej, jak Wołoszczyzną. I płaczą się z sobą w ten sposób sprzeczne pojęcia i rzeczy nieraz do nierozwikłania.

Należy temu wszakże raz koniec położyć.

Już tu wreszcie nie o zasadę samą idzie; natarczywa potrzeba, że tak powiemy, praktyczna za tem przemawia. Razem oto z rozszerzaniem się i pogłębianiem u nas badań źródłowych poczyną zajmować i Wołosza wydatniejsze w nich znaczenie. Z drugiej zaś strony, o ile ubocznie nas wieści dochodzą, zamierzają i Rumuni rozpocząć niebawem wydawnictwo historycznych źródeł polsko-wołoskich z tłumaczeniem francuskim. Pojmie więc każdy, o ile ścisłość historyczna podobnego wydawnictwa, osobliwie w dziale tłumaczeń, jest zagrożona przy braku ustalenia odnośnej terminologii u nas.

Nie pomagają nic na to odosobnione głosy i wskazówki badaczy pojedynczych; niechże oto obecny Zjazd historyków wypowie się co do tego, całem swem kołem, ostatecznie i nakazująco!

Oczywiście, z obowiązku wnioskodawcy, wypada mi tu poprzednio podać i samo uzasadnienie przedmiotu.

Nazwę „Vlach, Włach, Wołoch” nadawali Słowianie wogóle, za przykładem Germanów, wszystkiemu zromanizowanemu ludom, bez różnicy ich pierwotnego pochodzenia; szczególnie zaś zromanizowanym plemionom półwyspu Bałkańskiego.

Plemiona te były rozproszone po całym półwyspie, nie zaś, jak to mylnie niegdyś mniemano, skupione pierwotnie w jednej Dacyi: Trajana — z lewej, potem Aure-

liana — z prawej strony Dunaju. Owszem, błakały się one od wieków ze swemi stadami, jak i dotąd jeszcze po części, nie tylko po wyżynach Hemu i Pindu, lecz i po Heladzie.

Od Słowian przejęli nazwę „Vlachów” i Byzantyni — tem łatwiej, gdy i sami siebie zwali „Romejami”, Rzymianami, *Ρωμαῖοι*: po grecku. Pierwsza atoli nazwy tej wzmianka u pisarzy byzantyjskich nie wcześniejsza od czasów Aleksego Komnena, t. j. pocz. w. XII-go.

Przy takim rozproszeniu pierwotnem Vlachów (Wołochów), każde ich znaczniejsze gniazdo z osobna otrzymało u Greków byzantyjskich nazwę *Vlachia* (Βλαχία), tak w użyciu pospolitem, jak i w urzędowych aktach. Stąd w ciągu wieków średnich spotykamy na półwyspie Bałkańskim przeróżne Włachie, rozrzucone bez żadnej spójni i jakiegoś narodowego środkowego ogniska. Tak pomiędzy XII a XV stul. istniały na południu półwyspu: Włachia Wielka (Μεγάλη Βλαχία), które to miano nadawali ówcześni Grecy starożytnej Tessalii; Włachia Mała czyli dawna Etolia (Μικρά-Βλ.), oraz Wlachiotis (Βλαχίτις), Epir (Ireček: *Geschichte der Bulgaren*, str. 218). Na Bałkanach i dolnym Dunaju istnieje w ciągu XIII i XIV-go w. całe państwo włachobułgarskie czyli tak zwane carstwo bułgarskie drugie, ternowskie. Chociaż nie da się w niem wydzielić Włachii jako krainy osobnej — widać tu Wołosi byli bardziej jeszcze wśród Słowian rozproszeni — znaczenie ich niezaprzeczone, ale nie oparte na podstawie terytoryalnej. Akta i dokumenta urzędowe, greckie i łacińskie (*Documente privitoare la istoria Romanilor culeze d. L. Hormuzaki, Vol. 1*), wzmiankując wciąż nazwy *Blachia*, *Vlachia*, *Valachia*, osobnej przecie tego miana ziemi, miejscowości, nie wskazują. Rubricus w swem sprawozdaniu r. 1254 (tamże Nr. CCI) zaznacza tylko jako uległą Tatarom *ultra Danubium versus Constantinopolim Valachia, quae est terra Assani, et minor Bulgaria*, nic bliżej nie określając. Nakoniec jeżeli nie Valachie

jakąś, to pomimo mocnego temu przeczenia (R ö s l e r: *Romänische Studien*) dostrzegamy rojne gniazda Wołochów w zaciśnej wśród Karpat Ardelii (Transylwanii), Siedmiogrodem z niemiecka przez nas zwanej: etniczną pozostałość, jeśli wprawdzie nie koniecznie staro-rzymskiego, to staro-bułgarskiego tu panowania. Z których to gniazd z czasem lud ten pasterski spływał jakby z falami, powoli, po stokach górskich ku nizinom, we wszystkie strony: ku Cisawie, Dunajowi i w stronę naszego Dniestru; co więcej, zasilany wciąż przez pobratymców, posuwających się ku północy od Hemu, romanizował niepostrzeżenie prawie a wytrwale, jak to czyni do dnia dzisiejszego, wszelkie nowozagarniane przestwory.

Gdy u świtu XIV-go w. poczęły się w ten sposób wytwarzać u podnóży południowo-wschodnich zataczającego się półwieńcem ardelskiego łańcucha Karpat dwa odrębne od Węgier, Bułgarii i Rusi gospodarstwa wołoskie, żadne z nich oczywiście nie mogło otrzymać dla siebie, wobec istnienia tylu innych ognisk tego miana, nazwy „Włachii, Walachii” *per exc.*

W aktach i dokumentach greckich na oznaczenie tych nowopowstałych i uniezależniających się dziedzin wołoskich występują tedy pierwotnie nazwy złożone, dodać trzeba, charakterystycznie. Dla ich dzielnic południowej, naddunajskiej, poczęto od w. XIV-go, a może i wcześniej, w aktach tych używać miana Οβγγο-Βλαχία, odpowiednio czemu w słowiańskich Оугро-Влахія, oznaczającego tyle, co Wołoszczyzna węgierska. Wskazywano zaś przez to niejako i na samą genezę historyczną tej krainy, pod osłoną korony św. Szczepana się podnoszącej. Czasem zwano ją też Ἀσπρο-Βλαχία, Białą Włochią, która to nazwa stosowana była pierwotnie, ile się zdaje, do Wołoszy mezyjskiej wyłącznie. Wołoszczyznę zaś północną, mołdawską, nazywano początkowo Μάβρο-Βλαχία, Walachią Czarną, dla przeciwstawienia tamtej, a nawet Ῥωσο-Βλαχία, Wołoszczyzną ruską. Tego wła-

śnie greckiego terminu użyto w akcie erekcyjnym (1401) pierwszej w tym kraju episkopii w Białogrodzie (Akkermanie), zależnej od metropolii halickiej, i użyto słusznie, przestwór ten bowiem pomiędzy Dniestrem, Karpatami i ujściem Dunaju zależał długie czasy, tak pod względem politycznym, jak i cerkiewnym, od Halicza, od Rusi.

Wszakże pierwszy ów, postawiony ze Lwowa, białogrodzki władca (Józef) razem z następsem uniezależnieniem otrzymał już z Konstantynopola tytuł metropolity „Moldo-Vlachii”. (Ireček: *Gesch. der Bulgaren*, str. 218. Miklosich: *Acta et dipl. gr. medii aevi*, t. II, str. 241, 243, 532. Koczubiński: *Zapiski Odess. tow. hist.*, t. XV, str. 508, 532).

W dokumentach łacińskich z pocz. w. XIII-go kraina późniejszej Włachii naddunajskiej nie ma jeszcze określonej nazwy. Bulle papieża Honoryusza III (z r. 1223 — 25) zwą ją tylko *terra ultra montes nivium*, ziemią za śnieżnymi górami, tyle co *Hawas aflęd* po madziarsku. Powoli przybiera ona miana: *terra Transalpina*, *Transalpinia* oraz *Valachia Montana*, *Montania* (*Docum. priv. la istoria Romanilor*, t. I). Nawet sami wojewodowie węgro-wołoscy w aktach łacińskich przez siebie wydawanych stosowali się do sposobu widzenia na Węgrzech i na Zachodzie wogóle i dawali podwładnemu sobie krajowi nazwę, wskazującą, jakoby on był położony (patrząc od dolnego Dunaju) po tamtej, nie zaś po tej stronie siedmiogrodzkich Karpat, a sami siebie zwali *duces transalpini* zamiast *cisalpini*, *cis-silvani* względnie do *Transylwanii*. W prostym tego następstwie nazywali się i w aktach wystawianych w języku słowiańskim hospodarami ziem zapłonińskich (zakarpackich), „przezplonińskich” nawet. Głośny Mircza Basaraba tytułuje się (1399) „Wojewoda ziemi Ungro-włachijskiej i zapłonińskich stron”. „Roso”- czy „Moldo-Włachia” aktów greckich przybiera w dokumentach łacińskich nazwę: *terra Moldaviae*, *Moldavia*, lecz niemniej: *terra Valachiae*, *Valachia* czasem; jej

zaś gospodar: *moldavicus, moldaviensis, palatinus Valachiae*. Sami też władce zwykli byli w aktach słowiańskich tytułować się: „wojewoda wołoski, gospodar ziemi mołdawskiej” — łącząc w ten sposób miano etnologiczne z geograficznem swego kraju. (Źródła dziej., t. X; Dokum. mołd. i mult. Kałużn.)

Z pisarzy zachodnich historyograf i przyjaciel króla Macieja Korwina, Włoch Bonfinio († 1502), znający dobrze Węgier sąsiedzkie stosunki, zaznacza też co do ziem wołoskich, że jedną z nich *Montanam Valachiam appellant, altera vero Valachia, cui Moldavia nomen est*.

Występują też nazwy *Vlachia Major i Minor*, ale tych znaczenie chwiejne, stosowane różnie. Raduł Basaraba zwie się (1474) wojewodą *Vlachiae Majoris*, wobec czego miano *Minor* pewnie już oznaczało banat Krajowski za Alutą (Ireček); Schiltberger nazywa Włachią Mniejszą Mołdawię (Brun: Czernomorje, t. II, 361); u nas zwą „Małą Wołoszczyzną” Pokucie czas pewien.

Wskazany powyżej mianom u obcych odpowiadały nazwy samychże Rumunów w ich własnym języku. Krainę za Dniestrem zwą oni dotąd *Moldava* lub *terra moldovenesca*, naddunajską zaś *Muntenia* lub *terra muntenesca*. *Muntenia* od wyrazu *munti* — *montes*; *Moldava* od rzeki, wpadającej do Seretu. Tak też uczą i dzieci własne po szkołach obecnie. W skromnym podręczniku na klasę III i IV-tą, p. t. *Notiuni de istoria romana* z r. 1872, na str. 15 znajdujemy na zapytanie: *Quasi suntu terrile in quasi locnisku Romanii?* odpowiedź: *Muntenia, Moldavia etc*. Tak i nas uczył przed laty dwustu znakomity patriota wołoski, wielki logoteta ziemi mołdawskiej, Miron Kożyn, przyjaciel Rzpltej i wielbiel Jana III-go, który mu na uczczenie zwycięstwa pod Wiedniem poświęcił tyle cenne dziś, swoje po polsku ułożone, „Opisanie ziemi Mołdawskiej i Multańskiej”.

Nas ze światem wołoskim (rumuńskim) zetknęło bezpośrednio zagarnięcie dopiero Rusi Czerwonej: stosunki wza-

jemne odtąd trwały bez przerwy przez cały ciąg istnienia Rzpltej; oczywiście tedy, że i my znaliśmy sąsiedztwo to nasze należycie.

Cały przestwór ziem, rozciągający się poza Dniestrem ku Dunajowi, zwaliśmy, za przykładem Rusi, „Wołoszczyzną”, „Wołoszą”. Że Wołoszczyzna ta już wtedy (w poł. XIV w.) stanowiła politycznie dwa odrębne województwa czy gospodarstwa, więc od pierwszego z nią zetknięcia się pilnie wyróżnialiśmy też poszczególne tych nazwy. Krainę bliższą nas, zawartą między Dniestrem a Karpatami, zwaliśmy Wołoszczyzną *per exc.*, w podobny sposób jak Rusią *per exc.* nazywaliśmy z wielu Rusi nam najbliższą, a więc Czerwoną; rzadko tylko, i to w czasach późniejszych, lub po łacinie nadawaliśmy jej miano geograficzne „Mołdawii”. Co więcej, mieliśmy prawo zadniestrzańską tę krainę, pierwotnie do Rusi należącą, a z czasem przez Wołochów (marmaroskich) zagarniętą, tem bardziej „Wołoszczyzną” *per exc.* a jej nową ludność Wołoszą *per exc.* nazywać, ile że kraina ta i lud ten reprezentowały wobec nas najbezpośredniej cały ród wołoski, rumuński, który nadto jakiegoś żywszego ogniska środkowego swego plemienia gdziekolwiekby indziej nie posiadał przecież wtedy; hospodara jej nazywaliśmy stąd wprost wojewodą „wołoskim”, „mołdawskim” po polsku rzadko. Dalszą, rozpostartą między Karpatami a Dunajem krainę zwaliśmy, naśladując w tem samych Wołochów, „Multanami” (tyle co *Muntania*), a jej władców wojewodami czy hospodarami multańskimi. Nazwy te zaś powyższe były u nas prawie stałe, mało zmienne, używane zarówno w aktach urzędowych, łacińskich i słowiańskich, u dziejopisów i pisarzy poważniejszych wogóle, jak nie mniej w mowie potocznej. Gmatwanie rzeczy należało do wyjątków.

Co do naszych dziejopisów, Długosz już starał się uniknąć nieporozumień przez wymijanie zupełne miana *Valachia*; wyróżnia on krainy wołoskie, zwąc jedną *Moldavia*,

drugą *Bessarabia*, zamiast nieużywanych przezeń *Montania* czy *Transalpinia*. Kromer atoli, mówiąc (*Polonia*, wyd. 1627, str. 40) o gospodarach, już wyraźnie zaznacza, że jednego mianują *Transalpinus*, drugiego *Moldavicus*; *quorum hic a nostris peculiariter Valachiae palatinus dicitur, ille vero Multanicus*. A w innem miejscu (wyd. 1761, str. 118, *De orig. et r. g. Pol.*): *Multani a nostris, a ceteris vero Transalpinenses vocantur*. Podobnie świadczy Wapowski (wyd. Szuj., str. 86), określając, przy okoliczności poselstwa 1533, znaczenie używanych w owe czasy u nas nazw dzielnic wołoskich jeszcze dobitniej: *Sigismundus rex Petricoviensi absoluto conventu Cracoviam rediit, quo ad eum a palatino Multanorum, qui Valachiam Transalpinam moderatur, orator venit... quamvis regni Poloniae finibus nusquam cohaereret, immo Moldavi, Caeculi, atque Ungari magno terrarum spacio eum a Polonia disiungerent. Multani siquidem Dacis contigui superiora Istri tenent, Moldavi ad Pontem usque inferiora*. Skąd widzimy, że Multany nigdy z Polską nie sąsiadowały, oddzielone od niej przez Mołdawian, Czaków i Węgrów. Nie inaczej o tem powiada i Bielski, po polsku piszący, gdy mówiąc o Wołochach (Kron. III, 79) zeznaje: „dzisiaj tę część, która się siedmiogrodzkiej ziemi dotyka, multańską ziemią właśnie zowią, a ową, która nas, wołoską”. Takiemu używaniu nazw przyświadcza również Strykowski i inni. A i później też wiedzieliśmy należycie, że jak Chocim tak i Cecora — na Wołoszczyźnie, nie w Multanach!

Zakąt nadto Wołoszczyzny pomiędzy ujściami Dniestru, Prutu i Dunaju nosił u nas tatarską nazwę „Budżaku”, nie zaś „Bessarabii”, wyjątkowo chyba i w obszerniejszem znaczeniu używanej. „Budżak” ten była to kraina prastara Ugliczów, z Tywercami sąsiadujących, które miano turskie jest tylko tłumaczeniem słowiańskiego „Ugl”, skąd poszło greckobizantyjskie „Ὀβγλός” (Kocub.: *Zapiski Odes. tow.*, XV, 507.)

Co zaś do nazwy „Bessarabii”, Basarabia, powstała ona dla dobitniejszego odznaczenia dolnej (białogrodzkiej) Wo-

łoszczyny — Budżaku od górnej (soczawskiej), czyli Mołdawii właściwej, przez wskazanie należenia ziemi tej czasowego do rodu Basarabów multańskich, współzawodników mołdawskich Dragoszyków. Nie ma ta nazwa oczywiście nic wspólnego ani ze starożytnymi Bessami, ani z ich wyfantazyowanymi wodzami („rabb” niby z turecka, skąd Bessa-rabb), ani z niczem podobnem, co znajdujemy w Słowniku geogr. Dość późno nadto ustaliła się ona dla Budżaku uglickiego. Stosowano ją pierwotnie do gniazdowych posiadłości rodu Basarabów (banatu Krajowskiego), a następnie posuwając, w miarę rozszerzania się ich dziedzin na pochyłości zapłonińskiej, coraz to dalej, rozciągnięto na całe Multany. Stąd i u nas w wielu aktach i u Długosza *voivoda Bessarabiae* tyle znaczy co *Transalpiniae*. Gdy zaś ta ostatnia nazwa ustaliła się dla Multan, miano „Bassarabia” pozostało tylko dla Budżaku.

Trzeba jednak z drugiej strony przyznać, że niejednostajne stosowanie w rozmaitego pochodzenia dokumentach — polskich i niepolskich — w języku łacińskim miana *Valachia*, to do dzielnicy dnistrzańskiej, to do dunajskiej, zastępowanie tego miana nazwą *Moldavia*, utożsamianie zaś tej ostatniej z terminem *Montania* (Multany), do czego niby blizkodźwięczność tych wyrazów prowadziła — wszystko to już dość wcześniej kryło w sobie ziarno gorszącego w przyszłości zamętu.

Nie zdołało uchronić się od tego i nasze dziejopisarstwo.

Już pierwszy Długosz, który, jak to widzieliśmy, nie zna nazwy *Montania*, a na oznaczenie tego kraju używa stale prawie miana *Bessarabia*, zwąc raz nawet jego wojewodę *princeps superioris Moldaviae*, raz drugi używszy określenia *Bessarabus voivoda Moldaviae* (wyd. 1712, t. III, 344, 546), samochcąc rzucił zasiew nieporozumień. Pomnożył go najwidoczniej a też mimowoli Bielski, mylną robiąc uwagę (Kron., III, 79), iż „Wołosza pierwaj pod jednym tylko wojewodą była i tegoż albo multańskim albo wołoskim woje-

wodą zwano, bo ta ziemia dystynkcyj tej przed tym nie miała, lecz dziś...” Gorzej tu jeszcze poplątał Petrycy sam czy jego przepisywacz — w swej opowieści *De bello Chotimensi* 1621 r. podając: *Valachia in duas nunc partes divisa est. Ultra que a meridie Danubium, ab occidente Transilvania contingit. Qua versa in septentrionem ad Tyram fluvium, nostrarumque terrarum confinia vertit, Moldavia dicitur... nisi qua montes ab oriente procurrentes, ultra nomen hoc submovent veteri que apellatione ibi tantum Valachia manet, quae etiam nunc Transalpina vocatur. Nostris contra proprior pars Valachia, altera Moldavia (!) dicitur*”. Czyżby tu nie miała być omyłka tylko — *Moldavia* zamiast *Montania*?

Że gmatwali te nazwy obcy, rzecz to tem bardziej wytlómaczona. Naprzód ów Francuz z końca XVI w., Blaise de Vigenère, opisujący Polskę w 1573 r., zaraz po śmierci ostatniego z Jagiellonów. Ten obok dokładnych dość skądinąd o naszych południowych sąsiadach informacji (p. *De Noailles: Henri de Valois*, t. I, str. 199), powiadając, że *proprement les Valaques sont ceux qui.... confinent à la Podolie*, utrzymując zarazem, iż *qui habitent au delà des montagnes, sont les Moldaves, qu'on appelle aussi Transalpins*, lub znów wskazując na inny podział tej samej niby Wołoszczyzny wogóle na dwa kraje, dodaje dalej: *celui qui est en haut devers Russie.... est la Valachie.... l'autre qui est le long de rivages du Pont-Euxin.... est la Moldavie ou Bessarabie*. Ale o zmącone pojęcia cudzoziemców już mniejsza.

Gorsze to, że od czasu jak powoli zaczęły zamierać ożywione tyle dawniej sąsiedzkie między Rzpltą a Wołoszczyzną stosunki, zanikała też i u nas bardziej jasna świadomość istotnego stanu tam rzeczy — aż do nazw samych. Pod koniec tedy XVIII-go w. nazwy te plątano bezmyślnie tem swobodniej, że miało to pozór należytego stosowania się do nomenklatury ustalonej na Zachodzie, a więc niby bardziej racjonalnej, naturalnej. Nadomiar złego sami poważniejsi badacze przeszłości dali w tem, w niewytłóma-

czony sposób, przykład uwodzący. Pociągnął ich chyba owoczesny zwrot powszechny ku przystosowaniu się do trybu obcego, z pominięciem domowej staroświeczyny. Najwięcej, zdaje się, zawinił w tem Naruszewicz. Obeznaný ze źródłami, któremu nawet było znane w rękopisie „Spisanie kroniki o ziemi Wołoskiej” w r. 1566 w Jassach, dokonane przez kogoś z naszych lepiej o rzeczach tamecznych poinformowanego, zamiast pójścia za powagą urzędowych aktów i wzorowszych dziejopisarzy, powtarza on tylko nierozważnie Petrycego, gmatwając nadto jeszcze rzecz przez swe objaśnianie. Oto bowiem, co między innemi (w Hist. nar. p., t. VI, str. 166, 210 etc.) w jednym miejscu (w Hist. Chod., str. 278) powiada: „Wołoszczyzna dzieli się na dwie części, z których obie na południe Dunaju, na zachód siedmiogrodzkiej ziemi dotykają. Część jej północna, która się ku Dniestrowi i granicom Polski rozciąga, imię nosi Multańskiej ziemi albo Mołdawii, druga część za górami, na wschód zabiegającemi, starożytnem nazwiskiem zowie się Wałachią albo Wołoszczyzną; lubo Polacy bliższą część granicom swoim Wołochami także pospolicie nazywają”. Za Naruszewiczem poszedł i Wyrwicz (str. 267) w swojej Geografii.

Przykłady powyższe otworzyły już naocieź wierzeje zamętowi, jaki pod tym względem zapanował z początkiem wieku XIX. Nie powstrzymał tego Lelewel, nie usunęli ani Szajnocha, ani Szujski. W sposób niewytłómaczony Lelewel nie próbował nawet widocznie wyjść z tego zamętu, który go zastanawiał przecie; powtarzał on za to tylko błędne rozumienie poprzedników, nie zmieniając go w niczem, począwszy od pierwszego swego wypowiedzenia się jeszcze w wydanej przez siebie historii Wagi (1824), gdzie (str. 92) o Wołoszy czytamy: „Nie zawsze te kraje jedno składały województwo, dość prędko poczęła się Wołosza na dwa województwa dzielić, na wołoskie właściwe i mołdawskie, czyli multańskie; tymczasem te Multany zwały się

Wołoszą i wojewodowie ich są wojewodami wołoskimi, którzy Polsce hołdowali; nie zaraz nawet to Multan nazwisko nastąpiło". „Święckiego dzieło, Opis starożytnej Polski,—dodaje on przy tem,—wielkie na to rzuciło światło..." Lecz jakie to tam światło, widzimy z zaćmienia u samego Lelewela. Co do Szajnochy — ten wpada w rozdwojenie z samym sobą; pilnując się ściśle dosyć poprawności w nazwach przy obrazowaniu przeszłości, uświęca on niejako zarazem błędne ich używanie późniejsze. W jednym z pięknych swych szkiców (t. IV, Domna Rozanda, str. 2) powiada on: „Przyległą Bukowinie Mołdawię czyli Multany dzisiejsze nazywano u nas powszechnie Wołoszczyzną, Wołoszą; dzisiejsza zaś Wołoszczyzna ku Dunajowi miała przeciwnie nazwę Multan, „Mołdawii". Szujski podobnież chwiał się w pojmovaniu i użyciu. Wszakże więcej może, niż kto, pomnożyli zamęt, spotykany i u nowszych historyków, późni tłumacze dawnych dziejopisów: Mecherzyński Długosza, Syrokomla Kromera, Malinowski Wapowskiego, Gliszczyński Hejdensteina i inni. Dla przekonania się o stopniu zdrożnej pod tym względem niepoprawności tłumaczeń, porównajmy choćby oto jaki ustęp z Kromera (*Pol.*, wyd. 1627, p. 40): *Valachiae... duo primum fuere, Transalpinensis et Moldaviensis: quorum hic a nostris peculiariter Valachiae palatinus dicitur, ille vero Multanicus Verum extitit postea tertius Bessarabiensis ad Pontum Euxinum, diviso inter fratres principatu Moldavico* — z tłumaczeniem tegoż u Syrokomli (str. 5): „Dwie były oddawna prowincje Wołoszczyzny, a mianowicie Zakarpacka i Mołdawska; pierwszą z nich nazywamy dzisiaj właściwą Wołoszczyzną, drugą Multanami. Skutkiem podziału władzy pomiędzy dwoma braćmi tamecznymi książęty (? *principatu Moldavico*) wyrodziła się prowincja Bessarabska, leżąca nad morzem Czarnem". Uprzedzenie, że miano Multany jest synonimem Mołdawii, wykoszlawiło tu tak proste a wyraźne świadectwo rzeczoznawcy. Uwieńczył atoli wszelkie owo

gmatwanie, już zupełnie bezmyślnie, niestrudzony w kompilacjach autor pracy p. t. „Dzieje księstw Naddunajskich, to jest Multan i Wołoszczyzny”, podług dzieł Cogalniceana, Vailanta, Ubiciniego i Pałauzowa, ułożone przez Leona Rogalskiego i pomnożone wyjątkami z dziejopisów polskich i tureckich, Warsz. 1861, t. I i II. Nic mu bowiem mozolne owo kompilowanie widać nie dało; nie nauczyło to go nawet sprowadzać do harmonii historii z geografją. Na stanowczości wszakże nie zbywało Rogalskiemu. Gdy tedy, w Encyklopedyi Powsz. (Orgelbr.), po podaniu w art. „Wołoszczyzna” (t. XXVII), w znaczeniu oczywiście „Valachie”, „Walachy” — geografii tej naddunajskiej krainy, potrzebował coś powiedzieć i o jej historycznej przeszłości, nie zawahał się wcale i, przypominając sobie, że też przecie dzieje „Wołoszczyzny” (mołdawskiej) tak dobrze są naszym kronikarzom znane, przystawił je bez skrupułu do opisu owej tłómaczonej „Walachy”.

Gdy przeto doszły rzeczy do tego stopnia, niepodobna więc nie pomyśleć i o zaradzeniu skutecznem.

Co do nas — za jedyny skuteczny środek na to uważamy już chyba zbiorowe a stanowcze wypowiedzenie się pod tym względem poważnego grona obecnego Zjazdu historyków. Korzystając z okoliczności, proponujemy tedy: zawnioskować wprost, abyśmy odtąd nadal, tak w pracach naszych historycznych, jak w podręcznikach geografii oraz mapach, używali odnośnych terminów już jednostajnie w następującem oto znaczeniu: miana „Wołoszczyzna” naprzód na oznaczenie wszystkich wogóle ziem, zaludnionych przez Wołoszę, Wołochów, Rumunów, szczególnie zaś obydwóch składowych części dzisiejszego królestwa rumuńskiego Mołdawii i Multan (Walachii); potem, naszym trybem staroświeckim, dla wyróżnienia gospodarstwa, dla nas *per exc.* „wołoskiego”, czyli Mołdawii, nigdy zaś Walachii, chyba z dodaniem nieodzownem epitetu „multańska”, naddunajska”, jak dla tamtej „mołdawska”, naddniestrzańska; miana

zaś Multany na oznaczenie jedynie Wołoszczyzny „Zapłonińskiej”, Walachii, nigdy Mołdawii.

Odpowiednio do tego wypada zwać i gospodarów tych ziem: Mołdawii „wołoskimi”, Walachii „multańskimi”.

Wyrażenie „Mołdo-Wołoszczyzna” (zamiast obcego *Moldo-Valachia*) dla nas bez znaczenia, wyjąwszy gdyby miała oznaczać Wołoszczyznę mołdawską, nie zaś zespolone dzielnice Rumunii. Jako miano dzisiejszej zjednoczonej i ukrólestwionej Wołoszy ustali się u nas zapewne termin „Rumunia” (nie modnie patryotyczny „Romania”), chociaż w zasadzie tyle w tem racyi, co gdybyśmy nowoucesarsztwione Niemcy poczęli zwać „Deutschlandem”.

Co do nazwy „Bessarabia”, „Basarabie”, łatwo tu uniknąć wątpliwości, czy to synonim Budżaku, czy gubernia dzisiejsza — przez omówienie. Wszakże inaczej rzecz się ma ze znaczeniem tej nazwy w archiwalnych źródłach czasów bardziej dawnych (XIV — XVI w.); tu wymagana baczność szczególniejsza z powodu znanej terytoryalnej migracyi tego miana z biegiem Dunaju. Spotykany tam ów termin należy zawsze ściślej (niż to naprz. u Proch., Spr. woł. w Przew. 1888, str. 907, 1012) określać, by nie wprowadzić w błąd mniej obeznanych z rzeczą.

Nie zbytecznem też, sądzimy, będzie tu zwrócenie uwagi, że oprócz należytego używania nazw ziem samych wypadałoby nam wszędy podawać na miejscu naczelnem i miast w tych ziemiach polskie stare nazwy, dołączając obce ich miana, czy brzmienia dzisiejsze, w nawiasie. Tem słuszniej zaś ustalić to należy, ile że większa część tych nazw jest pierwotnie słowiańską, zromanizowaną z czasem dopiero. Osobliwie winniśmy to stosować do miast Wołoszczyzny mołdawskiej, z którą i sąsiedztwo i dzieje więcej nas zespoliły. Chociaż i na Wołoszy multańskiej niema powodu zapomniania o czystości słowiańskiej prastarych tam nazw miejscowości ważniejszych przynajmniej.

WYCIECZKA DO SŁYNNYCH RUIN STAROŻYTNEGO NIKOPOLA W EPIRZE.*)

Preweza (Albania), 25 czerwca.

Któż z nas nie przechowuje w żywej pamięci swych wrażeń nieokreślonych a wstrząsających, jakie wywierała była na naszym umyśle dziecięcym niezapomnianych nigdy lat szkolnych opowieść tego ustępu z dziejów starożytnego Rzymu, którego punkt kulminacyjny stanowiła rozgłośna bitwa u przylądka Akcyum.

Przypomnijmy ów przełom ostatni między dogasającą republiką a wyrastającym z jej popiołów imperium; owo zwanie się, zawsze współzawodnicze, raz jeszcze jeden dwóch połów świata klasycznego, Zachodu ze Wschodem, geniuszu rzymskiego z geniuszem przeważnie greckim; dalej same owe postacie głównych działaczy, Oktawiana i Antoniusza, prawie epotyczne, i tej cudnej piękności królowej Egiptu Kleopatry, która jakby sama jedna skupiła dokoła siebie cały, zdawałoby się, romantyzm świata starożytnego. Wszystko to, jednym słowem, dawało tyle ponętny pokarm dla naszej wyobraźni! Lecz rzadko komu z nas potem w dojrzałym już wieku przyszło ożywić te swoje wrażenia dziecięce, gdy mu, szybującemu po jasnych jak błękit nieba wo-

*) Wędrowiec, 1879 r., t. VI (42, 54).

dach morza Jońskiego, u wybrzeży dawnego Epiru, przedstawił się naraz widok wspaniałego krajobrazu, ogarniającego miejscowość, gdzie zaszedł wypadek ów pamiętny wszechhistorycznego znaczenia.

Mnie smutna i niesmutna niespodzianka życia zapędzila na czas dłuższy nawet w te tutaj ustronia, tak dawno przez cywilizację opuszczone. Właściwie, jak wiesz, Szanowny Redaktorze, przyjaciele medycy wyprawili mnie dla poratowania zdrowia na rozgłośną a tyle dziś modną pod względem sanitarnym wyspę Korfu. Sliczna jest stara ta Korcyra, ulubiony niegdyś bogów a dziś lordów przybytek, niezrównany punkt leczniczy na zimę; ale gdy już słońce dogrzewać w tych stronach pocznie, nieskończenie miłsza jest Preweza z jej rozległymi gajami oliwnymi i ciągle prawie od morza wiejącym łagodnym mistralem.

Że nadto nie trwoży mnie jakoś osławiona zaciekłość arnaucka, podobnie jak turecka barbarya, a z wrzawnością grecką nie od dziś jestem obyty, więc od paru miesięcy już tu siedzę i rozkoszuję się w przepychu otaczającej mnie natury, tyle uroczej naprawdę i osłoniętej nadomiar tajemnicą tak poważnych wspomnień dziejowych.

Już z okien mego mieszkania, ponad zieleni ogrodów, przedzielonych żywopłotami z agaw, kaktusów i bujnych jeżyn, ponad wierzchołki cytryn i pomarańcz, co już przekwitły, ponad wierzchołki granatów i oleandrów ogromnych, kwitnących jeszcze w tej chwili, roztacza mi się przed oczyma panorama niepowszedniego uroku! Oto za siną wstęgą wdzierających się w głąb łądu wód morskich, które dotykają prawie tych ogrodów, wyciąga się w postaci długiej kosy przylądek sławny Akcyum, dziś Punta z włoska dla swej ostrej kończyny zwany, poza którym dalej zataczają się półkolem surowe wzgórza dzikiej po wieki Akarnanii. Na prawo wynosi się ponad fale o ujmujących, łagodnych konturach wyspa Santa Maura, jedna z siedmiu jońskich, starożytna Leukada, białe mury portu której widzę stąd cza-

sem przy cudnem oświeceniu mimo oddali. Na lewo zaś, poza masztami ożywionej zawsze przystani miasta, zameczek Skafilaki w oddali i w złudnem zbliżeniu, jakby u samych podnóży bliższych odrośli wysokiego Pindu, których szczyty dotąd jeszcze śnieg okrywa, fantastyczne załomy owej rozkosznej zatoki Ambrackiej, dziś Arty, w głębi której odbyło się rendez-vous flot owej klasycznej pary miłosnej, tryumwira rzymskiego i władczyni Egiptu, przed bitwą tyle dla nich fatalną.

Naprawdę wspaniałą, bardzo wspaniałą miejscowość wybrała była ta para na widownię spodziewanego tryumfu, co prawie w jednej chwili w taką klęskę dla niej się zamienił. Zatoka Ambracka, pośrednia co do położenia, wielkości i charakteru piękna konturów swoich brzegów między słynną zatoką Kotorską (Cattaro) i Patraską, posiada swój wdzięk właściwy, odrębny.

Turcy, dla których szczytem wszelkiej doskonałości i piękna natury jest ich Stambuł z Bosforem, cieszą się, iż wjazd do Prewezy od morza Jońskiego przypomina im wjazd podobnie ujmujący od Czarnego morza do cieśniny Konstantynopolańskiej.

Lecz znakomity Nikopolis, „gród zwycięstwa”, jakowy tryumfujący Augustus wznieść kazał na wieczną pamięć swej szczęśliwej przewagi wojennej, a o którego ruinach i przebrzmiałych „igrzyskach akcyjskich” mówić tu zamierzaliśmy, nie leżał właściwie nad samą zatoką Ambracką (Arty). Ruiny jego zajmują paruwiorstowy przesmyk, łączący z lądem Epiru zjednoczone poniżej nieco dwa drobne półwyspy: Prewezy i zameczku Skafilaki-kalesy zwanego, przesmyk między jednym z licznych zalewów zatoki a morzem. Do ruin Nikopola z Prewezy zaledwie tylko pół godziny drogi dobrej jazdy konnej.

Znajdować się tak blisko miejscowości archeologicznie sławnej, wysłuchiwać najdziwniejszych opowiadań o cudownie dotąd zachowanych zabytkach tak oddalonej prze-

szłości, wysłuchiwać legend i nie módz samemu sprawdzić faktów na gruncie: była to dla mej słabostki starożytniczej próba zbyt twarda do zniesienia. Codzienny widok Akcyum tylko mnie podniecał bardziej; chciałem widzieć własnymi oczyma ów amfiteatr, owo stadylum, gdzie się też igrzyska odbywały. Pełne powabu niewielkie wycieczki piesze po otaczających Prewężę półwieńcem ślicznych gajach oliwnych, wycieczki samotne lub w miłym towarzystwie, nie mogły mi również dać zapomnieć na chwilę o mem pragnieniu zwiedzenia Nikopola: każda ścieżka w gaju ku ruinom prowadzi. Pragnienie zaś to moje przybierało tem więcej cech niecierpliwości, im bardziej zbliżała się pora upałów, uniemożliwiająca, jak mi się zdawało, prawie zupełnie, podobne wycieczki. Ale wszystko to przecie było próżne wobec stanu mego zdrowia, skazującego mnie na unikanie wszelkich ruchów żywszych, gdy siły moje, przy powszechnie prawie w tym roku na południu niestałej pogodzie, wracały mi bardzo powoli. Nie było rady, trzeba było czekać, aż przyjdzie pora takiego stopnia rekonwalescencji, że i na konia się dźwignąć swobodniej będę w stanie.

Wreszcie z końcem maja zajaśniała tu taka pogoda, jaką rzadko która okolica cieszyć się może w tej chwili; słońce pali, a pomimo to powietrze przesycone nieopisaną świeżością—tyle tu wiatr, wiejący prawie nieustannie od morza, a łagodzony dziwnie w swym przebiegu przez gaje i pomarańczowe sady, jest dobroczynny. Niepostrzeżenie prawie i ja nabrałem więcej sił a z niemi otuchy, odwagi; wypadało siły te wypróbować, poradować się ich użyciem pierwszym; więc na koń i oczywiście do ruin!

Parę tygodni już prawie ubiegło od dnia (12 b. m.), w którym odbyłem tyle upragnioną wycieczkę; lecz łatwiej mi teraz coś zrobić, niż potem to opisać, i oto dla czego, Szanowny Redaktorze, wywiązuję się i tym razem tak późno z danej obietnicy pisywania czasem przy żywszem zetknięciu się z pamiątkami tego tu klasycznego świata.

Wycieczkę tę do ruin świetnego niegdyś Nikopolisu dokonałem w towarzystwie. Nic oryginalniejszego nad owo nasze towarzystwo doraźnych dyletantów starożytności. Lud przedewszystkiem wojenny: paru Turków, paru Greków, oficerowie artylerii i medycy wojskowi. Gdybyż koniec na tem. Ale gdzież tam! Człowiek Wschodu nie wyrzeknie się nigdy „sałtanatu” (ostentacyi) skoro tylko zdarzy mu się okoliczność byle jaka wystąpienia z nim uroczyskiej. Otóż i dnia tego wśród kawalkaty naszej biegła pieszo a bezładnie czereda Arnautów, zbrojnych jedynie w swe szerokie noże wojenne. Za pozór wzięto potrzebę ostrożności, chociaż żartowano sobie na dobre z odwagi „palikarów” powstańczych, trzymających się oględnie samych wąwozów Pindu i greckiej granicy. Nie chodziło też tak bardzo effendyom o to, żeby było komu na razie konie potrzymać, cygarete zrobić, podać ognia lub wody, gdyż tak niezbędna dziś, na nieszczęście, dla wojennej starszyny zastępów przereźdzonych padyszacha „dżebhanesy” (amunicya), dar zdradnych giaurów w postaci ogromnego butla doskonalej „mestyki” chioskiej, była przytroczona zamiast olstrów przy siodle jednego z wyzwolenców Eskulapa, lepiej od surowych synów Marsa znającego się na wartości czarownej pewnych preparatów. Chodziło pocziwcom przedewszystkiem, by wystąpić godnie wobec „musafira”, gościa, cudzoziemca: chodziło, jednym słowem, o „sałtanat”.

Z „sałtanatem” też wielkim ruszyliśmy raniutko z miasta. A tu pogoda taka cudna, powietrze takie świeże, gaje oliwne, które przyszło nam przebywać, takie jakieś srebrzysto-smętne a rozweselane żywą jeszcze wiosennie zielenią traw i krzewów! Nadomiar wszystkiego zapanował w atmosferze z podnoszeniem się słońca miły zapach myrtów, co się tu wspinały nad każdym rowem, nad każdym niemal obniżeniem naszej drogi! Oczywiście, jako gościowi, dostał mi się i koń tegi a spokojny. Nic dziwnego tedy, jeśli, tak niedawno jeszcze niepewny swych sił, cieszyłem się teraz ra-

dością dziecka, że też zdołam dotrzymać kroku jeźdźcom z powołania, którzy popisując się swymi wierzchowcami od czasu do czasu puszczali je w zawody znanych tureckich „fantazy”.

Droga nasza, w początku od wyjazdu z bramy janińskiej mająca pretensję być rodzajem szosy „alla franca”, którą usypali niegdyś sami żołnierze w wolnych chwilach, rozszczepiła się niebawem na mnóstwo ramion, wijących się fantastycznie wśród gai, przerywanych tylko miejscami jakimś gęstym sadem cytryn i pomarańcz lub śladem kolidy pasterskiej. Jedno z tych ramion doprowadziło nas po upływie dobrej półgodziny do studni, osłoniętej stuletnimi, niepowszedniej wspaniałości, platanami, które zamykały gaj z tej strony.

Naraz ocuciliśmy się w obliczu widoku, uderzającego wzrok i wyobraźnię groźnym majestatem zniszczenia. U podnóża w łagodnych ustępach wznoszącej się wyżyny, stanowiącej ostatnią gałązkę sięgających aż tutaj konarów Pindu, zalegał jakby „nekropol” jaki zmarłego miasta, szeroko na przestrzeni wiorst paru od brzegu morza do jednego ze wspomnianych zalewów zatoki Ambrackiej. Cały widnokrąg pokryty w pełnem wyrazu tego znaczeniu imponującymi złomami samych kolosalnych budowli, bez względu, jakie one były: mury miasta, pałace, termy, wodociągi, teatru. Nie było miary niememu zdumieniu. Turcy moi tylko chwilami powtarzali swoje uroczyste „aman!” „aman!” Coż dopiero, gdy im powiedziałem, że w chwili, gdy ich prorok uciekał z Mekki do Medyny, miasto to leżało już w gruzach, tak jak dzisiaj: w gruzach, już przed tysiącem lat. Wtedy ciche „aman!” „aman!” zamieniło się na jedno powszechne, głośnie „adżajb”.

Najnaturalniejszym potem było zapytanie: któż mógł zburzyć takie potężne, olbrzymie budowy?

— A nie kto inny, jeno owi nieproszeni goście z pół-

nocy, których ówczesny świat cywilizowany ogólnym wyrazem „barbarzyńcami” nazywał.

— „Chyrsyz!” „dženabet!” (łotry) — wykrzykiwali na moją odpowiedź effendyowie.

— No! no! nie tak srodze!—powiadam—byli pomiędzy tymi gośćmi i wasi turańscy pobratymcy a poprzednicy, którzy również znakomicie znali się na tem, jak burzyć, co inni budowali, a z historyi wiemy, iż parę razy burzono nieszczęsny Nikopol.

— Alboż go i dzisiaj tu nie burzą?—zawołał na to jeden z Greków, śmiały, bo krewniak patryarchów.

W chwili gdy tu zastanawiamy się nad ruinami, tam gdzieś dalej na prawo stoi pod namiotami cała jedna kompania artyleryi, wysłana nie tyle dla straży, ile po to, aby łamać resztę murów dla wydobycia tych ogromnych płyt kamiennych, z których w Prewezie nowe „molo” w porcie zakładają.

Wspomnienie to towarzyszy nasunęło mimowoli mym effendyom myśl, że najlepiej będzie ich odszukać naprzód, zrobić sobie pod oficerskim namiotem krótki „rahat”, wypić nieodzowną kawę i, wzięwszy zamiast naszych Arnautów paru przewodników miejscowych, stamtąd rozpocząć objazd ruin. Zgodziliśmy się wszyscy na to.

Wypadło nam jechać rębem gaju, który wszędzie prawie zwalisk dotyka, bo pod samym murem obwodowym miasta od zachodu ku wschodowi. Ślady muru wyraźne na całej linii, ale w gruzach wszystko; miejscami tylko wznosi się, urągając wiekom, jaki złom ściany potężnej, szczególnie w pobliżu bram dawnych. Charakter budownictwa zupełnie rzymski, kamienie wiązkim nadzwyczaj cementem spajane, przerywane czasem warstwą silnie wypalonych cienkich cegieł. Miałem nieraz przypomnienie znanego rodzaju budowy pamiętnej „Złotej Bramy” kijowskiej i nie dziwiłem się temu, boć przecie jakiś pierwowzór onej byzanckiej był również dziełem rzymskiem. Grubość murów — fortyfikacyjna. Jaka zaś moc ich wiązania, niech służy za do-

wód widok takich obłomów, które, podgryzione działaniem wilgoci widać do połowy u swych podstaw, trzymają się dotąd wyniośle.

Przybyliśmy pod namioty wojskowe i oczywiście doznaliśmy jak najserdeczniejszego przyjęcia. Pod warunkiem, że wrócimy na odpoczynek i „kuszłuk” południowy, by spożyć w cieniu co Bóg dał, sam naczelny „juzbaszy” ofiarował się nam za przewodnika po błędnych ścieżkach, między zwaliskami. Ale co do mnie, chodziło mi również i o stronę podaniową, legendarną, o gadki fantastyczne, do ruin się odnoszące. Lecz któż o tem lepiej mógł wiedzieć od skromnego „papaza”, którego samotny „monastyr” miał być gdzieś opodal pomiędzy ruinami, w cieniu drzew ukryty.

Turek żołnierz pamiętał tylko o tem jedynie, że pod fundamentami wspaniałej bramy, którą mu kazano prochem rozsadzać dla wydobycia istnie cyklopowych kwardów, stanowiących jej narożniki i wiązania dolne, w głębokiej ciemni owych podziemi stoi wryty kocioł starożytnych kosztowności, „altun antykalary”, którego straszliwe potwory strzegą! Byli niedowiarki, co znużeni ciężką pracą odrzucania gruzu zmykali chętnie przy lada pozorze do szpitala w Prewezie; lecz większość dzieliła twardo przekonanie, że juźci prawowiernemu człowiekowi byłoby można jakoś sprostac tym tam skorpionom zaklętym, byle się dokopać do złota, i pracowano zawzięcie. Chcieliśmy więcej posłuchać; wypadało po drodze odwiedzić „papaza”.

Portal rozsadzonej właśnie bramy, przez którą wjechaliśmy w obręb zamarłego miasta, bramy wschodnio-południowej, nosi jeszcze cechy dawnej swej wspaniałości w śladach śmiałego sklepienia.

Wjazd sam zawalony płytami, między którymi z trudnością konie nasze przechodziły. Na prawo od tej bramy ciągnie się dalej linia murów obwodowych, spuszczać się powoli ku zatoce; linia oznaczona nadto wyraźnie wklęsłością fortyfikacyjnych rowów. Pomiędzy gruzami, tam

na murach, żołnierze, korzystając z ocalałych sklepień, dziś do zaczarowanych jaskiń podobniejszych, pourządzali sobie wcale wygodne legowiska. Poniżej bramy niedaleko niej spotkalśmy najprzód ruiny obszernych łaźni (term); znać jeszcze niewielką sadzawkę i gliniane rury, któremi dawniej widocznie woda tu dochodziła z głównego wodociągu. Dalej, w prawo i w lewo, ślady różnych budowli poważnych, domów, może pałaców, subselijów, świątyń. O jakże mizerny przy tem wszystkim dzisiejszy „monastyr”, nędzna lepianka „papaza” przy cerkiewce z gruzów.

Za to prawdziwie piękny i jedyny tu może zabytek późniejszej byzantyjskiej już architektury przedstawia bazylika chrześcijańska, opuszczona od wieków, lecz tak mało względnie uszkodzona, że możnaby ją było jeszcze naprawić i podtrzymać. Dotąd jeszcze trzyma się mocno kształtna, ośmiogranna podstawa jej wieży. Była to zapewne świątynia, poświęcona pamięci apostoła pogan, Ś-go Pawła, który, podług podania kościelnego, odwiedzał Nikopol w drodze z Koryntu i zawiązał tu pierwsze zgromadzenie, pierwszą „ekklezyę” wiernych. Budowa ta znajduje się już na pochyłości zniżającego się ku samemu portowi wschodniego krańca miasta; ku portowi mniejszemu, od strony zatoki Ambrackiej, opuszczonemu od wieków i zrujnowanemu przez przerwę grobli i wylew wody w głąb lądu. Tak, że dziś rybak tu tylko gości; a przystań obecna Arty, starożytnej Ambracyi, Salhora, na dalszej nieco wybrzeża widowni pozostała.

Papaza nie zastaliśmy w monastyrze, nie było zaś nikogo nadeń, coby nam jakich takich informacji miejscowych udzielił. Ale cały przestwór prawie, jaki mieliśmy przed oczyma, zalegały wspanialsze od innych ruiny, a wprost naprzeciw na podgórzu zamykającej (od północy) widnokrag wyniosłości zarysowywały się jak na dłoni charakterystyczne kontury, amfiteatru, przeznaczonego dla uroczystości akcyj-skich. Stamtąd wyzierała ku nam największa ponęta; nie

było wyboru, ruszyliśmy tedy ku wschodniej stronie podgórza.

Amfiteatr ten, większy, przedstawia przedewszystkiem doskonały wzór tak wysokiej umiejętności, jak i powagi budowniczej starożytnych. Dziewiętnaście wieków upływa, a wspaniała budowa stoi w głównych zarysach swych nie wzruszona. A jakie spożytkowanie warunków samej miejscowości! Kierunek pochyłości był tu przeważną wskazówką układu budowy, zaledwie miejscami wypadło wkopać się w grunt głębiej. Półkoliste zatoczenia siedzeń dla widzów zniżały się w naturalnych ustępach aż na dół, gdzie była scena, zwrócona ku miastu. Wszystko to wydatne jeszcze w tej chwili: i piętrzące się półkola siedzeń na jakie kilka tysięcy widzów, i boczne portale, przez które dostaliśmy się konno na scenę, zavaloną gruzem, i same attynencye tej sceny. Rodzaj budowania—znany pomnikowy rzymski—cegła mocno wypalana, kamień i ogromne płyty, jako fundament i oprawa muru. Dziwna rzecz! ząb czasu w swej kapryśnej ironii jakby umyślnie oszczędza bardziej przybytki uciechy ludzkiej, a i dziś nawet widok tej ruiny, jednej z lepiej ocalonych budowli starożytnych tego rodzaju, nie robi żadnego posępnego wrażenia. Tak tu jakoś swobodnie, jak wtedy, gdy piękne Nikopolitanki przyklaskiwały mimom lub gladyatorom, ani domyślając się, że w tejże chwili, w ciemni gdzieś ustronnego przedmieścia, skromny, lecz ognisty piśmiennik z dalekiego Tarsu, opromienionego również wspomnieniem cudnej Kleopatry, opowiadał nowe twarde prawdy nauki nazarejskiej!

Lecz zato stadyum, o kilkaset kroków zaledwie od amfiteatru odległe, gdzie podobnież odbywały się pamiątkowe igrzyska, tak obrócone w perzynę, że ledwie rozpoznać się daje. Wyraźny przecie, na przestrzeni kilkuset kroków, rozdół czy parów, którego ręby z gruzu murów dawnych ziemia okryła i trawą samą zazieleniła. Obecnie przestrzeń

ta wydaje się być zbyt szczupła, jeśli tu miały się odbywać gonitwy choćby tylko piesze.

Czy zaś owe igrzyska, historycznie pamiątkowe, a ustanowione na rozkaz tryumfatora, długo cieszyły się spodziewaniem powodzeniem, na to nie umielibyśmy sobie odpowiedzieć. Nie powstały one, podobnie jak olimpijskie, pod działaniem religijno-artystycznego porywu samorzutnie całego narodu. Uspokojenie italskiej kolonii Nikopola było wielce różne od uspokojenia ludu greckiego. Napróżno poddano igrzyska te pod opiekę Apollina, którego też świątynię na przykładu Akcyum August kazał świetnie odnowić. Wreszcie z czasem uroczystość igrzysk, jako instytucję, tak rzec można, urzędową, miano przenieść do Rzymu, co oczywiście spowodowało w następstwie zupełną już swobodę zabaw ludowych w Nikopolu.

Wracając na pożądaną już naprawdę, za zbliżeniem się południowej godziny, „rahat”, pod namioty gościnnych artylerzystów, skierowaliśmy się po drodze nieco bardziej ku środkowi miasta dla obejrzenia imponujących zdaleka zwalisk starożytnego zamczyska czy innej jakiej kolosalnej budowy, świątyni może, której cała jedna ściana wyniosła pozostała prawie nietknięta. Znać na niej z zewnątrz w pewnych odstępach powtarzające się troiste, głuche portale bardzo ładnego rysunku; u góry zaś ślady otworów, jakby na okna. Całość nie da się podług rysunku na gruzach określić.

Wypoczynek nasz południowy trwał, jak można się domysleć, parę godzin, nim słońce się nieco nie zniżyło; choć nad spodziewanie nasze nie było obawy upału przy ciągłym przewiewie wiatru od morza po tym przesmyku, między linią gajów oliwnych a łańcuchem pagórków wyniosłych. Aniśmy spostrzegli się, jak czas nam szybko uleciał, i wypadało znów się na koń, by połowę zachodnią zamartwego miasta obejrzeć. Tymczasem mało się już mówiło o zwiedzonych zwaliskach. Towarzysze moi, ludzie wojenni, pod-

ochoceni po należytej przekąsce chioskim nektarem, ukrytym dotąd w owej „džebeneh” przy olstrach młodego „hekim-baszy” (lekarza) z Fanaru, mieli zanadto wspomnień z przygód tylko co ubiegłej przeszłości, by takowych przy zetknięciu się z dalekim „musafirem” nie potrącić. I niepodobna było nie wierzyć tym prostym, bez przechwałek, smętnym nawet opowieściom; tak jak przeciwnie żadnemu z paszów lub wogóle starszyny nie dałoby się wiary. Postrzegłem ze zdumieniem, że istniało nawet pewne poczucie koleżeństwa między Grekami wojskowymi i Turczynami. Arnauty w naszym kółku na ten raz nie było, więc też nie było onych odgrzań się przeciw „Jònanom” (Jończykom, wolnym Hellenom) za ich pretensye do Epiru, że jeśli cnym Skipetarom tylko pozwolą, to oni za dni dziesięć w Atenach staną, co, pod wielkim sekretem powiedziawszy, nie jest wcale junakeryą na słowach—tak butni synowie Skander-bega pewni są siebie.

Szło więc wszystko najspokojniej, gdy naraz poza namiotem, przy którym pod cieniem rozłożystego drzewa wypoczywaliśmy, powstaje wrzawa i czausz służbowy daje wiadomość, iż tyle upragniony „papaz” miejscowy właśnie nadjeżdża. Dziwnie jakieś wesołe usposobienie, zupełnie dla mnie niezrozumiałe, zapanowało na wieść tę w mojem wojennem kółku. Za chwilę stanął przed nami osiołek, obciążony nagim łękiem drewnianym, przy którym z jednej strony przytroczony był kawał grubego bala, na cieniutkie deszczułki porznętego, z drugiej zaś wisiała torba włosienna, z której szyje dwóch butli wyglądały; na łęku zaś samym siedziała bokiem niewielka figurka w czarnej oponczy, o czarnym kołpaku, a siwej brodzie, z gołą piersią, o przewiewnych trzewikach, i uśmiechała się ku nam wystraszenie, lecz i jowialnie zarazem. „A witajże nam, „kirye pape”, zawołano jednogłośnie; był to bowiem naprawdę, we własnej osobie, paroch nikopolitański, powracający ze sprawunkami z Prewezy.

„Chuda fara, chudy pleban”, a co gorzej, w takiej samotni i na takim rozdrożu. Arnauci temu niedawno ostatnią mu parę koni zabrali — wygościwszy u niego, woleli powracać do domu konno, niż piechotą. Z artylerzystami był zato „kiryos” w największej przyjaźni, bał się ich okrutnie i tulił ku nim. Człowiek dawnej daty, po turecku mówił doskonale. Zresztą, oprócz posuniętej do artyzmu umiejętności powtarzania lotem błyskawicy swego „kirye elejson!” — wykształcenia żadnego. Za to można było w nim dopatrzeć niemałą dozę jakiejś monomanii prostaczey, lecz poetycznej, co robiło go pożądanym gościem dla nudzących się jednostajnością sąsiadów jego obecnych — Turków. Zaczepiłem i ja go też o moje i naprawdę otrzymałem bardzo poetyczną opowieść legendarną. Najwyższy za to dopuścił zburzenie Nikopola, że miasto to było wzniesione na pamiątkę zwycięstwa nad kobietą! Teraz duch gniewny pięknej królowej, unosząc się nad ruinami, strzeże, by nic tu nowego na ich miejscu nie powstało. Lecz jakże zostałem natychmiast rozczarowany, gdy na moje dalsze zapytanie nic mi nasz papaz nie umiał już odpowiedzieć, powtarzając jedynie ową opowieść o skarbach zaklętych i skorpionach. Wypadło zatem ruiny i dalej samym zwiedzać.

W połowie zachodniej zburzonego miasta do ciekawszych ruin należy zaliczyć zwaliska wspaniałego „Palatium” od strony południowej, opodał owych platanów pysznych, pod którymi byliśmy się najprzód zatrzymali. Dotąd znać jeszcze wewnątrz nisze, gdzie stały zapewne statuy, lecz złomów marmuru ani śladu. Posadzka niedawno jeszcze widocznie zasypana gruzem, a zwalone mury bujnie okryte krzewami — myrtów, jeżyny, paproci.

Ku temu pałacowi dochodził bezwątpienia ów znakomity wodociąg, linię potężnych konstrukcyi którego znać wyraźnie do dziś dnia na znacznej przestrzeni. Było to

prawdziwie mistrzowskie dzieło inżynierskiej sztuki rzymskiej. Akwadukt ten starożytny prowadził wodę z parumilowej odległości z obfitych źródeł podgórskich przy dzisiejszej osadzie Kaneli zwanej, blisko morza na północ, w kierunku Parji.

Niedaleko tegoż placu rozsypał się w gruzy i drugi teatr miasta — mniejszy.

Bronił zaś Nikopola z tej strony, od strony morza i głównego portu, przy którym dziś grecka wioszczyna Mityka leży, obszerny zamek „Paleokastron”. Zwaliska jego, rozrzucone po znacznym obwodzie, świadczą o nieforemności załomów jego ogólnego konturu. Lepiej od ścian zamkowych trzyma się mur obwodowy, z tej strony miejscami zdobny resztkami wieżyczek obronnych. Tu też wznosi się jeszcze i główna brama wjazdowa miasta, naprawiona przy Justynianie, o czym świadczy ocalały krzyż nad jednym z wejść bocznych.

Otóż i wszystko co do ruin!

Ogólny ich charakter nosi cechy kolosalnych ruin rzymskich. Ludzie, co znają Rzym dobrze, znajdują tu onego żywe przypomnienie. Ten sam rodzaj budownictwa: cegły, olbrzymie płyty kamienne, z Włoch podobno nawet sprowadzane, a co najbardziej — sam wyraz powierzchowny miejscowości, do „kampanii” rzymskiej wielce podobnej.

Lecz że tak niewiele względnie z ruin wspaniałego miasta pozostało!? A już cięży nad nim taka klątwa Boża, jak nas upewnił „kirjos papa”, że wolno je dalej każdemu niszczyć, nie zaś podnosić. Z ruin tych przeważnie powstała dzisiejsza Preweza, z ruin tych Wenecyanie opasali mocnym murem nowe miasto, gdy Nikopolis „Preveza vecchia” zwano, i pobudowali port i wszystkie dotąd istniejące tu zameczki; czerpał stamtąd niemniej na swe dwory i łaźnie głošny w swym czasie Ali-pasza z Tepelenu, zuchowały satrapa janiński, a dziś Turcy je niszczą.

Najniewątpliwiej jednak mnóstwo się tam pod gruzami skarbow archeologicznych kryje. Co poczną z tem wolni Hellenowie, gdy im część ta Epiru przysądzona zostanie?

Sprzedadzą zapewne kiedy za dobre talary bite Niemcom prawo zaspakajania choć idealnie tylko swej namiętności starożytniczej, jak to zrobili tylko co ze zwaliskami słynnej z igrzysk Olimpij. Co tam znajdują uczeni Niemcy, mają pozostawić na gruncie, zawsze jednak wielki stąd przybytek nauce urosnie.

Tymczasem między rumowiskami Nikopola próżniaczy Greczyn swe basztany zasadza leniwie; ma tu przecież trochę kukurydzy, fasoli i przeróżnych dyń co niemiara. Włach zaś z Pindu, wiekuisty włóczęga, pasie tu zimą swe stada owiec, wracając znów w góry na lato bez obawy o los swych kolib ze trzciny i sitowia. Wcale zajmująco wygląda młode Właszę dzikie w swym krótkim białym konusiku o rękawach na wylot, w białej fustanelli i takież czapeczce wysokiej, zbrojne w parę pistoletów i swój zakrzywiony pastorał nieodłączny. Widziałem właśnie takiego chłopczykę na czele jednego spóźnionego stadka, w cieniu rozłożystej figi wypoczywającego.

Kto są ci Włosi? — Czy potomkowie wystraszonej w góry i tam zdziczałej ludności italskiej Nikopola i innych osad rzymskich? Rzecz wątpliwa. Prędzejbym ich uznał za przybłędów pastuszych drogą wyżyn Bałkanu aż od Karpat dackich, z czasem tylko potem zmieszanych z resztką tutejszych Italów.

Tak rozważałem rzecz tę z towarzyszem — fanaryotą, wracając cudnym wieczorem do Prewezy. A Turcy tymczasem harcowali; Selim-effendy, gościnny „juzbaszy”, który nas odprowadzał, popisywał się swym niepospolitej piękności anatolcem — jedynem swem ukochaniem na świecie. Arnauci szli do domu „jako wilcy”, robiąc tem naprawdę

część hercegowińskiemu przysłowiu, że góral „kao wuk hoda”! W mieście rozstaliśmy się, unosząc z sobą każdy niezawodnie zupełnie inne wrażenia.

Jam był uszczęśliwiony; była to nadto próba sił mi wracających — i próba znakomita.

A. J.

MIGRACYA OBECNA LUDÓW PÓŁWYSPU BAŁKAŃSKIEGO.*)

Preweza (Albania), 10 lipca.

Cicho tu, spokojnie, zbyt spokojnie nawet napozór, w tej ustronnej i skromnej Prewezie, sennie niby spoczywającej, w obliczu pamiętnego w dziejach starożytnego świata przylądka Actium, w cieniu ożywczym swych gajów oliwnych i pomarańczowych sadów! Członkowie komisji granicznej dawno się rozjechali, nic nie sprawiwszy; wrócili w góry swe i butni begowie, o stroju malowniczym, którzy tu wrzawnie przypominali się strwożonej kolonii greckiej; obawy rozwiąły się, wszystko przycichło. A jednak szeptem powtarzane wieści—podawane z Aten, przychodzące ze Stambułu — o przypuszczalnym wyniku, bardzo blizkim może, rozpoczętych na nowo rokowań nad linią przyszłej grecko-tureckiej granicy, trzymają tu umysły w najwyższym wytężeniu. Czuć jakby w powietrzu, że nakoniec i dla tych tu krain, staczających się z wyżyn sędziwego Pindu, zbliża się chwila podobnej migracyi ludowej, jakiej doznały już, tak niedawno temu, lub jeszcze doznają, inne, bardziej północne, dzielnice Bałkańskiego półwyspu.

Preweza też stanowi doskonały punkt obserwacyjny.

*) „Gazeta Polska”, 1879, Nr. 162.

Widzi się tu obecnie przedstawicieli (stałych lub doraźnych jedynie) wszelakich ludów Turcyi europejskiej, skupionych tutaj, zbrojno lub bezbronnje, ku ostatecznej rozprawie czy rozbratowi. Co więcej, same agencye konsularne, rozliczne a tak sprzeczne w swych widokach, są tu może dziś baczniejsze, niż gdzieindziej.

Rozumie się tu więc doskonale, że, w razie gdy z Tesalią i południowy Epir będzie ustąpiony Grekom (czy Hellenom — jak oni wolą, by ich nazywano), znów migracya ludowa niezawodna. Bitny Arnauta, któremu Europa nie pozwoli rozprawić się po swojemu z nienawistnym mu „szawurem”, nie pozwoli spalić Koryntu i Aten, sam też nie podda się spokojnie „Jònanom” (Jończykom) i cofnie się głębiej w góry Albanii lub ku Macedonii zejdzie. Niełatwą będzie miał sprawę rząd ateński nawet z ortodoksalną ludnością Tosków: poczucie odrębności narodowej rozbudzone wszędy, i napewno głosi ze swego bohaterstwa w czasie wojny za niepodległość grecką Sulioi dzisiaj nie poświęciliby ani jednej krwi kropelki za ideę panhellenizmu. Toż samo można powiedzieć i o Włachach, pasących liczne swe stada owiec po halach wyniosłego Pindu. Lud ten, romański z mowy a zagadkowego pochodzenia, który wydał był ze swego łona tylu znakomitych z poświęcenia patriotów greckich, w chwili obecnej walczy już zawzięcie ze swem duchowieństwem o szkoły gminne i, bez wątpienia, w danym razie będzie wołał uchylić się od cywilizatorskich zachcianek Hellenów również przez opuszczenie swych siedzib.

Jednem słowem, zbliża się i tu, u obustronnych podnóży Pindu, „exodus”, podobny do tego, jaki oto co tylko odbył się na pochyłościach pasm Bałkanu.

Istna to wędrówka, migracya ludów! Z daleka tam ani podobna domysleć się całej jej doniosłości. Kto zna dotychczasowe mapy etnograficzne Bałkańskiego półwyspu, Lejeana naprzykład, a choćby i późniejsze, w wielu razach nie będzie w stanie wcale się zorientować: takie tu przeobrażenie

stanowcze w stosunkach geograficzno-etnologicznych ostatnia wojna wschodnia za sobą sprowadziła! Nawet kto pilniej zwracał uwagę na fakta odnośne, podawane doraźnie przez dzienniki, podobnież doniosłości tej należyce ocenić nie może: nieodzowne pod tym względem żywsze zetknięcie się z rzeczywistością.

Falowanie migracyjne ludów Bałkańskich wprowadzie nigdzie jeszcze nie uciszyło się, nie ustało; jednak silniejsze rzuty onego dadzą się przecie już dziś wyraźniej zakreślić. A rzuty te, trzeba dodać, były bardzo silne, gdy się ich ogół cały obejmie! Począwszy od wiosny pozaprzeszłego roku do lata obecnego—zdaniem dobrze poinformowanych—milion jaki co najmniej wynosząca ludność, różnych szczepów i języków, odbyła fatalne „chassez-croisez”, szukając nowych, bezpieczniejszych dla się siedlisk. Zbytecznem wszakże byłoby dodawać, że żaden z ludów nie opuszczał, jak to było w czasie wielkiej wędrówki narodów, dawnych swych ognisk całkowicie.

Oczywiście, iż najznacześniejsze skrzyżowanie się migracyjne odbyło się wśród dwóch szczepów, które wojna ostatnia rzuciła, wyjątkowiej, przeciw sobie wzajem, do walki śmiertelnej—nawet o siedziby. Były to szczepy: słowiański—Bułgarzy przedewszystkiem, i turecki—Osmanowie rumełijscy. Bardzo też znacząco porwani byli wirem wychodźczym, osiedleni tak niedawno jeszcze u Bałkanów, Czerkiesi; mniej daleko ulegli mu Arnauci i Grecy; lecz nie uniknęli jego mocy nawet Izraelici, nawet Cygani.

Wychodztwo stanowcze, rozpoczęte z wiosną r. 1877, było, jak sobie przypominamy, poprzedzone nieco pierwej—nieokreślonem falowaniem migracyjnem jedynie. Już w r. 1875 „kmety” bosańscy poczęli tłumnie rzucać swych „begów”, na los szczęścia, sami szukając przytułku u pobratymców, w ziemiach horwackich korony św. Szczepana. Powoli ilość wychodźców tych urosła do stu tysięcy niemal; nikt ich przecie w domu nie zastąpił, a z okupacją austrya-

cką większość wraca ku opuszczonym progom. W następnym zaś roku (1876) nieszczęśliwe powstanie bułgarskie w maju spowodowało było wyludnienie wielu osad z Tracyi, pomiędzy stokiem południowym Średniej-Góry (Hodża-Balkanu) a północną pochyłością Dospadzkiej płoniny (Rodopu). Lecz hasło do stanowczej migracyi podało dopiero przekroczenie wojsk rosyjskich przez Dunaj.

Pierwsi rzucili się do ucieczki Czerkiesi, osiedli w Dobruczy i dalej po Bułgarii; przykład ich naśladowali wnet Pomacy (muzułmańscy Słowianie bułgarscy)—prawie wszyscy; a z nimi i znaczna część Turków, ze średnich (jak Świstów, Łowiec, Ternów) sandżaków Dunajskiego wilajetu. Wyznawcy ci gorliwi proroka, przeszedłszy Bałkany, oparli się zaledwie (w przeważniejszej ilości) aż o Adrianopol i — do opuszczonych swych siedlisk już więcej nie wrócili: nawet rodzimi Pomacy. Podobnie wychodźstwo spowodowało następnie, w ciągu r. 1877, przejście wojsk rosyjskich (pod jen. Hurkiem) przez Bałkany. Teraz ludność muzułmańska trackiego Zagórza (Zagorje) — z obwodów nast., jak Kazanłyk, Jambol, Zągora (Eski-Zahra) — umykała co tchu w głąb kraju. Nie było rady: mściwy nóż bułgarski pozostałych wrogów krwi swej nie szczędził!

W odwet za to, gdy niebawem Sulejman-basza aż ku Bałkanom się posunął — z ludności bułgarskiej chrześcijańskiej na temże Zagórzu pierzchał każdy dalej ku północy, kto nie chciał zginąć w rzeziach, jakie zakrwawiły obydwie Zagory, Karłową i inne miejscowości słynnej róż krainy. Poczem Sulejman wyprawił blisko dziesięć tysięcy bułgarskich kobiet i dzieci, wdów i sierot po większej części, do Adrianopola, skąd je dalej rozmieszczono po okolicznych osadach. Lecz, po następnej zajęciu przez Rosyan tego miasta, większa część rodzin bułgarskich, które tu były szukały przytułku, wróciła ku dawnym ogniskom. Co również można powiedzieć i o Izraelitach, mowy hiszpańskiej (Spagnuoli), jacy podobnie byli tam pierwsi zbiegli.

Jak pierwszy ten akt, jeśli tak rzec można, tłumnego wychodztwa rozpoczęty został skutkiem przekroczenia wojsk rosyjskich przez Dunaj, tak hasło do aktu drugiego, i najfatalniejszego ze wszystkich, podał upadek Plewny, po podaniu się Osmana-baszy.

Natychmiast po owym, tyle stanowczym w dziejach wojny ostatniej, wypadku rzuciła się do ucieczki za Bałkany ludność muzułmańska z całej zachodniej Bułgarii, osobliwie z sandzaku Sofijskiego. Z Tryadycy też (Sofii) umknęli co tchu i liczni, zamieszkali tam, Izraelici. Z początkiem zaś następnego roku (1878) odbył się, winą najbardziej samego rządu tureckiego, który ku temu zachęcał, ów straszliwy, pełen najtragiczniejszych scen, „exodus” zimowy muzułmanów, którego przerażające szczegóły pamięta każdy, kto pilnie czytywał dzienniki. Cała ludność turecka i czerkieska z północnej i zachodniej Tracji, z obwodów: Śliwna, Płowdywa (Filipopola) i Adryanopola, podniosła się naraz do gromadnego wychodztwa — bez powrotu na wieki, zwracając się głównie ku Bosforowi i Anatolii. Ile jej wtedy wyginęło w drodze, od mrozów i przygód wszelakich — osobliwie kobiet i dzieci — któż obliczyć jest w stanie!

Więcej stu tysięcy zatrzymało się w Stambule, gdzie znowu tysiące z nich wymarły z głodu, tyfusu, ospy. Część tych zbiegów rumelijskich dostała się jednak pomyślnie do Azji Mniejszej; inna odpłynęła ze Stambułu do Syrii.

Po zawarciu ugody w San-Stefano poczęli też byli pozostali w Stambule wychodźcy próbować powrotu do swych siedzib opuszczonych; ale część ich nieznaczna zaledwie zdołała się na nowo tam zagospodarować: większość znalazła domostwa swe zburzone lub została przez Bułgarów odparta. Adryanopol więc stał się teraz głównem przytuliskiem tych rodzin wychodźczych, które powstrzymane były w powrocie do dawnych progów. Ilość ich przechodzi 30 tysięcy dusz — po większej części Turków i Cyganów, któ-

rzy, jak wiadomo, z panującym tu wyznaniem trzymają. Czy zaś ów nowo-inaugurowany porządek na trackiem Zagórzu, albo tak w Berlinie ochrzczonej „Rumelii Wschodniej”, zmieni co pod tym względem — rzecz wątpliwa: dawne siedziby muzułmanów zajęli już przeważnie przybysze z południa — Bułgarzy.

Wychodztwo to Bułgarów z południowo-wschodniej Tracyi ku północnemu Zagórzu może być wzięte za akt trzeci owego, tyle smutnego, dramatu migracyi. Odkonczyło się ono jednocześnie z opuszczeniem przez wojska rosyjskie Czataldży, Rodosto, Malagry i innych punktów południowych. Za Słowianami tamtych okolic poszli w ślad niebawem Greko-Bułgarzy i wielu Greków nawet z obwodu Demotyki i doliny Ardy, — wystraszonych przez powstańców muzułmańskich, co byli w górach Rodopu groźnie zasiedli. Ilość samych tych wychodźców chrześcijańskich z południa — 20 tysięcy przechodzi.

Wogóle fatalne owo „chassez-croisez” dwóch przeważnie szczepów — tureckiego i słowiańskiego — w ziemiach bułgarskich wypadło oczywiście na wyłączną korzyść Słowian!

W chwili obecnej żywioł turecki można uważać za zupełnie prawie wypleniony w całej Bułgarii zachodniej i w obwodach tak zw. „Wschodniej Rumelii”, pomiędzy Bałkanami i Rodopem. Tem bardziej można to powiedzieć o Czerekiesach, którzy się teraz o Carogród oparli wyłącznie. Choć w Bułgarii wschodniej, w której Turcy zawsze byli silniejsi, większość ich pozostała na miejscu, na Dospadzkiej zaś płoninie (Rodopie) siłę tamecznych Pomaków pomnożyli nawet znacznie zbrojni przybysze muzułmańscy rozmaitego pochodzenia. W Macedonii natomiast stosunek etnologiczny zaludnienia prawie się nigdzie dotąd nie zmienił.

Przysądzenie Wołochom Dobruczy pozostaje podobnie bez następstw prawie pod względem zmian w dotychczasowym etnicznej rozmieszczeniu ludności. Żywioł romański zresztą nie będzie nigdy w stanie wyprzeć stamtąd innych,

od wieków tam zasiedziały. Bułgar przedewszystkiem nie ustąpi, w mocnej wierze, że niedługo też tu przecie tego wołoskiego panowania; nawet Gaga-Uz, Bułgar-chrześcijanin tureckiej mowy (potomek zapędzonych tu, po pogromie mongolskim, Uzów, Połowców), także się stąd nie poruszy. Tatarzyn, który, nad podziw, nigdzie prawie w Bułgaryi nie ruszył się z miejsca, przysiadł tem mocniej w Dobruczy, owej małej Scytyi starożytnych, że początek jego tu osad niektórych datuje jeszcze od owej hordy „podolskiej”, przez litewskich Koryatowiczów za Dniestr wypartej.

Wychodztwo turańskiego żywiołu z uwolnionych z pod władzy Osmanów ziem bułgarskich trwa przecież dotąd nieustannie.

W zachodniej stronie Bałkańskiego półwyspu poczęli też Arnauci przed Słowianami ustępować z siedlisk, jakie tamtym, pod opieką turecką, dawniej byli wydarli. Mówimy tu o albańskich do niedawna okręgach, ku Serbii i Czarnogórz przydzielonych. Lecz doniosłości tego wychodztwa nie da się jeszcze określić. Energiczna to niezmiernie natura tego potomstwa dawnych Illirów, — i niełatwo je będzie wyprzeć ze starej Serbii, bez względu kto tam na bitnego Skipetara od Nowego-Bazaru nastawać zechce! Prędzej podzieli się on ziemią dobrowolnie ze swym prawowiernym współwyznawcą, jak pierwej z Czerkiesem, gdyby mu teraz osławiona „szwabsko-madżarska” gospodarka w Bośni i Hercegowinie tłumy rozdąsanych agów tamecznych na kark zepchnęła.

Ruch zaś ludności w samej Bośni i Hercegowinie, pod względem zmian etnograficznych, wcale żadnego znaczenia istotnie nie ma: dokoła lud jednej krwi, jednej mowy—mimo różnicy wiary. Rozbiegłe „kmety” powoli wracają, a jeśli parę tysięcy „Turczynów” kraj opuściło, nikt obcy przecie miejsca ich nie zajął; Czarnogórcy zaś, co się coraz gęściej siedlą na rębie Hercegowiny, — swoi ludzie. Zresztą wychodz-

two odgrządzających się już głośno „Mujów” liczne bardzo być nie może.

Ale myliłby się wielce, ktoby sądził, iż ruch emigracyjny ludów Bałkańskiego półwyspu na lekkim tylko fałowaniu już się zatrzyma! Zbliża się powoli ciężka próba i dla Arnautów, zarówno dla rycerskich Gegów, jak dla Tosków zapamiętałych. Cni synowie Skander-bega i Alego z Tepelenu głów swych pewno nie pożałują; lecz ściśnięci wylać się będą musieli dalej — na Macedonię.

A tymczasem cicho tu, spokojnie, w wysuniętej na pierwszy ogień, strażniczej Prewezie!

A. J.

ALBANIA. *)

WSPOMNIENIA I ZARYSY.

Preweza, 5 sierpnia.

Przed ostatecznem pożegnaniem gościnnej Albanii, w której przepędziłem najprzyjemniej całe prawie ubiegłe półroczce, kąpiąc się w powietrzu ożywczem jej gajów i gór, jej wybrzeży morskich, wypada mi przywołać na pamięć rozproszone wrażenia, skupić w całość jakąś oderwane fakta, by się tem, niby wiązką mych wspomnień, z wami następnie podzielić.

Zebrałoby się tego przecie na wiązkę zbyt sporą, aż nazbyt może obfitą, by można tu było, mimo żywej podniety, jaką stanowi niezaprzeczona świeżość przedmiotu, roztoczyć treść onego w należytej pełni. Z konieczności tedy muszę się ograniczyć w jak najściślejszym zakresie, podając to mianowicie, co jest u nas mniej znane a zarazem drga tętnem nieugaszzonego, odnawiającego się nieustannie, życia; muszę poprzestać na faktach, przyświadcających życiowemu wytężeniu chwili obecnej, przygotowanemu tu ciągiem całych wieków poprzedniego uderzająco oryginalnego życia narodu i społeczeństwa.

*) Ateneum, 1879, t. IV, zesz. 2.

Mniejsza, iż natura kraju jest tak wspaniała w ogólnym charakterze, tak pełna przepychu w niezrównanym urozmaiceniu, w najżywszych kontrastach na każdym kroku; — jest bogatsza od helweckiej o całą swą roślinność południową, o wybrzeża dwóch mórz błękitnych, uroczych. Mniejsza o związane z tą imponującą naturą Albanii najstarsze mityczne legendy świata klasycznego, korzącego się na wspomnienie straszliwego jej Acherontu, szukającego wskazówek życia w zagadkowych odpowiedziach, osłoniętej koronami przedwiecznego dębu, wyroczni w Dodonie. Pominąć to musimy! Pominiemy również całą przeszłość historyczną niezmiennego w swej istocie, wśród tyłu doznańnych przeobrażeń, ludu tej krainy.

Wreszcie pocóżby jej bliżej dotykać?

Lud ten staje i dziś w obliczu cywilizowanej Europy w takiej postaci przedwiecznej, pierwotnej, jak gdyby przebyte dwa tysiące lat z górą nie istniały wcale w jego dziejach wewnętrznych!

Natomiast, najwyższego znaczenia nabiera w obecnej dobie właśnie ściślejsze określenie cech charakterystycznych jego wewnętrznego życia.

Ostatni to podobno lud, odkryty przez cywilizację i dla cywilizacji, w ciągu bieżącego wieku, na południowo-wschodnim krańcu Europy; ostatni, po Serbach i Bułgarach, zagarnięty w zakres naukowy etnologii; bo też ostatni, który tam z kolei po innych upomniął się w głos o przyznanie mu przez areopag Europy odrębnych praw jego narodowych.

W odwet za to poznanie jego bliższe nieskończenie więcej, niż wcześniejsze zbadanie języka i etnicznego charakteru jego sąsiadów — ludów i nie tyle starożytnych i lepiej już znanych — przyczyni się do rozszerzenia i ugruntowania posad narodo-znawczej wiedzy naszej. Nietylko bowiem język Albanów, bardziej naukowo zbadany, otworzy najniewątpliwiej pod względem lingwistycznym niemniej

szerokie od litewszczyzny wierzeje ku sanskrytowi i pierwocinom aryjskim wogóle, lecz, co więcej, z drugiej strony, pod względem socyologicznym i archeologicznym, obeznanie się głębsze z tym narodem poprowadzi do tyle pożądanego rozjaśnienia przed-helleńskiej, pelazgickiej epoki świata klasycznego.

Istotnie, nauka, jakby od niechcienia tylko zwracająca dotąd uwagę swą na Albanję, z nielicznym wyjątkiem nowszych uczonych, na których czele stoi wielce zasłużony Hahn, właściwy inicjator studyów albańskich, przyznała już ostatecznie, bez wahania, ten fakt zasadniczy, że dzisiejsi mieszkańcy tego kraju są najbezpośredniejszymi potomkami starożytnych Epirotów czy Illirów wogóle, których znów rodowitość pelazgicka jest pewnikiem dziejów starożytnych. W potrzebie, stwierdziłyby to nawet fakta obecne a mało komu znane, jak np. ślady ludności o albańskiej mowie po drodze Pelazgów z Małej Azji ku półwyspowi Bałkańskiemu; na wyspie Samos u brzegów Anatolii; na głośniej z bohaterstwa w czasie wojen za niepodległość Hellady, do dziś arnauckiej, wśród Archipelagu, wysepce Hydrze; na wyżynach Attyki wreszcie. Wogóle nadto wypada przyjąć, iż w teraźniejszych Albańczykach skupiły się wszystkie te żywioły trako-illirskie, co nie chciały dać się pochłonać wylewającym ku południowi, o świecie wieków średnich, niepowstrzymanym falom Słowiańszczyzny, szczególnie zaś sąsiedni Illirom żywioł macedoński.

Nie zdołali wprawdzie Albańczycy uchronić się od przemocy politycznej Słowian: ulegali tak carom serbskim jak i bułgarskim; lecz w górach niedostępnych przechowali nietykalnie swój obyczaj stary i narodowość. Na zmianę obyczaju tego nie były też w stanie bynajmniej oddziaływać i przemożne wpływy współzawodniczące: z jednej strony Greków bizantyjskich, z drugiej Włochów(Wenecyan); chociaż bowiem ustaliły one różnice obrzędu religijnego, łacińskiego na północy, greckiego zaś na południu Albanii,

różnica ta wszakże nie miała tu nigdy podobnie stanowczego znaczenia, jak u innych ludów.

Myśmy, za naszymi Tatrami, zasłyszeli po raz pierwszy o dalekich Albańczykach już dawno, bardzo dawno temu: w dobie najpiękniejszej i najwięcej bohaterskiej ich narodowego życia. Każdy się oczywiście domyśla, iż wskazujemy tu na czasy, kiedy wschodniej chrześcijańskiej Europie przyszło wystąpić do śmiertelnych zapasów z wdzierającym się niepowstrzymanie w jej wnętrza islamizmem, opowiadany krzywą szablą turecką. Wszelkie wysilenia odosobnione ludów bałkańskich ku własnej obronie prowadziły je do tem pewniejszej zguby: po Kosowem polu już tylko większymi zbiorowymi siłami można było stawić czoło rozzuchwalonym ciąglem powodzeniem Otomanom. Pamięci młodego Jagiełłowicza przynależy cześć, iż on pierwszy powołał zagrożone ludy do gromadnego społem wystąpienia przeciw pół-księżycowi w sposób zaczepny. Jak owo powołanie było przyjęte, jakie były następstwa bitwy fatalnej pod Warną, powszechnie wiadomo! Wtedy to i Albańczycy chwycili za broń i nie złożyli jej, jedni tylko, aż dopiero, kiedy wśród rozpaczliwych wysień doprowadzeni zostali naprawdę do ostateczności. Znany ich bohater Kastriotycz Jerzy, ze czcią przez samych wrogów Skanderbegiem nazywany, był najwierniejszym sojusznikiem naszego nieszczęsnego hohatera!

Potem, po upływie niespełna dwóch wieków, poznaliśmy tych zapomnianych sojuszników Warneńczyka nieco bliżej i, na nieszczęście, w zupełnie nowej już postaci, przodujących wszędy zastępom tureckim muzułmańskich Arnautów. W samej rzeczy, gdy się w owych zastępach „rumelijskich Turków”, z jakimi musieli się zwierać nasi hetmanowie, po Wołoszy i Podolu, rozejrzy należyciej, widzi się naocznie, iż mieliśmy tam do czynienia przeważnie z prawowierną szlachtą słowiańską i albańską, z Bošnjakami i Arnautami przedewszystkiem, skorszymi zawsze do

wypraw od leniwiejących w dostatkach Osmanów. Nawet na wielko-wezyrowskim urzędzie w jasnym Stambule najgroźniejszymi naszymi przeciwnikami byli Albańczycy ze krwi, jak owa naprz. słynna rodzina Kiuprilich, z macedońskiego Welesu, z której ostatnim członkiem, Kara-Mustafą, przyszło się przecież zmierzyć, ze sławą, pod Wiedniem, Sobieskiemu.

Imię Skander-bega czcą wysoce wszyscy Albańczycy bez różnicy wyznań, noszą na jego pamiątkę zdobne opończe (jakuce) i sławią go w swych pieśniach wojennych, jako najdzielniejszego wodza i bohatera narodu; ale od jego zejścia, ugięci pod przemocą islamu, przyjąwszy zwierzchnictwo Porty, stali się oni odtąd najpotężniejszą dźwignią jej militarnej w Europie przewagi, najwytrwalszą podporą następnie jej sił omdlewających.

Uderzający to naprawdę fakt dziejowy i etniczny, nie dlatego, aby miał być wyjątkowym lub rzadkim nawet, sam przez się; lecz że przedstawia nam w sobie niespotykany gdzieindziej stopień wytężenia uczucia danego narodu w dwóch tyle sprzecznych napozór kierunkach, jak podtrzymywanie najognistsze swej odrębności szczepowej z jednej strony, z drugiej zaś poświęcenie się, niemal bez granic, widokom politycznym obcego szczepu i społeczeństwa. Oczywiście muszą istnieć głębsze przyczyny podobnego faktu. Tłómaczyć go zwykłym uniesieniem nowonawróconych byłoby już dziś niewczesnie; strona religijna najmniejsze ma tu znaczenie. Gdy się zaś rzeczom przyjrzy bliżej, dostrzeżemy łatwo, iż mają tu wagę bardziej stanowczą: najprzód niepowściągnięta wojowniczość i niesłychany konserwatyzm samych Albańczyków, a potem wspaniałomyślnie mądra polityka Otomanów w czasie obalającej wszystko pod stopy ich potęgi. Byle tylko bowiem przewodnicząca klasa podbitego przez Turków narodu przyjęła islam, zostawiali oni mu najzupełniejszy samorząd i nie wdawali się wcale w sprawy onego społeczne, nie dotykali wcale jego starych

obyczajów. W ten sposób przywiązali ku sobie nierozrwalnemi (aż do ostatniej chwili) węzły Bośniaków; w tenże sposób przywiązali i Arnautów. Tych ostatnich zaś o tyle silniej od pierwszych, o ile nieustannemi wojnami dawali pożądaną strawę ich nienasyconej namiętności rycerskiej, łącznie z żywą ciągle podnieętą ambicji naczelników ich klanów. Trzeba też bowiem zawsze pilnie wyróżniać istotę węzłów moralnych z Portą i chalifatem dwóch tych sąsiadnych i przyjaznych wzajem w islamie ludów. Bośniak to Słowianin, o wspólnej jego całemu szczepowi wrażliwości niewieściej dla wszelkiej obcej idei, nowej a poetycznej; dał się on unieść naprawdę ideałom nauki arabskiego proroka, poślubił ją szczerze. Arnauta, nieunużony zachowawca, pozabawiony jakby zupełnie wyższego zmysłu poetyczno-religijnego, upatrywał w prawowierności jedynie środek dla swych widoków rodowych i osobistych; gotów on na wszystko, byle mu tylko w jego górach rodzinnych żyć było wolno podług obyczaju przodków.

Tyle więc własnej rzutkości i wytrwaniu, ile szerokiej swobodzie pod azyatycko-muzułmańskim namiotem federalnego Otomanów systematu rządu, zawdzięczając Albańczycy, iż mogli przechować nietykalnie odziedziczony od wieków obyczaj narodowy, mogli ochronić od zaguby szczepową swą odrębność. Tragi-komedia „tanzymatu”, osławionych tureckich reform, zastosowana ostatnimi czasy również i do nich, nie zdołała jeszcze właściwie nic a nic starej ich samoistności nadwerekzyć. Dziś tedy, jak przed wieki, przedstawia się nam też i kraj ich cały jako zamknięty w sobie świat osobny, nietylko w gronie cywilizowanych i mniej cywilizowanych społeczeństw europejskich, lecz nawet w obliczu bliższej im, pod wielu względami, barbaryi tureckiej, muzulmańskiej.

Przez „Albanię” rozumie się pospolicie kraina Bałkańskiego półwyspu, stanowiąca pewną geograficzną całość, zawartą w postaci podłużnego czworoboku, pomiędzy mo-

rzem Adryatyckiem i Jońskim a łańcuchem Pindu i onego przedłużeniem ku północy aż ku wyżynom Szar-dahu, od zachodu na wschód; oraz pomiędzy portem Baru (Antivari) Skadarskiem jeziorem i szczytem Komu od północy a zatoką Ambracką (Arty) od południa. Albańczycy zaś sami obejmują jednak pod tą nazwą i okręgi przez nich zamieszkałe, poza tą kresą ku północo-wschodowi bardziej leżące, jak Kosowe pole w Rascyi (starej Serbii) i wierzchowiska Wardaru ku Bitolii (Monastyrowi) w Macedonii. Turcy również nazwie „Arnautłyk” (Albańszczyzna) szersze znaczenie nadają.

Nazwa ta wszakże „Albanii” jest obca i ludowi samemu ledwie znana, przynajmniej nieużywana przezeń nigdy. Powstała ona w wiekach średnich, i oczywiście w ustach italskich najprzód sąsiadów, od niewielkiego okręgu nadbrzeżnego, noszącego oddawna (Ptolom.) to miano. Byzantyjscy Grecy wytworzyli z niej, w swej wymowie, formę „Arvania”, a dla ludu „Arvanita”; skąd potem powstały tureckie przezwy „Arnaut” i „Arnautłyk”, powszechniej dziś na miejscu używane. Lecz sam lud albański zwie się w swej mowie jedynie „Szkypetar”, kraj zaś własny nazywa jedynie „Szkyperi”, „Szkypeni”. Dumne to nazwy niezmiernie, które mógł przybrać tylko tak namiętne wojowniczy góral, jakim jest Albańczyk. Znaczą one w języku jego: „syn orli” i „kraj orląt”, od wyrazu „szkype”, orzeł. Młodziutka zaś erudycja albańska (nie uśmiejmy się, nie zawsze tak junaczo niewybredna, jak w niedawnych manifestach) odnosi ich początek, z Plutarchem w rękę, aż ku czasom pierwowzoru wszelkiego później wodza Arnautów, głośnego w starożytności Pyrrusa, króla Epiru. Przypomina ona z tego powodu, że gdy raz wojownicy tego króla, w uniesieniu nad jego śmiałością i bystrością militarnych obrotów, przyrównali go do orła, Pyrrus w odwet ich samych nazwał skrzydły orlemi. Nad miano też „Szkypetar” nie chce butny Albańczyk znać żadnego innego i odpłaca większą uprzejmością,

jeśli cudzoziemiec, obcą mową nawet doń przemawiający, tem właśnie mianem narodowem go uczci.

Przy tej powszechnej, jednej jedynej nazwie narodowej, nie stanowią przecie Albańczycy jednolitego narodu; od niepamiętnych wieków rozszczępieni oni zostają na dwa główne konary: od północy Gegów i Tosków od południa. Dzieli ich rzeczka Szkumbi, stanowiąca zarazem linię graniczną między Albanią wyższą, czyli Gegaryą, i niższą, albo Toskaryą. Albania niższa to starożytny Epir, wyższa zaś — dawna Illirya południowa (graeca), gdy północną (barbara) całą Słowianie, Serbowie z Horwatami, posiedli. Do tego geograficznego i etnicznego podziału, któremu towarzyszyło wyróżnienie historyczne i kulturowe nawet, zastosowywali się i Turcy, tworząc w Albanii od samego początku dwa odrębne wielkorządztwa (wilajety), Skadarskie i Janińskie. Przyczem uwzględniała niemniej Porta i sam podział przedwieczny dwóch tych głównych gałęzi skipetarskich na wieloliczne klasy, pokolenia i rody. Mimo wszystko, zawsze to tylko jeden naród, przedstawiający w sobie samym, w sposób wyjątkowy, cały szczepek odosobniony.

Pod opieką turecką przekroczyli muzułmańscy Arnauci (Gegowie) naturalne granice Albanii od wschodu i północy, gdzie posunęli się aż poza kresę wododziału ojczystego Drinu i dorzecza dunajskiej Morawy, zajmując gniazdowo-serbskie obszary Rascyi; osobliwie od czasu, gdy, po nieśczęśliwych wojnach austro-tureckich, pod koniec w. XVII, znaczna część jej słowiańskich mieszkańców wyniosła się do południowych Węgier. Toskowie zaś, ze swej strony, puszczając się po wschodniej pochyłości Pindu, szerzyli się po Tessalii i dalej jeszcze. Lecz, naszem zdaniem, byłoby wielce błędnem twierdzenie, że wszyscy zamieszkali dziś w Rascyi i Macedonii Skipetarowie są tam przybyszami z późniejszej epoki. Owszem, znaczniejsza ich część może pochodzić od autochtonów, których wylew słowiański nie zdołał pochłoniąć, niczy temu bowiem nie przeczyły znane

powszechnie fakta, iż Rasa (Nowy-Bazar) była kolebką serbskiego carstwa, a Ochryda stolicą patriarchatu bułgarskiego.

Rozgałęzienie się jednoistnego pnia albańskiego we dwa konary, fakt, którego początek sięga niepamiętnych czasów, bodaj pierwotnego wyosobnienia Epirotów i właściwych Illirów, nie nadwężało wprawdzie jedności narodowej, jedności języka (tylko na dwa narzecza rozdzielonego) oraz wspólności obyczaju i tradycji; musiało wszakże z konieczności podsycać i nadal odmiennność charakteru i usposobień skipetarskich ich następców, w dziedzinach wyższej i niższej Albanii. Wpływy zewnętrzne były tu również nie bez pewnego znaczenia. Gdy Toskowie, zawsze z Grekami więcej związani, przyjęli obrządek ortodoksalny wschodni, Gegi natomiast zostali katolikami obrządku łacińskiego. Następnie, po zejściu Skander-bega, ciż rycerscy synowie Gegaryi tłumniejsi od swych południowych pobratymców poślubili islamizm.

Ale dajmy na to, iż w życiu wewnętrznym prawego Skipetara, zawsze barbarzyńskiego, zawsze mniej ważącego wszelki obcy kult i kulturę, w obliczu świętości jego patriarchalnego obyczaju, nie tak wiele to jeszcze znaczyło w samym sposobie życia pobratymów, w ich rodowym grupowaniu się, utrzymała się wybitna różnica. Toska naprzykład, jak starożytny Epirota, żyje jedynie w trzech, rozpadających się na drobniejsze rody (fary), szeroko-ramiennych pokoleniach. Owym Chaonom, Tesprotom i Molosom starożytnego świata odpowiadają dziś Toskowie właściwi, Czami i Liapi, siedzący na ich popieliskach przedwiecznych. Geg zaś nie lubi się krępować, podobnie jak jego rozdrobieni na niewielkie żupy illirscy przodkowie, ściślejszemi węzły szerszych pokoleń i trzyma się uporczywie starego trybu życia w licznych odosobnionych klanach i rodach. W Gegaryi obecnej tyleż prawie klanów, co w starożytności, choć już nazwy ich odmienne: dawnym Ballai, Nesti, Manli,

Euchelei, Taulenti, Antoriaty, Ardoci itd. odpowiadają dziś Hoti, Klemendi, Kastrati, Mirdita, Mertur, Krasnik, Temal oraz inne większe i pomniejsze rody junaczych górskich „olbrzymów”, gdyż miano Geg od „gigas” (olbrzym) idzie. Nie potrzebujemy też zbyt nastawać, że przy takim rozdrobieniu plemion górnej i dolnej Albanii, datującym od niepamiętnych czasów, nie mogło się obejść bez współzawodnictwa a nawet pewnej antagonii ich wzajemnej. Wprawdzie dzisiejsi patryoci albańscy radziłyby znane fakta z przeszłości, świadczące o antagonii takowej, przypisać nie plemiennej niechęci wcale, lecz jedynie współzawodnictwu ambicyi osobistej przywódców, przez swe plemiona mniej świadomie popieranym; my przecie, nie myśląc bynajmniej obrażać ich drażliwości pod tym względem, chcielibyśmy wskazać tylko na ową nawet nieufność pewną bejów słabszej Toskaryi ku „Lidze albańskiej” silniejszych Gegów w obecnej chwili wątpliwego ważenia się.

Za to w chwilach prawdziwie wielkich życia narodowego, w obliczu groźnych niebezpieczeństw, milkły naprawdę niechęci i zawiści rodów, pokoleń i plemion i naczelnicy takowych, zapominając o swarach, zawiązywali między sobą ligę, unię, konfederację (w polskiem znaczeniu tego wyrazu), stając dzielnie pod chorągwią wybranego w swem kole rycerskiem naczelnego wodza. Taką chwilą wielką i bardziej pamiętną nad inne była rozpaczliwa walka ze straszliwą przemocą turecką o niepodległość narodu, w pierwszej połowie XV wieku; takim wodzem naczelnym ówczesnej ligi albańskiej był głośny Skander-beg Kastrioti. To nie książę jaki Albanii, to skromny pan mocnej dziedzicznej Kroj, bardziej tylko od innych bohaterski, przy którym stają, na śmierć na życie: Lek, książę Dukaginu, Arianit, pan na Wallonie, Bozdar, zwierzchnik Arty i Janiny, Mozes, naczelnik Debry, dalej Topija, Stresija, Kuka, Szpata, Urana, Angeli i inni przeróżni przywódcy dziedziczni klanów skipetarskich. Podobną jednomyślność spotykamy i później,

prawie bez wyjątku, gdy chodzi o obronę ojczystej Skiperyi, o rozprawę z sąsiednim innoplemieńcem, lub gdy sułtan a chalif odwoła się do doświadczonego męstwa górali, jeśli całemu jego państwu niebezpieczeństwo grozi, jak na przykład w wojnie ostatniej.

Z niepospolitą też przezornością umieli Turcy, zostawszy panami Albanii, przywiązać ku swej władzy jej bitnych a namiętnie rozmiłowanych w swych górach ojczystych mieszkańców; umieli wyzyskać w swych widokach ich tyle wojownicze, ile patryarchalno-konserwatywne usposobienia. Tem zaś skuteczniej, że z głębszą polityką szła tu w parze i szczerą naprawdę wspaniałomyślność. Skoro bowiem tylko dostateczna dla rękojmi politycznej ilość znakomitszych rodów doprowadzona została, wołą—niewołą, do przyjęcia islamizmu, zostawiła Porta całemu narodowi (nie wyjmując klanów, co wytrwały niezachwianie przy krzyżu św.) jego stary w mało zmienionej postaci samorząd.

Nie należy wszelako spuszczać z uwagi i tej okoliczności, że do utrzymania i utrwalenia podobnego stanu rzeczy przyczynił się, oprócz szczególnych warunków lokalnych, jeszcze wyjątkowy nastrój umysłu samych Albańczyków. Odmienność wiary nie rozprzęgała wśród nich węzłów rodowych, powszechny zaś duch wojenny narodu nie dozwalał i chrześcijanom, tak ortodoksom, jak katolikom, składać broni, którą też w odwet gotowi byli, łącznie z bracią muzułmańską, użyć wszędy w potrzebie własnego kraju i na zawezwanie namiestników padyszacha... Pomiędzy chrześcijanami i muzułmanami nigdy tu, jak u innych ludów w takowemże położeniu (w Bośni naprz.), stanowczego rozbratu nie zaszło; ci ostatni nigdy nie zdołali się wydzwignąć na jedyną klasę rycerską i panującą. Baszowie albańscy otoczeni byli zawsze zarówno naczelnikami wojennymi jednej i drugiej wiary. W górach nakoniec klany chrześcijańskie używały praw i przywilejów, które ich sta-

wiły niemal na równej stopie z muzułmańskimi współplemiennikami.

W taki sposób Albania, aż do roku 30 bieżącego stulecia, zostawała wyłącznie pod zarządem swych naczelników narodowych w obydwóch dzielnicach zarówno. Tak w wyższej, jak w niższej Albanii każde miasto znaczniejsze miało swego baszę lub bega, dziedziczącego władzę po swych przodkach, w jakiej go zatwierdzała zwykle wysoka Porta, uświęcając stary obyczaj. Wszyscy pomniejsi baszowie, begowie i naczelnicy górskich klanów Gegaryi stali pod chorągwią i zwierzchnictwem baszy skadarskiego; jak w Toskaryi pod rozkazami baszy z Janiny. Obaj ci baszowie zwierzchniczy, ze Skadaru (Szkodry, Skutar) i janiński, wyglądali tedy bardziej na wielkich lenników Porty, niż na jej wielkorządców.

Przy przezornem nadto uwzględnianiu wkorzonego od wieków w narodzie obyczaju, stan Albanii, aż do wyżej wskazanej epoki, miał być pomyślny wcale, świetny nawet. Mielibyśmy prawo powątpiewać mocno o tem, gdybyśmy to słyszeli z ust jakiego zubożalego bega lub wogóle muzułmanów, czcicieli starych dobrych czasów janczar-skich; ale nie, — sąd to powszechny gorliwych patriotów chrześcijan, ludzi europejskiego wychowania, pragnących postępu dla swego kraju i narodu (Wassy-eff. między innymi). Otóż, podług ich twierdzenia, Albania w owej epoce była bogata i szczęśliwa! Siła jej wojenna była straszną grozą dla sąsiadów, potężnym środkiem dla Porty. Gdy bowiem najznacześniejsze z ówczesnych mocarstw mogły się były zdobyć zaledwie na jakie sto tysięcy zbrojnych, w ostatecznej potrzebie; jedni Arnauci wystawić byli w stanie, na pierwszy rozkaz sultański, od 60 do 80 tysięcy najbitniejszego ludu. Potęgą otomańska w Europie na nich się opierała przedewszystkiem; lecz zarówno, przy ich pomocy jedynie, władza turecka mogła, tak długo i okrutnie, ciężać nad

nieszczęsną chrześcijańską Rumelią, mogła trzymać tak długo w jarzmie Greków i Bułgarów, dawnych panów Skiperyi!

Co więcej, gdy kolumny, tyle groźnej dotąd „Bab-ali” (wysokiej bramy, porty), w jasnym Stambule, zaczęły się chwiać u samych podstaw, wsparli je Arnauci ramionami swych najenergiczniejszych ludzi. Dość tu wskazać na imona tylko takich wezyrów wielkich i ser-askierów, jak: Kiuprili Mehmedi i Achmed, Lutfi, Synan, Bajraktar Mustafa i inni baszowie.

Lecz wygląda zabawnem prawie, gdy ciż sami patryoci postępowi usiłują dziś wmówić w siebie, iż pierwiastek albański wogóle, wierny swym zasadom narodowym, swym tradycjom i obyczajom, odznaczał się zawsze swą wiernością padyszachowi oraz idei jedności państwa Otomanów. Rozumiemy dostatecznie powody podobnego twierdzenia w chwili bieżącej; ale tem niemniej nie możemy zamknąć oczu na całą onego przesadę. Przyjrząwszy się rzeczom bliżej, widzimy, iż w muzułmańskim obozie nawet nie wszyscy ludzie ambitni a wyżej uzdolnieni szukali pola dla swej działalności w stołecznym Carogrodzie: niejeden z nich był bardziej Arnautą, niż islamitą, i, marząc o wyniesieniu osobistem we własnej ojczyźnie, zmierzał do zapewnienia jej szerszej jeszcze autonomii. Nie potrzebujemy sięgać głębiej poza czasy obecnego stulecia, by to unaocznić. Któż nie przypomina sobie tyle rozgłośnego w początku naszego wieku satrapy, Alego Tepeleni, baszy Janiny, przed którym drżał Stambuł, nim się go (1822 r.) zdradą nie pozbył. Był to prawdziwy naczelnik plemienny dolnej Albanii, otoczony na równi muzułmańskimi, jak chrześcijańskimi przywódcami jej rodów — prawdziwy, powtarzamy, mimo jego despotyzmu i samolubnych widoków. Podobnym doń zupełnie naczelnikiem plemiennym był współzawodnik jego Mustafa Buszatli, basza skadarski, który wystąpił niebawem w górnej Albanii, łącznie z Bośniakami, grożąc zgubą pierwszemu odważającemu się na reformy sułtanowi. Rozumiemy

tu Mahmuda II, który (1826 r.) wytepił janczarów i postanowił zbliżyć się ile można ku wzorom europejskiego porządku. Naprawdę smutny los czekał śmiałego chalifa-reformatora, gdyby nie moralne przeciwieństwo narodowe sojuszników, z równą zapamiętałością występujących w obronie wystawionego niby na niebezpieczeństwo starego prawowiernego obyczaju. Kiedy bowiem rycerski Hussein-aga ze swymi Bośniakami walczył szczerze o religijno-konserwatywną zasadę przedewszystkiem, Mustafa ze swymi Arnautami ścigał marę własnych widoków politycznych. Obaj tedy musieli (1831) ustąpić z pola przed tryumfującym „nizamem”.

Ze swej zaś strony, chrześcijanie albańscy, obojga oburządków, mniej jeszcze oczywiście od swej braci muzułmańskiej mogą być pomawiani, jeśli nam wolno użyć tego wyrazu, o jakąś szczególną wierność dla wysokiej Porty: katolicy Gegaryi pilnują nadewszystko, aż do Prenka, obecnego księcia dzielnych Mirdytów, nietykalności klanowych swych przywilejów; a cóż rzec o ortodoksalnych Toskach! Wiadomo powszechnie, nie mówiąc już o bohater-skich Suliotach, jaką to rolę odegrywali w walce o niepodległość helleńską, wychowani w szkole Alego z Tepelenu, „kapetanowie” albańscy, jak: Bocaris, Karaiskaki, Czavella, Miaulis, Bulgaris i wielu innych! Kto zna dobrze żywioły, jakie podsycaly przemożniej ową pamiętną walkę, wie też dowodnie, co należy rozumieć tam pod nazwą Greków — nie narodowość, lecz wyznanie; wie niemniej, że nawet owi głośni z morskich nad Turkami przewag wyspiarze Archipelagu, Hydryoci i Specyoci, i to były, jak są do dziś, pokolenia skipetarskie.

Cóż powiedzieć pod tym względem o czasach późniejszych, o czasach obecnych?!

Zmiana starego systematu rządowego potomków Osmana, której towarzyszyły wszystkie owe tyle osławione hattyhumajuny, tanzimaty i wszelkie inne reform „alla franca”

zapowiedzie, rozciągnięta z kolei i do Albanii, sprowadziła tu za sobą najpowszechniejszy, jak należało się spodziewać, zamęt. Miejsce, opartego na warunkach miejscowych, dawnego trybu zarządu, z jakim się już żyło w ciągu kilku wieków, zastąpiło nie jakieś stanowcze przeobrażenie zasadnicze, lecz powódź zmieniających się z dniem każdym eksperymentów „in anima vili”. Co lat parę, to nowy podział wilajetów (wielkorządztw), bez względu na wszelkie wymagania tradycyjne i narodowościowe; co basza, to nowy system, stosownie do jego ukrytych osobistych usposobień; co basza, to nowy łupieżca! Baszowie zwierzchni — ludzie obcy, Stambulczycy po większej części, protegowani „seraju”; nic ich z krajem moralnie nie wiąże, nie znają ani obyczajów, ani mowy powierzonego im pod zarząd ludu. Arnaucie Turek nie ufa: nie widać, jak dawniej, cnych synów Skiperyi ani na wysokich stanowiskach administracyjnych, ni też wojskowych. Skutkiem niepewności powszechnej stosunków ogólnych i miejscowych oraz bezdusznego wyzyskiwania przez innoplemieńców, kraj ubożeje, same źródła jego uprzedniego dobrobytu wysychają, zamiera (dość ożywiony nawet) przemysł dawny. Co zaś drażliwsza, wśród smutnego podupadnięcia całego kraju, muzułmańska ludność właśnie, przyzwyczajona uważać się dotąd za dominującą, uczuła się najbardziej dotkniętą tak zwanymi, jakby na szyderstwo, nowymi porządkami. Częste wojny ostatnich czasów na wszystkich krańcach cesarstwa, ją najbardziej, skorą zawsze do broni, dziesiątkowały, rzucając rodziny poległych na pastwę nędzy. Przy wzmagającym się zaś ubóstwie oraz braku wszelkiej dbałości ze strony rządu o podniesienie by najmniej prawdziwej oświaty, nawet ów promień jakiejś kultury patryarchalnej, odziedziczonej po przodkach a opartej na pewnych cnotach pierwotnych, surowych, na poczuciu żywszem godności osobistej, nadto podtrzymywanej zasobnością domową, i ten począł przygasać.

Przyszła nakoniec ostatnia, zaledwie tylko co zakończona, wielka wojna wschodnia. Nie było czasu na niechęci ku nienawistnym effendyom stambulskim; nietylko ojcowizna sułtana, lecz i ojczysta Skiperya została zagrożona! Nie słyhać było odtąd w górach Albanii, jedno szczęk orężny: wszystkie powołania jej wojenne stanęły ochotczo pod broń. Arnauci okryli się nową chwałą w tej wojnie: kto tam winien, winien; ale górski „syn orli” bił się wszędy znakomicie i umiał ginąć po bohatersku, u Jaworu, w Plewnie, pod Szypką. Wszakże ogólny wynik nierównych zapasów był i dla Albanii wielce niepomysłny. Po raz pierwszy wypadło ustępować dokoła sąsiadom a przeciwnikom po skrawku skipetarskiej ziemi, wypadło oddać nieugiętym Czarnogórcom drogę Antivari i cofnąć się przed Serbami ze swych przednich stanowisk u Ibru i Morawy ku rodzimemu Drinowi; a nawet ledwie że nie przyszło dzielić się na krawędzi macedońskiej z „potulnymi” Bułgarami! Od południa zaś przemysłny Grek wziął się był, wywodem żalów i zakłęciami na cywilizację, a nie zbrojną rozprawą, urwać też coś i z Epiru. Zewsząd nadto najdotkliwsze straty wszelakiego rodzaju już poniesione albo, co gorsza, w blizkim tuż widoku. Nadomiar złego sromotna perspektywa dla najbitniejszych pokoleń granicznych, podobnej jak Turków rumelijskich, migracyi z okolic przed wieki już przez nie zajmowanych.

Tyle nieszczęść naraz i jakby w odwet złowrogi za wysiłki najwyższych poświęceń nie mogło nie wywołać głębokiego wstrząśnienia w całym kraju. Niepodobna było dalej oglądać się rezygnacyjnie li na rozkazy i wskazówki ze Stambułu i należało, po dawnemu, samym pomyśleć o sobie i wystąpić samorzutnie. Żywa tradycja ludu wskazywała potemu środek jedyny: było nim zestrzelenie sił wszystkich klanów i pokoleń Albanii w postaci „ligi”, w postaci związku konfederackiego naczelników tych klanów i pokoleń. Tem swobodniej też chwycono się środka owego,

ile że polityka wysokiej Porty miała tu własną rachubę i gotowa była podsycać do pewnego stopnia zamysły partyotyczne i ogniste zapędy Skipetarów. Płomień tedy, co wybuchnął najprzód, jak wypadało się spodziewać, na kończynach zagrożonej najbliższej muzułmańskiej Gegaryi, od Kosowego pola i Pryzrendu, objął szybko niemal kraj cały. Zawrzał ruch istnie albański: nie zabrakło pomiędzy butnymi begami i na przedstawicielu krwi uwielbianego przez cały naród Skander-bega.

Ale, mimo całe wytężenie energii Albańczyków, siła okoliczności okazała się mocniejszą od nich. Zrozumiano, z upokorzeniem w duszy, że zuchwalstwem byłoby wszelkie mierzenie się z areopagiem Europy, od chwili przyzwolenia na decyzję onego przez sułtana. Trzeba było i z Podgorycy się wynieść i czekać z założonemi rękami, choć ze zgrzytaniem zębów, kiedy tam z kolei Austriacy Nowy-Bazar zajmą, usadowiwszy się na dobre w przyjacielskiej Bośni. Z drugiej znów strony, niewiele pomagało Toskom odgrążanie się, że niechno obmierzli Jònani (Jończycy-Helleni) odważą się tylko przestąpić granicę Epiru, wnet oni im stołeczne Ateny spalą. Nie trudna to wprawdzie rzecz dla braci arnauckiej, ale Europa by na to nie pozwoliła. Mniej jeszcze pomódz mogło popisywanie się, w znanych manifestach, przed przedstawicielami mocarstw, nieoczekiwaną po synach Skiperyi erudycją, wywodzącą, oczywiście za niewczesnym podszeptem ze strony, takowej między nimi a dziećmi Hellady różnicy, jaka istnieje między rasami brachio- i dolicho-cefalów. Wywołało to tylko ostry żart na ustach jednego z ich przyjaciół wśród naszych tam ludzi: „no, popisaliż się begowie, jak prawdziwi a-cefale!” Uśmiechano się też niepomału i na solenne zaręczenia manifestów tychże największej nadal powolności Arnautów dla wymagań cywilizacji. Tymczasem od kombinacji politycznej mocarstw jedynie zależy przysądzenie Grekom Janiny i pożądaney przez nich dzielnicy południowej Albanii!

Nie brak też i pewnego uzasadnienia uroszczeniom Greków. Kogoby to ściślej obchodziło, podamy mu dla rozjaśnienia rzeczy parę dat statystycznych, zebranych przez jednego z konsulów Prewezy, gdzie właśnie odbył się był pierwszy zjazd komisarzy granicznych.

Z jego wykazu, popartego i przez źródła urzędowe, widzimy, że:

W południowej części Epiru, pożądaney, na mocy wskazań kongresu berlińskiego, przez Grecyę, znajduje się nie więcej nad 210 tysięcy mieszkańców, osiadłych w 650 wsiach, z których zaledwie 160, nad wybrzeżem morskiem od rzeczki Kalamos do Prewezy, są wyłącznie muzułmańskie; większość zaś ich przeważna zaludniona wyłącznie przez wyznawców obrządku ortodoksalnego. Co do języka tych mieszkańców: chociaż język grecki (w zmieszaniem z albańszczyzną narzeczu odrębnem epirockiem) nie jest mową wyłączną nawet i połowy wyżej wskazanej ogólnej ilości (650) osad, bo używany tu niewiele więcej jak w 300 wsiach; ale też i język albański nie jest w tym pasie przeważającym. Mowy albańskiej (w południowem narzeczu Tosków) używa tutaj ledwie 260 wsi, gdy 88 pozostałych mówi po wołosku, idyomatem szczepu romańskiego, zbliżonym do języka naszych sąsiadów od Dniestru, Wołochów. Nadto w miastach główniejszych: Janinie, Arcie, Prewezie, przeważa bezwarunkowo język Hellenów. Natomiast, pod względem własności ziemskiej trzeba mieć w pilnej pamięci, że: na 1.630 wsi w Epirze wogóle 1.500 takowych należy do muzułmanów, do zapamiętałych begów tyle ponętnej Toskaryi.

Wszakże mniej lub więcej uszczuplona w swych granicach Albania pozostanie i nadal w dotychczasowej zawisłości od Porty, pozostanie i nadal wystawiona na pastwę zmiennych co chwila eksperymentów politycznych doraźnych w Stambule sterników skolatanej nawy otomańskiej, tracąc tymczasem za łada zawieruchą, na byle jakim, choćby

najbardziej oddalonym, krańcu cesarstwa powstała, najpiękniejszy kwiat swej muzułmańskiej młodzieży.

Czy pozostanie na długo?—rzecz to inna; któż zresztą bieg wypadków na Wschodzie przewidzieć zdoła!

W chwili obecnej przecież wyjście to byłoby jedynie pożądaną przez wszystkich Albańczyków, bez różnicy rodu i wyznania. Muzułmanie zawsze są dalecy od myśli zerwania z chalifatem, chrześcijanie nie upatrują wygranej w zmianie państwowego zwierzchnictwa; wszyscy zaś wogóle, i naczelnicy klanów z begami i lud, boją się, jak ognia, wszelakich, europejskich naprawdę, przeobrażeń. Przedstawiają je oni sobie jako ostatnie nieszczęście, coby ich naród spotkać mogło: nieszczęście, prowadzące za sobą w nieuniknionem następstwie wywrócenie z korzeniem nawet kardynalnych podstaw przedwiecznego ich obyczaju, jakich nie miały siły lub nie śmiały jeszcze dotknąć reformacyjne zachcianki stambulskie. Porządek szczerze europejski w pojęciu nieokielznanego Arnauty znaczy tyle, co ujęcie w więzy wstrętnej mu systematyczności, pedanteryi, jego dotąd, w górskim życiu, ruchów swobodnych. Porządek ten nadomiar przedstawia się mu jako widmo zmory, która, objawwszy w swym obmierzłym uścisku drgające żywym życiem ciało młodzieńczego narodu, wysysałaby, w postaci corocznie podnoszonych podatków „alla franca”, kropla po kropli, powoli, ostatni sił jego zasób, aż do samych źródeł onego. Zwierzchnictwo zaś tureckie, choćby razem z jego nienawistnymi reform eksperymentami, wydaje mu się w porównaniu nieskończenie znośniejszem i nawet lepszem bezwarunkowo, jako nastroczające mniej powodów obawy o bezpieczeństwo samych posad skipetaryzmu. Stąd powszechne pragnienie pozostania i nadal przy Turcyi.

Zato równie powszechnie, bez różnicy rodu i wyznań, wymagają Albańczycy zapewnienia im należytego samorządu. W wymaganiach tych wszakże są nad podziw skromni i umiarkowani. Autonomia, jaką otrzymała niedawno Buł-

garya naddunajska, wcale ich nie nęci: rozumieją doskonale całą jej niemożliwość u siebie, przy takim rozróżnieniu religijnem narodu. Księciem albańskim oto niktby zostać nie mógł, jedno chrześcijanin, na co połowa muzułmańska narodu napewno żadną miarąby się nie zgodziła; księcia islamity zresztą sama Porta by się obawiała. Nie obudza w nich pokusy bynajmniej i autonomia Zagórza bułgarskiego (czyli tak przezwaney Rumelii Wschodniej). Zgrozą byłiby dla nich plątający się wszędy komisarze mocarstw, zgrozą—ich kancelaryjnie wysmażone przepisy zakresu i trybu swobody. Niechętni ku obcym, nie pożądata przecie zwierzchniego pana i z własnego łona: czują dobrze, jakieby to zapamiętałe współzawodnictwa wywołało między naczelnikami klanów. Chodzi im natomiast, nawet chrześcijanom europejskiego wykształcenia, o przywrócenie przedewszystkiem właściwości samorządu albańskiego starych dobrych czasów, ile takowe tylko dadzą się pogodzić z wymaganiami doby obecnej.

Chodzi o skupienie wszystkich okręgów, zamieszkałych przez pokolenia skipetarskie, w jedną już jedyną administracyjną całość, pod najwyższem zawiadowstwem wali-baszy z władzą namiestniczą i koniecznie albańskiego rodu, któryby, kierując się rozkazami padyszacha i jego dywanu, wypływającymi z idei dobra powszechnego całego państwa, umiał i chciał je wprowadzać w wykonanie bez obrazy wiekami uświęconych obyczajów narodu. Solą w oku im stoi, powodowane jedynie doraźnymi widokami administracyjnymi, dzielenie ich krain ostatnimi czasy na trzy i więcej wilajetów, bez żadnego względu na tradycje i narodowość mieszkańców: woleliby już nawet nie wracać do starożytnego dwoistego podziału Albanii. Mowa tu oczywiście o patryotach (z plemienia Gegów bardziej), wyższych nad niechęci i współzawodnictwa rodowe. Tacy obok tego pragnęliby sprężystego zarządu, szczerego postępu i rękojmi oświaty prawdziwej, uwzględniającej prawa narodowego języka. Wza-

mian za to ofiarują wysokiej Porcie Albańczycy wierność niezachwianą i, co najbardziej przemawiające, podniesione z łatwością wyżej nad sto tysięcy (przy „szwajcarskiej” wojennej organizacyi), niezwalczone zbrojne zastępy dwumilionowego ludu.

Dotknęliśmy tu, samochcąc, najtajniejszej myśli wykształceńszych Albańczyków chrześcijan, ich wymarzonego politycznego ideału: ujrzeć w niedalekiej przyszłości górską swą, rozbitą na klany, Skiperyę w postaci związku szwajcarskiego kantonów, pod zwierzchnictwem Turcyi, jako najmniej niebezpiecznej dla samoistnego duchowego rozwoju, pogrążonej dotąd w ciemni barbarzyństwa, ich narodowości.

„Pia desideria” to przecie spodziewać się, że zużyci Osmanowie właśnie mogą dać pożądane rękojmie urzeczywistnienia podobnego rodzaju potrzeb i pragnień. Optymizm nadziei i zaufania sięga tu prawie nedorzecznosci, podobnie jak, z drugiej strony, pesymizm obaw na myśl jakiegokolwiek bardziej bezpośredniego wpływu europejskiego. Nikt nie wątpi, że potrafią i nadal stambulscy politycy wyzyskiwać bezdusznie wrodzony zapal wojenny górali, potrafią szafować ich krwią potokami; ale zapewnić Albanii, jak to bywało dawniej, przezorną a ludzką opiekę, a nadto wziąć jeszcze na siebie obowiązek sterniczny początkowania i przewodnictwa jej w uspołecznieniu i oświacie, do tego żaden Turkofil, nawet poważny, nie uzna ich zdolnymi, czy mocnymi, jeśli już chodzi o ścisłość. Jeśli Turcy sami, tak już obezwładnieni, zdołają dźwignąć się w Anatolii, zdołają utrzymać i utrwalić zwierzchnictwo swe nad sunnickim światem arabskim: jak na nich, będzie to już wiele! W Europie naprawdę nie mają oni co robić więcej; mniejsza, że mogą siedzieć jeszcze nad Bosforem i Hellespontem długie lata. Została im wprowadzić w Europie Albania właśnie, najwierniejsza z prowincyi, której strata nie dałaby się niczem powetować; ale czyż można ją będzie, już dziś osa-

motnioną, utrzymać w nieopłacającej się dla niej niczem gotowości do nieustannych poświęceń, przy owej osławionej gospodarce anarchicznej, która, na nieszczęście, jakby już w chroniczny stan przeszła?! Zresztą, wcale niezależnie od tego, nie dadzą pewno długo czekać na siebie i wypadki zewnętrzne, które tak z kolei zadecydują o przyszłym losie Albanii, jak już zdecydowały przyszłość innych krain i ludów Bałkańskiego półwyspu. Owa, stająca się dla Turków z dniem każdym coraz bardziej ustronną, ziemia skipetarska leży przy wielkim gościńcu morskim ze środkowej Europy ku wodom indyjskim; posiadanie jej brzegów byłoby rzeczą nieocenionej wagi w widokach militarno-handlowych; a cóż dopiero posiadanie stutysięcznej armii najbitniejszego a tak taniego albańskiego żołnierza.

Ze swej zaś strony przedstawiają Skipetarowie naprawdę materiał cywilizacyjny nie do lekceważenia!

Lud to niesłychanej energii, nieprześcigniętej jędrności młodzieńczej, lud inteligentny, poeta z urodzenia, zdolny do szlachetnych uniesień i nieograniczonego poświęcenia, skromny w swych wymaganiach, wytrzymały; choć zbyt namiętnie przywiązany do uświęconych wiekami obyczajów, pierwotnej a surowej prostoty; choć zbyt pomiatający oświatą barbarzyńca, jakich już mało w Europie naprawdę! Wśród swych gór płonnych i niedostępnych skalisk pozostał on niezmiennie pasterzem i wojownikiem, mimo tylu przewrotów, jakim kraj jego w ciągu lat paru tysięcy ulegał. Musi to przecie wprawiać w zdumienie każdego, gdy się zastanowi: iż lud ten, najstarszytniejszy może w Europie, pozostał dotąd najmniej z innymi szczepami zmieszany; że przechował on swój język przedwieczny, nie posiadając literatury, nie posiadając wyżej posuniętej oświaty; że pozostał wierny dotąd surowym idealom pierwotnej swej kultury, pomimo iż wyosobniającym się, nietowarzyskim wcale nie był i nie uchylał się od przyjmowania i przejmowania form zewnętrznych obcych mu kultów i wyznań religijnych, w miarę

jak one nabywały nad nim przewagi. Zachował on tak swą samoistną kulturę, jak i swój odrębny typ charakterystyczny. Lecz, żeby już przez to nie miał być zdolny do prawdziwego postępu i wyższej oświaty, któżby się to twierdzić odważył?!

Europa nie zna dotąd jeszcze Albanii należycie, nie zna Albańczyków bliżej, jedno z posłuchu; wie za wiele o ich barbarzyństwie, za mało o ich dzielności, nic a nic zaś prawie o istocie rzeczywistej ich natury i uspołecznienia.

Cywilizowani sąsiedzi są zwykle za surowi w sądzie o nich. Surowość ta polega nie tyle na zestawianiu faktów, ile na tonie i kolorycie, grzeszącym przesadą. Zarzut ten można zrobić nawet wczorajszym zaledwie, jeśli tak rzeczymy, o nich odezwom (naprz. w Gyurkowicza „Die Albanesen”, w „Presse” r. 1878). Arnauta, powiadają nam, to pasterz, wojownik i rabuś; rolą bawi się tyle tylko, ile tego niezbędność wymaga. Stoi on tak pod względem duchowym, jako też społecznym i politycznym, na najniższym stopniu rozwoju europejskiego. Wszelkie środki i zdobycze cywilizacyi są dlań niezrozumiałe i zbyteczne. Nie zna on wcale prawa, tylko tradycye; ani społeczności, tylko przemoc siły osobistej; ani rządu, tylko przedwieczną organizacyę klanową. Stąd nie pojmuje też Arnauta, co jest słuszne lub niesłuszne w naszym rozumieniu, i stoi pod tym względem niżej daleko od Turka; w jego przekonaniu, wszystko mu wolno, w czem mu ktoś inny fizycznie przeszkodzić nie zdoła. Że w podobnych warunkach prawo pięści i krwa-wa zemsta miejsce prawa publicznego i wojennego zastępować muszą, rzecz zrozumiała!

Nasi wędrowcy sympatyczniejszy przecie sąd o Albańczykach wydają. A znają ich oni lepiej, niż kto z obcych; tyle, co inne dzielnice i ludy Wschodu muzułmańskiego. Znają ich nawet jako przewodnicy duchowni; mieliśmy tam bowiem i biskupa jednego między Mirdytą. Szkoda tylko, iż nikt swych postrzeżeń, swych doświadczeń z życia

między nimi nie notuje; szkoda, że nie przywiązują żadnej wagi do swych nabytków etnologicznych!

Ostatnimi czasy, gdy przyszło braci albańskiej bronić się na wszystkie strony od natarczywości i uroszczeń wrogich sąsiadów, nie poprzestała ona na rażnej działalności swej „Ligi” i głośnych manifestach jedynie. Uzasadniane historycznie i etnologicznie pretensje Greków wypadło i na polu naukowem odeprzeć. Nie było to właściwie tak wielce potrzebne: kto tam wątpił naprawdę, że ortodoksa albański najgorliwszy niemniej przeto Hellenem nie jest, jak Albania nie jest jakąś dzielnicą grecką? kto wątpił, że Greczyn w niej nie jest autochtonem, lecz przybyszem, a raczej, po większej części, hellenizowanym tubylcem? że nakoniec Albańczyk i Hellen przedstawiają dwa szczepy zupełnie odrębne? Ale przy tej okoliczności, wśród namiętnej szermierki na pióra, wystąpili Albańczycy, po raz pierwszy, i z poważnem przemówieniem o sobie samych oraz istocie własnego narodu. Znany skądinąd dostojnik Porty Wassa-effendi w pięknej swej rozprawie: „Etudes sur l’Albanie et les Albanais” (umieszczanej w stambulskim dzienniku „La Turquie”, od 12 Marca r. b.) dotknął, między innem, i strony życia obyczajowo-społecznej swych współziomków. Odtąd więc jemu przedewszystkiem, jako światłemu narodowcowi, winniśmy, w uzasadnieniu wszelakiego nadal sądu o Skipetarach, głos pierwszy przyznać; winniśmy się powodować jego przewodnictwem w określaniu istotnego charakteru, przechowanego przez lat tysiące, rodowego ich obyczaju i uspołecznienia.

Dla nas wierna charakterystyka obyczajów albańskich posiada podwójne znaczenie: z jednej strony przedstawia ona nam dowodnie, czego wart i do czego zdoln na przyszłość ten naród, co z taką energią dochował w życiu swem tak przedwieczne onego ideały; z drugiej zaś wskazuje na żywym przykładzie, jaki to był stan rzeczywisty owych społeczeństw pierwotnych, co poprzedziły zaranie cywilizacyjnego roz-

kwitu świata klasycznego, a których znane cechy główne stanowią podstawę i dzisiejszego społeczeństwa albańskiego. Byłaby owa charakterystyka, razem z żywym zarówno probierzem lingwistycznym, nieomylnym punktem wyjścia wszelkich głębszych archeologiczno-kulturowych poszukiwań!

Otóż życie obecne Albanii jest, w istocie swej, mimo wszelkie przeobrażenia powierzchowne, w całym znaczeniu tego wyrazu, również pierwotnem, patryarchalnem, jak to było przed wieki.

Każdy klan ma swego naczelnika i swą starszyznę, którzy nim rządzą i wymierzają sprawiedliwość podług starożytnych zwyczajów i obyczajów, opartych na prawie odwetu: oko za oko, ząb za ząb.

Naczelnicy i starszyzna klanów dziedziczą po ojcach zajmowane stanowisko; lecz nie daje im ono jakiegoś wyjątkowego prawa do przewagi nad ludem: naczelnik klanu i starszyzna podlegają w kwestyach prawa pospolitego tymże samym co i inni sądom i karom; gdy naczelnik zabije kogo, sam zostaje zabity, i sprawa skończona.

Wogóle kto drugiego zabije, zostaje zabity przez dziedziców poległego. Jeśli się nie ma możliwości pomszczenia na samym zabójcy, zabija się jego ojca, jego syna, brata lub krewniaka. Czasami nawet zabija się kogokolwiek bądź z klanu zabójcy, jeśli on i jego bliźsi zdołają ująć zemsty strony obrażonej.

Kto popełni kradzież, winien sownie (podwójnie) powetować szkodę okradzionemu, a nadto zapłacić karę na rzecz naczelnika i starszyny. Człowiek zabity na złodziejstwie traci cześć i nie mówi się o nim, iż poległ śmiercią junaczą.

Porwanie kobiety zamężnej równa się „jednej krwi”; porywca lub ktoś z jego krewnych winien być zabity przez męża lub krewnych porwanej.

Młoda dziewczyna narzeczona, wychodząc za mąż za kogo innego, daje zawiedzionemu prawo zabicia jej ojca lub brata, stryja lub brata stryjecznego. Jeśli dziewczyna zostanie porwana, wtedy jej krewni wspólnie z narzeczoną mają prawo i obowiązek zabicia porywcy lub kogo z jego krewnych.

Cudzołostwo karane jest śmiercią; mąż ma prawo zabić uwodziciela, jeśli go znajdzie z żoną lub jeśli cudzołostwo jest udowodnione.

Dłużnik winien zwrócić swój dług w takiej postaci, w jakiej go zaciągnął, w naturze lub w pieniądzu.

Własność jest święta: nikt nie ma prawa przyswajając sobie w jakikolwiek sposób przynależności drugiego. Kwestye prawa terytoryalnego, własności ziemskiej i granic są rozstrzygane przez starszyznę, która w takim razie obowiązana jest składać przysięgę „na kamień”. Wyroki tu są nieodwołalne i wchodzą w wykonanie natychmiast.

Co do wspomnianej przysięgi „na kamień”, jest to najuroczystsza i najpoważniejsza z przysięg Albańczyków. Sięga ona swym początkiem, zarówno jak inne zwyczaje i formuły, epoki pelazgickiej, i znana była nawet w starożytnym Rzymie, gdzie ją też od Pelazgów przejąć miano i czczono wysoce. Polega zaś na zaklęciach, na rzucony poza siebie kamień, przez strony, zawezwane do rozsądzania sporu, zwykle w sprawach tylko najwyższej wagi, jak naprz. w razie nieporozumień o granice między sąsiednimi klanami i t. p. Przysięgę taką składają wybrani sędziowie przed przystąpieniem do rozpoznania sprawy, przyzywając na swą głowę wszelkie nieszczęścia, w razie niesłusznego wyroku. Nawet w życiu codziennem lubi Arnauta, biorąc kamień do rąk lub wskazując na pierwszy bliższy, zaklinać się „per ket pesz” (na ten ciężar), dla dania większej wiarygodności swym słowom.

Prawa zwyczajowe, dalej, są równe dla wszystkich; różnica wyznania nic tu nie stanowi. Jeśli muzułmanin zabije chrześcijanina, krewni lub ktokolwiek z klanu tamtego po-

szukują na nim odwetu; podobnież gdy chrześcijanin zabije muzułmanina. Swobodne wykonanie przynależnego każdemu prawa ubezpiecza powszechny obyczaj.

Osoba gościa jest święta; prawa gościnności nie mogą być pogwałcone pod żadnym pozorem. Ktoby zabił swego gościa lub źle się z nim obszedł, traci cześć, zostaje wypędzony z klanu i nikt nie ma prawa łączyć się z jego rodziną; hańba ta zaś jest wiekuista i krwią nawet nie może być zmyta. Kto zabije gościa cudzego, winien „czterdzieści krwi”, jakie klan, który dał gościnność, ma prawo wymagać od klanu zabójcy gościa.

Zabójca kobiety podlega utracie czci; hańba spada na wszystkich członków jego rodziny, których odtąd przezywają żonobójcami.

Dodać tu na koniec musimy, iż idea odwetu, zemsty, spoczywająca w podstawie wszelkich stosunków społecznych Skipetarów — osławiona ich „gjak” (krew), krwawina, vendetta, jest ściśle zespolona z głęboko wkorzenionym ich religijnym przesądem. Zemsta krwawa uważana jest za święty obowiązek względem cieni powinowatych, co zostali zabici. Dusza człowieka zabitego nie może znaleźć ani szczęścia ni spokoju na tamtym świecie, jeśli jego krewni nie zgładzą zabójcy lub kogoś z jego rodziny albo klanu.

Gdy się zwrócimy do organizacyi rodziny albańskiej, dostrzeżemy oczywiście i w niej wyraz najsurowszej patryarchalności. Podobnie jak każdy klan ma swego naczelnika, rodzina każda posiada swego głowę-gospodarza, jakim jest zwykle najstarszy z jej członków. Najstarsza kobieta w rodzinie jest domu gospodynią. Przy patryarchalności życia, członkowie rodziny są bardzo liczni: bywają rodziny (raczej rody), liczące do stu i stu dwudziestu członków. Mężczyźni wykonywują rozkazy przewodniczącego im głowy rodziny; rozporządza on wszystkimi i wszystkim i nikt nie śmie mu się sprzeciwić. Posłuszeństwo jest ślepe, poszanowanie dla sędziwego wieku nieograniczone. Gospo-

dyni domu używa podobnejże władzy względem kobiet i dziewcząt. Jeśli członkowie rodziny mają co jedni przeciw drugim, głowa domu sądzi ich, karze i jedna, stosownie do okoliczności. Wystąpienie przeciw jego postanowieniu lub wyrokowi jest krokiem, ściągającym naganę powszechną i utratę czci dla winowajcy krnąbrnego.

Po takim, choć wielce pobieżnem tylko, dotknięciu podwalin obyczajowych społecznego życia Albańczyków śmiało możemy zawołać: jakie to odkrycia i niespodzianki czekają naukę, dośledzającą pierwocin zamierzchłej przeszłości historycznych narodów, gdy się zechce rozpoznać bliżej i szczegółowiej byt ów tyle konserwatywnego i młodzieńczego zarazem szczepu!

A pozostał Albańczyk naprawdę jakby typem wiekuistej młodzieńczości. Sama jego postawa wysmukła, lekka, giętka a żyłasta, przy znanym powszechnie (jako niby grecy) malowniczym jego ubiorze, dotykalnie o tem świadczy. Przyświadcza temu zarówno swobodna przejrzystość jego wrażeń i uczuć, jego poruszeń wszelkich duszy. Nie umie on skrywać ani bólu, ani radości; płacze i śmieje się z istnie dziecięcą nieprzymuszonością. Miłość jego i nienawiść nie znają granic; przyjaźń jego — niezłomna, pełna najwyższej tkliwości. Niema ludu skorszego nadeń do uniesień za wszystkim, co porywające, co świetne. To poeta do dna duszy! Dla dobitniejszego określenia stopnia jego poetyczności, wskażemy tu jeszcze na jeden rys obyczajowy, niewiele zapewne znany w dalszym tam świecie. Oto góral albański, skazany na śmierć, obowiązany jest przez zwyczaj przedwieczny, idąc na stracenie, zaimprovizować piosenkę, którą on śpiewa najspokojniej, bez junactwa i słabości, podczas gdy jego matka i krewni postępują za nim, ze zbolełym sercem, lecz z uśmiechem, w tym razie, na ustach, aż na miejsce wykonania wyroku. Piosenki tych, co giną męźnie, pomnażają skarbiec poezyi ludu i są powtarzane przez młodzież.

Jakże młodzieńcze dalej zamięłowanie Arnauty w broni: jego jatagan i strzelba — to niby jego rodzeństwo najbliższe. Jak on jest dumny ze świetnego oręża! Urodzony zeń junak, wojownik. Dzielności wojennej nikt mu też nigdy nie odmawiał. Pełną czci jest nienawiść ku niemu krwawa Czarnogórca. Trzeba być bliżej oswojonym ze stosunkami, by rozumieć do głębi okrzyk słowiański: „jadan Arnautin!” jadowity, nieszczęsny, złowrogi! Wyraz to najzapamiętaleszej nienawiści i uznania najwyższego; czuć w tem strach i poczczenie sił równych. Chyba może „Turczyna” jednego, to jest swego szlachcica bosańskiego, pomiatający każdym innym ludem Czarnogórzec tak nienawidzi i poważa, jak Albańczyka. Choć wielka tu w drganiu jego uczuć różnica: „Turczyn” swój, tamto zaś obcy, a taki dzielny! Lecz trzeba przyznać, że i Arnauta umie płacić bitnemu a tak podobnemu do siebie pod niejednym względem sąsiadowi pięknem za nadobne. Zapytaj pierwszego lepszego „nizama” lub zaciężnego „Ligi” o niedawnych wypadkach — jedna odpowiedź: co tam za dzielność zasypywać garstki mężnych tłumem szarańczy; Czarnogórzec „przeklęty” to mi wróg! Męstwo osobiste i pogarda życia w boju — wspólny nieprzyjaznym sąsiadom górskim ideał.

By pojąć żywiej, jakie to usposobienia wrodzone tkwią w ludzie albańskim, jaki płomień energii goreje w jego łonie, dość przyjrzeć się zblizka jego dziatwie, przyjrzeć się rozrywkom, grom i zabawom chłopięcym. Nie zatrą mi się też w pamięci własne wrażenia. W granicznej Prewenzie naprz., mieście ufortyfikowanem, lecz przeważnie greckiem, zastałem, po przyjeździe tu, wczesną wiosną roku bieżącego, przed oknami zajętego mieszkania, na niewielkim placu przed cerkwią św. Mikołaja, bawiącą się co wieczora dziatwę grecką. Bawiła się ona tam i przez cały ciąg świąt wielkanocnych. Wrzawy bywało dużo, ale bez bojowań. Owszem, najczęściej dolatywały mnie tylko okrzyki „argyro!” „argyro!” (srebro, pieniądz); gdyż gry podrostków helleńskich,

jeśli nie koniecznie, jak w pewnym rodzaju kręgli, prowadzone bywały na gotowy grosz, zawsze przecie były oparte na jakiejś kombinacji, na jakimś rachunku. Później wypadło kilku rodzinom arnauckim przenieść się ku tej tu części miasta. Począłem dostrzegać pomiędzy bawiącymi się chłopakami i drobne skipetarzeta, w swych lekkich janińskich „czarykach“ na nogach a junacko na tył głowy zarzuconym fezie; bez kontusików oczywiście, lecz tylko w jednej z muzułmańska jaskrawej koszuli. Przypatrywały się one najprzód grom starszych od siebie Greczynów, potem zaczęły się wśród nich po swojemu bawić. Chłopacy greccy próbowali pozbyć się przeszkadzających im malców. Przyszło do zwad, coraz częstszych. Aż nareszcie drobiazg skipetarski stoczył parę bitew tak zapamiętałych z przeciwnikami, iż dalej już żaden Greczynek nie śmiał się pokazać na naszym placu. I odtąd nie dolatywały mnie inne okrzyki, jak tylko wojenne, nie widywałem pod oknami innych zabaw, jak istne górskie igrzyska gimnastyczno-militarne. Bijąły się też małe Arnauty i między sobą nieraz tak zaciekle, że wypadło prosić przechodzących żołnierzy, co z prawdziwie albańską dumą tylko cieszyli się takim widokom, by też rozprawdzili jakiego Mehmedka z Selimkiem, bo toby się tłukło do śmierci, nie ustępując jedno drugiemu.

Wielce konserwatywnym a młodzieńczym pozostał Albańczyk i w swych istotnych wyobrażeniach religijnych. Widzieliśmy, jak on pojmuje ideę krwi i zemsty, niezależnie wcale od tego, czy się mianuje chrześcijaninem lub islamitą. Zaklina się też on nie na Chrystusa, nie na Proroka; lecz, bez różnicy obecnego wyznania, na przedmioty przedwiecznej czci natury jego pelazgickich przodków: na niebo i ziemię, „per kielh e per dhe”; na ogień i wodę, „per ket ziarm e per ket ui”; na góry i równiny, „per mal e per fusz”; na słońce i księżyc — „per ket dielh e per ket han” i t. p. Bez różnicy wyznania, ucieka się w każdej ważniejszej potrzebie do wróżb i przepowiedni: wnioskuje o przy-

szłych losach z jelit i kości zwierząt, z lotu ptactwa, z wycia wilków, ze snów i t. p. Żyje w społeczności świata umarłych: wyprawia sute stypy oraz przechowuje najświęciej mnóstwo innych obrzędów i przesądów starożytnych.

Dla nauki przecie więcej może, aniżeli oznajomienie się z obyczajami Albańczyków, przedstawia widoków na bogatą bardzo zdobycz ściśle zbadanie, również z zamierzchłej przeszłości wyniesionego, ich języka, i zbadanie onego filologiczne, we wszelkich narzeczach i narzeczy tych odcieniach. Co więcej—porównawczo z językami dzisiejszych ich sąsiadów: epiro-macedońskich Włachów, Romeów greckich i Słowian; by następnie zestawić go z językami klasycznymi, litewszczyzną i sanskrytem.

Już samo pobieżne przystosowanie albańszczyzny dla objaśnienia mniej zrozumiałych nazw i faktów mitologii greckiej naprz. jakież na nie rzuca światło nowe. Czuć, że pierwiastek pelazgicki odegrał w jej genezie rolę niemałą, dzieląc się z nią znanym swym, nieuosobionym jeszcze w antropomorficzne postaci odrębnych bóstw, czystym kultem natury. Dla przekonania się, dotknijmy tu (podług wskazówek Wassy-eff.) choć tylko bardziej kardynalnych pojęć i nazw, poczynając od rodzica wszech rzeczy, „Chaosu”.

Otóż:

Chaos, wszystko pochłaniająca próżnia, znajduje wyjaśnienie w dzisiejszych wyrazach albańskich: *ha*, *hao*, jem, spożywam, i *has*, *haos*, jedzący, pozerca; jak niemniej w wyrazach: *haapsi*, *haopsi*, przestwór, próżnia.

Powstały z Chaosu, *Erebos*, przybytek ciemności wiekuistych, odpowiada nazwą swą wyrazom: *erh*, *erhem*, *erheni* lub *erhesi*, ciemny, ciemności, ciemnia.

Gea, ziemia; w wymowie doryckiej *dha*; po albańsku też *dhe* ziemię oznacza.

Uranos, niebo, przestwór obłoków, chmur. *Vran*, *vrant*, po albańsku — chmurny, obłoczny; *os* — zwykła końcówka grecka.

Gea i *Uranos* (ziemia i niebo) wydają na świat *Rheę* i *Chronosa*.

Rhea w języku albańskim znaczy mgła, obłok, chmura.

Chronos, czas; od pierwiastku albańskiego *rohn* (tyle co *kohn*), mający toż samo „czasu” znaczenie.

Z *Rhei* rodzi się *Zeus* (Iupiter tonans). *Zaa*, *Zee* po albańsku znaczy głos, rozgłos. Otóż rozgłos grzmotu z błyskającej chmury powstaje.

Niezrozumiała zupełnie dla starożytnych Greków, co do znaczenia swej nazwy, *Athena* (Minerva), dziecię mózgu Jowisza, znajduje w albańszczyźnie niemniej odpowiednie wyjaśnienie. *Thane* i *thene* znaczy po albańsku mówić; *E-thana* i *E-thena*, tyle co powiedzenie, słowo. *Athena* więc słowo *Zeusa*, słowo boże, znane wszystkim religjom.

Hera, Junona Greków — powietrze. *Er*, *era* u Albańczyków również powietrze, wiatr.

Nemesis. Po albańsku *neme*, *nemes*, tyle co zlorzeczenie lub też przedmiot, sprowadzający nieszczęście, karę.

Muza (*Mousai*). Po alb. *mesoi* i *musoi* znaczy: uczę się, nauczam. *Musois* — nauczająca, dająca zatem natchnienie wiedzy.

Thetis. Po alb. *deti* — morze.

Afrodyta (*Venus*), bogini miłości i gwiazda zaranna. W albańszczyźnie *Afer-dite* — blisko dnia, jutrenka.

Delos, wyspa, poświęcona słońcu. *Diel* po alb. słońce. I tak dalej i t. d.

Zgoda, są to zaledwie pierwsze próby tylko, wcale nie wyczerpujące przedmiotu; ale dosyć tych nawet niewielu wskazówek doraźnych, by zwrócić na albańszczyznę uwagę najpoważniejszą filologów i starożytników. Śmiało też rzecz można, iż język albański otworzy napewno niewyczerpaną skarbnicę nowych, nieznanych zasobów starożytniczej wiedzy, skoro zostanie, tyle ile zasługuje, zbadany przez świat uczony.

Stoi on dziś osamotniony wśród innych języków Europy; do żadnego z nich niepodobny, choć z każdym może spowinowacony. W starożytności za to posiadał on swe szerokie rozgałęzienia nietylko po półwyspie Bałkańskim.

Kogoby mogły obchodzić brzmienia onego, pozna je w następnej zwrotce arnauckiej piosenki ulubionej:

Dolla preme ud Armolith
 — Szedłem wczoraj do Armolitu
 Pasze njete bukure,
 — I dostrzegłem piękne dziewczę
 E bukura e tje pamna
 — Piękne dziewczę mnie ujrzawszy,
 Hotj e mbüli derrene.
 — Umknęło, drzwi zamykając,
 Mos e mbüle, semer ime,
 — Nie zamykaj, serce moje;
 Mos e mbüle derrene
 — Nie zamykajże drzwi
 Per mu te mjerene!
 — Przedemną nieszczęsnymi!

Że Albańczycy, po tem wszystkim, cośmy tu o nich powiedzieli, nie wyglądają przecie na lud podobnie zużyty, wyczerpany, nieruchomy, bez nadziei odrodzenia się, jak pewne szczepy dalszego Wschodu, tego, zdaje się, nikt nam nie zaprzeczy. Nikt też równie nie ma prawa powątpiewać o ich zdolności ku przyjęciu zasiewu wyższej cywilizacji, skoro zdolności tej zwykło się nie odmawiać i najbliższym ich północnym sąsiadom, niewiele mniej od nich rozmiłowanym w starym swym obyczaju. Zresztą, pewne, jakby od przypadku tylko rzucone, ziarna europejskiego postępu zaczęły już kiełkować wcale obiecująco. Oczywiście promienie oświaty przeciskają się li od Zachodu: Turek o rozwój Albanii nie dbał, Grek przemysliwał tylko nad jej wynarodowieniem; Włoch jeden, nie mając żadnych już widoków na podbój, nie cofał się przed zadaniem narodowo-cywilizacyjnem. Duchowieństwo katolickie w Gegarji pierwsze

poczęło wydawać książki treści religijnej w języku albańskim, kładąc przez to niby podwalinę przyszłego w tym języku piśmiennictwa. Głośno też za to teraz światlejsi Albańczycy wszech wyznań oddają cześć franciszkanom włoskim. Powoli pójdzie to dalej: osobliwie od chwili, jak się zdecydowano powszechnie na przyjęcie łacińskiego alfabetu.

Nie należy też więcej do dziwów i światły człowiek między Albańczykami, muzułmanami nawet. Bawiąc tyle czasu w Prewezie, sam korzystałem z pięknej biblioteki, treści przeważnie historycznej i ekonomicznej, jednego z tujszych begów, którego (nawiasem powiedziawszy) sprzątnęli jednak, dla świętego spokoju, Turcy, racząc go wysokiem dostojeństwem aż w Kurdystanie.

Lecz prawdziwy rozwój cywilizacyjny narodu albańskiego pod zwierzchnictwem tureckiem jest niepodobieństwem; pomimo, iż połowa onego, z dwumilionowej prawie liczby ogólnej, jest muzułmańską. Przewodnictwo w podźwignięciu jego społecznienia musi wziąć na się Europa. Istotne szczęście jednak dla Arnautów, że, choć niezdolni do samorzutnej inicjatywy, mają przecie tyle siły, iż nie dadzą się oni, przy znanym ich szczepowym charakterze, tak też łatwo zakuć w dyby narzuconego z góry formalizmu i potrafią odrębność swą rodową w dalsze wieki przechować.

A. J.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Ksiądz biskup Strossmayer	1
Dubrownik (Raguza)	13
Hercegowina — kraj i lud	45
Mostar	93
Z nad Neretwy	113
Hercegowcy	145
Mniemani Turcy Bośni i Hercegowiny	152
Belgrad	165
Z Czarnogórza	198
Gęslarz serbski	211
Wuk Wrcewicz	215
Bułgarowie	223
W sprawie wyprawy naukowej do Bułgarii	238
W Krainie Słoweńskiej	245
Ruch umysłowy wśród południowych Słowian	249
Ledziangrad (Polska)	254
Od granicy Bosańskiej (Dyakowar)	265
Wołosza	271
Wołoszczyzna — Mołdawia a Multany	291
Wycieczka do ruin starożytnego Nikopola w Epirze	307
Migracya obecna ludów półwyspu Bałkańskiego	323
Albania	331

DK
508
.5
J34
t.5

Jablonowski, Aleksander
Pisma

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY
